

Karol Bunsch

ALEKSANDER

Wielkorządca Antypater wracał z objazdu kraju do stolicy, postanawiając wysłać list do Aleksandra z prośbą o uwolnienie uwięzionego zięcia swego, księcia Lynkestis. Córka przestała już nalegać o to, sprawa była drażliwa. Lynkestis, podejrzany o udział w zamachu na Filipa, a przynajmniej o zamiar wykorzystania go dla zagarnięcia berła Macedonii tylko dzięki Antypatrowi uniósł głowę. Ale nie poniechał knowań, prośba o jego uwolnienie łatwo mogła się spotkać z odmową. Dumny Antypater nie zwykł nigdy i o nic prosić, tym mniej, gdy nie był pewny, że wysłuchany zostanie, nie mógł jednak dłużej patrzeć na przygnębienie córki, której widok był dla niego wyrzutem. Dość zasług położył dla kraju, by zasłużyć na względy.

Zdziwił się, że córka nie wybiegła, jak zazwyczaj, witać go, zastał ją w megaronie z bratem Rassemdrem, tępo wpatrzoną w płomień ogniska, w żalobnej szacie, z obcięzonymi włosami. Pewny już był, że spotkał ją nieszczęście. Gniewnie zwrócił się do Kassandra, który również milczał:

— Co się stało?

Zamiast odpowiedzi Kassander wręczył ojcu pismo. Ten szybko przebiegł je oczyma i usiadł. Było

krótkie, suche i bez podpisu. Po chwili, jakby sam siebie chciał upewnić, ochrypłym głosem powtórzył jego treść:

— Aleksander Lynkestis i ostatni syn Parmeniona Filotas straceni sądem wojskowym. Samego Parmeniona król kazał zgładzić bez sądu. To bezprawie!

— To haniebnie! — wybuchnął Kassander. — Co uczynimy?

— Nic! — odparł Antypater. Panował już nad sobą, gdy dodał: — Przysięgliśmy wierność królowi.

Zdał się mówić spokojnie, ale nie ukrywał, o czym myśli, gdy ciągnął:

— Aleksander miłuje swą matkę. Jej nie przysięgaliśmy wiary. To jej zemsta na Parmenionie za to, że nie dał się wciągnąć w knowania przeciw Filipowi. Jego ceniom winniśmy jej krew. Pamiętaj o tym, gdyby przyszła pora, a mnie już nie stało.

— Ty chcesz czekać! — gwałtownie wybuchnęła Alkesta. — Na co? By tyran twoją krew wytoczył, jak Parmeniona? Czy sądzisz, że król jest twoim przyjacielem dlatego, że cię w listach pozdrawia? Potrzebował ciebie, widno teraz już nie potrzebuje, skoro zgładził...

Zagryzła wargi wylamując palce. Antypater patrzył na nią ze współczuciem, ale rzekł szorstko:

— Nigdy nie zabiegałem o jego przyjaźń ani nie udawałem jego przyjaciela. Nie mieszaj spraw kraju z naszymi. A o mnie bądź spokojna; gdy wiem, do czego potrafi się posunąć, zdołam się ustrzec. I synów mam.

- Masz jeszcze i mnie — z zawziętością rzuciła Alkesta.

— Tedy miej cierpliwość. Chęć nie starczy za możliwość, a gniew nie dodaje sił.

Położył rękę na głowie córki. Od czasu, gdy wyrosła z dzieciństwa, nigdy twarda jego dłoń nie spoczęła na niej z pieśczęcią. Zdziwiona spojrzała na ojca z rozrzewaniem i niespodzianie wybuchnęła płaczem.

Zgromadzenie oddziałów macedońskich, któremu Aleksander oznajmił o zgładzeniu Parmeniona i przedstawił dowody jego winy, żegnało króla ponurym milczeniem, w którym czuć było nieufność do jego wywodów i urazę z powodu naruszenia obyczajów. Samowolnie kazał stracić zasłużonego wodza dlatego, że był rzecznikiem powrotu do kraju, przeciwstawiał się dalszym zdobywczym zamierzeniom. To była jego wina. Król odcina się od przeszłości, a przyszłość to dalszy krwawy trud bez końca i wiadomego celu.

Sam Aleksander wracał z zebrania również ponuro zamyślony. Słychać było tylko głosy rozkazów, gdy dowódcy formowali swe oddziały, by prowadzić je do obozu.

Hefajstion odezwał się:

— Czy nie lepiej było odesłać Parmeniona do kraju?

— Nie — odparł Aleksander niecierpliwie. Sam mówiłeś, że nasi ludzie widzieli w nim Ksenofonta. Teraz wiedzą, że muszą pozostać. Zresztą Parmenion ciążył mi od dawna. Po straceniu Filotasa nie mogłem mu już ufać.

— Antypater też ci nie zapomni stracenia swego zięcia, Aleksandra Lynkestis.

— Niech pamięta, że zdrady nie przepuścisz nikomu. Teraz skończyć muszę z Bessosem, tak by nikt więcej nie ważył się sięgnąć po tiarę Cyrusa.

— Niełatwo będzie. Bessos ma czas zebrać siły, nasze wojska wyczerpane i uszczuplone, Zima dopiero się zaczęła, a jak mówią, w górach Parapamisos śnieg leży do lata.

— Nie będę czekał do lata. Bramę perską przeszedłem zimą. Klejtos nadejdzie ładą dzień, ściągnę resztę wojsk z Ekbatany, w drodze winni być już najemnicy z Syrii i Lidii, a także zaciężni z azjatyckich satrapii.

— Tych nieprędko będziesz mógł użyć. I wiesz, że nasi nie chcą walczyć w jednym szeregu z wczoraj-

szymi wrogami. Starszyzna też krzywo patrzy, gdy dostojęstwa i urzędy obsadzasz Azjatami.

— Dlatego potrzebny był przykład Parmeniona. Nikomu nie pozwolę przeszkadzać sobie w tym, co zamierzam.

— A co zamierzasz, gdy pokonasz Bessosa?

— Mówią, że Oksos uchodzi do jakiegoś morza. To już zapewne Okeanos. Gdy dotrę do niego, postanowię, co dalej.

— Klejtos też za złe ci poczyta, że kazałeś zgładzić Parmeniona. Przywiązany był do niego.

— Do mnie również. Dlatego poleciłem mu odejść z Ekbatany, zanim kazałem zabić Parmeniona. Teraz Klejtos nagada się do woli i zapomni, zwłaszcza że po Filotasie uczynię go hipparchem jazdy hetajrów.

Hefajstion zamilkł. Aleksander spojrział bystro na niego i dodał:

— Wiem, że ty chciałeś tego dla siebie. Teraz będą dwie hipparchie i będziesz miał równe Klejtosowi stanowisko.

— Dziękuję ci — powiedział Hefajstion. Zasepił się jednak. „Król widocznie nie ufa już najbardziej wypróbowanym przyjaciółom — pomyślał — skoro najwyższą godność w wojsku dzieli między dwóch”.

Klejtos natomiast, który nadciągnął ze swym oddziałem, wynędzniały jeszcze po chorobie i zły, gdy mu Aleksander oznajmił swe postanowienie, nie omieszczał wręcz wygarnąć:

— Jednemu z nas nie ufasz czy obydwóm? Jak Macedonia Macedonią, zawsze była jedna hipparchia jazdy hetajrów. Teraz, gdy ich ubyło, hipparchie mają być dwie. A może poległych zastąpisz barbarzyńcami ?

— Będziesz dowodził taką hipparchia, jaką ci powierzę. A gdybym ci nie ufał, nie powierzyłbym ci żadnej. Wiem, że ty nie będziesz przynajmniej knuł za moimi plecami. Dlatego pozwalam ci gadać.

— Gadałbym, choćbyś mi zabronił. I dlatego powiem ci że gdyby Polidamas przyjechał z twoim

rozkazem, by zgładzić Parmeniona, gdy ja byłem jeszcze w Ekbatanie, toby wrócił, by ci powiedzieć, że polecenia nie wykonał, bo ja to udaremniłem.

— Dlatego wolałem odwołać cię przedtem. Teraz zaś, gdyś powiedział swoje, idź spocząć, bo marnie wyglądasz, a wkrótce czekają nas nowe trudy.

Pochód istotnie odwrócił umysły od ostatnich wypadków. Król, pozostawiwszy dla pośpiechu dwór z jego wschodnim przepychem i ceremoniałem, jakby zrzucił maskę, był znowu takim, do jakiego nawykli: prosty i przystępny, dzielący z żołnierzem jego strawę i noclegi pod namiotem, mimo że kraj był ludny, zaopatrzenie obfite, a przy drodze nie brakło osad. By zabezpieczyć łączność, pozostawił mniej zdolnych do zimowego pochodu przez góry z rozkazem wybudowania warownego miasta (Kandahar), a sam z dziesięcioletnim wyborem wojsk ruszył dalej.

Teraz pochód zaczynał być uciążliwy, kraj bezludny, zaśnieżony gościniec stale wznosił się w górę, a na widnokręgu wyrastało coraz wyżej śniegiem pokryte pasmo górskie. Dotarłszy do Ortospary (Kabul), Aleksander zmuszony był stanąć. Kąśliwe mrozy powodowały liczne odmrożenia, konie marniały bez ciepłych stajni, siedem przełęczy wiodących w dolinę Oksosu, zasypanych pyłem śnieżnym na wysokość kilku sążni, było nie do przebycia, a wciąż jeszcze ze stromych zboczy waliły się lawiny lub czaiły groźnie, gotowe runąć na śmiałka, który by wtargnął w ich dziedzinę.

Tym razem nawet Aleksander nie ważył się rzucić wyzwania przyrodzie. Biała śmierć sprzymierzała się z Bessosem, który pod jej osłoną wycofał się do Zariaspy, pustosząc kraj na kilka dni pochodu. Pewny, że tam Aleksander ścigać go nie będzie, czekał na posiłki indyjskich i scytyjskich sprzymierzeńców i wieści o wynikach powstania w Arei, Partii i Arachozji. Jeżeli rozwinię się pomyślnie, Aleksander znajdzie się w matni.

Macedończyk zdawał się jednak nie myśleć o tym. Przymusową bezczynność wykorzystał wprawdzie, by u stóp górskiego pasma wybudować jeszcze jedną Aleksandrię, ale zwłoka niecierpliwiła go. Gdy tylko południową porą śniegi zaczęły tajać, a nocny mróz skuwał je lodową skorupą zdolną udźwignąć ciężar człowieka, Aleksander nakazał dalszy pochód.

Nawet nawykli do nadludzkich trudów pochód ten wspominali później ze zgrozą. Posuwał się mozolnie przez kilka godzin rannych, póki słońce nie rozmiękczyło lodowego mostu. Gdy skorupa zaczęła trzeszczeć, pochód zatrzymywał się aż do świtu, ale postój bez ognia i ciepłej strawy w przeraźliwie zimne noce na lodowych i śniegowych polach odpoczynkiem nie był. Przemarznięty chleb skończył się po kilku dniach, wędzone mięso po tygodniu. Jedynym pożywieniem stało się surowe mięso dobijanych koni, gdy często łamiąc szreń kaleczyłyęciny i stawały się niezdatne do pochodu.

Najgorsza jednak była przeprawa przez skaliste wąwozy, których ściany pięły się niemal pionowo na kilka tysięcy stóp, a ich ponurej głębi nigdy nie rozjaśniało słońce. Tam pochód kopał się w bezdennym, sypkim jak piasek śniegu, aż do wyrzucia z sił, które podtrzymywała tylko świadomość, że nie ma odwrotu, a pozostać — to śmierć. Mimo to niejeden pozostał, reszta wlokła się na zeszywniałych, nierzadko - podmrażanych, nogach. Gdy z czeluści wąwozów wybrnęli na otwarty stok lub przełęcz, przeraźliwy blask leżącego na zaśnieżonych, zboczach słońca ślepił oczy i szli zataczając się, potykając i padając, bez wiary, że skończy się kiedyś drogą, której każda godzina stawała się męką. Król szedł na czele, zarośnięty, szerniał, zaczerwienionymi oczyma wpatrzony przed siebie. Szli za nim.

Dziesiątego dnia droga wreszcie zaczęła opadać w dół, dźwigane jak nieznośny ciężar ciała jakby zleżały, a znużone śmiertelną bielą oczy koła wychylająca się tu i ówdzie spod śniegu pierwsza zieleń przed-

wiośnia. Wreszcie pod nogami przestał skrzypieć śnieg, zbrocza rozbiegły się. Piętnastego dnia ukazały się pierwsze ludzkie siedziby i wieczorem pochód dotarł do Adraspy (Anderab). Gdyby Bessos spodziewał się, że Aleksander z siedmiu przełęczy wiodących przez górskie pasmo wybierze tę właśnie, która uchodziła za nieprzebytą o tej porze roku, mógł być położyć kres wyprawie Aleksandra bez wysiłku. Żołnierze znalazłszy się pod dachem walili się z nóg i zapadali w sen, z którego zdołał ich obudzić dopiero głód.

Ale o tym Bessos nie wiedział, a wieść o zjawieniu się Aleksandra wywołała popłoch w całym kraju. Gdy sprzymierzeńcy nie nadchodzili, Bessos opuścił Zariaspę i wycofał się za Oksos, przez kilka dni niszcząc i paląc wszelkie tratwy i łodzie. W stepowym kraju brak drewna, ogromna, głęboka i bystra rzeka położy wreszcie kres najazdowi. Z ostrożności pozostawił nad nią oddziały Baktrów, Dahów i Massageatów, by donosili o ruchach Aleksandra. Ich drobne, kudłate, o wielbłądzych pyskach konie odporne były na brak wody i nie znały innej paszy, jak stepowe chwasty i zielska, na której zmarnieć by musiały nie nawykłe do niej konie wojsk Aleksandra. Gdyby jakimś sposobem zdołał zbudować środki przeprawy, dalszy pochód powstrzyma step bezwodny i bezludny.

Sam Bessos stanął w Nautaka, stolicy Sogdiany, ostatniej satrapii Cyrusowego królestwa nie zajętej jeszcze przez najeźdźcę i żywił nadzieję, że w niej przynajmniej zdoła się utrzymać. Gdyby zaś powstanie na tyłach Aleksandra rozwinęło się pomyślnie, Bessos doczekawszy posiłków spodziewał się wygubić jego wojska w małej wojnie, do której szczególnie nadawał się stepowy na zachodzie, a górzysty na wschodzie kraj. Bitne szczepy górskie w swych niedostępnych warowniach umiały bronić swej niezależności, niechętnie, z imienia tylko hołdując perskim królom.

Tymczasem jednak nadejścia posiłków doczekał się Aleksander i ruszył. W Aornos dołączył do niego Erygios przywożąc głową przywódcy powstania Satibarnasesa, którego własną ręką ubił. Na wieść o tym Baktrowie, uważając sprawę Bessosa za straconą, opuścili go, by wrócić do zdanych na łaskę zwycięzcy siedzib swych i rodzin. Szczepowi księżęta zaczęli się wahać. Nie po to uznali Bessosa za swego króla, by rządził w Sogdianie. Nie wierzyli już, by choć tam zdołał się utrzymać. Gdyby Aleksandrowi udało się przebyć Oksos, zbójckie hordy Dahów i Massagetów nie potrafią wstrzymać jego dalszego pochodu. Koczowników, którzy we własnym kraju nie widzieli nigdy najeźdźcy, przywiodła nadzieja łupu; czy wezmą go, czy nie, znikną, jak przybyli.

Natomiast dostojnicy Aleksandra sądzili, że poza Oksos nie pójdzie. Po obu jego brzegach leżał bezkresny step, ożywiony tylko przez roje jaszczurek i włochate, olbrzymie pająki, od których ukąszenia powstawały jęczące się wrzody. Nawet najlepiej w zamiary króla wtajemniczony Hefajstion sądził, że nakaże pochód w dół rzeki, by z jej biegiem dotrzeć do Okeanosa. Na pożółkłym już stepie, jak okiem sięgnąć, nie było ani jednego drzewa, nad rzeczne osady o domkach z suszonej gliny były opuszczone, nigdzie tratwy ni łodzi, o przeprawie w bród przez szeroką i głęboką wodę nie można było marzyć. Gdy jednak król kazał zszywać skórzane płachty namiotowe w olbrzymie worki, ci, którzy z nim wojowali nad Istrem, wiedzieli już, iż postanowił przeprowić się za Oksos. Wypełnione suchą trawą, służyć miały za tratwy. Ale drewna brakowało nawet na wiosła. Gdy Krateros zapytał, czym będą wiosła, Aleksander odparł:

— Sarysami, gdzie sięgną dna, rękami, gdzie nie sięgną.

Z przeciwległego brzegu gromady dzikich wojowników patrzyły na niezrozumiałe przygotowania. Ale

mijał piąty dzień i nic się nie działo. Z zapadnięciem nocy, jak zwykle, zapłonęły ogniska obozu, ale w ciszy i ciemności wysuwał się pochód, przecinając łuk rzeki skręcającej ku zachodowi. Gdy dotarł nad brzeg i pierwszą tratwę spuszczone na wodę, wszedł na nią Aleksander z Hefajstionem. By zapobiec rozproszeniu wojsk, wiązano jedną tratwę do drugiej i długo trwało, nim cały pływający most znalazł się na wodzie. Do ostatniej wsiedli Krateros i Perdikkas, którym król zlecił pilnowanie porządku przeprawy. Ucichł szum fali rozbijanej o brzeg, a gdy znaleźli się na nurcie, usłyszeli ciche bulgotanie. Woda wdzierająca się do wnętrza worka. Krateros szepnął:

— Gdy skóry namokną, przestaną przepuszczać wodę.

— Nasze skóry? Mojry mszczą się na mnie, że chciałem mieć udział w nadziejach Aleksandra. W ranach miałem obfity, a teraz zdaje mi się, że ta rzeka to chyba Acheron i wszyscy razem wylądujemy w królestwie Hadesa.

— Tedy będziesz miał w nim swój udział, bo Aleksander nawet Hadesa nie pozostawi na tronie. Jak jego przodek, pokona Cerbera i może pojmie Persefona, skoro tego żadna ze śmiertelnych niewiast niegodna.

— Nie nęci mnie królestwo cieni — Odparł Perdikkas. — Wolałbym, by Aleksander znalazł swoją Omfalię.

— Albo tych pięćdziesiąt tespijskich dziewic, z którymi tak mężnie rozprawił się Herakles.

— W tym chętnie wziąłbym udział. Ale w tym Aleksander nie naśladuje swego przodka, choć to nie najłatwiejsza z jego prac.

— Gdyby to była praca, zlecilibyśmy ją niewolnikom.

— Herakles był właśnie niewolnikiem Omfalii. I ja bym chętnie nim został.

— Może jeszcze zostaniesz, bo zdaje mi się, że zbliżamy się do brzegu.

Istotnie, przyciszony gwar zwiastował, że wojska łądują. Rzekomy brzeg okazał się wprawdzie łąką ale prawe ramię rzeki była wąskie i płytkie. Jak zwykle, szczęście w porę uśmiechnęło się do Aleksandra, gdyż wiele tratw bliskich już było zatonięcia. Jeszcze w ciemności wojska znalazły się na prawym brzegu i ruszyły, kierując się światłami obozu, półkolem otaczając nieprzyjacielskie oddziały pilnujące przeprawy.

Niedobitki dahijskich jeźdźców, którym udało się dopaść puszczonej na paszę koni, dotarli do Nautaka (Kerszi) z wieścią o klęsce i rzezi oddziałów strzegących przeprawy. Bessos zrozumiał, że Aleksander ścigać go będzie równie zajadle, jak ongiś Dariusza, tylko że w razie pojmania nie może liczyć na wspaniałomyślność. Ocalić się zdoła jedynie uchodząc za Jaksartes w bezkresne stepy scytyjskie.

Wyzbyci jednak nadziei powrotu dostojnicy nie chcieli dzielić z nim wygnania. Woleli za cenę jego głowy utrzymać się w kraju i doczekać pomyślniejszych okoliczności. Aleksander nie może długo bawić na krańcach zdobytego państwa. Zadowolony się schwytaniem Bessosa i odejdzie.

Z podobną nadzieją wyruszyły wojska Aleksandra gościńcem z Nautaka na Marakandę (Samarkanda); Gdzieś musi być kres drogi, której każdy dzień oddala od kraju, a przeredzone szeregi wypełnia obcymi. Po śmierci Filotasa i Parrneniona szemrania przycichły, nikt się nie ważył otwarcie przeciwstawić poczynaniom Aleksandra. Zamilkł nawet Klejtos. Nie ugłaskany nową godnością, jechał na czele jazdy hetajrów najeżony i zły, nie zbliżając się do króla, który wraz z Hefajstionem wyprzedzał pochód, ale wbrew zwyczajowi również milczał. Milczenie przerwał Hefajstion mówiąc:

- Ktoś nadjeżdża od przedniej straży.

Zaraz poznali jej dowódcę, Ptolemaiosa Lagidę w towarzystwie kilku obcych. Dopadłszy, osadził konia.

— Poselstwo od Spitamenesa — oznajmił.

Aleksander skinąwszy na Klejtosa kazał mu zatrzymać pochód i zarządził południowy wypoczynek, a sam zaczął wypytywać posłów. Klejtos wydał rozkazy, po czym zbliżył się do króla i słuchał. Nietrudno było domyślić się, z czym poselstwo przybywa. Spitamenes, dowódca okręgów wojskowych i książęta szczepowi zobowiązują się wskazać miejsce pobytu Bessosa, uznać Aleksandra za króla, jeżeli zatwierdzi ich w godnościach, urzędach i posiadaniu. Trzeba tylko niezwłocznie wysłać znaczniejszy pościg, ponieważ Bessos z wiernymi sobie oddziałami zamierza ująć za Jaksartes. Aleksander odparł:

— Zgadzam się. Niech Spitamenes ze swymi stawi się w Marakandzie. A ty — zwrócił się do Ptolemaiosa — bierz trzy ile jazdy, sześć tysięcy lekkiej piechoty oraz łuczników i pójdiesz z nimi. Gdy pojmasz Bessosa, przyprowadzisz go jak psa: nago i na łańcuchu.

Nie prosząc o głos, Klejtos wtrącił się:

— Ty nam nie ufasz, ale ufasz tym zdrajcom. Jednego bierzesz na łańcuch, a innych czynisz dostojnikami po to, by cię zdradzili jak Arsames, gdy jeno odejdziemy. Niech Bessos umyka, skoro nic tu już nie znaczy jeżeli to zgoła nie jest podstęp. Szkoda naszego trudu by go ściagać.

- Tak postanowiłem — zimno uciął Aleksander - Wszyscy, którzy zdradzili Dariusza, zostaną przykładnie ukarani.

— Kogo za głupców uważasz? Czy nie ty odpowiedziałeś Dariuszowi, że objął tron z naruszeniem najświętszych praw Persów? Bessos uczynił to samo. Taki u nich panuje obyczaj, że kto króla zamorduje zasiada na tronie. Nic nam do tego. To jest nasze prawo — uderzył się po mieczu — tym objąłeś Dariu-

szowy tron. Nie jesteś jego następcą, ale królem Makedonów...

— Milcz! — przerwał Aleksander. — Będzie tak jak postanowiłem.

Gdy Ptolemaios odszedł i pochód ruszył dalej, Hefajstion odezwał się:

— Oto masz Klejtosa zamiast Parmeniona, tylko że tamten milczał, a ten gada. Ale nie wiem, czy niesłusznie przewiduje, że barbarzyńcy poty dochowają wiary, póki żyją w strachu. Niewolnicy z natury swojej podstępni są i zdraclwi.

- Nie ma władzy bez strachu. „Time” oznacza zarówno cześć, jak bojaźń. Dlatego stracę Bessosa tak by pamięć o tym budziła przerażenie.

— Ale stracenie Parmeniona nie wznieciło strachu, tylko niechęć. Pozbyłeś się biegłego i doświadczonego wodza, jakich nie masz do zbytu, a co zyskałeś? Klejtos gada, co inni myślą. Dla Makedonów nigdy nier będziesz niczym więcej niż królem, do jakiego nawykli, choćbyś zdobył cały świat i wszyscy inni pełzali u twych stóp.

— Czy dawno Demostenes mówił, że Makedonowie nie nadają się nawet na porządnych niewolników? Kto sprawił, że nimi nie zostali? Prędko nauczyli się uważać siebie za lepszych niż wszyscy inni. Hellenowie też uważają, że to oni stworzeni są na panów. Babilończycy twierdzą, że im Marduk powierzył władzę nad światem. Nawet Żydzi, którzy nigdy innymi nie władali, a sami z jednej niewoli przechodzili w drugą, są przeświadczeni, że bóstwo wybrało ich jako najlepszy ze wszystkich narodów. Nie wiem, czy jest naród, który by sam siebie za najlepszy nie poczytywał. Wobec mnie wszystkie są równe i ja ze wszystkich zrobię jeden.

— Wyzywasz bogów. To oni stworzyli wiele narodów.

— Nie bogowie stworzyli narody, ale narody bogów. Prawdziwe bóstwo może być tylko jedno. Nie

mieszka na Olimpie i nie przemawia helleńską mową.

— Jeżeli nawet tak jest, to tego nie rozumieją.

— Dlatego bóstwem, które rozumieją, będę dla nich ja. Kto mi się zaś sprzeciwi, tego zniszczę.

— Bierzesz na siebie nadludzkie zadanie. Czy zniszczysz choćby Klejtosa? Przywiązany jesteś do niego, życie ci ocalił. A da się raczej zabić, niż ciebie uzna za bóstwo, siebie zaś za równego tym, którzy ze strachu pełzają przed tobą, a którymi on gardzi.

Gdy Aleksander nie zaprzeczył, Hefajstion ciągnął:

— Z takimi jak Klejtos niczego nie wskórasz strachem, a nie on jeden jest taki. Z Peukestasa, który przybrał perski strój i brata się z Persami i Medamii śmieją się jak z błazna, choć nawykli do tego, że zawsze lubił stroić się jak dziewczka i bawi go wszystko, co nowe. W języku jest obrotny i umie się odgryzać, ale inni, jeżeli lękają się czegoś, to właśnie ośmieszenia. A czy możesz się bez nich obyć?

— Choćbym nie chciał, będę zmuszony. Makedonów nie starczy na wszystko. I nie do wszystkiego są przydatni. Nie tylko stroju i obyczajowi zmienić nie chcą, ale i sposobów wojowania. Muszę zacząć powierzać dowództwo takim, co znają kraje i język, a potrafią wojować w stepie z konnymi łucznikami, przeciw którym falanga i ciężka jazda nic nie działa.

— Czy sądzisz, że zdołasz zmusić naszych ludzi, by słuchali obcych?

— Nieraz brak mi cierpliwości. Buntu nie wybaczę.

— A jednak musisz być cierpliwy. Zmiany, jakie chcesz wprowadzić, wymagają czasu,

— Nic mam czasu. Świat jest większy, niż sądziłem, a zbyt wiele jeszcze przede mną.

— Zbyt wiele... — powtórzył Hefajstion w zamyśleniu. — A przecież nie jesteś nieśmiertelny.

— Wiem o tym.

— Wiesz. Tedy wiesz także, że i od siebie żądasz więcej, niż wydołasz.

— Tego jeszcze nie wiem. Gdy się o tym przekonam, to będzie koniec.

— Nie dziw się, że inni cię nie rozumieją, gdy i ja ciebie nie mogę pojąć, choć, jak mówisz, jedno jesteś. Ongiś chciałeś tylko sławy Achilleś. Zmieniasz się.

— Achilles umiał tylko zabijać, w tym go dawno przewyższyłem. Ale niczego nie dokonał. Nawet nie on zburzył Troję.

— Przewyższyłeś także Agamemnona, dokonałeś tego, czego nie zdążył dokonać Filip. Gdy byliśmy efebami, wzorem dla ciebie był Cyrus. Do krańców jego państwa już niedaleko. Czy i to jeszcze nie twój cel?

— Gdy strzałą utkwii w celu, nigdy już, nie polecisz dalej. Są jeszcze za Jaksartesem Scytowie, są Indie...

— Jest zapewne jeszcze więcej krajów i ludów. Jakież jest twój ostateczny cel?

— Ostateczny cel? Dokonać wszystkiego, na co mnie stać. Poznać samego siebie.

Przez chwilę milczeli. Hefajstion podjął:

— I ty zmęczony jesteś...

— Wszyscy odpoczniemy w Marakandzie — niecierpliwie przerwał Aleksander. — Trzeba ściągnąć konie, uzupełnić sprzęt i zapasy i doczekać Eumenesa z dworem i kancelarią,

— Czy zostawisz przy władzy Stitamenesa?

—.. Przedwcześnie Q tym mówić. Zobaczę, komu tu można zaufać.

Odpowiedź na to, czekała już w Marakandzie, Bramy były otwarte, ale miasto niemal opustoszałe. Nie zjawili się ani Spitamenes, ani żaden z sogdiańskich książąt i dostojników. Podejrzenia Klejtosa zdały się sprawdzać, a wątpliwości, rozstrzygnęły się wkrótce. Wystane w okolice oddziały celem ściągnięcia koni i zaopatrzenia wracały zdziśiatkowane, wszędzie napotkawszy zasadzki i opór

Położenie było groźne, a bezpośrednio niebezpie-

czeństwo zawisło nad ciągnącymi za wojskiem tabo-
rami wiozącymi dwór, kancelarię, urzędy oraz ciężki
sprzęt i kasę wojenną. W wojsku dał się odczuć nie-
pokój, wzniecony przez niedobitków wysłanych pod-
jazdów, na naradzie dowódców podniosły się głosy
by wracać, póki droga odwrotu nie zostanie odcięta.
Aleksander wysłuchał ich, ale widocznie wzbierał
w nim gniew. Umilkli czekając, co powie.

— Od początku wyprawy nigdy nie brakowało ta-
kich, którzy doradzali mi odwrót. Gdybym ich słu-
chał, siedzielibyście dziś w swych drewnianych cha-
łupach i dziękowali bogom za kozi ser i placki z pro-
sa. Komu nie smakują owoce zwycięstw, może wracać.
Nie oparła się nam potęga Dariusza, zdobyliśmy
całe państwo Cyrusa, nie przegraliśmy ani jednej
bitwy, wielkiej czy małej. Trzeba być głupcem, albo
tchórzem, by sądzić, że oprze nam się jedna satrapia.

Gdy inni milczeli, głos zabrał Perdikkas:

— Nie ma tchórzów między nami, a przynajmniej
o mnie wiesz, że tchórzem nie jestem. Nasyciliśmy
się zwycięstwami, a nie tylko ich owocami. Dlatego
nie nęci nas jedno więcej, zwłaszcza, że bywają tanie,
ale nigdy darmo.

— A tylko głupiec płaci za to, czego mu nie trze-
ba— burknął Klejtos.

Aleksander jednak zdał się nie słyszeć, bo odparł
spokojnie:

— Nie zbieram zwycięstw jak Filip ani jak ską-
piec pieniędzy, z którymi nie wie, co począć. I nie
dlatego nauczyłem was zwyciężać, by się sprawiać
do czego mi to potrzebne.

— Nie ty nas, jeno my ciebie, bo umieliśmy to ,
nim zacząłeś wojować — odpalił Klejtos. — I nie po
to, byś nas równał z barbarzyńcami.

Aleksander machnął ręką lekceważąco i zwrócił
się do Kraterosa:

— Ja ruszam z jazdą gościńcem na Kyreschate
bo jeśli poselstwo było podstępem, Ptolemaios może
również wpaść w zasadzkę i trzeba mu przyjść z po-

mocą. To zapewne rozumieją wszyscy. Ty z pieszym wojskiem pośpieszysz za nami.

— Obeszłoby się, gdybyś mnie wówczas posłuchał — wtrącił Klejtos.

Aleksander jednak ciągnął:

— W Marakandzie zostanie Peukolaos z załogą, by chronić dwór i urzędy, które tu sprowadzi Klejtos, a sam z oblężniczym sprzętem ma ciągnąć za nami. Kyreschate trzeba będzie zdobywać, jeśli Bessos lub Spitamenes gotują opór. Gdziekolwiek go zresztą napotkacie, tępić do ostatniego żywego człowieka. Ruszamy!

Aleksander wysforował się daleko naprzód i jechał samotnie. Mówił spokojnie, Hefajstion wiedział jednak, że wzburzony jest. Znając druha domyślał się, co go gryzie. Stracenie Parmeniona nie tylko nie stłumiło oporu przeciw poczynaniom Aleksandra, ale wzbudziło niechęć. Póki niebezpieczeństwo jest groźne, wojska przywykłe wierzyć ślepo, że król sprosta każdemu zadaniu, będą wykonywać rozkazy. Aleksander jednak nie zamierza poprzestać na dotychczasowych podbojach. Prędzej czy później wojska odmówią posłuszeństwa, a na czoło niezadowolonych wysuwa się Klejtos, dotychczas jeden z najbliższych przyjaciół Aleksandra. Może też król niepokoił się o Ptolemaiosa, bo gnał tak, że oddziały nadążały mu z trudem. Upał wzmagał się i konie zaczynały już chrapać, gdy dotarli nad strumień i Aleksander zatrzymał pochód, zarządzając południowy wypoczynek. Hefajstion zbliżył się i obydwaj pożywiali się w milczeniu, które zaczynało ciążyć.

Hefajstion odezwał się:

— Jeśli Ptolemaios nie wpadł w zasadzkę, powinniśmy go spotkać wkrótce.

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, zapytał wprost:

— Chcesz być sam?

— Jestem sam.

— Czy i na mnie jesteś gniewny?

— Na siebie.

Hefajstion nie rozumiał, co druh ma na myśli, ale wiedział, że pytań nie lubi. Aleksander skończył jeść i zaczął pić. Hefajstion rzekł:

— Kritobulos przestrzegał cię, byś nie pił tyle wina. Gardziłeś opilstwem Filipa.

— Nie rozumiałem, że łuk nie może być zawsze napięty.

Hefajstion umilkł i czekał. Wino zawsze rozwiązywało język Aleksandra, który istotnie powtórzył po chwili:

— Jestem sam. Mam tylko przeciwników lub współzawodników. Słusznie mówiłeś, że każdy ma własny cel... na swoją miarę...

— Filotasa usunąłeś, choć sądzę, że to, co wygadywał do Antygony, to były tylko puste przechwałki. Gdyby chciał z tobą współzawodniczyć, nie byłby gadał.

— Toteż inni milczą. Wzrosliśmy razem, teraz nie wiem, co myślą.

— Wolałbyś, by gadali jak Klejtos? I czego w końcu chcesz od siebie?

— Nie potrafię z nim skończyć jak z Parmenionem. To moja słabość, a on wie o niej. Nie może zapomnieć, że ongiś miał prawo pouczać mnie i ganić. Tępy jest i nie rozumie, że ten czas minął. Potkną się w końcu o jego sztywny kark.

— Jest zuchwały i uparty, ale dałby się za ciebie zabić. On nie będzie spiskował ani ukrywał spisku.

— Zachęca do oporu naszych, a zniechęca do współpracy obcych.

— Nie będzie dworakiem ani politykiem. Ale mało masz takich jak on dowódców.

— Dlatego muszę jeszcze znosić jego zuchwalstwo.

Gdy tu skończymy, powierzę mu rządy jakiejś satrapii.

Niech się sam przekona, czy można z całego świata zrobić Macedonię.

Hefajstion pomyślał, że Klejtosa nic nie przekona, ale lepiej, by nie znajdował się pod ręką Aleksandra, który nigdy nie odznaczał się cierpliwością. Mu-

si istotnie żywić słabość do Klejtosa, skoro przy nim potrafi trzymać się na wodzy.

Rozmowa się urwała. Prowadzono do wodopoju konie, gdy na gościńcu ukazało się kilku jezdnych z oddziału akontystów Ptolemaiosa. Nadciągał z pojmanym Bessosem. Aleksander dosiadł konia i skinąwszy na Lidyjczyka Farnuchesa zapytał:

— Jak wasze prawo karze królobójcę?

— Należy mu obciąć nos i uszy i ukrzyżować lub rozerwać końmi.

Aleksander w zamyśleniu skinął głową i ruszył na spotkanie nadciągającego oddziału.

Nie zgasiła oporu ani straszliwa kaźń jego przywódcy, ani bezlitosne rzezie w zdobytych warowniach nad Jaksartesem, którymi Cyrus ubezpieczył granice swego państwa przeciw scytyjskim koczownikom. Nie okazały się jednak żadną osłoną przeciw wprawnym w zdobywaniu miast zastępom macedońskim. Kto zdołał unieść głowę, chronił się w Kyreschate, której potężne mury i wzniesiony na skale zamek zdolne były opierać się macedońskim machinom. Ale zanim uczyniły wyłom, Aleksander na czele kilkudziesięciu ludzi wtargnął do miasta łożyskiem przepływającego przez mur wyschniętego na skutek panujących upałów potoku. Znowu ciężką raną przyplacił zuchwalstwo, ale miasto padło od jednego uderzenia, a załoga zamku w ciągu kilku dni brakiem wody zmuszona została do poddania. Zostawiwszy w mieście piętnaście tysięcy trupów, jeszcze nie wyleczony z rany, król przeprowił się za Jaksartes i w pościgu za uchodzącymi Scytami w słonym i niemal bezwodnym stepie nabawił się ciężkiej choroby jelit. Scytowie prosili o pokój, ofiarując przymierze, granice były uspokojone, straż nad nimi sprawować miała załoga warowni Aleksandria Eschate (Hodżent) nad Jaksartesem, którą na rozkaz króla dzień i noc wznosili oszczędzeni w tym celu niedobitkowie, gdy przysną wia-

domość, że cały zachód kraju ogarnięty jest buntem, a Spitamenes oblega Marakandę. W razie jej zdobycia droga powrotu byłaby odcięta. Aleksander zaś wyczerpany raną i chorobą niezdolny był jeszcze podjąć działań.

Odsiecz dla Marakandy nie cierpiała jednak zwłoki, oblegające ją siły nie były zbyt znaczne i można było spodziewać się, że z chwilą jej nadejścia Spitamenes odstąpi od oblężenia. Istotnie po kilku dniach wiadomiono, że Spitamenes obawiając się zapewne, iż nadciąga sam Aleksander, wycofał się w step, a macedońscy dowódcy oddziałów ścigają go mimo sprzeciwu przełożonego nad nimi Farnuchesa.

Hefajstion, który przyniósł wieść leżącemu jeszcze w łożu Aleksandrowi, dodał:

— Mówiłem ci, że nasi ni Hellenowie nie będą słuchali barbarzyńców.

— A ja mówiłem, że będą słuchać, choćbym nad nimi postawił niewolnika — wybuchnął Aleksander. — Niech tylko powrócą.

Ale z półtoratysiecznego pieszego oddziału Menedmosa wróciło trzystu, z ośmiuset lekkiej jazdy Karanosa — czterdziestu, wynędzniali i niemal wszyscy poranieni, Z połowy ili jazdy hetajrów Andromacha nie wrócił nikt. Gniew Aleksandra nie mógł nawet znaleźć ujścia w ukaraniu nieposłusznych dowódców, bo wszyscy polegli. Co gorsze, z opowiadania niedobitków wynikało jasno, że dowódcy ponoszą winą druzgocącej klęski. Gdy Farnuches zmiarkowawszy, że nie zdoła wymóc posłuchu, zdać usiłował dowództwo, żaden nie chciał go przejąć, każdy działał na własną rękę, a ostateczną klęskę spowodował Karanos, który nie uwiadomiwszy nawet pozostałych, przeprawił się za rzekę w nadziei ocalenia chociaż własnego oddziału. Ale nawet tego nie zdołał, bo konni łucznicy Spitamenesa szli w ślad za nim i nie stając do walki wręcz, pociskami zadawali ustawiczne straty, a przez odejście jazdy pozbawiona wszelkiej osłony piechota w popłochu schroniła się na wyspę, gdzie

niemal do nogi, jak zwierzyna, wystrzelana została z łuków; rozzuchwalony zaś powodzeniem Spitamenes znowu obiegił Marakandę.

Nikt nie śmiał sprzeciwić się Aleksandrowi, gdy ledwo trzymając się na nogach zerwał się i całą siłą ruszył przeciw zbuntowanemu. Gniew króla zmieniał kraj w pustynię. Przestraszony przez nielicznych zbiegów Spitamenes zwinął oblężenie i ścigany dniem i nocą z kilkoma tylko towarzyszami znalazł schronienie dopiero w stepach scytyjskich, gdy reszta jego wojowników tułała się rozproszona, nie wążąc się wracać do swych siedzib, które w powrotnej drodze obracał w perzynę Aleksander, krwią zmywając hańbę pierwszej od chwili rozpoczęcia wyprawy kłęski.

Bunt wszędzie zgasł. W więzach czekał na swój los zdradziecki Arsames i przez Bessosa ustanowiony satrapą Baktirii Barsanes. Podbój Dariuszowego imperium był dokonany, połączenie z zapleczem ponownie otwarte. Dotarłszy do Zariaspy Aleksander sam wreszcie mógł spocząć i pozwolić spoczywać wojsku. Ale przyczyna niepowodzenia wyprawy Farnuchesa istniała nadal, stanowiąc groźbę dla dalszych zamierzeń Aleksandra, a nawet dla utrwalenia dokonanych już zdobyczy. Współpraca macedońskich dostojników z miejscowymi nie układała się. Klejtos nie przychodził na radę, gdy brali w niej udział dostojnicy perscy. Helleńskim poetom i filozofom, którymi otaczał się Aleksander, okazywał otwarcie pogardę i lekceważenie, tak że król przestał go zapraszać na ucztę.

Teraz jednak uznał, że trafia się sposobność pozbycia się bez zgrzytu ciężącego mu człowieka. Ustanowiony satrapą Baktirii i Sogdiany sędziwy Artabazos, nie czując się na siłach utrzymać spokoju w świecie podbitych krajach, prosił o zwolnienie. Urząd po nim Aleksander postanowił powierzyć Klejtosowi. Doświadczony wojownik niezawodnego męstwa potrafił poradzić sobie ze Spitamenesem i Scytami, a choć gwałtowny i szorstki, ale sprawiedliwy i niechciwy

bogactw, nie będzie zdzierstwem drażnił ludności, Aleksander zaś, spokojny o zaplecze, przystąpi do zamierzonej wyprawy na Indie.

Klejtos również rad był z wyznaczonego mu zadania. Godność hipparchy dzielić musiał z Hefajstionem, urząd satrapy sprawować będzie samodzielnie i żyć, jak nawykł, na koniu i pod namiotem. Gotował się do wyruszenia, doglądając i ćwicząc wojska, które miał powieść.

Aleksander jednak mimo wszystko z zalem myślał o rozstaniu się z człowiekiem, z którym zżył się od dzieciństwa. Teraz wspominał, że on pierwszy uczył go walczyć koniem i mieczem, we wszystkich bitwach, które złamały potęgę Dariusza, walczył ramię w ramię z Aleksandrem, bardziej dbał o życie króla niż o własne. Zarówno dla jego zasług, jak i z przywiązania do jego siostry, dawnej swej piastunki, Aleksander pragnął mu okazać przed rozstaniem przychylność.

Zaniepokoił go złowróźbny sen: na kamiennej ławie siedzieli tutej zmarli synowie Parmeniona, a przy nich jeszcze ktoś, w czarnym chitonie, z opuszczoną głową. Wszyscy broczyli krwią, która rozlała się u ich stóp w kałużę. Aleksandrowi zdało się, że to Parmenion zjawił się, aby wypomnieć mu ztratę swego rodu. Chciał się obudzić, ale nie mógł. Zbudził go własny krzyk, gdy siedzący obok Filotasa podniósł głowę i spojrzali na króla szkliste oczy Klejtosa. Mimo że noc była późna, Aleksander kazał natychmiast przywołać Aristandrosa. Gdy wieszczowi opowiedział swój sen, starzec zasępił się i zlecił złożenie ofiar bogom dla odwrócenia od Klejtosa śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Klejtos natomiast nie przeczuwał niczego, choć dziwne zdarzenie winno było przestrzec i jego: gdy wieczorem, uwieńczony, przystąpić zamierzał do złożenia bogom ofiary za pomyślność swej wyprawy, nadszedł posłaniec od króla z zaproszeniem na ucztę. Klejtos również chciał przed rozstaniem okazać swe

przywiązanie Aleksandrowi. Poniechawszy ofiary, jak stał, ruszył do zamku. Ze zdziwieniem spostrzegł, że trzy jagnięta ofiarne biegną za nim. Odganiając je powiedział:

— Głupie! Same się pchacie do rzeźnika. Gdy wszedł do megaronu, biesiada już się rozpoczęła. Zmarszczył się; jako najwyższemu godnością z biesiadników należało mu się miejsce obok króla, obydwa jednak zajęte były przez dworaków, Ksenodocha z Kardii i Artemiosa z Kolofonu, z którymi Aleksander wiódł ożywioną rozmowę. Ujrzawszy Klejtosa powiedział:

— Jest wolna kline koło Ksenodocha.

— Nie przyszedłem tu dla niego — odparł szorstko Klejtos, i ułożył się obok starych towarzyszy, którzy równie jawnie stronili od perskich i helleńskich współbiesiadników. Aleksander wzruszył ramionami i powrócił do przerwanej rozmowy, a Telefos wskazując na wieniec, który Klejtos zapomniał zdjąć z głowy, zapytał drwiąco:

— Czy zamierzasz na pożegnanie oddać cześć boską Aleksandrowi?

Klejtos ze złością zerwał wieniec, cisnął go na ziemię i wziął się do picia. Inni też gęsto zapijali roznoszone potrawy, uwaga odwróciła się od zajścia. We wyrastającym gwarze wybijał się niski głos Aleksandra. Mimo że wedle macedońskiego obyczaju dzień poświęcony był Dionizosowi, nie złożył mu ofiary a teraz wyjaśniał, że postanowił tego poniechać, ponieważ Dionizos jest bogiem tebańskim, natomiast czcić zamierza herosów Kastora i Polideukesa. Pochlebcy gorliwie przyznawali królowi słusność, jedynie Artemios, by ich jeszcze przewyższyć, rzekł:

— Gdyby Dioskurowie żyli, oni powinni składać ofiary Aleksandrowi. Czymże bowiem są ich czyny wobec jego czynów?

Poeta Pierion natychmiast podchwycił pochlebstwo, mówiąc:

- To zawiść jest przyczyną, że herosom za życia

nie oddaje się czci boskiej, nawet gdy jak Aleksander przewyższą czynami powszechnie czczonego Heraklesa.

— Ciebie dlatego jeno nie czczą jak Homera, żeś jeszcze żyw — ze złością wtrącił Klejtos. — Ale możesz rychło doczekać się końca, gdy będziesz drwił z herosów, by pochlebić królowi, którego czyny nie są nawet tak wielkie jak czyny Filipa, i nie jemu przypada wyłącznie ich chwała. Lepszy od ciebie poeta mówi...

Klejtos wstał i na cały głos zaczął:

*Żołnierze zdobywają zwycięskie trofeje,
Tak, oni chwalebne dokonują czynu,
A przecież wódz jedynie zgarnia liść wawrzynu!
On, który jedynym był pośród tysięcy
I nigdy od jednego nie dokonał więcej,
Zagarnia sławę wszystkich.*

Aleksander milczał, ale widocznie wzbierał w nim gniew, który usiłował opanować, przybierając pogardliwy wyraz twarzy. Widział, że Klejtos jest już pijany, a nie mogąc sprostac słowem złośliwemu dowcipowi helleńskich pieczeniarzy, gotów porwać się do rękoczynów. Pierion jednak rozmyślnie chciał podrażnić Klejtosa i odciął się:

— Cóż tak wielkiego dokonał Filip? Największym tytułem do jego sławy jest to, że uchodzi za ojca Aleksandra.

Jak smagnięty, Klejtos poderwał się, ale Ptolemaios przytrzymał go, a Pierion, patrząc drwiąco na rozwścieczonego, ciągnął:

— A jakich to bohaterów chcesz obdarzyć sławą należną królowi, to ja ci zaśpiewam, skoro tak lubisz poezje. Tego jeszcze nie znasz.

Ujął cytrę i jął śpiewać piosenkę wykpiwającą poległych w zakończonej klęską walce ze Spitamene-

sem, budząc śmiech helleńskich biesiadników, który zagłuszyła wrzawa. Teraz i inni Macedończycy ujęli się za poległymi towarzyszami.

Klejtos warknął:

— Ty hieno gorsza od psa, bo jeno martwych szarpać potrafisz! Gdyby Filip żył, jemu byś lizał stopy albo tyłek.

Aleksander zmarszczył brwi. Klasnąwszy w dłonie uciszył nieco gwar i rzekł drwiąco do Klejtosa:

— Siebie widocznie chcesz bronić, skoro bronisz tchórzów.

I w nim wzbierała wściekłość, ale jeszcze ją hamował pogardliwym pozorem. Klejtos natomiast nie liczył się już z niczym i wrzasnął:

— Ja tchórzem!! Żeby nie ta ręka — podniósł kościstą pięść — nie byłbyś tutaj, by wypierać się swego ojca, którego nie dorosłeś, i zwać się synem Ammona. Szczęśliwy Parmenion i ci, co legli, nie doczekawszy tego, gdy Makedonowie chłostani będą medyjskimi różgami, a Persów będą musieli prosić o dostęp do swego króla.

Trzeźwiejsi towarzysze jęli uspokajać Klejtosa, lekając się o niego. Gniew Aleksandra był straszny, a widzieli, że ledwo trzyma go na wodzy. Niektórzy próbowali wyprowadzić Klejtosa, ale on szarpał się roztrzając ich. Gorycz, jaka w nim wzbierała od śmierci Parmeniona, teraz zerwała tamę. Wrzeszczał:

— To jest nagroda za nasze trudy i krew, gdy patrzeć musimy, że zachowujesz się jak Pers, otaczasz się Persami, ośmieszasz się nosząc ich szaty, a od nas czekasz, byśmy przed tobą pełzali jak psy. To nie Makedonowie ciebie zdradzili, jeno ty ich.

Dowódca straży, Arystofanes, sam jeden trzeźwy wśród rozognionych Winem i kłótnią, nieznacznie usunął sztylet, z którym król nie rozstawał się nigdy. Obawiał się, że jeśli Klejtos nie wyjdzie zaraz, gotów życiem przypłacić zuchwalstwo. Aleksander jednak jeszcze panował nad sobą. Powiedział nieswoim głosem:

— Wy, Hellenowie, musicie się czuć wśród kłótlivego makedońskiego motłochu jak półbogowie wśród zwierząt.

Zwracając się zaś do Klejtosa, dodał:

— Uważaj, bo to, co mówisz, graniczy ze zdradą i zasługuje na karę.

Klejtosowi czarne kudły opadły na przekrwione oczy, które — jak rozjuszony byk — wpił w Aleksandra.

— Karę! — krzyczał. — Już jestem ukarany, gdy muszę patrzeć na to, co czynisz. Siedz sobie z barbarzyńcami i niewolnikami, którzy całują kraj twojej szaty i modlą się do twego medyjskiego pasa. Ale nie prosz do stołu wolnych ludzi, skoro nie podoba ci się, co mówią, bo lękasz się usłyszeć więcej prawdy niż od wyroczni w Sziwie.

Aleksandrowi mięśnie grały na twarzy od hamowanego gniewu, ale wolał kpinią zbyć zuchwalstwo. Sięgnął do kosza z jabłkami i biorąc owoc zawołał:

— Lubisz jabłka, masz tu jedno i zatkał nim sobie gębę.

Celnym i silnym rzutem cisnął je, dojrzały owoc rozprysnął się na czole. Klejtosa, sok i miazga zalały mu oczy. Przetarł je ramieniem i pochyliwszy głowę zeskoczył z kline, jakby zamierzał rzucić się na króla. Towarzysze jednak schwytali go i szarpiącego się wlekli ku drzwiom. Aleksander odruchowo sięgnął po sztylet i nagle wstało w nim podejrzenie. Brotti nie było, to, co dotychczas uważał za zuchwalstwo pijanego a spoufalonego człowieka, teraz zdało mu się rozmyślnie wywołanym zajściem, by w zamieszanu zgładzić króla. Już nie starał się panować nad gniewem i w macedońskim narzeczu, którego dawno nie używał, krzyknął:

— Zdrada! Straż do mnie! Pomścijcie swego króla!

Hypaspiści ze straży patrzyli jednak, na swego dowódcę, który widząc, że Ptolemaios Lagida z pomocą, towarzyszy wywłócił rzucającego się Klejtosa, powstrzymał ich ruchem ręki. W gniewie Aleksander

był nieobliczalny, gdyby: w powszechnym podnieceniu ktokolwiek użył broni, zacznie się ogólna bijatyka. Sądził, że gdy zniknął sprawca zamętu, król uspokoi się. Aleksandrowi jednak nieposłuszeństwo zdało się buntem i wrzasnął na trębacza:

— Graj na trwozę!

Gdy trębacz zawahał się, patrząc na dowódcę, król straszliwym uderzeniem pięści w twarz zwałił go na ziemię i skoczywszy do strażnika chciał wyrwać mu włócznię. Ale trzeźwiejsi z biesiadników przytrzymali go i szamoczącego się ułożyli z powrotem na kline. Wyczerpany, z wściekłości przeszedł w rozżalenie: nyc mu nie pozostało prócz imienia króla, nie słucha go nikt, jak Dariusza uwięzili go własni ludzie. A wszystkiemu winien Klejtos, ten Klejtos, który mu wszystko zawdzięcza.

— Wszyscy precz, chcę być sam, skoro nie ma nikogo; kto by się za mną ujął!

Zbierali się do wyjścia, sądząc, że na tym skończyło się zajście, gdy nagle z przeciwległych drzwi rozległ się głos:

— Wołasz; Klejtosa? Tu jest Klejtos.

Wyprowadzony przez Ptolemaiosa za bramę zamku, z pijackim uporem powrócił i patrząc wyzywająco na króla znowu zaczął skandować Eurypidesówę przemówienie Peleusa:

*Oimoi. Kat Hellad hos kakos aomidzetai
Hotan tropaia polemion stese stratos ...*

Nie zdołał dokończyć. Aleksander skoczył do strażnika i wyrwawszy mu włócznię, z niezmierną siłą puścił ją w zuchwalca, tak że grot, przebiwszy pierś, wyszedł pod łopatką. W osłupiałej ciszy głucho

¹ *Oimoi! iKat'Hellad'hos...* (gr.> —,Biada! Jakież to jest zły obyczaj w Helladzie. Choć żołnierze stawiają pomniki zwycięstwa... (Eurypides *Andromache*)

grzmotnęło ciało o kamienną posadzkę, a potem przerwał ją przeraźliwy krzyk. Aleksandra:

— Klejtos! Klejtos!

Skoczył do leżącego i wyszarpnąwszy włócznię oparł drzewce o ścianę, a grot przyłożywszy do piersi, chciał się rzucić na nią. Lizymach przytrzymał go jednak, a Leonnatos zdążył mu ją wyrwać z ręki. Aleksander zaś runął na zwłoki i chwyciwszy się za głowę, jął tuc nią o posadzkę, rwąc włosy i paznokciami rozdrapując twarz. Gdy Ptolemaios usiłował go dźwignąć, podniósł przekrwione i łzami zalane oczy i powiedział z wysiłkiem:

— Precz stąd! Morduję swoich przyjaciół, ,

Nikt nie ważył się nawet zająrzeć do sali, gdzie nad zwłokami Klejtosa pozostał Aleksander; zdało się że oszalał w nieopanowanym żalu. Hetajrowie stali pod drzwiami nasłuchując, jak jęczy, wołając Klejtosa błaga Lanikę o wybaczenie krwi jej poległych synów i zamordowanego brata. Zrazu sądzili, że Aleksander znużony uspokoi się, zaśnie i będzie można usunąć trupa, którego widok nie pozwala mu zapomnieć o popełnionym czynie. Ale noc już była późna, a niepokojące odgłosy nie ustawały; chwilami Aleksander wdychał ciężko, potem znowu klnąc samego, siebie tłukł głową o kamieraaą posadzkę.

Tymczasem wieść o wypadkach rozeszła się po mieście i obozie, rozprzęgło się wszystko; jawnie okazało się, ile przeciwnieństw król trzyma na wodzy. Wśród ludności było poruszenie, w wojsku, o które nikt się teraz nie troszczył, zaczynały się kłótnie, a nawet bijatyki. Klejtos lubiany był, starzy towarzysze broni nie wiedząc, co zawinił, szemrali snując domysły i plotki. Perscy i medyjscy dostojnicy milczeli, wyraźnie stroniąc od Macedończyków; wystąpienie Klejtosa pogłębiło jeszcze rozdźwięk, a pogardliwe odezwanie się króla rozdmuchało tłącą się od dawna niechęć Macedończyków do helleńskich dworzan i urzędników.

Strategowie z otoczenia Aleksandra zdawali so-

bie sprawę z niebezpiecznego położenia. Bunt dopiero stłumiony wybuchnie na nowo, a nie będzie komu go ugasić. Niemal połowa zgromadzonych wojsk 40 obcy, przywódców znajdują w perskich dostojnikach, nie siłę stanowili, lecz groźbę. Jeśli król zaraz nie ujmie spraw w ręce, zawali się wszystko, nawet nadzieja na powrót do kraju. Nikt nie spał tej nocy, choć nad ranem zaczynało przemagać znużenie. Rankiem ten i ów odchodził, by spocząć, ale niepokój nie pozwalał usnąć. Wracali pod drzwi szepcząc między sobą; czasem, gdy odgłosy w sali przycichły, próbowali wołać króla, ale zdał się nie słyszeć. Po chwili znowu jęczał i krzyczał i tak wlokł się dzień, zapadła noc i nic się nie zmieniło poza tym, że wzrastał niepokój i zamęt.

Rankiem drugiego dnia Krateros rozpędził gromadzących się pod pałacem hegemonów rozkazując, by zatroszczyli się o swe oddziały, ale nie było sposobu, by doprowadzić je do ładu. Część uradzała pod pałacem, reszta włóczyła się po mieście, zachodziła obawa, że zaczną rabować i byle burda zamienić się może w ogólną walkę. Krateros rozesłał hypaspistów ze straży przybocznej, by zapędzili włóczęgów do obozu, a w razie oporu na miejscu śmiercią karali nieposłusznych. Sam jednak nie wiedział, co począć z tymi, którzy tkwiąc pod pałacem wołali króla i domagali się, by ich do niego dopuścić. Plotka, jakoby sam sobie życie odebrał, już obleciała miasto, chcieli na własne oczy stwierdzić, czy strategowie ich nie zwodzą, że król żyje. Krateros z trudem zdołał ich przekonać, że tylko zasłabł, obiecując nazajutrz dopuścić do niego wysłanników. Ale nie zanośli się na zmianę i pod wieczór sam próbował wejść, by przedstawić królowi groźbę położenia, cofnął się jednak pod spojrzeniem przekrwionych oczu Aleksandra, po czym wrócił do zgromadzonych.

— Nie możemy czekać, na czym się to skończy.

Jeden z nas musi objąć władzę — powiedział,

— Myślisz o sobie — odparł Perdikkas.-

— Ani ja, ani ty — że złością rzucił Krateros. — Hefajstion jest najwyższy godnością i królowi najbliższy.

— Ale nie nam — mruknął ktoś, a Peukestas wtrącił:

— Nie ma go, buduje miasta, nim przybędzie, może być za późno. A za wcześniej, by spierać się o spadek po Aleksandrze. Muszę wam też powiedzieć, że Persowie nikogo z nas nie uznają za następcę Aleksandra.

— Nawet ciebie, choć nosisz portki jak oni? — zadrwił Perdikkas, a Peukestas odgryzł się:

— Mogę ci portek pożyczyć, jeśli sądzisz, że tylko tego ci brak, by zostać królem perskim. Gołym tyłkiem nieprzyjemnie siedzieć na złotym tronie.

— Przestańcie błaznować — fuknął Krateros. — Trzeba rady, i to prędko. Moim zdaniem uwięzić należy perskich dostojników i rozbroić obce wojska.

— Sądzę, że oni uradzili to samo, tylko są rozsądniejsi i wolą poczekać, aż się sprawa króla wyjaśni. Bo gdybyśmy to zrobili, a on odzyskał zmysły, to SAMI możecie odgadnąć, jak nam podziękuje.

— Boisz się?

- A ty nie? Czemużes się tak prędko cofnął? Dlatego, że król powiedział, iż morduje swoich przyjaciół? Tyś mu przecie po Hefajstionie najbliższy.

— Zawidzisz mi?

— Póki jest czego. Ale mówimy właśnie tak, jakby go już nie było.

— Skończcie te spory — ze złością powiedział Lisymachos. — Długo Aleksander bez snu, jadła i napoju nie wytrzyma. Gdy osłabnie, będzie można wejść i wtedy postanowimy, co robić. Jest tylko człowiekiem.

— To nie znasz go. Trzy dni i noce potrafił gnać na koniu i jeszcze zdatny był do walki. Nie wierzysz, to spróbuj wejść. Kto go wie, czym jest.

— Ja radzę — wtrącił Ptolemaios — zwołać sąd wojska nad Klejtosem. Jeśli uda się przekonać je, że

Klejtos winien był buntu, to możemy Aleksandrowi przedstawić, że tylko druhowi gorszej śmierci oszczędził.

Wnopsek zdał się rozsądny, po takim wyroku przy-cichnie szemranie stronników zabitego, a król sam przed sobą może będzie się czuł usprawiedliwiony, Niemniej wniosek uchwalono niechętnie. To, co Klejtos mówił, myśleli niemal wszyscy, a pośmiertne od-dawanie pod sąd lubianego towarzysza budziło za-wstydzienie. W zwołanym nazajutrz zgromadzeniu wojsk przedstawiona przez Kraterosa sprawa też nie obudziła zapału.

Obawiając się skutku przeciwnego niż zamierzony, Krateros zakończył:

— Jeżeli nie uznacie Klejtosa za winnego buntu, to król stanie się winnym naruszenia przysługującego nam prawa sądu nad wolnymi. Z trudem udało się powstrzymać go, by na sobie ręki nie położył, choć Klejtos sam winien temu, co go spotkało. Ale on nie żyje, nikt go nie wskrzesi, a jeśli myślicie tak, jak on mówił, to pomyślcie też o swych rannych i chorych towarzyszach i chłopcach królewskich, którzy pozostali w Zariaspie. Spitamenes znowu ciągnie na nią, wyrznąwszy naszą placówkę. Grozi im ten sam los, co wymordowanym w Issos, tylko pomścić ich nie będzie komu. A kogo i to nie przekona, niech się zastanowi, co się z nim samym stanie, gdy niezmiernie przestrzenie, jakie dzielą nas od kraju, ogarnie powszechny bunt, Tedy głosujcie: kto uznaje winę Klejtosa?

Z niepokojem słuchał pomruków. Wreszcie podniosła się jedna ręka, za nią druga, coraz więcej, aż sterczał ich cały las. Odetchnął i rzekł:

- Wyrok wasz zaniosę królowi. Nikomu nie wolno wydalać się z obozu. Hegemonowie dopilnują, by wszystko było gotowe do pochodu.

Krateros z wahaniem wszedł do króla, by oznajmić mu wyrok. Aleksander klęczał w kałuży zaschłej już i szerniałej krwi, której ślady miał na twarzy

i na rękach. Słuchał zrazu, jakby nie rozumiał. Mdły zaduch zwłok, których rozkład już się zaczynał, zmieszany z wonią psujących się resztek potraw i porozlewanego wina, ledwo pozwalał oddychać.

Nagle oczy Aleksandra zaświeciły gniewem i ochryplym głosem krzyknął:

— Precz! Kto chce tego najwaleczniejszego pozbawić czci, sam bez czci jest.

Krateros wycofał się szybko i bezradnie patrzył na towarzyszy. Po chwili powiedział:

— Słyszeliście. Co mam począć?

— Posłać do niego tych helleńskich darmozjadów — powiedział Koinos. — Jeśli się to źle skończy, ich głowy niewarte obola ... Niech próbują je ocalić.

— Niech idzie do króla Aristandros. On przepowiedział to, co się stało, i twierdzi, że to zemsta Dionizosa za zburzenie Teb. A na dobitkę Aleksander odmówił bogu czci i ofiary.

— Szkoda byłoby Aristandrosa — odparł z wahaniem Koinos. — Niech idzie ten bezczelny grecki poeta, który był przyczyną tego, co się stało.

— Tego też szkoda — powiedział Peukestas, a widząc zdziwione spojrzenia towarzyszy, dodał: — Jeśli się sprawy uładzą, my się zabawimy jego kosztem. Niech do króla idzie Kallistenes. On pisze historię czynów Aleksandra i chętni się, że sława Aleksandra od niego zależy. Niech mu przyrzeknie, że to, co król zrobił, przedstawi jako czyn bohaterski; zagniewany Dzeus gromem zabija bluźniercę. Aleksander lubi pochlebstwa.

Nie czekając odszedł i po chwili sprowadził filozofa, który wszedł do sali pewnym krokiem. Podsluchujący pod drzwiami Peukestas rzekł:

— Kallistenes niewiele skorzystał z Gorgiasa. Nie umie przekonywać o tym, o czym sam nie jest przekonany.

— Mówi do króla jak do swych chłopców królewskich — odezwał się filozof Anaksarchoty który nie wzywany nadszedł i wraz z Peukestasem podsluchi-

wał. — To Aleksander słyszał już od swojego mistrza, gdy sam był chłopcem.

Kallistenes raczej wybiegł niż wyszedł. Anaksarchos powiedział:

— Z królami trzeba umieć mówić.

— Jak ty z Nikokreonem — ze złością rzucił Kallistenes. — Z tamtego mogłeś drwić pod osłoną Aleksandra. Ale spróbuj zadrwić z niego samego.

— Spróbuję — odparł Anaksarchos i obrzucając obecnych lekceważącym spojrzeniem dodał: — Wam wszystkim zda się, że największą sztuką jest zabijać. Lękacie się śmieszności. W tym tkwi przyczyna tego, co się stało, bo nie umiecie się odgryźć, chyba jak ów żydowski heros, oślą szczęką. A teraz śmieszni jesteście stojąc tu jak gromada bezradnych wyrostków i czekając, by przyszedł ktoś mądrzejszy, kto wybawi was z kłopotu.

— Idź no już i pokaż, na co cię stać prócz samochwalstwa — powiedział ze złością Krateros.

Anaksarchos wszedł i zebrani ze zdumieniem słuchali, jak zaśmiał się, a potem doszły ich słowa:

— Szkoda, że nie przyniosłem zwierciadła. Gdybyś ujrzał sam siebie, zrozumiałbyś, że robisz z siebie głupca. Jeśli nawet postanowiłeś zamorzyć się, nie musisz przy tym być brudny i śmierdzieć. Jeśli jednak chcesz, by twoja wola była prawem dla wszystkich, nie możesz sam potępiać tego, co czynisz. I Dzeusowi po to dano Temidę i Dike, by za sprawiedliwe uchodziło wszystko, co on postanowi lub zdziała, Zawolałem kąpielowego, by cię ogolił i umył, bo ośmieszylbyś się pokazując takim, jak jesteś. To jest ten Aleksander, na którego świat cały patrzy? Czy po to zwyciężałeś, by zaprzepaścić wszystko, płacząc tu jak niewolnik z obawy przed ludzkimi sądami?

Z napięciem czekali, co nastąpi. Aleksander jednak nie odezwał się. Anaksarchos wyszedł i powiedział:

— Umyć króla i sprzątnąć trupa. O reszcie troszczcie się sami.

Wbrew wyrokowi, Aleksander nakazał pogrzebać Klejtosa jak poległego w boju i złożył błagalne ofiary Dionizosowi. Uroczystości jednak przerwane zostały wieścią o walkach pod Zariaspą. Szczupła załoga wraz z kilkudziesięcioma ozdrowieńcami i chłopcami niespodzianie zaskoczyła rabujących pod miastem Scytów, zadając im znaczną klęskę, ale w pościgu wpadła na Spitamenesa z główną siłą i wycięta została niemal w pień. Krateros z lekką jazdą pognał na odsiecz, Aleksander zaś, zostawiwszy Koinosa dla utrzymania w Sogdianie spokoju, sam ruszył do Ksenippa,, gdzie schroniło się wielu buntowników, i bezlitosną rzezią zgasił ognisko buntu. Spitamenes, wyparty przez Kraterosa na pustynię, raz jeszcze usiłował wtargnąć do Sogdiany, ale dopadł go Koinos i po ciężkiej walce zmusił do odwrotu. Cios był śmiertelny, reszta stronników Spitamenesa, widząc beznadziejność oporu, zdała się na łaskę Aleksandra, zawiedzeni Scytowie i Massageci wysłali do niego poselstwo ofiarując pokój i przymierze, w zakład przesyłając głowę Spitamenesa.

Jesienne słońce przestało się odbijać, w kałużach krwi i oświetlać dymy pożarów, wojska, dwór i urzędy ścigały do Nautaka, gdzie Aleksander wyznaczył leże zimowe. Z wiosną zamierzał wyruszyć na Indie i zażądał z kraju uzupełnienia przerzedzonych wojsk. Ale spodziewać się ich mógł nie wcześniej niż za rok, Jasne było, że główną siłą stanowiąc będzie zaciąg z podbitych satrapii. Ściągnięcie i wyćwiczenie nowych zaciężników zaprzętały wszystkich. Armia, dwór i urzędy zmieniły oblicze.

Od wyruszenia z Marakandy zdać się mogło, że przeciwieństwa przygaszone zostały wspólnym niebezpieczeństwem. Ujawniona po śmierci Klejtosa zależność wszystkich od króla zmusi hardy żywioł macedoński do pogodzenia się z nowym porządkiem, a los Klejtosa stanowiąc powinien przestrożę przed nadużywaniem cierpliwości Aleksandra.

Gdy po pierwszym okresie krzątaniny i rozjazdów

osiadł w Nautaka i na wzór perski organizował dwór i urzędy, Hefajstion, który pod nieobecność Aleksandra zlecone miał wyćwiczenie nowych zaciężników, zdając sprawę ze swych czynności nadmienił:

— Może z barbarzyńców uczynisz żołnierzy nie gorszych niż nasi. Trudniej będzie o dowódców. Przybywa niedoświadczonych wojsk, a ubywa doświadczonych strategów.

Nie potrzebował wymieniać imion, Aleksander rozumiał, kogo ma na myśli. Odparł szorstko:

— Nie tylko Makedonowie potrafią dowodzić.

— Ale klęska Farnuchesa świadczy, że nasi nie chcą podlegać obcym. Gardzą nimi dlatego, że jak niewolnicy padają przed tobą na twarz.

— Wszyscy będą padali na twarz przede mną.

— Nie wiem, czy to potrafisz wymóc. Nie radzę teraz wprowadzać tego obyczaju. Trzeba to przygotować i wyczekać sposobności,

— Trzeba to uczynić, zanim wyruszę do Indii. Persów drażni nierówność, Makedonowie muszą się z tym pogodzić.

— Ale nie możesz się ich pozbyć i wiedzą o tym.

— Jeszcze nie.

Hefajstion powiedział jak do siebie:

— Zostaniemy samotni.

— Pomnisz naszą wyprawę na Olimp? Nie było tam nikogo. Najchętniej byłbym na nim pozostał.

— Nawet beze mnie?

- Nawet bez ciebie. Choć wolałbym z tobą. Zrozumiałbyś, co to jest cały świat mięć u swoich stóp. Nawet chmury. Nie ma bogów, sam jesteś jak bóg. Jeśli jest jakiś inny, to gdzieś, gdzie nie sięga nawet ludzka myśl. Dlatego zeszedłem, na ziemi ja będę bogiem, czy jestem synem Dzeusa, czy nie.

— Napotkasz opór nie tylko u naszych, ale i w Helladzie.

—Z tym się łatwo uporam — powiedział Aleksander lekceważąco — ale chyba się mylisz. Tam nie będzie to niczym nowym.. Czy sofiści nie ucząją, że

bogowie to w rzeczywistości bohaterowie i prawodawcy z zapomnianych czasów? A nawet czy takim, o których wiemy, że byli tylko ludźmi, nie wznoszono w Helladzie świątyń i ołtarzy? Czy nie ma ich Lisandros i Agesilaos, zwany Wielkim? Gdy jestem bogiem dla Egipcjan i Chaldeczyków, mogę być nim dla wszystkich.

— Dla wszystkich, ale nie dla Makedonów.

Hefajstion urwał, ale dorzucił z wahaniem:

— Pamiętasz, co mówił Filotas i Klejtos?

— Dlatego nie żyją — uciał gniewnie Aleksander. — Ale masz słuszność, że to wymaga przygotowania. Teraz nadarza się sposobność, by Makedonowie zżyli się z innymi i nawykli do nowego obyczaju. Wieczory długie, możemy znów zacząć biesiadować.

Od śmierci Klejtosa urwały się tłumne uczty, zresztą walki, a potem liczne zajęcia nie pozwalały na to. Hefajstion pomyślał jednak, że znowu zacznie się nadużywanie wina, które raz już było przyczyną nieszczęścia. Od tej chwili nikt wprawdzie nie wspomniał o Klejtosie, ale jeśli Aleksander sądzi, że sprawa poszła już w zapomnienie, to myli się. Z niepokojem też szedł Hefajstion na ucztę, na którą jak poprzednio Aleksander wezwać kazał zarówno macedońskich, jak perskich dowódców i dworzan.

Nastrój zrazu był sztywny i zwarzony. Kallistenes nie przyszedł. Nie tań, że mierzą go obyczaje macedońskich dostojników, a ich lekceważenie drażni jego pychę. Aleksander jednak zdał się tego nie dostrzegać. Rozmawiał z Eumenesem, na którego barkach spoczywała odpowiedzialność za organizację, łączność i zarząd zdobytych obszarów. Król wyraźnie wysuwał go na pierwsze miejsce wśród swych dostojników, widząc w nim człowieka, który wykazywał zrozumienie jego celów; nie zważał, że budzi tym zazdrość nawet Hefajstiona, jakby rozmyślnie chciał podkreślić, że nie wojenne umiejętności ceni najwyżej. Gdy jednak skończono roznosić potrawy i zaczęły krą-

żyć puchary, Eumenes odszedł tłumacząc się nadmiarem zajęć, a do króla przysiadł się Anaksarchos.

Aleksander skinął na Ptolemaiosa z widocznym zamiarem wciągnięcia go do rozmowy. Ptolemaios był najbardziej wykształcony spośród hetajrów, wiadomo było, że pisze historię wyprawy. Gdy Anaksarchos porównał go z Tukidydesem, podnosząc zalety dzieła o wojnie peloponeskiej, Ptolemaios rzekł lekceważąco:

— Wielkie dzieło o małej wojnie. Walka myszy, jak ją król zowie, po których zostały tylko ogony.

Anaksarchos nie pozostał dłużny:

— Byłbym cię porównał z Herodotem — powiedział uszczypliwie — którego dzieło i rozmiarami, i przedmiotem znacznie przekracza *Wojnę peloponeską*, gdyby nie to, że Arystoteles zowie Herodota bajarzem.

— Mam wielki szacunek dla swego mistrza — odparł Ptolemaios — ale zarówno król, jak i ja nie zawsze się z nim zgadzamy. Herodot wprowadzie istotnie powtarza wiele rzeczy, które niewątpliwie są bajkami, ale zawsze zaznacza przy tym, że opiera się na cudzych wiadomościach, zostawiając je do rozważenia. Tam gdzie mówi o własnych spostrzeżeniach można mu zaufać. Tukidydes natomiast nieraz cytuje przemówienia, rzekomo cudze, których niewątpliwie sam jest autorem, bo słyszeć ich nie mógł.

— Ale musisz przyznać, że są piękne i prawdopodobne. Zapewne tedy nie cenisz *Iliady*, bo ta jeszcze mniejszą niż peloponeska wojnę opiewa.

Spojrzał na Aleksandra, wiedząc, że jest wielbicielem Homera. Aleksander, który dotychczas przysłuchiwał się tylko, teraz wmieszał się:

— Wszystkie muzy są córami Mnemozyny, ale najstarszą i najdostojniejszą jest Kaliope. Nawet Klio nie musi się trzymać matczynej zapaski. Gdzie pamięć nie sięga, wolno jej rozumnie uzupełniać braki,

Poeta Pierion rozumiejąc, że Aleksander bierze stronę Anaksarcha, wtrącił zwracając się do Ptolemaiosa:

— Co zdaniem twoim ważniejsze piękno czy prawda?

— Pytasz głupio — odparł Ptolemaios. — W poezji piękno, a w historii prawda.

— Czy jedno wyklucza drugie? Czy w historii nie może być piękna, a w poezji prawdy?

Nim Ptolemaios zdążył odpowiedzieć, Peukestas; który zbliżył się i przysłuchiwał rozmowie, zapytał:

— A to, coś nam śpiewał ostatnio, z którą z muz spłodziłeś, z Kaliope czy z Klio? Czy to było piękne, czy prawdziwe?

Za Peukestasem podchodzili macedońscy hetajrowie, widocznie obiecując sobie rozrywkę, on zaś nie zważając, że Aleksander zmarszczył się na przypomnienie, ciągnął:

— Czy to może jedna z pieśni tego eposu, który piszesz o naszej wyprawie?

— Cóż ty się znasz na poezji albo wiesz o muzach — odparł Pierion lekceważąco. — Ale mogę cię objaśnić, że to była poezja lekka, której muzą jest Talia. Dlatego roześmianą maskę trzyma w ręku, że budzić ma wesołość i śmiech.

— Może Kaliope będzie na ciebie łaskawsza niż Talja, bo nie wszyscy się śmiali. Klejtos nawet po równał cię z hieną, której wycie nie jest piękne.

Aleksander zerwał się i wyszedł, za nim kilku somatofilaków i helleńskich dworzan. Pierion widocznie również pomiarkował, że Peukestas szuka zajścia, i chciał odejść, ale ten uchwycił go za rękę mówiąc!

— Król powiada, że wy, Hellenowie, czujecie się wśród nas jak półbogowie wśród zwierząt. Ale Orfeusz umiał pieśnią poskromić nawet smoka w Kolchidzie, tedy nie lękaj się, bo zapewne i ty potrafisz. Zaśpiewaj nam coś z twego eposu.

Pierion oglądał się niespokojnie, ale otoczony, był ze wszystkich stron przez macedońskich hetajrów. Usiłował wywinąć się:

— Król mógłby mi wziąć za złe, że nie on pierwszy usłyszy pieśń.

- O to bądź spokojny, nie będziesz musiał sprawać się przed nim. I nie myśl, że my nie znamy się na poezji i nie cenimy jej. Za każdy dobry wiersz otrzymasz sztukę złota.

— A za kiepski dostaniesz po gębie — dodał Krateros. — No, zaczynaj, bo jeśli nie, to my zaczniemy,

Pierion poczuł się istotnie jak Orfeusz pośród bachantek, nim rozerwały go na sztuki. Spróbował wymigać się podstępem.

— Jeśli koniecznie chcecie, pozwólcie, że pójde po papirusy, bo z pamięci nie potrafię wam zaśpiewać.

— Widzę, że i Mnemozyna na ciebie nielaskawa. Ale potrafiłeś bez papirusów śpiewać o klęsce Farnuchesa i naszych towarzyszy, tedy pomódl się do matki muz i zaczynaj. My już dopomożemy twojej pamięci.

— Może od tego zaczniemy — powiedział Krateros i wymierzył Pierionowi policzek, aż echo poszło po sali.

Pierion uchwycił się za ucho, z którego pociekła krew, i zatoczył się na Peukestasa, który na odlew wyciął go w drugi policzek, i tak hetajrowie podawali go sobie, aż Pierion ukląkł. Z ust i nosa ciekła mu krew ze śliną, chwiał się podpierając rękami i skomlał cicho.

Peukestas obtarł rękę i powiedział:

— Może mu wystarczy.

— Jeszcze raz za Klejtosa — odparł Krateros i pięścią wyrznął Pieriona pod brodę, a ten legł bez ruchu.

Potem całą gromada śmiejąc się odeszła na swe legowiska i wzięli się do picia.

Hypaspiści ze straży próbowali podnieść poetę, ale przelewał się prze ręce. Wiedzieli już, że wynoszą trupa. Za nimi chyłkiem wymykali się helleńscy i perscy biesiadnicy. Czuli się jak wśród drapieźnych zwierząt, ale bynajmniej nie jak półbogowie.

Dwa upory nie do złamania stały naprzeciw siebie, Aleksander jednak nie zamierzał i nie mógł ustąpić. Źródłem nieposłuszeństwa jest spoufalenie się z królem, które podważa jego powagę u Hellenów i Persów, a pogardliwe lekceważenie zniechęca do współpracy ludzi poniżanych w swej dumie. Azjaci milczeli, jak zawsze zamknięci w sobie, ale nietrudno było odgadnąć, co myślą. A co myślą Hellenowie, wprost powiedział Kallistenes, który zaproszenie na ucztę odrzucił mówiąc, że nie zamierza biesiadować ze zwierzętami. Trudno było ukarać wyniosłego a potrzebnego człowieka za to, że powtórzył słowa króla, niemniej rozgniewał Aleksandra przypomnieniem nieopatrznego odezwania. Zamiast zaproszenia filozof otrzymał rozkaz i przyszedł; siedział jednak nie jedząc i nie pijąc i z wyraźną niechęcią spozierał na beztroskie i coraz głośniejsze zachowanie się macedońskich hetajrów, w miarę jak wino rozgrzewało głowy. Aleksander pił również, ale wbrew zwyczajowi nie wszczywał rozmowy.

Zachowanie Makedonów zaczynało być wyzywające, głośno wymieniali drwiące uwagi o innych współbiesiadnikach. Wejście szlachetnego Persa Stamenesa zwróciło na niego uwagę. Gdy Stamenes podszedłszy do króla upadł przed nim na twarz i czołem dotknąwszy posadzki chciał wstać, chiliarcha Polisperchon zeskoczywszy ze swej kline przytrzymał go za kark.

— Mocniej! — powiedział i śmiejąc się uderzył jego głową o podłogę.

Aleksander zerwał się i objąwszy Polisperchona wpół, wyrzwał nim o posadzkę. Zdać się mogło, że straż znowu wyniesie trupa, ale Polisperchon zbierał się pomału, Aleksander zaś powiedział spokojnie:

— Teraz ty pełzasz przede mną.

Wskazując na niego dowódcy straży rozkazał;

— Odprowadzić go do karnego oddziału. Tam się nauczy czcić króla i szanować dostojników.

Wprowadzony przez Cyrusa zwyczaj witania króla przez uderzenie czołem, będący dla Azjatów objawem czci należnej wyższej istocie, w oczach Hellenów uchodził za symbol niewolniczej służalczości i stanowił najczęstszy przedmiot pogardliwych drwin. By podkreślić, że uważa się nie za zdobywcę, lecz za prawowitego następcę królów perskich, Aleksander nie mógł tego zwyczaju uchylić, a zniesienie rzucającej się w oczy różnicy *vt* obejściu z królem przyczyniłoby się do usunięcia źródła zadrażeń. Aleksander jednak wiedział, że u macedońskich zuchwałców nic nie wskóra postrachem, skoro nawet los Klejtosa niczego ich nie nauczył. Gdy znalazł się sam na sam z Hefajstionem, powiedział niecierpliwie:

— Nie będę czekał sposobności, by nakazać *proskynosis*. Mówiłeś, że to trzeba przygotować; czy pomyślałeś jak?

— Myślałem o tym. Ale ja bym tego nie nakazywał. Co uczynisz, jeśli odmówią? Wszystkich nie wyślesz do karnych oddziałów.

Aleksander zdał się zastanawiać. Hefajstion widział, że tylko hamuje porywczosć, z jaką zwykł łamać wszelki opór. Po chwili rzucił:

- Słucham, coś wymyślił.

- Niech to nie wyjdzie od ciebie, nie będziesz musiał karać w razie nieposłuszeństwa. Możesz natomiast odmówić swych względów tym, którzy nie zechcą się nakłonić. Niejeden wybierze twą łaskę, a przykład może pociągnąć innych.

— Masz słuszność. W każdym razie położę tym tamę poufałości, która jest źródłem zuchwalstwa, gdy każdy może zbliżyć się do króla, jak chce. Czy pomyślałeś też, komu zlecić, by poruszył tę sprawę?

— Z hetajrów Peukestasowi. On nie lęka się śmieśności, bo umie się odgryzać. Choć przybrał perski strój nie stracił miru u towarzyszy, bo z dawna nawykli, że lubi nowinki.

— To prawda. Sam z nim pomówię. Ale Hellenowie nie posłuchają go, choćby przez przekorę bo

nieraz im dopiekl, a na pewno pamiętają mu sprawę Pieriona. Dla nich zresztą zgoda na proskinesis byłaby równoznaczna z uznaniem mnie za boga, bo tak zwykli cześć oddawać bóstwom.

— Będzie ci tym łatwiej bogiem się ogłosić. Na Hellenów z twego otoczenia największy wpływ mja Kallistenes, a przecie w swym opisie naszego przejścia przez Drabinę Pamfilijską przyznał ci boską moc. Pi-sze, że zmusiłeś do proskinesis nawet wiatr i fale.

— Przyznał mi! — powtórzył Aleksander. — Istotnie twierdzi, że moja boskość nie zależy od tego, co o moim pochodzeniu mówi moja matka, ale co on o mnie napisze w swej *Praksesis Aleksandrou*.

— Niechże cię przeto zarozumialec uczyni bogiem, skoro to od niego zależy — powiedział Hefajstion.

— Próbuj go ty nakłonić. Ze względu na Arystotelesa, który i tak za złe mi poczytuje, że nie słucham rad jego, nie chciałbym karać Kallistenesa w razie odmowy. Potrzebny mi jest zresztą jako pedagog chłopców królewskich. Uwielbiają go i może przez niego wychowani wyzbędą się uprzedzeń, od których nie mogą się uwolnić nasi towarzysze. Gdyby nie to dawno usunąłbym zarozumialca.

— Wolę pomówić z Anaksarchem.

— Mów, z kim chcesz. Pamiętają jednak, że Anaksarchos pozwolił sobie w czasie burzy zadrwić pytając czy to ja grzmie,

— Ale zrozumiał zapewne, gdyś mu odpowiedział, że nie chcesz się takim strasznym okazywać. A jego filozofia polega na tym, że sam nie ma żadnych przekonań, ale innych potrafi przekonywać.

— Próbuj! — powtórzył Aleksander. — A teraz każ mi przyprowadzić Peukestasa.

Gdy wezwany nadszedł, Aleksander popatrzył na niego surowo i zapytał:

— Czy sprzykrzyło ci się nosić przede mną tarczę Achillesa i wolisz nosić belki i kamienie w oddziale karnym?

- Wole nosić tarcze Achillesa — odparł Peukes-

tas — a ty gdzie byś znalazł drugiego, co by w bitwie lubił chodzić przed tobą?

Aleksander widział, że niełatwo mu przyjdzie ukrócić poufalość.

— Znasz bajkę Ezopa o smoku, którego ogon się zbuntował, że zawsze wlec się musi z tyłu i co z tego wynikło?

— Znam. Jeśli chcesz, mogę tarczę nosić za tobą. Nawet bezpieczniej dla mnie.

— Dość! — uciął Aleksander niecierpliwie. — Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi.

— Nie udaję, ale skoro pytasz nie o to, co chcesz wiedzieć, to ci odpowiadam nie to, co chcesz słyszeć. Pewnie o tego głupca Pieriona. Niewiele straciłeś, że nie napisze tego eposu, a skoro mu płaciłeś, żeby był wesołkiem, to chcieliśmy się pośmiać.

— Po tobie przynajmniej mogłem się spodziewać, że potrafisz się odgryźć inaczej niż pięścią.

— Ja przecież biłem otwartą dłonią. To Krateros wyróżzał go pięścią. Też nic nie winien, że pięść ma jak koń kopyto.

— Teraz milcz i słuchaj: do czego prowadzi wasze wynoszenie się nad innych, pokazała kłaska Farnuchesa. Ten dla mnie lepszy, kto mi lepiej służy, czy jest Hellenem, Makedonem czy Azjata. Poza tym wszyscy dla mnie równi i jednakową cześć mają mi okazywać. A kto się odważy ośmieszać tych, co to czynią, będzie ukarany jak Polisperchon.

— Ja mogę uderzać przed tobą, czym chcesz — odparł Peukestas — a co inni poczną, tego nie wiem.

— Omówisz z Hefajstionem, jak to przeprowadzić, Teraz możesz odejść.

Peukestas wstał, po czym legł przed Aleksandrem, który zagryzł wargi, ale rzekł surowo:

— Nie błaznuj! Gdy jesteśmy sami, nie potrzebujesz tego czynić.

Peukestas wrzucił ramionami.

— Przecie cały ten perski ceremoniał to błazeństwo.

— Tak możesz myśleć, ale nie mówić, a tym mniej innym okazywać, co o tym mniemasz. Jest potrzebny i niech ci starczy, że Ja tak chcę, jeśli nie rozumiesz po co.

Biesiadnicy zaproszeni przez Hefajstiona na ucztę wiedzieli, że gospodarz zamierza załagodzić przeciwności . zaostrzone przez ostatnie wypadki. Nie czynił z tego tajemnicy, prosząc hetajrów, by hamowali swe języki, i rozsadzał ich między helleńskimi i perskimi gośćmi. Sam też zajął miejsce między Kallistenesem i Anaksarchem u szczytu stołu, gdzie na podwyższeniu stało kline przeznaczone dla Aleksandra, który zapowiedział, że spóźni się, i z rozpoczęciem uczyty polecił nie czekać na swe przybycia. Przyszedł jednak wkrótce, ale ukryty za kotarą słuchał.

Niewolnicy skończyli już roznosić potrawy,, Hefajstion kazał odejść muzykantom, tancerkom i sztukmistrzom i wręczając kubek Anaksarchowi wezwał go do przemówienia. Tymczasem jednak hetajrowie wzięli się do picia, jedni rozpoczęli grę w kości, inni sławili zalety azjatyckich kochanek, jeszcze inni koni, nie zwracając uwagi na filozofa, który stał z kubkiem w ręku z drwiącym uśmiechem na wąskich wargach, czekając na ciszę. Hefajstion donośnym głosem wezwał do uwagi i Anaksarchos rozpoczął:

— Wróble ćwierkają wszystkie naraz i bez sensu, dlatego żaden drugiego nie słucha. By nie przypominać ich stada, swarzącego się na końskim łajnie, Hellenowie wprowadzili na ucztach obyczaj, że głos ma ten, komu wręczono kubek, a ci, którzy zdolni są rozumieć i sami mają coś do powiedzenia, słuchają, by gdy na nich kolej przyjdzie, nie odpowiadać od rzeczy.

Gwar przycichł nieco, a filozof ciągnął:

— Póki nie nadejdzie król, każdy może wypowiedzieć się w sprawie, która jego dotyczy, a ja nie po-

trzebuję obawiać się zarzutu, że chcę mu tylko pochlebiać. Sądzę jednak, że nie ma nikogo, kto by był odmiennego niż ja zdania. Oddajemy cześć boską Heraklesowi i Dionizosowi nie dlatego, że urodzili się bogami lub z bogów, ale z powodu ich czynów, przewyższających wszystko, do czego zdolny jest człowiek. One to zapewniły im nieśmiertelność; a czymże są wobec czynów Aleksandra?! Nikt nie wątpi, że po śmierci i on policzony zostanie w poczet bogów. Osiągnął wszystko, co zdać się mogło nieosiągalne, sławą przewyższył herosów, potęgą wszystkich ludzi, bogactwa zdobył nieprzebrane. Cóż dla niego może stanowić zachętę do dalszych czynów, jeśli nie nasze uwielbienie? Wszak każdy korzyści i zaszczyty osiągnąć chce za życia i one stanowią bodziec do działania. Za życia cześć boską odbierał Cyrus, czy słuszne byłoby odmówić jej Aleksandrowi, który nad nim pod każdym względem góruje? Dobrze byłoby jednak dojść do jednego w tym zdania, by nikt nie mógł być obmówiony, że czyni to dla własnej korzyści i by nikt nie mógł spotkać się z zarzutem, że nie docenia czynów króla lub, co gorsza, przeciw niemu się buntuje.

Anaksarchos wychylił kubek na znak, że skończył, nappełnił go i podając poecie Kleonowi z Sycylii rzekł:

- Mów, co o tym sądzisz, i podaj dalej, by każdy się wypowiedział.

- Niewiele mogę dodać — zaczął Kleon — chyba to, że różne narody różnym obyczajem cześć swoim bogom oddawać zwykły. Skoro jednak Aleksander jest bogiem wielu narodów, wszystkie winny oddawać mu cześć jednym obyczajem. Najlepiej przyjąć taki, do jakiego większość już nawykła. Nie przeczę, że zrazu zdało mi się niewłaściwe, gdy Azjaci oddawali cześć królowi padając przed nim na twarz. Im natomiast zda się poniżające odkrywanie przez nas głowy, z czego wniosek, że nie jest istotne, jak cześć należy oddawać. Nie widzę przeszkody, byśmy przyjęli ich obyczaj, tym mniej, że nie wstydzimy się

uderzać czołem przed innymi bogami. A teraz ty, Kal-listenesie, wyjaw, co o tym myślisz.

— Ja myślę, Kleonie, że prześliznąłeś się nad istotą sprawy. Jest nią boskość Aleksandra, o której mówiłeś tak, jakby była oczywista, a radzić mielibyśmy tylko nad tym, jak mu cześć oddawać. W tej sprawie, by do niej nie wracać, mogę tylko zauważyć, że najłatwiej zmieniają obyczaje ci, którzy nie mają żadnych. Stanowią one ważną część wychowania, a wychowuje się człowieka raz albo wcale. Kto wierzy, że Aleksander jest bogiem, z tym dysputować nie będę, bo wiara leży poza rozsądkiem. W ogóle zaś, zanim przystąpię do dyskusji, zwykłem uściślać pojęcia, w przeciwnym razie nie prowadzi ona do niczego, gdy słowa pojęciom nie odpowiadają. Chciałbym wiedzieć, Anaksarchu, kto bogiem jest dla ciebie, a kto człowiekiem? Słyszałem i takie określenie, że człowiek jest śmiertelnym bogiem, a bóg nieśmiertelnym człowiekiem. Jeżeli tak, uznaję boskość Aleksandra. Równie dobrze jednak mogliśmy dysputować, czy boską cześć oddawać tobie. Ja nie przeczę, że Aleksander nie ma równego sobie męstwem, że z królów jest najbardziej królewski, z wodzów najbieglejszy, ale to są cechy człowieka. Różnica na jego korzyść nie leży w istocie rzeczy. Nie będę też się spierał, czy Heraklesowe czyny są większe, czy mniejsze od dokonań Aleksandra, bo tu właśnie różnica zachodzi istotna i nie nadają się one do porównania. Herakles tępił zło, które trapiło ludzkość. Aleksander walczy o władzę. A nawet Herakles dopiero po swej śmierci zaliczony został w poczet bogów; przez nich, a nie przez ludzi, i nie słyszeliśmy; by się tego domagał. Przypomnę ci też, co sam mówiłeś, że boga nie wiążą żadne prawa i wszystko, co czyni, jest słuszne. Nie wiem, jak to chcesz pogodzić z najcenniejszym dobrem, wolnością, jeżeli boską władzę przydasz Aleksandrowi. Wyruszył przecie jako wódz Hellenów, by pomścić najazdy i ucisk, jakiego doznawali od Azjatów, Czy po zwycięstwie każe wolnym ludziom

oddawać sobie cześć w ten ponizający sposób, właściwy niewolnikom, których pokonał? Czy też zaszczyt ten przypadnie tylko Makedonom?

— Ty się o nas nie troszcz — wpadł mu w słowo Leonnatos. — Słuchamy z ciekawością, jak się spieracie. Taka dobra sposobność, jak każda inna, by się popisać wymową. Ale i tak zrobicie, co wam każe król, którego myśmy nim uczynili i dla nas niczym innym nie będzie.

— I zapominasz, Kallistenesie — przerwał Hefajstion — co sam napisałeś, że Aleksander zmusił do posłuchu wiatr i falę. Czy zdaniem twoim taka moc służy człowiekowi?

— A ty, gdybyś znał poetykę Arystotelesa — lekceważąco odparł Kallistenes — wiedziałbyś, że sztuka nie jest tylko odbiciem rzeczy czy zdarzeń. Historia mówi wprawdzie o tym, co się rzeczywiście stało. Ale skoro się zdarzyło, było możliwe, nie trzeba na to boskiej władzy. Cudowność podnosi jednak oddziaływanie sztuki na widza czy słuchacza. Gdyby nie to, określiłbym wasze przejście przez Drabinę Pamfilijką jako lekkomyślność, bo nie Aleksandra do tego nie zmuszało. I pomnij, że bóstwa wiatrów to małe bóstwa, którym nie stawiamy świątyń ni ołtarzy. Czy zdaniem twoim lepiej być małym bogiem, czy wielkim człowiekiem?

Hefajstion zrozumiał; że chybił celu. Odpowiedział gniewnie:

— Widzę, że w tej samej sprawie możesz mieć dwa sprzeczne zdania. To sofistyka. Powtórzę ci przeto, co rzekł Leonnatos: będziesz czynił, co król sobie życzy, czy jest wielkim bogiem, czy małym. Komu zależy na jego łasce, niech się do tego zastosuje.

Kallistenes zbierał się do odpowiedzi, gdy podniosła się kotara i wszedł Aleksander. Skinieniem ręki nakazał, by zaniechano powitania, i zajmwszy miejsce na podwyższeniu zaczął rozmowę z Lizymachem. Gwar podniósł się na nowo. Kleon próbował

powrócić jeszcze do poruszonej sprawy. Aleksander, jednak uciął:

— Dość o tymi

Zrozumieli, że słyszał przynajmniej część dysputa. Niektórzy sądzili, że oznacza to, iż odstąpić chce od swego żądania widząc, że napotyka opór. Hefajstion czekał jednak końca uczty; perskim obyczajem król żegnał swych biesiadników pocałunkiem na znak łaski. Gdy Aleksander dał znak, Hefajstion wznosił toast na jego cześć, po czym uderzywszy przed nim czołem ucałował go. Z kolei przystąpił Peukestas, po nim perscy i medyjscy dostojnicy wykonywali czolobitność i odchodzili otrzymawszy pocałunek. Aleksander, zajęty wciąż rozmową z Lizymachem, nie zbyt zważał, kto żegna go nowym obyczajem, Hefajstion natomiast z niepokojem patrzył na hetajrów, którzy skupili się, szepcząc między sobą, żaden jednak jeszcze nie zbliżył się. Gdy otyły Madates, wykonawszy proskinesis, nie mógł się dźwignąć, pijany Leonnatos parsknął śmiechem, ale urwał, bo Aleksander powiedział groźnie:

— Pomóż mu dźwignąć się i pokaż, że to lepiej potrafisz.

Leonnatos otrzeźwiał, ale zawahał się. Był jedynym z siedmiu somatofilaków, rozkaz był poniżeniem jego dostojństwa, jeżeli go wykona, ośmieszy się. Ze złością dźwignął Madatesa jak worek i postawiwszy go na nogi odwrócił się i odszedł. Chwila napięcia minęła, gdy król, jakby nie zauważył nieposłuszeństwa, zajął się znowu rozmową. Z kolei przystępowali helleńscy dworzanie, oddając mu cześć i odbierając pocałunek.

Kallistenes patrzył na to z drwiącym uśmiechem nie złożony pokłonu przystąpił do Aleksandra, by go ucałował. Hefajstion sądził, że król nie chciał tego zauważyć, Lizymachos zaś rzekł:

— Kallistenes nie uczcił cię, królu.

— Tedy obędzie się bez pocałunku — odparł Alek-

sander obojętnie i odwrócił się. Filozof stał przez chwilę i odezwał się ironicznie:

— O jeden pocałunek odchodzę uboższy.

Sala opróżniła się już, pozostali jeszcze macedońscy hetajrowie. Teraz zbliżyli się gromadnie, skłonili się dawnym zwyczajem i wyszli. Król pozostał z Hefajstionem, u którego zamierzał nocować. Był milczący i zamyślony. Gdy wzięwszy kąpiel układali się do snu, Hefajstion zapytał:

— Co teraz zamierzasz począć?

— Myślę o Kallistenesie. Nazbyt liczy na swe pokrewieństwo z Arystotelesem. Tym filozofom wydaje się, że świat można urządzić spacerując po gaju i że nikt lepiej od nich nie wie, jak to uczynić.- Ja mam być tylko wykonawcą ich zaleceń, od ich łaski zależy, czy mi przyznają nieśmiertelność.

— Złe się stało, że powierzyłeś Kallistenesowi wychowanie chłopców królewskich — powiedział Hefajstion.

— Potrzeba mi ludzi nie tylko do walki — odparł Aleksander. — Kallistenes jest wymowny i wykształcony, umiał ich sobie zjednać.

— Sobie. I nie tylko ich. A w zamian za twoje łaski i korzyści uważa, że można kpić z twoich rozkazów, a ty musisz to znosić, bo od niego zależy, czy pochwali, czy zgani to, czego dokonałeś. Antypater ma słuszność mówiąc, że Hellenowie zawsze skłonni są wyrozumiałość uważać za słabość, niekarność za wolność, władzę za tyranję. Co zamýślasz począć z naszymi hetajrami?

Zamiast odpowiedzi, Aleksander rzekł:

— Lubię Bukefalosa, choć nieraz narowi się, a stary już i coraz mniej przydatny. Ale od Cheronei nosił mnie we wszystkich wielkich bitwach. Nie przestam jednak wojować, gdy zdechnie, bo dość mam innych koni.

Kallistenes nie po raz pierwszy naraził się królowi, Aleksander jednak zazwyczaj prędko zapominał doznanych uchybień. Tym razem zdało się, że filozof wypadł z łaski, król bowiem zwolnił go ze stanowiska pedagoga. Jeżeli jednak zamiarem Aleksandra było pozbawienie go wpływu na przyszłych dostojników, to pewny siebie Kallistenes uważał, że król nie osiągnął celu. Pożegnanie z wychowankami upewniło filozofa, że zaszczerpione im pojęcia będą trwałe, a objawy przywiązania niemal rozczuliły wyrachowanego człowieka. Żegnając chłopców powiedział:

— Rozkaz króla odebrał mi możność przebywania z wami. Ale żaden rozkaz nie zdoła rozerwać związku przyjaźni, jaki zawarliśmy, ani spętać myśli, która jak ptak nawykły do lotu nigdy nie będzie pełzać przy ziemi. Tyrani dlatego usiłują stłumić ją, bo' wiedzą, że ona jest ich najgroźniejszym wrogiem, ostoją wolności, najwyższym dostojeństwem. Żegnani was w przekonaniu, że nigdy nie będziecie niewolnikami — i to moja nagroda za trud, jaki włożyłem w ukształcenie waszych umysłów. Wiem, że niektórzy nazwą to psuciem młodzieży. Dla mnie będzie to zaszczyt, ten sam zarzut spotkał bowiem Sokratesa. Ale jego sława większa jest i trwalsza niż zdobywców, którzy wielkość jej mierzą ilością wymordowanych ludzi, a tylko sława zabójcy tyrana godna jest wolnego człowieka.

Chłopcy ze łzami żegnali swego mistrza, a zapalczywy Hermolaos objawszy go powiedział:

— Ty jeden wśród tysięcy jesteś prawdziwie wolnym człowiekiem i dlatego my wszyscy będziemy się starali ciebie naśladować.

Kallistenes wiedział, że nie wszyscy. Król miał również wśród chłopców licznych wielbicieli, a znajdą się nawet tacy, którzy doniosą, co mówił filozof. Ale nie liczył się z tym. Nie po raz pierwszy głosił swe przekonania. Nawet w obecności króla odważył się powiedzieć Filotasowi, że każdy zabójca tyrana może liczyć na azyl w Atenach, a mimo to nie zo-

stał wmieszany w proces. Aleksander zdał się nie przywiązywać wagi do słów, a helleńskim artystom, poetom i filozofom zostawiał wielką swobodę.

Zresztą i sprawa proskinezy zdała się mijać bez echa, nie było żadnych objawów niełaski wobec opornych, nawet Leonnatosowi bezkarnie uszło nieposłuszeństwo. Kallistenes sądził, że i jego zuchwalstwo wkrótce pójdzie w zapomnienie, a upewnił się w tym, gdy król po powrocie z kilkudniowych łowów przysłał mu zaproszenie na ucztę. Namyslał się nawet, czy skorzystać z niego, macedońscy hetajrowie bowiem, a zwłaszcza Hefajstion, nie ukrywali swej niechęci do filozofa, lekceważył ich jednak w poczuciu swej wyższości. Po rozważeniu sprawy postanowił pójść. Król zapewne chce z nim załagodzić sprawę, być może, że przywróci mu stanowisko pedagoga.

Istotnie Aleksander zachowywał się, jakby nic nie zaszło, rozmawiał swobodnie i z ożywieniem, słuchał muzyki i pieśni, a gdy przyszło do kubków, kazał napełniony wręczyć Kallistenesowi mówiąc;

— Największe czyny przepadają dla potomności, jeśli nie utrwali ich pismo. Ale nawet imię Homera utonęłoby w niepamięci, gdyby nie przekazał go nam wraz z imionami herosów, których czyny sławi. Ty również możesz swoje uwiecznić sławiąc czyny Makedonów. Pochwała jest zachętą dla nich.

Kallistenes przez chwilę zastanawiał się, do czego król zmierza. Lubi pochlebstwa, ale tym razem chce mu zapewne dać sposobność do wygładzenia zadrażeń. Zaczął:

- Zaszczyt to dla mnie, że porównujesz mnie z Homerem, ale zadanie moje trudniejsze niż jego. On opisywał zdobycie jednego miasta po dziesięcioletnim oblężeniu. Wy zdobywaliście ich setki, niejedno w ciągu kilku godzin. Nawet Teby, które bezskutecznie oblegało siedmiu herosów, padły od jednego waszego uderzenia, potężny Tyr przez dziesięć lat stawał opór perskiej potędze, wam uległ w ciągu kilku miesięcy. Można wyczerpać studnię, ale nie rzekę,

Alę gdy nawet dalsze losy tych kilkunastu Homero-
wych bohaterów przez wieki stanowiły, natchnienie
poetów, tym bardziej wasze czyny nie przepadną
w pamięci, choćby mnie nie starczyło sił i życia, by
je Wszystkie opisać.

Skończył wśród głośnych objawów zadowolenia,
ale gdy ucichły, Hefajstion odezwał się:

— Chępiłeś się, Kallistenesie, że takiej będziemy
zażywali sławy, jaką ty nam zgotujesz. Teraz przy-
znajesz, że niezdolny jesteś nawet dostatecznie nas
chwalić, choć niewielka to sztuka chwalić, co godne
jest pochwały. Może jednak nie chcesz i tylko udajesz
skromnego, a wedle swej woli mógłbyś yroniejszyć
to, co przedstawiłeś jako tak wielkie, że przerasta
twoje siły, lub nawet zganić, co sam chwaliłeś przed
chwilą?

Odezwanie się Hefajstiona podrażniło Kallistene-
sa i odparł drwiąco:

— Jak rzekłem, król niełatwe dał mi zadanie.
Gdybyś znał sztuką wymowy, wiedziałbyś, że naj-
trudniej małe uczynić wielkim. Widzę, że wywiąza-
łem się z niego aż za dobrze, skoro nabrałeś przekonania,
że nic innego nie dałoby się powiedzieć. To
aż nazbyt łatwe, zaraz ci wykażę: czym byliście, za-
nim Filip kłamstwem, krzywoprzysięstwem i zrabo-
wanym złotem przeciągnął na swoją stronę, wszyst-
ko, co było podłego w Helladzie? Pastuchami owiec
i świń. Gdy zmacić wodę, na wierzch wypływają
śmiecie... Sianie niezgody wśród państw helleńskich
nazwaliście jednoczeniem Hellady, tylko ona pozwo-
liła wam nad nią zapanować. Gdyby nie to, nigdy nie
potrafilibyście sprostać helleńskim hoplitom . Chlu-
bicie się ilością zburzonych miast, mnogością wymor-
dowanych ludzi. Trzęsienia ziemi zburzyły ich więcej,
czarna śmierć więcej pochłonęła ofiar...

Chciał mówić dalej, ale zagłuszyła go wrzawa. He-
tajrowie zerwali się z miejsc z groźnymi okrzykami,
Kallistenes usiłował zachować drwiący wyraz twa-
rzy, ale nie udało mu się. Zrozumiał, że tym razem

przebrał miarę, mniejsze zuchwalstwo Pierion przy płacił życiem.

Aleksander jednak skinieniem ręki dał znak, że chce przemówić. Ucichło i wszyscy z napięciem czekali, co powie.

— Gdybyśmy pod Cheroneą walczyli na obelgi, Hellenowie zostaliby zwycięzcami — powiedział spokojnie. — Kallistenes dał nam dowód nie tyle swej sztuki, co swej nienawiści ku nam. Przywykliśmy już do takich objawów wdzięczności. Odejdź, by ci się coś złego nie przygodziło.

Kallistenes wyszedł chyłkiem wśród powszechnego milczenia. Przy wyjściu szepnął do siebie ochryplym głosem.

— Patroklos był czymś więcej niż ty, a też musiał umrzeć...

- Siedział w gospodzie, czekając na skutki swej nieprzezorności, ale nic się nie działo. Uspokoił się pomału, tym razem nie liczył jednak na to, że Aleksander zapomni, tym mniej macedońscy wojownicy, a zwłaszcza Hefajstion, z którym nieraz już zadarł; Zamierzał wracać do Aten, daleka, samotna podróż jednak nie była łatwa ni bezpieczna. Szczęściem trafiła się sposobność: ojciec Hermolaosa, ilarcha Sopolis, miał wkrótce wyruszyć do kraju po uzupełnienie, a odprowadzić gromadę zwolnionych weteranów. Kallistenes zbierać się jął do powrotu, porządkował notatki i okazy zgromadzone dla Arystotelesa. Z zadowoleniem myślał, że jak ongiś pomagać mu będzie w jego pracy w Lykeion. Arystoteles również winien być zadowolony z roli, jaką odegrał siostrzeniec dla zaszczepienia jego idei w umysłach młodych Macedonów, a śmiałość, z jaką filozof przeciwstawił się tyranii, spotka się niewątpliwie z należyтым uznaniem Ateńczyków.

Sopolis również gotów był do wyjazdu, czekał jednak na powrót króla, który wyruszył na łowy. Przed-

górze Parapamissos obfitowały w grubego zwierza walka z nim stanowiła zaprawę dla trudów i niebezpieczeństw wojennych, zwłaszcza dla chłopców, którzy nie mieli jeszcze sposobności w bitwach wykazać się sprawnością i odwagą. Mimo że na łowach . jak na wojnie, panowała surowa karność, a noclegi pod namiotami w zimne już noce pozbawione były wszelkich wygod, brali udział w łowach z zapalem. Aleksander pomny surowej zaprawy, jaką z towarzyszami swych chłopięcych lat przeszedł u swego pedagoga Leonidasa, nie szczędził teraz młodzików sam zresztą dając przykład odporności na trudy i wyrzeczenia. Po znojnym dniu chłopcy, jak na dworze pełnić musieli nocną straż przy królu, dbać o jego konia i oręż i pełnić wszelkie posługi, choć często lecieli z nóg z utrudzenia. Aleksander również namiętnie lubił łowy i tu popisywał się odwagą, toteż nikomu nie wolno było przed nim uderzyć na zwierza.

Kallistenesowi na rękę była nieobecność króla z którym pociągnęła większość jego- *agemy*. Mógł swobodniej się poruszać, zbierał listy i polecenia do kraju. Rad był, że jeszcze ujrzy najżarliwszego ze swych wielbicieli, Hermolaosa. Chłopiec, wyróżniał się wśród towarzyszy zarówno w naukach, jak fizycznych ćwiczeniach. Kallistenes nie wątpił, że kiedyś osiągnie on najwyższe stanowiska, i chciał utrwalić w jego pamięci swe nauki, ofiarowując mu swe dzieło o historii Hellady. Prosił też Sopolisa, by po powrocie z łowów przysłał do niego syna.

Król powrócił po tygodniu, zamiast jednak jednak Hermolaosa zjawił się u filozofa Sostratos. Był nierozłącznym druhem Hermolaosa, a zapytany o niego odparł z widoczną złością:

— Nie ma go.

— Co się stało?

- Wraca pieszo. Król kazał go wysmagać i zabrał mu konia.

-- Za co?

— Położył dzika, który wyszedł na króla.

Filozof pokiwał głową.

— Tak! Żal mi was, a zwłaszcza Hermolaosa. Nawet pomścić nie może poniżenia, a wy musicie patrzeć bezradnie, gdy najlepszego z was poniewierają jak niewolnika.

— Nie musimy — odparł popędliwie Sostratos i wyszedł.

- Kallistenes z zadowoleniem myślał, że wraz z jego wychowankami rośnie opór przeciw samowoli Aleksandra, Ma wrogów we własnym kraju, mnoży ich sobie w wojsku. Azjatów nie pozyska. Mordowali i własnych królów, Aleksander też znajdzie swego Bessosa lub Bagoasa, truciciela króla Arsesa.

Kallistenes wiedział, że listy króla do kraju były już wygotowane. Sopolis gotów jest do wyjazdu. Zawiadomił też filozofa, że Hermolaos wrócił, zjawi się jednak u niego dopiero rano, ma bowiem nocną służbę przy królu. Kallistenes daremnie jednak oczekiwał przybycia chłopca, a nie chciał się pokazywać u dworu. Zapadła noc i zbierał się już do spoczynku, gdy postyszał jakieś odgłosy u wejścia. Drzwi otwarły się i stanął w nich dekadarcha straży przybocznej Aleksandra, a za nim dwóch hypaspistów. Nakazał ostro:

— Ubieraj się! Jesteś uwięziony.

Kallistenes nie pytał, o co jest obwiniony, nie mniej głowił się nad tym. Aleksander nie zwykł był czekać, gdy zamierzał kogoś ukarać. Wystąpienie na uczcie nie było zapewne przyczyną uwięzienia, raczej ktoś zawistny musiał oczernić go. Nie tracił jednak nadziei, że sprawę potrafi wyjaśnić. Usiłował zachować spokój.

Ale nogi ugięły się pod nim, gdy wprowadzony do piwnicznej izby ujrzał Hermolaosa. Przywiązany był za ręce do haka, a plecy ociekały krwią. Obok niego stał Ptolemaios Lagida i zwrócił się do filozofa;

— To twój ulubieniec. Możesz mu oszczędzić gor-

szej kaźni, jeśli przyznasz, że ty namówiłeś chłopców, by zamordowali króla.

— To ohydne kłamstwo. Ty chcesz mnie zgubić — powiedział Kallistenes drżącym głosem.—Kijem potrafię wymusić wszystko.

— Od niego nie potrafiłem — odparł Ptolemaios drwiąco — ale może potrafię od ciebie. Odwiązać go — wskazał na Hermolaosa.

Hermolaos leżał na ziemi i dyszał chrapliwie, a Ptolemaios dodał:

— Wprowadzić tamtych.

Do izby wepchnięto gromadką chłopców. Ptolemaios wskazując na Hermolaosa powiedział:

— Jeżeli chcecie sobie oszczędzić takiego losy, przyznajcie, że to wasz mistrz namówił was, byście pełniąc przy królu straż zamordowali go we śnie. Może wówczas i sąd ulituje się nad waszą młodością i głupotą.

Czekał przez chwilę, ale odpowiedziało mu milczenie. Kallistenes drżał na całym ciele. Izba wirowała mu w oczach, przed którymi stał obraz straszliwej kaźni Bessosa. I jego czeka taka śmierć, jeśli go chłopcy oskarżą. Nie chciał sam przed sobą przyznać, że to jego nauki skłonić musiały porywczych młodzików do spisku. Rozumiał, że kosztem własnej męki im mógłby jej oszczędzić, ale nie potrafił się przełamać. Zamknąwszy oczy słuchał odgłosu razów i wierzącego w uszach skowytu katowanych, umierając z trwogi, że któryś go obciąży. Sam czuł, że gdy jego zaczną katować, przyzna, co zechcą. Gdy wreszcie skończyła się ta i straszliwa scena i nikt go nie obciążył, osłabły po napięciu Kallistenes usiadł na ziemi i otarł zroszone zimnym potem czoło. Ptolemaios jednak wskazał na niego strażnikom i polecił:

— Przywiązać go.

Kallistenes zawisł bezwładnie, a Ptolemaios zwrócił się do chłopców:

— Oto wasz mistrz. Jemu umieliście dochować wiary, ale nie królowi, który wam zaufał, powierzają-

jąc bezpieczeństwo swego snu. Dowodzi to, że nie jesteście podli z natury, tylko źle wami pokierowano. Komu zawierzyliscie, zaraz się przekonacie. Zwrócił się do filozofa: — Sam słyszałem, jak rzekłś Filotasowi, że zabójca tyrana zawsze liczyć może na przytułek w Atenach. Czy mówiłeś chłopcom że tylko sława zabójcy tyrana godna jest prawdziwie wolnego człowieka?

Kallistenes czuł, że Ptolemaios przyciska go do muru. Do bólu wstydził się wobec swych wychowanków, a obezwładniający strach odbierał mu głos. Ptolemaios powtórzył ostrzej:

— Odpowiadaj lub zaczynamy.

— Nie tak mówiłem — wyszeptał chrapliwie.

— A jak?

— Nie pamiętam.

— Czy zdaniem twoim Aleksander jest tyranem

czy nie?

Ledwo dosłyszalnie Kallistenes odpowiedział:

— Nie!

- Słyszeliście? Czemuż tedy chcieliście zabić króla? Czy tylko dlatego, że kazał wysmagać Hermowaosa za nieposuszeństwo? Gdy my byliśmy chłopcami, nasz pedagog Leonidas nie żałował nam różgi, nawet samemu królowi. Ale tylko wdzięczność żywimy dla niego, bo wychował nas na mężów zdolnych do większych czynów niż skrytobójstwo. Czy prosiłeś Sopolisa, by przysłał do ciebie Hermolaosa i po co ?

Chciałem go pożegnać — wyszeptał Kallistenes.

— Żegnałeś już przecie swych wychowanków. Czy był u ciebie Sostratos?

Kallistenes skinął tylko głową, na nic nie zdało się zaprzeczać, a Ptolemaios ciągnął:

— O czym mówiliście?

Mówił mi o ukaraniu Hermolaosa.

— A ty co?

— Żałowałem go.

- Nic więcej? Powtórz, co mówiłeś.

Kallistenes gryzł wargi do krwi ze wstydu i strachu. Wyszepiał:

— Nie pamiętam.

— Zaraz pomożemy twjej pamięci. Jeżeli do królobójstwa nie namówił was Kallistenes, to namówił kto inny. Czy mam zacząć dowiadywać się na nowo? Sostratos! Twój mistrz ze strachu zapomniał, co mówiliście. Powtórz ty albo... — zrobił wymowny gest.

— Żałował Hermolaosa, że nie może pomścić zniewagi, a nas, że musimy bezradnie patrzeć, gdy go król poniewiera jak niewolnika — odparł zagadnięty zduszonym głosem.

— A ty co rozumiałeś przez to?

— Że powinniśmy go pomścić.

— Żle mnie zrozumiał! — krzyknął Kallistenes. — Mówiłem przecie — że nie może.

— Teraz pamiętasz. Ale jak sam mówiłeś, filozofie, zwykłeś uściślać pojęcia. Czy dla ciebie nie ma różnicy między „nie może” a „nie powinien”?

— Chyba się przejęzyczyłem albo on nie pamięta. To nieporozumienie.

Wśród chłopców rozległ się wzburzony szmer. Ptolemaios rzucił z drwiną:

— Słyszysz? Oni uważaliby za niesprawiedliwe, gdyby skutki nieporozumienia, które ty zawiniłeś, miały spaść tylko na nich.

Zwrócił się do strażników i rozkazał:

-Wysmagać go, ile wytrzyma. A potem w łańcuchy i do lochu!

Sopolis czekał przed dworcem Antypatra na jego powrót, bo wódz wyjechał na zamek o świcie. Nie spieszył się do swego domu, choć nie widział go od ośmiu lat. Córeczki, która urodziła się po jego wyjeździe, nie zna. Żonie, zamiast gościńca, przywozi wieść o śmierci syna. Czuł się winien, sam kazał go

przysłać do chłopców królewskich, bo tęsknił za nim. Opuścił go niemal dzieckiem, ujrzał efeba, z którego był dumny. Wyróżniał się wśród rówieśników urodą, siłą i bystrością. Nie ma go już... Jak wściekłego psa zatłuczono go kamieniami...

Zadumę Sopolisa przerwał odgłos kopyt, nadzieją Antypater. Ilarcha wstał i zdjął kausię. Wódz patrzył na niego, jakby go nie poznał, choć znali się jeszcze z czasów Filipa. W słońcu włosy Sopolisa świeciły siwizną, a nie miał jeszcze czterdziestu lat. Antypater zeskoczył z konia mówiąc:

— Tyś jest syn Hermodorosa? Witaj w kraju.

— Witaj, wodzu. To ja. Przywożę ci pismo od króla i pieniądze na zaciąg. Przywożem też zwolnionych.

Wręczył pismo Antypatrowi, który rzekł:
— Nie zatrzymuję cię, bo pewno pilno ci ujrzeć swoich. Weź mojego konia.

— Dziękuję, ale niepilno mi. Zapewne zechcesz się dowiedzieć tego, o czym król nie pisze.

Antypater spojrział przeciągle na Sopolisa.

— Tedy wejdz — powiedział.

Rozwinął papirus i czytał. Aleksander donosił, że jeszcze jesienią zamierza zdobyć kilka górskich zamczków sogdiańskich książąt, by złamać resztki oporu, i z wiosną wyruszyć na Indie. Antypater zmarszczył się: król odsyła mu ludzi niezdatnych do walki, o których trzeba dbać, a żąda przysłania świeżych sił, by uzupełnić poniesione w Baktrii i Segdianie straty. O powrocie ani wzmianki. Natomiast Jsaowu upomina, by nie mieszać się w wewnętrzne sprawy helleńskich państweczek, Antypater ma tylko przestrzegać między nimi pokoju.

O tysiące mil od kraju, do którego widocznie wracać nit zamierza, król chce wielkorządcy narzucić sposób postępowania! Tylko sposobem Filipa, przez sianie niezgody między helleńskimi państweczkami, można zabezpieczyć pokój własnej ojczyźnie. Tu są granice posłuszeństwa.

Zmarszczka na czole wodza pogłębiła się, gdy czytał o spisku Hermolaosa: *Chłopców Makedonowie ukamienowali, ale sofistę ukarzę ja sam, a także tych, którzy mi go nasłali, i tych, którzy w swych miastach spiskującym przeciw mnie dają schronienie.*

Antypater powiedział do siebie:

— Król pozbywa się przyjaciół, a mnoży sobie wrogów. Czyich synów ukamienowano?

— Amyntasa, Theokrita, Asklepiodora, Arsess, Karsisa i... mojego.

— No tak! — rzekł Antypater. Nie chciał wypytywać, jak się to stało, zrozumiał, dlaczego osiwił Sopolis.

Ale on wybuchnął sam:

— To ten przeklęty sofista i jego nauki! Łotr, schlebiał królowi, a gardził nami. Udawał przyjaciela mojego syna, zaufania łatwowiernych wyrostków nadużył, by zdradę i skrytobójstwo przedstawić jako bohaterski czyn, a skarcenie nieposłuszeństwa za zniewagę, którą zmywa się krwią. Chciał się pozbyć króla, z którym zadarł, a potem jeszcze wyprzeć się usiłował, nędznik! A dla mego chłopca był obrońcą wolności Hellady! Rękami naszych dzieci!

— Hellada zasługuje tylko na despotę — rzekł Antypater. — My nie! Lekkomysłnych młokosów powinien być król ułaskawić.

— Może by ułaskawił. Ale mój chłopiec, miał się ukorzyć, wobec całego wojska w oczy zarzucił królowi, że zamordował Filotasa, Parmeniona, Klejtosa, Lynkestę, bo wolnych ludzi chce uczynić niewolnikami.

Sopolis chwycił się za siwą głowę i ciągnął roztrzęsiony:

— Chciałem chłopcu przeszkodzić, choćby ubić własną ręką, by mu oszczędzić... Ale król mi nie dał. Wysłuchał do końca i odszedł. A ja patrzeć musiałem...

Sopolis urwał i dyszał ciężko. Antypater rzekł;

— Niestary jeszcze jesteś, dochowasz się dziedzic-

ca. Chowaj go tak, jak ciebie chowano. Kto nie cuchnie, temu nie trzeba wonności. Jedź do domu.

— Król kazał mi wracać — szepnął Sopolis.

— Tu ja rozkazuję. Dość ma takich, co mu służą dla łupów i dostojęństw. Ktoś musi służyć krajowi. Będziesz mi potrzebny.

Gdy Sopolis odszedł, Antypater wrócił do czytania listów. Brwi jego zbiegły się w groźną zmarszczkę. Zdał się namyślać, po czym przywołał Jolosa:

— Król żąda, bym mu przysłał jednego ze swych synów — powiedział. — Pojedziesz ty. Chcę, byś wiedział po co: dla króla będziesz zakładnikiem. Olimpias nadal szczuje go przeciw mnie. Oczy i uszy miej otwarte. Muszę wiedzieć wcześniej, gdyby król odebrać mi chciał rządy, rozumiesz? Ona tu rządzić nie będzie. A nie chce Aleksander być despotą Hellady, to będę nim ja.

Po klęsce Sparty pod Megalopolis i śmierci króla Agisa zbrojny opór przeciw macedońskiej hegemonii stał się mrzonką. Polityczne przeciwieństwa stronnictw w państewkach helleńskich rozmazały się w osobiste zawiści i wrogość. Obywatele straciwszy Jedyne godne ich zajęcie, jakie stanowiła wojna i polityka, zajęli się plotkami i intrygami. Antypater Jflie szafował złotem, stronnictwo rozwagi, czerpiące soki Z przekupstwa, również przywiędło, Bemostenes odzyskiwał wpływy i znaczenie. Aleksander bawił w dalekich Indiach, strach przed .nim, który niegdyś obezwładniał Helladę, przestał nad nią ciążyć. Teraz głównym wrogiem był Antypater. Demostenes, nawiązawszy z Olimpiadą stosunki, żywił nadzieję, że przez jej wpływ na syna zdoła pozbyć się wroga. Wódz wiedział o tym i ze swej strony próbował przez Fokiona wpłynąć na Aleksandra, by zapobiec współdziałaniu Aten. z królową;. Fokion jednak odpowiedział,

że nie może być jednocześnie przyjacielem i służalcem, do intryg się nie nadaje, natomiast otwarcie będzie przeciwdziałał wszelkim poczynaniom Demostenesa, które by mogły skłonić Ateny do zbrojnego wystąpienia.

Tego się jednak Antypater nie obawiał. Cała Hellada niezdolna już była do podjęcia czegoś powtorniejszego niż wewnętrzne i sąsiedzkie spory. Doświadczony polityk widział, że skutki działań Aleksandra sięgają głębiej niż skutki klęsk pod Cheroneą i Megalopolis. Skarby Dariusza przekute na pieniądź i puszczane w obrót gwałtownie zmieniły układ sił w państwach helleńskich, gdzie cenzus majątkowy był warunkiem pełni praw. Szczególnie dotkliwe jednak skutki dają się odczuć w Atenach. Skalista Attyka nigdy nie mogła wyżywić nadmiaru ludności, który odpływając do zakładanych kolonii wzmacniał potęgę i bogactwo Aten, a zwłaszcza zapewniał dostawę zboża. Teraz rolnik uchodził do Azji, na zdobytych przez Aleksandra obszarach znajdując dogodniejsze niż w kraju warunki, rzemieślnicy do zakładanych przez niego miast. Aleksandria, bliższa ntiwo otwartych dróg handlowych, dotychczas' nieznanymi lub niedostępnymi, ściągała złożony przeważnie z filotyków ruchliwy żywioł kupiecki, głównego dostawcę dochodów miasta z podatków i ceł. Brakło pieniędzy nie tylko na utrzymanie próżniaczych obywateli, na przedstawienia i uroczystości, ale nawet na roboty publiczne, a tym bardziej na zbrojenia. Jak obumierające drzewo, gdy soki przestaną krążyć, traci naprzód liście, potem gałęzie i konary, aż zostanie sam próchniejący pień, tak z Aten odpadało, wszystko, co ongiś stanowiło o ich rozkwicie i potędze. I jak próchno, przez gęstniejącą nad „słońcem Hellady” mgłę przeświecały jeszcze Akademia i Lykelon i tylko one ożywiały usychające miasto. Im wyraźniej dawały się odczuć zmiany wskazujące, że dotychczasowy ustroj się przeżył tym goręcej rozprawiano nad doskonałością ustrojów helleńskich państw. o któ-

rych w swym Lykeion wygłaszał właśnie wykłady Arystoteles.

Stosunki między filozofem a jego dawnymi uo-
aiem, chłodniejące w miarę, jak Aleksander w dzia-
taniu odchodził od nauk swego mistrza, po uwięzie-
niu Kallistenesa stały się niemal wrogie. Antypater
przestrzegał przyjaciela, że król jego obciąży odpo-
wiedzialnością za spisek. Arystoteles zdawał sobie
sprawę, że wprowadzenie głoszonych przez niego zar-
sad wbrew Aleksandrowi jest mrzonką, a Kallistenes,
wpajając je zapalonym młokosom, był co najmniej
nieostrożny. Niemniej filozof przywiązany był do
siostrzeńca i obawiał się o jego życie. Własne wsta-
wiennictwo Arystoteles może tylko umocnić Aleksan-
dra w przekonaniu, że umyślnie nastęczył mu czło-
wieka, który słusznie mógł być pomówiony o nad-
użycie dla swoich celów wpływu uzyskanego na po-
mierzonych mu chłopców. Arystoteles postanowił
przeto prosić o wstawiennictwo Fokiona. Dwukrot-
nie na jego prośbę Aleksander oszczędził swych wro-
gów, ostatnio przysłał mu bogate dary, które Fokion
znowu odrzucił, nie może być przeto podejrzany o in-
teresowność.

Miał natomiast Arystoteles wątpliwości, czy Fokion
zechce zadośćuczynić prośbie. Dał się nakłonić do uży-
cia swego wpływu w obronie ojczystego miasta, czy
zechce go jednak użyć w obronie człowieka, z któ-
rym go nic nie wiąże, a którego rolę sam— być mo-
że — potępia? Arystoteles chciał wy badać, co Fokion
o sprawie wie i sądzi. Wolał jednak nie nawie-
dzać go w domu, by niepotrzebnie nie © Uradzać się,
z czym przychodzi, lecz upozorować przygodne spot-
kanie.

Fokiona nieczęsto można było spotykać w mieście.
Zdał się unikać ludzi, jeżeli nie siedział w domu, od-
bywał dalekie przechadzki na okoliczne wzgórza.
Tam byłaby najlepsza sposobność do rozmowy bez
świadków.

Arystoteles z dala już dostrzegł Fokiona siedzą-

cfigo w zadumie na szczycie Wzgórka. Zbliżywszy się, rzekł:

— Wybacz, że; przerywam ci rozmyślania.

— Mam da tego aż nadto sposobności — odpowiedział Fokion, — Nie wiedziałem jednak, że i ty lubisz samotne przechadzki.

— Ja nieczęsto mam sposobność;, zwłaszcza samofenie. Nachodzę się dość w Lykeion, bo jak wiesz, mam zwyczaj mówić chodząc. Pozostał mi z czasu, gdy w Nimfaion kształciłem Aleksandra i jego towarzyszy. Chłopcy potrzebują ruchu, stwierdziłem przy tym, że nich i zmiana otoczenia pobudza myśl, i ten nawyk mi pozostał.

— Tak. Przyzwyczajenia człowiek zmienia niechętnie i z trudem, gdy tymczasem zmienia się wszystko wokół niego. Dlatego na starość coraz mniej przystosowany jest do otoczenia i dlatego coraz bardziej samotny. >"

— O ile wiem, to jednak szukasz samotności?

— Raczej stronie od niemiłego towarzystwa.

— Mam nadzieję, że nie o mnie myślisz — uśmiechnął się filozof. — Niemniej gorycz przemawia przez ciebie.

— Można to i tak nazwać, choć ja się nie buntuję. Przyjmuję rzeczywistość taką, jaka jest, bo wiem, że nie mam na nią wpływu.

— Ty to mówisz, który w swym życiu dokonałeś wielkich czynów?

— Za młodu i ja sądziłem, że dokonuję wielkich czynów. A nię pozostało z nich nic.

— Chyba ich. nie doceniasz. Na starość zaś każdy traci siły, ale pozostaje mu doświadczenie.

— Z którego nikt nie korzysta. A nie tyle traci siły, ile uświadamia sobie ich brak. Czy nie ma słuszności Diogenes mówiąc, że niewielkie siły, jakie posiadamy, lepiej obrócić na doskonalenie samego siebie, a za prawdziwe męstwo uważa obronę swego wewnętrznego ładu przeciw każdej okoliczności ze-

wewnętrznej? Pytam retorycznie, bo wiem, że ty myślisz inaczej.

— Istotnie. Ale wymiana uczciwych myśli jest również korzystna dla obu stron, jak wymiana towarów w uczciwym handlu. Ja zapytam ciebie nieretorycznie: czy możesz sobie wyobrazić społeczeństwo złożone z samych Diogenesów, choćby najdoskonalszych? A przecież człowiek nie potrafi żyć poza społeczeństwem.

— Istotnie nie mogą, ale też i nie potrzebują. Przykład jednego Diogenesa świadczy dowodnie, że można żyć i doskonalić się poza społeczeństwem z jego zwyczajami i prawem. Muszę przyznać, że mu zazdroszczę, ale doszedłem do tego przekonania zbyt późno.

— Jedna jaskółka nie czyni wiosny, jest zaś rzeczą oczywistą, że ludzie nigdy nie żyli poza państwem, i to jest stan naturalny.

- Sądzę, że się mylisz, a w każdym razie nie potrafisz tego udowodnić.

— Rzeczy oczywistych udowadniać nie trzeba.

— Ale nie zaprzeczysz, że bez żadnego wyjątku każdy po dwakroć w życiu znajduje się w stanie naturalnym, w ścisłym, a nie umownym znaczeniu: gdy się rodzi, nic nie umie i nic nie posiada, i gdy umiera, zabierając z sobą to, czego się nauczył, a zostawiając wszystko, co nabył. W tym jest też jedynie prawdziwa równość i sprawiedliwość.

— Między urodzeniem a śmiercią leży jednak ^tacie, a w nim nie ma bezwzględnej równości i sprawiedliwości. Zresztą nawet jedni rodzą się do władzy, Jfilii do posłuchu. Czy widziałeś choćby drzewo, na fetorym wszystkie liście są jednakowe? Jest równość ze względu na ilość i ze względu na jakość, ta druga jest ważniejsza. A sprawiedliwe jest to, co dla ogółu pożyteczne.

— Pożyteczność jest także względna. Co więcej, twoje pojęcie ogółu jest względne. W rzeczywistości pbkrywa się z tą grupą ludzi, którzy dzierżą władzę.

Czy daleko od tego do doktryny Trzymacha: sprawiedliwe jest to, co czyni władca.

Arystotelesa niecierpliwiła jednak dyskusja. Nie zamierzał przekonywać Fokiona, lecz prosić o Wstawienictwo. Raz już nawiązał do Aleksandra, ale nic urwała się zaraz. Spróbował ją nawiązać na nowo:

— Nie wiedziałem, że tak można tłumaczyć moją naukę. Z tego, co mówisz, wynika tedy, że to, co czyni Aleksander, jest z nią zgodne. Nie rozumiem natomiast, jak możesz potępiać doktrynę Trzymacha, która jest uzasadnieniem tyranii, a jednocześnie przyjaźnić się z Aleksandrem, który wprowadza ją w życie. Nie rozumiem też, jak ty, który przez pół wieku byłeś strategiem, możesz uważać za sprawiedliwą równość bezwzględną. Czy możesz sobie wyobrazić wojsko bez dowódców?

— Nie mogę. Ale gdyby na świecie panowała bezwzględna sprawiedliwość, wojsko byłoby niepotrzebne. O ile wiem jednak, jako tyrana określasz jedy-nowładcę wyniesionego przez motłoch, a sam twierdzisz, że są ludzie, którzy rodzą się na władców. Takim jest chyba Aleksander, a władzę, jakiej nie miał nikt przed nim, osiągnął własną dzielnością. Dzielność jest i twoim zdaniem cnotą, a w niej nikt go nie przewyższa. Sam twierdzisz, że istniejące ustroje nie przedstawiają się zadowolająco. On tworzy nowy, jakiego jeszcze nie było, ocenimy go, gdy skończy. A obecnie cenię w nim to, że nieograniczonej władzy nie nadużywa, a nawet potrafi być wspaniałomyślny tam, gdzie by karać należało.

— Cieszę się, że cenisz go właśnie dlatego, a cieszyłbym się bardziej jeszcze, gdyby ocena twoja była trafna. Niestety, muszą wątpić. Może niegdyś tak było, ale władza nie skrupowana prawem wyrodnije szybko. Wiele trudu włożyłem w kształcenie umysłu Aleksandra, byliśmy w przyjaźni. A dziś nie mogę od niego oczekiwać nie tylko wspaniałomyślności, ale nawet zwyczajnej wdzięczności. Może słyszałeś o spisku chłopców królewskich? Antypater doniósł mi, że

król mnie przypisuje jego winą. Podejrzliwość jest cechą tyрана, który czuje, że wszyscy muszą go nienawidzić. Skatował i w kajdanach trzyma mego siostrzeńca, który był mi prawą ręką i jakby synem. Jeżeli chcesz dowieść, że Aleksander zdolny jest do przyjaźni/ i wspaniałomyślności, uzyskaj od niego, by zwolnił Kallistenesa.

Z niespokojnym wyczekiwaniem patrzył na Fokiona, który siedział chmurnie zamyślony. Zaczął:

— O spisku doniósł mi sam Aleksander. Niepotrzebnie mówisz ogródkami, odpowiem ci to samo, co bym rzekł, gdybyś mówił wprost: nie bądźmy zarozumiali, ani moja, ani twoja przyjaźń nie jest Aleksandrowi potrzebna. O sobie mogę przynajmniej powiedzieć, że również nie czerpałem z niej żadnych korzyści. Nie możesz też zaprzeczyć, że po to naraiłeś Aleksandrowi swego siostrzeńca, by przez niego wpływać na urzeczywistnienie swoich idei. Tego Aleksander nie mógłby mieć ci za złe, jak i ty jemu za złe mieć nie możesz, że on chce urzeczywistnić swoją. Sądzę jednak, że nie pochwalasz drogi, jaką dla osiągnięcia celu obrał Kallistenes, w każdym razie nie pochwalam jej ja. Karmił króla pochlebstwami, a jednocześnie Ichu! przeciw niemu. Gdybyż z dojrzałymi mężami, którzy wiedzą, co czynią! Z łatwowiernymi chłopcami! Zapłacili za to okrutną śmiercią; czy byłoby sprawiedliwe, gdyby tylko jemu uszło to bezkarnie? To, co czynił, to nie filozofia ni pedagogia, ale polityka. Uchodzi w niej wiele... temu, kto wygra. Nic temu, kto przegrał. Mówisz, że władza wyrodnije, to prawda. Dzięki takim, jak Kallistenes. Pochlebstwa wbijają w pychę, knowania budzą podejrzliwość. Ale żadna władza nie znosi zamachu przeciw sobie, zwyrodniała czy nie. Kto się go podejmuje licząc na wspaniałomyślność, gdy się nie uda, ten jest podły i głupi. Nie chciałem z tobą mówić o tej sprawie, bo rozumiałem, że jest ci przykra. Nie czekam też od ciebie, byś był sędzią własnego siostrzeńca.

— Dziękuję ci za szczerość i wyrozumiałość, mój

sąd jest jednak niepotrzebny. Zdawało mi się, że i my jesteśmy przyjaciółmi, wybrałeś przyjaźń Aleksandra. Nie dziwię ci się, ale i ty się nie dziw, że wraz z nim będziesz coraz bardziej osamotniony. Ja więcej twej samotności nie zakłóczę.

Arystoteles wstał i odszedł bez pożegnania. Fokion zadumał się: to prawda, kto nie postępuje tak jak wszyscy, musi być samotny. Wódz rozszedł się z własnym synem, poróżnił z zięciem, a przez niego oddalił od córki. Nie nauczy się mówić tego, czego nie myśli, a milczeć można tylko w samotności. Diogenes, do którego zbliżył się ostatnio, znów wywędrował gdzieś. On istotnie nie potrzebuje nikogo. Starość jest zresztą zawsze samotna, przygotowuje do ostatecznej samotności grobu. Ale młodość? Aleksander zawsze otoczony tłumem, niezrozumiały ani dla tych, którzy go nienawidzą, ani dla wielbicieli, jest istotnie sam. Od pacholęcia walczy o jakiś nowy świat, po stokroć narazając własne życie. Nie można go winić, że nie ceni cudzego, zwłaszcza życia tych, którzy stają w drodze do jego celu. Śmierć Pajfmeniona, najcięższy zarzut obarczający Aleksandra, uważał Fokion za tragedię. Gdzie jest walka, nie może być dwóch przywódców, gdzie walczą idee, ludzie się nie liczą. Ale Kallistenes? Co osiągnąłby, gdyby mu się powiodło rękami bałamuconych chłopców usunąć Aleksandra? Dowodem był straszliwy ucisk i nadużywanie władzy ze strony tych, którym król zlecił ją na czas swej wyprawy do Indii, gdy znowu przyszła pogłoska, że zginął, tym razem bliższa prawdy niż kiedykolwiek. Fokion zamyślił się. I on nie rozumiał Aleksandra. Nigdy nie szczydził swego życia, ale to, co teraz uczynił, zdało się szaleństwem lub chęcią, by go zbyć. Oblegając twierdzę Mallów, jak zwykle szedł na czele uderzenia i pierwszy wdarł się; na mury a wraz z nim Peukestas, Leonnatos i hypaspista Abreas. Pod pozostałymi załamała się drabina i garstka stała się celem gradu pocisków. Abreas ugodzony w twarz zaraz poległ, Aleksander jednak zamiast

cofnąć się zeskoczył do wnętrza warowni, a za nim wierni towarzysze, we trzech odpierając nacierające gromady wrogów, póki król, ugodzony strzałą w pierś, nie przykląkł. Grot, szeroki niemal na dłoń, wbił się w mostek i zranił płuca, a straszliwe uderzenie zważyło Aleksandra na kolana. Bronił się nadal, póki nie zemdlął z upływu krwi, a Peukestas i Leonnatos, obydwaj ranni, osłaniali leżącego, opierając się resztkami sił. Za cud można było uważać, że doczekali się nadejścia pomocy i nieprzytomnego Aleksandra wyniesiono na tarczach, a Makedonowie, rozjuszeni wieścią o rzekomej śmierci króla, do nogi wyrznęli wszystkich mieszkańców. Aleksander żył, lekarz jednak, który zmuszony był rozciąć ranę, by wydobyć pocisk, nie ręczył za jego życie, bo z rany wraz z krwią wydobywało się powietrze. Pogłoska o śmierci króla krążyła przez osiem dni, powodując w wojsku zupełne rozprężenie. Gromady wojowników domagały się groźnie dopuszczenia do króla, by się przekonać, czy żyje, zarzucając strategom, że ukrywają jego śmierć. Gdy dziewiątego dnia sam król ukazał się wojskom, straż z trudem zdołała zapobiec, by w szale radości, jak na widok zmartwychwstałego, nie roz-Watowano ledwo trzymającego się na nogach Aleksandra.

Wypadek ten wykazał przywiązanie wojsk do swego wodza, mimo wszelkich tarć i zarzutów — zarazem jednak, że nie brak takich, którzy czekają na śnięcie Aleksandra, by ze spadku po nim urwać, ile się da... Gdyby zginął istotnie, budowany przez niego świat pogrąży się w chaos. Wielu ustanowionych przez Aleksandra przed odejściem do Indii rządców niezliczonych ludów dawnej monarchii Dariusza odgrywać zaczęło rolę samodzielnych władców, zaciężnikami helleńskimi utrzymując w posłuchu gnębiącą i wyzyskiwaną ludność. Rynek najemników w Tainaron opróżnił się, dziesiątki tysięcy wygnańców z państw helleńskich odpłynęły do Azji ku uldze Helady, dla której stanowili zaczyn fermentu i groźbę

przewrotów. Rzadko i późno dochodziły do niej echa poczynań Aleksandra. Pogłoska o jego śmierci i tym razem okazała się fałszywa, jeszcze nie spełniła się nadzieja tych, dla których tylko lęk przed Aleksandrem stanowił hamulec żądzy władzy i chciwości. Nietrudno przewidzieć, jak będzie wyglądał świat, jeśli nadzieja ta raz się spełni. Arystoteles zaś z tytana, jakim jest Aleksander, umyślił uczynić obrońcą zmurszałego ładu, który zapewnić ma próżniaczym obywatelom państw helleńskich używanie zysków bez pracy. W nadmiernie szerokim i wypukłym czole filozofa nagromadziło się tyle wiedzy o tym, co było, że brakło miejsca na wyobraźnię, iż może być inaczej. Jego złoty środek jest w rzeczywistości ołowiany, utrzymać ma świat w bezruchu, który jest zaprzeczeniem życia.

Fokion siedział zamyślony, aż słońce pochyliło się, złotoróżowym światłem nasycając widne w oddali mury Akropolu, ostrymi cieniami podkreślając zarysy J^eg^o wspaniałych budowli. Znany od pacholecia, a nigdy nie spowszedniały widok odwrócił myśli Fokiona. Człowiek nie jest samotny wobec piękna, Z dala nie widać, że miasto jest brudne i zaniedbane. Jak urodziwa, ale głupia, swarliwa i niechlujna niewiasta; lepiej nie oglądać jej z bliska. Trzeba jednak wracać, zanim bramy zostaną zamknięte.

Fokion dźwignął się niechętnie i szybko schodził po stromym stoku.

Jak zwykle o tej porze, po ukończeniu dziennych zajęć, rojno było na ulicach Aten. Zachowanie gig tłumu jednak nie było zwyczajne. Panowało radosne podniecenie i z urywków rozmów Fokion bez trudu wymiarkował przyczynę: statek ze zbożem przybił do portu w Pireusie. Brak chleba dawał się we znaki, ale widocznie Demostenes, któremu zlecono zaopatrzenie miasta, umie przedstawić spełnienie swego obowiązku jako niezwykle osiągnięcie. Imię jego było na: wszystkich ustach, w rynku tłum zgromadził się większy niż zazwyczaj i zniecierpliwiony Fokion prze-

pychał się przez ciżbę. Chciał wyminąć napotkanego Demadesa, ale ten zatrzymał go pytając ironicznie: — Nie chcesz brać udziału w powszechnej radości?

— Cieszę się, że nie będzie głodu, ale gdybym nie wiedział, że zawinął tylko statek ze zbożem, myślałbym, że to zwycięskie triery spod nowej Salaminy. Każdy naród ma wielkich ludzi i wielkie zdarzenia na swoją miarę.

— Jesteś uszczypliwy, ale tym razem nie doceniłeś Demostenesa. Jak może wiesz, w skarbcu pieniędzy brak, a Demostenes przywiózł zboże za darmo. To jest nie całkiem za darmo — zaśmiał się — bo dostaje je od Harpalosa za Glykerę, którą po śmierci Pytionike uszczęśliwiło go nasze miasto. Żyjemy istotnie w niezwykłych czasach. Kto by pomyślał, że za dziewczkę, którą każdy mógł mieć w domu schadzek tej starej stręczycielki z Sinope za parę drachm, miasto otrzyma bezpłatnie zboże, a co więcej, zyszcze przychylność człowieka, w którego otwartej dłoni znajduje się skarbiec Achemenidów. Przyjdź jutro na zgromadzenie, mamy przyznać mu obywatelstwo, posąg oraz wieńce dla niego i Glykery, bo tego się domaga; jak również, by jej oddawano cześć jak królowej.

— Tym zaszczytniejsze staną się wieńce Demostenesa. Uczciwy człowiek jednak nie przyjmuje podarunków od złodziei, nawet jeśli jest głodny.

— To, co mówisz, odczułbym omal jako osobistą zniewagę, gdyby nie to, że ja nie jestem głodny i innie nie kupi za garść zboża, jak ten motloch, który raduje się na samą myśl o pełnym brzuchu. Ale powiedz, co by dziś miał u nas do czynienia Temistokles? A obacz, jak przydają się hetery: Tais omal nie została kochanką Aleksandra. Choć się jej nie udało, wziął ją Ptolemaios, najbliższy jego współpracownik. Antygonę po Filotasie odziedziczył Krateros, również wpływowy człowiek, dziesiątki i setki innych też obsadziły najważniejsze stanowiska. A te

przedstawicielstwa nie tylko nic nas nie kosztują, ale jeszcze przynoszą zyski. Dlaczego mamy im skąpić odznaczeń, jakimi miasto nasze zawsze obdarzało zasłużonych?

— Nie mam, jak ty, ochoty śmiać się z tego, że najlepsze, co u nas można znaleźć, to hetery.

— Czy nie lepiej śmiać się niż oburzać, skoro skutek będzie ten sam? Przypomnę ci, że gdy byłem młody, też walczyłem pod Cheroneą. Mam też jakiś wieniec za męstwo. Ale nie jestem tępy i uparty jak Hypereides i to jedno doświadczenie wystarczyło mi. Umiem sobie powiedzieć, że zeszlśmy na psy, i wyciągnąć z tego wniosek, że szkoda głowy pod miecz. Lepiej uwieńczyć ją i śpiewać Anakreonta. Mam jedno życie i chcę się nim nacieszyć bez względu na to, co się dzieje. I ty mógłbyś się cieszyć, gdybyś nie brał wszystkiego tragicznie. Ale może ucieszy cię choć to — ciągnął z kpina — że Harpalos przysłał trzydzieści talentów złota Chariklesowi na ołtarz i posąg Pytioniki jako Afrodyty. Miasto nasze zyszcze jeszcze jedną ozdobę, a zięć twój za jednym zachodem gruby majątek.

— Roztrwoni go, jak posag mojej córy, a zostanie mu hańba. Na dobitkę, gdy Aleksander wróci, gotów wezwać do odpowiedzialności nie tylko Harpalosa, który raz już sprzeniewierzył skarbiec, ale i tych, co korzyści ciągnęli z ukradzionych przez niego pieniędzy.

— Harpalos zapewne, jak za pierwszym razem, spodziewa się, że Aleksander nie wróci, i być może ma słuszność. W każdym razie zjedzonego nikt nikomu nie odbierze. Ale nie będę cię dłużej zatrzymywał, bo zapewne spieszno ci martwić się w samotności.

Nadzieje, że jeśli nawet Aleksander wróci, to nieprędko — osłabiły opór wojsk macedońskich, które odmówiły przeprawy przez Hyfasis (Beas) i dalszego marszu na wschód, niemniej późniejsze jego przedsięwzięcia pozwalały je jeszcze żywić. Pozostawiwszy

władzę nad zdobytymi w Indiach krajami Porosowi Aleksander Hydaspem spłynął do Oceanu Indyjskiego, zamierzając ziemią opłynąć dokoła i wrócić od zachodu przez Słupy Heraklesa . Potem przysła wieść, że postanowił wracać przez pustynię Gedrozi (Południowy Beludżystan). W podobnie zuchwałym przedsięwzięciu Semiramis i Cyrus wytracili całe wojska.

Aleksander jednak zdołał swoje przeprowadzić, stanął w Suzie i jął przywracać zburzony ład. Teraz wieści przychodziły szybko, a były groźne. Zawiedzione zaufanie karał bez żadnych względów. Posyłały się głowy przeniwierzonych dostojników, kto nie miał czystych rąk, unosił swoją przed gniewem króla. Zwolnieni na jego rozkaz najemnicy helleńscy, którym zezwolił na powrót do swych miast, falą runęli na kraj, znowu zawisła nad nim groźba przewrotów.

Zwłaszcza Harpalos nie mógł już liczyć na swe pokrewieństwo z Aleksandrem, jego młodzieńczą przyjaźń i wdzięczność za to, że stanął po jego stronie w czasie zadzierki z Filipem. Aleksander ufał mu tak, że gdy Harpalos po raz pierwszy zbiegł z powierzonym sobie skarbem, donoszących o tym król kazał uwięzić jako oszczerców. Potem nie tylko wybaczył sprzeniewierzenie, ale przywrócił mu urząd skarbnika, jedno z naiwyższych w państwie stanowisk.

Harpalosa, który był pośmiewiskiem towarzyszy, oszołomiła władza, odgrywać zaczął króla. Ułomny człowiek, który nigdy nie zaznał bezpłatnej miłości, powierzonego sobie skarbu używał dla zaspokojenia swych wyuzdanych żądz, doprowadzając rozpasanie do takich granic, że stały się błażństwem. Ateńczycy również wyśmiewali go, przezwisko „Pallides”, które mu nadano z powodu chwiejnego kroku, zjawilo się w komedii ateńskiej, co nie przeszkadzało Ateńczykom korzystać z jego hojności.

Teraz już Aleksander nie kazał uwięzić Teopom-

pa, który doniósł mu o nadużyciach Harpalosa, a ten nie oczekiwał pobłażania. Na wieść o powrocie króla zbiegł z Babilonu do Tarsu, gdzie w zbytkownie urządzonej pałacu królowała Glykera. Zabrał nałożnicę i córeczkę swą po zmarłej Pytionike, pięć tysięcy talentów złota, jakie miał pod ręką, i zakupiłszy trzydzieści statków załadował na nie sprzeniewierzone skarby oraz zwerbowanych najemników i pożeglował na Rodos.

Zarządzenia Aleksandra wywołały burzę w Helladzie. Aleksander zrzucił maskę jej hegemonia, głosił się następcą Achemenidów, żąda oddawania sobie czci boskiej. Wieść o tym uprzedziła przyjazd do Aten królewskiego posła, wywołując poruszenie. Mówcy i politycy znowu wypłynęli na powierzchnię. Rozprawiano nad żądaniem Aleksandra w rynku, na Pnyksie, w teatrze, w Lykeion, w Akademii, na ulicach, w gospodach i prywatnych domach. Przywódcy dawnych stronnictw znowu zbierali się, niezdolni powziąć postanowienia. Aleksander żądał uznania siebie za bóstwo uchwałą zgromadzenia ludu. Zachodziła obawa, że uchwała ta przejdzie, biedota nie zdaje sobie sprawy z jej skutków. Dla niej ubóstwienie oznacza tylko jeszcze jedną świątynię, na której budowę Aleksander dostarczy zapewne środków, jak w Delfach, na Pelos i gdzie indziej. Można będzie przy tym zrobić, a jedno więcej święto to sposobność do Kńbawy i spożycia kawałka mięsa na koszt państwa.

Jeszcze rozprawiano nad tym, gdy wieść o zezwoleniu na powrót wygnańców wprawiła miasto w gorączkę. Teraz każdy zdawał sobie sprawę z jego skutków. Trzynaste bóstwo zmieści się ostatecznie na Olimpie, ale tłumy wygnańców, stanowiące bez mała połowę ludności helleńskich państweczek, nie mieszczą się w przeludnionym kraju. Na dobitkę są to przeważnie najemnicy, na rozkaz Aleksandra zwolnieni

przez satrapów, chiliarchów i jego własne wojska. Wracali, już teraz stanowiąc groźbę dla miasta.

Ateny dawno nie były tak jednomyślne, mimo to jednak powzięcie postanowienia łatwe nie było. Za wisłe nad państwem niebezpieczeństwo przytłumiło waśnie, wspólnie uradzali niedawni wrogowie. Każdy jednak rozumiał, że widoki powodzenia miałyby tylko stawiany łącznie z całą Helladą opór. Helleńskiemu światu umożliwiały porozumienie się i zajęcie wspólnego stanowiska wobec samowoli Aleksandra, bez obudzenia czujności Antypatra, nadchodzące igrzyska olimpijskie. Niemal pięciowiekową już tradycją związane z nimi święte przymierze i pokój boży przypomnieć winny Helladzie, że jednością jest i w niej ongiś znalazła swą siłę, która pozwoliła oprzeć się perskiej potędze. Wymuszona jedność Korynckiego Związku w rzeczywistości nie istniała nigdy, a teraz łamie układ sam Aleksander.

Wszystkie oczy znowu zwracały się na Demostenesa, który wybrany architektem na igrzyska olimpijskie, znalazł się w swoim żywiole. Nocami przygotowywał przemówienia, jakie zamierzał wygłosić w Olimpii, we dnie brał udział w naradach, czy to gromadnych, w gospodach, czy najczęściej we własnym domu, nie wszystkie bowiem jego pomysły nadawały się do powszechnej wiadomości.

Posel Aleksandra na olimpiadę, Nikanor ze Stagiry, był ziomkiem Arystotelesa, z którym ongiś pozostawał w zażyłości. Wiadomo już było, że Kallistenes zgnął na wszawicę w kajdanach Aleksandra. Nędzną śmierć siostrzeńca musiała położyć ostateczny kres przyjaźni filozofa z królem. Arystoteles przez swych uczniów miał wpływy i zwolenników w całej Helladzie, należało wy badać, czy i jak dalece zechce ich użyć przeciw Aleksandrowi. Powtarzające się zamachy na życie króla, rosnący opór wojsk świątyni, czyły, że nie brak mu wrogów nawet w najbliższym otoczeniu, i budziły śmiałe nadzieje. Los natomiast, jaki spotkał spiskowców nakazywał najwyższą ostrożność

Pomijam, że z naszą stratą przechwyciła je Aleksandria. Teraz utracić mamy nie tylko cały zysk, jaki mógł przypaść nam dzięki upadkowi Tyru, ale odcięci zostaniemy od Azji Mniejszej. Na zubożałe miasto nasze zwali się fala wygnańców przysparzając nam kłopotów, a ponadto tysiące naszych kleruchów osiadłych na Samos, gdy uchoźić im przyjdzie przed wracającymi Sami językami, którzy nie tylko wyzują ich z mienia, ale będą pomsty szukać za wygnanie. Zamiast oparcia dla naszej floty będziemy na Samos mieć wroga. Łamiąc układ koryncki, Aleksander obraża Dzeusa Horkiosa, na dobitkę ten bluźnierca siebie uznać każe bogiem, którego samowola ma być dla nas prawem.

— Rozumiem, jakie będą skutki tego zarządzenia, ale dlaczego mi o tym niówisz?

— Bo z tobą Aleksander się liczy. Mógłbyś uzyskać jeżeli nie cofnięcie zarządzenia w stosunku do nas, to przynajmniej odroczenie wykonania. Po dwakroć zdołałeś go nakłonić, by nie niszczył Aten, choć wówczas byliśmy z nim w wojnie. Utrata Samos to dla nas ruina.

Gdy Fokion nie odpowiadał, Likurg podjął:

— To prawda, że miasto nasze nie okazało ci wdzięczności za swe ocalenie, ale przecież ty sam powiedziałeś, że me potrzebujesz naszych odznaczeń. Pamiętają ci jednak przysługę wszyscy uczciwi ludzie i kiedyś posąg twój stanie na agorze obok posągów innych dobroczyńców miasta.

— Starczy mi posąg przy Drodze Świętej — odparł Fokion — jeżeli choć ten będę miał, bo skazańców tam się nie grzebie.

— Czy dlatego, że Demostenes w klótni zagroził ci śmiercią, chcesz zguby naszego miasta?

— Nie. Nie dlatego odsunąłem się od spraw publicznych, czy też on odsunął mnie od nich, bym mieszał się w nie wbrew swpmu przekonaniu,

— Nie rozumiem ciebie, Przyznajesz przecie ,że wiesz, jakie będą skutki zarządzenia Aleksandra

Czy tak chcesz mi odpłacić za to, że prowadziliśmy politykę nie po twojej myśli?

— Tak będzie to tłumaczył twój przyjaciel Demostenes. Wobec niego nie traciłbym słów, by wyjaśnić swoje stanowisko, ale tobie odpowiem. Czym twoim zdaniem miałbym uzasadnić wobec Aleksandra prośby, by wygnańcy nadal pozbawieni byli ojczyzny? Czy tym, że ci, którzy ich wygnali ze względów osobistych czy politycznych, nie mają ochoty zwracać wygnańcom zagrabionego mienia?

— Wygnańcy w końcu niechby nawet wrócili — powiedział Likurg niepewnie — choć miasto będzie się trzęsło od swarów i procesów. Ale co mają uczynić kleruchowie z Samos? Attyka ich nie wyżywi. Czy mają iść na tułaczkę, pozbawieni ojczyzny i mienia?

— Czy Samos to nasza ojczyzna? Siłą zajęliśmy wyspę i siłą wygnali Samijczyków. Czy pytał ich kto, dokąd pójda i z czego będą żyli?

— Przyjęto ich w Zankle, a oni z wdzięczności ii, a gościnnie wygnali autochtonów. Tak mówisz, jakbyś nie był Ateńczykiem i nie brał udziału w zajęciu Samos.

— Brałem.' Gdy mieliśmy siłę, nie wahał się jej użyć wobec słabszych. Nikt i nigdy w Helladzie nie wahał się tego czynić. Zarzut przeciw Aleksandrowi sprowadza się do tego, że jest najsilniejsza. Czy nie mieszaliśmy się w sprawy Macedonii, **gdy** leżała w prochu po śmierci Perdikkasa? Łamiąc układy z Aleksandrem nie zważano, że to obrazk Dzeusa Horkiosa. Przekazując Aleksandrowi orzecznS nie w sprawie Sparty, sami upoważniliście go do mieszania się w wewnętrzne sprawy Hellady. To jest ta uczciwa i mądra polityka, za którą uwieńczyliście Demostenesa.

— Czy ty nigdy nie popełniałeś błędów? Kio mógł przewidzieć, że Filip stanie się potęgą, Aleksai-der zaś pokona Dariusza i całemu światu narzucić będzie swą wolę?

— Ale tylko za błędy dzieci kto inny musi ponosić

odpowiedzialność. Polityk, który je popełnił, powinien co najmniej odejść. Strategów, którzy przegrali, umiście skazywać na śmierć. Gdy Diogenes przepowiedał wam, że w Atenach stanie świątynia Aleksandra, chcieli go obić ci, którzy teraz pokornie to uchwalą.

— Bogowie nie dopuszczają do tego — zaperzył się, Likurg — i ukarzą tego bluźniercę tak, jak pokarali jego ojca. Ty nie możesz darować mnie, że spowodowałem zasądzenie Lizyklesa, a Demostenesowi, że ci śmiercią zagroził. Stajesz się mściwy i zgryźliwy. Ale co tobie zawinili samijscy kleruchowie, że mogąc im oszczędzić losu, na jaki skazuje ich, samowola tyrana, nie chcesz go odwrócić?

— Jest dla nich dość miejsca w zdobytych przez Aleksandra krajach i zakładanych przez niego miastach.

— Wiesz dobrze, że tam byliby od niego zależni, a dla nas straceni. A przede wszystkim stracona Samos, gdy my już dusimy się w naszych ciasnych granicach. Jesteś przyjacielem Aleksandra, ale wrogiem własnej ojczyzny.

— Likurg wzburzony wstał i wyszedł. Fokion z politowaniem pokiwał głową: wszyscy są winni upadku Aten z wyjątkiem tych, którzy do niego doprowadzili... Słusznie jednak przestrzegał Demades Fokiona, by nie mówił tego, co myśli, bo mnoży sobie wrogów" i „lud ateński kiedyś go straci, jak mu przepowiadał Demostenes. Ale od czasu gdy stracono Sokratesa, śmierć z wyroku sądowego przestała być w Atenach hańbą, a jej tylko obawiał się stary wódz. Urodził się w Atenach i ta chce umrzeć, obojętnie, jaką śmiercią.

Olimpiada, święto jedności i pokoju, nie zapowiadają się spokojnie, a również jedność była wątpliwa; Zarządzenie Aleksandra nie w równej mierze zagrażało interesom państw helleńskich, skutki oporu natomiast jednakowo groziły wszystkim. Mimo że termin igrzysk sto czternastej olimpiady przypadał póź-

no, Demostenes na czele ateńskiej theorii przyśpieszał wyjazd, by przed ich rozpoczęciem rozejrzeć się w nastrojach innych państw.

Choć zarządzenie powrotu wygnańców ogłoszone miało być dopiero na igrzyskach, wiadomość o nim zdążyła się rozejść i Demostenesa już w drodze ogarniało zwątpienie, czy uda mu się zorganizować opór. Minąwszy Istm Koryncki raz za razem spotykał gromady ludzi, wbrew prawu ciągnących do Olimpji z bronią w rękę. Byli to zwolnieni na rozkaz Aleksandra najemnicy azjatyckich satrapów i chiliarchów lub niedobitki zaciężników Dariusza i zwolnieni z wojsk Aleksandra. Znaleźli się bez środków utrzymania, rozkaz króla natomiast dawał im nadzieję powrotu do ojczyzny, której nie pozwolą sobie odebrać.

Po przybyciu na miejsce wątpliwości Demostenesa wzmogły się jeszcze. Nad Alfejosem i Kladosem obozowało już kilkanaście tysięcy zbrojnych ludzi. Zdać się mogło, że cały rynek najemników z Tainaron przeniósł się do Olimpji. Wałesali się wszędzie, zuchwali i niekarni, burząc ład i tak trudny do utrzymania w zbiegowisku ludzkim.

Gdy Demostenes udał się do prytaneion, by zgłosić przybycie ateńskiego poselstwa, zastał tylko jednego z hellanodików. Dostojny starzec w purpurowej szacie, na której tle srebrem świeciła jego broda, na prośbę o wyznaczenie odpowiadającego godności i znaczeniu Aten miejsca na obóz odparł z goryczą:

- Nikt i nic nie ma już w Helladzie godności i znaczenia. Cóż stąd, że wyznaczę ci miejsce na obóz, gdy rozpasane żołdactwo burzy wszelki porządek. Nie zważają na zarządzenia nomofilów, obozują gdzie i jak im się podoba. Ku zniewadze Dzeusa Areiosa nie dość, że przybyli tu z bronią, ale wchodzi z nią do Altis, a nawet do świątyni ojca bogów i ludzi. To już dwudziesta olimpiada za mego żywota ale wolałbym jej nie dożyć.

- Nie ważyliby się tego czynić — odrzekł Demostenes - gdyby nie czuli poparcia tyrana. To on zburzył nasz odwieczny ład, by swój wprowadzić a to są jeno skutki,

— To prawda, ale i my nie jesteśmy bez winy. Gdy ongiś Kserkses zażądał od Hellady ziemi i wody, choć i wówczas znaleźli się zdrajcy i służalcy, reszta okazała dość męstwa i siły, by się oprzeć żądaniu despoty. A dziś? Gdy Aleksander zażądał uznania go za boga, wiele państw bez sprzeciwu ustąpiło. Bóg nie układa się ze swymi wyznawcami. Ten nakaz powrotu wygnañców to dopiero początek rządów despoty. Etolii, Arkadii, Sparcie i Achai zakazał ludowych zgromadzeń. To już nie mieszanie się w ich wewnętrzne sprawy, ale w ich ustrój. Na równi z barbarzyńcami mamy być jedną więcej satrapią odnowionego państwa perskiego. Nawet nie satrapią, ale jej częścią, a władzę nad Hellenami sprawować będzie Antypater, który nami gardzi i nienawidzi nas.

Wylew gorczy starca przerwał Demostenes mówiąc:

— Może zbyt czarno patrzysz na rzeczy, cztigodny; Ateny jeszcze się nie ugięły. Sparta, Arkadia i Achaja więcej, niż inne państwa mają powodów, by sprzeciwić się samowoli. Tym bardziej Etolia. Dla niej powrót wygnanych Oliadów to nie tylko groźba zupełnego przewrotu, ale w odwecie wygnańcy gotowi zburzyć Thermon. Antypater zaś nie jest tak silny, jak się może zdawać, ale o tym mówić przedwcześnie.

Starzec pokiwał głową.

— Jeśli liczysz na Etoię, to przeliczyłeś się, Mam wieść, choć nie sprawdzoną, że zawarła tajny układ z Antypatrem: za dostarczenie mu wszelkiej żądanej pomocy, on w zamian nie zezwoli na powrót wygnañców. Jak ongiś Filip, helleńskimi rękami dławić będzie helleńską wolność.

- I ta wiadomość nie jest tak zła, jakby się zdało - powiedział Demostenes w zamyślaniu. — A czy

prawdziwa, przekonamy się po ogłoszeniu rozkazu przez Nikanora.

— Ja niczego dobrego się nie spodziewam, ale nie dziw się. Dla mnie igrzyska są zwierciadłem Hellady. Ongiś były pokazem jej tężyzny i piękna. A dziś? Oto cała jej tężyzna — wskazał widny z dala obóz najemników nad Alfejosem — gotowa zwrócić się przeciw każdemu za pieniądze, tymczasem przeciw swoim, popierając przez to roszczenia tyrana. A zawodnicy? Spójrz na posągi dawnych olimpioników, na postaci zdobiące tympanony świątyni Dzeusa, którym służyli za wzór. Harmonijne piękno swych młodych ciał nieśli tu ongiś z dalekich stron na własnych nogach, uskrzydłonych żądzą zmierzania się W szlachetnej walce o wieniec ze świętej, oliwki. A popatrz na te zwały mięśni, jadące tu na Wozach jak kaleki lub starcy, w otoczeniu trenerów, lekarzy, kucharzy i pośredników w handlu ich ciałami, którzy pielęgnują ich jako ciężko chorych, wydzielają, a nawet próbują ich pożywienia, by ich ustrzec przed otruciem przez współzawodników, bo dobry każdy sposób osiągnięcia zwycięstwa, które oznacza majątek. Olimpijska przysięga stała się drwiną z bogów. ;A widzowie? Na zawody w biegach, skokach i rzutach mało kto się zjawi, bo zakłady bywają niskie i nie ma krwi. Ci, którzy własnej nieskłonni już przelewać, żądni są widoku cudzej. Pięściarstwo, wolne zapasy zawsze nią plamią święty stadion, nie: rzadko wynosi się z niego trupa. Obrzydzenie mnie bierze, gdy wieńczę głowy tych olimpioników, zeszpcone od uderzeń, z wybitymi zębami, połamanymi nosami, poobrywanymi uszami. To są herosi dzisiejszej Hellady!

Demostenes z ukrywanym zniecierpliwieniem siuchał wylewu gorczy starca. Nie przyjechał tu, by oglądać zawody. Myślał pracować już, jak wykorzystać wiadomość o układzie Antypatra z Etolia. Jeżeli prawdziwa, to oznacza, że Antypater spodziewa się Odwołania ze stanowiska wielkorządcy, a ustąpić nie

zamierza, zapewne obawiając się losu Parmeniona. W tym położeniu śmierć Aleksandra byłaby na razie nie w porę, tym bardziej że zawiadomienie go o skierowanym przeciw niemu układzie powinno go przychylnie do Aten usposobić.

Demostenes wolałby przed ogłoszeniem zarządzenia rozmówić się z Nikanorem, ale nie było go jeszcze w Olimpii, a zjazd dopiero się rozpoczynał. Należało szybko zająć najdogodniejsze miejsce pod obóz na zalesionym stoku Wzgórza Chronosa, u którego stóp leżał Święty Okręg. Drzewa chroniły przed palącymi promieniami słońca, do studni kilkadziesiąt kroków, nie trzeba chodzić do Alfejosu, którego wody uszczuplone długotrwałą suszą na dobitkę zanieczyszczone były przez gromady kąpiących się, pojone i pławione bydło ofiarne i konie wyścigowe; na stadion niedaleko, a pizede wszystkim do prytaneion, gdzie każde poselstwo zgłaszać musiało swe przybycie.

Zbliżała się trzecia pełnia po letnim przesileniu, a z nią dzień rozpoczęcia igrzysk. Tłumy rosły z każdym dniem, poselstwo Etolii jednak nie przybywało, co zdało się potwierdzać zawarcie przez nią tajnego układu. Nie przybywał też Nikanor, zapewne zamierzając zjechać dopiero na zakończenie igrzysk, by uniknąć nagabywań. Wielu czekało na niego i zawody rozpoczęły się, nie budząc zwyczajnego zainteresowania.

Demostenes wcale nie był na stadionie. Sam cherlawy, nie lubił cudzej sprawności, a mierzył go widok krwi. Natomiast przed rozpoczęciem zawodów i po ich ukończeniu wałęsał się wśród tłumów, nasłuchując rozmów. Bez przerwy niemal rozprawiano nad zarządzeniem; którego sama zapowiedź stanowiła przysłowiowy kij w mrowisku, budząc wprawdzie sprzeciw, ale nie chęć oporu. Powszechnie też żalono się na postępowanie Antypatra, ale skargi u króla osznaczały zarazem uznanie nadrzędnej władzy Aleksandra.

Demostenes rozmyślał; co mu począć wypada

w zawiłym położeniu. Aleksander wykorzystuje istniejące w Helladzie przeciwieństwa, zbrojny opór nie zda się na nic. Ale przeciwieństwa pogłębiają się tej w otoczeniu króla. Demostenes na równi ze wszystkimi mi oczekiwał przybycia Nikanora, a tymczasem upałną porę dnia spędzał przeważnie w chłodzie świątyni Dzeusa Olimpijskiego. Olbrzymi posąg ojca bogów i ludzi, ze złota i kości słoniowej, ze skrzydlatą Nike Jia ręką, wypełniał trzecią część świątyni, w półcieniu rozjaśnionym jedynie światłem wpadającym przez bramę wejściową. Na tle posadzki z czarnego marmuru zdał się unosić w przestrzeni i promieniować własnym blaskiem; jego majestat i potęga budziły w zapadłej piersi mówcy pobożny lęk, a wraz z nim nadzieję, że Gromowładny nie pozwoli bluźniercy, który głosi się jego synem, odebrać sobie władzy nad światem i wierne plemię helleńskie zrównać z barbarzyńcami. Pycha Aleksandra sięga już niebios. Nienawiść do niego, tłumiona przez strach i wyrachowanie, znajdowała ujście w modlitwie, by bogowie zniszczyli pyszałka.

Igrzyska miały się ku końcowi, gdy wreszcie nadjechał Nikanor i wraz ze swym orszakiem stanął w buleuterium. Budynek Rady oblegały tłumy podnieconych wygnańców, przez które nie można było docisnąć się do królewskiego posła. Nie przyjmował zresztą nikogo, zapowiedział natomiast, że nazajutrz rano ogłosi pismo Aleksandra.

Dniało dopiero, gdy już kto żył ciągnął na stadion. Nawet zjawienie się Temistoklesa po salamińskim zwycięstwie nie wywołało takiej burzy oklasków, jaka powitała Nikanora. Demostenes słuchał ich z goryczą. Niemal połowę zgromadzonych stanowili wygnańcy. Dla nich złamanie przez despotę układów oznacza powrót do domów i odzyskanie mienia.

Okrzyki przeszły w gwar, gdy Nikanor w towarzystwie uwieńczonego herolda wystąpił na środek stadionu. Wręczył mu papirus, który herold rozwinął, i cisza zapanowała taka, że słychać było szelest liści

poruszanych na drzewach porannym powiewem. Wyraźnie i dobitnie leciały słowa:

Król Aleksander wygnańcom miast helleńskich pozdrowienia. Waszemu wygnaniu nie my jesteśmy winni, ale chcemy spowodować wasz powrót, wyjąwszy zbrodniarzy. Dlatego nakazaliśmy Antypatrowi, by te miasta, które będą się wzdragały was przyjąć, zmusił do tego.

Wrzask, jaki uderzył w niebo, zanim przebrzmiały ostatnie słowa herolda, świadczył, że wygnańcy nie zamierzają czekać, aż poszczególne miasta zajmą stanowisko wobec jawnego mieszania się w ich sprawy. Król nawet nie do nich skierował swe pismo, jakby zbędna była ich zgoda. Wśród radosnego gwaru tłum wygnańców rozpływał się, widocznie spiesząc, by skorzystać z zezwolenia tyrana.

Szczęściem wygnańcy z Samos nie mogą tego zaraz uczynić. Trzeba o knowaniach Antypatra z Etolczykami zawiadomić króla, jednocześnie, by zyskać na czasie, przekładając prośbę o odroczenie wykonania zarządzenia. Jeśli król odwoła Antypatra, sprawą powrotu wygnańców pójdzie w odwłokę. Gdyby rządy objęła Oliinpias, Demostenes pewny był wygranej.

Zjawił się u Nikanora, gdy ten zbierał się, do wyjazdu z pustoszejącej Olimpji.

— Czy wracasz już do Azji? — zapytał. — Szkoda, że przyjechałeś tak późno i nie rozmawiałeś z nikim. Byłbyś mógł donieść królowi, co Hellada sądzi o jego zarządzeniu.

— Czy to nie są Hellenowie, którzy je powitali z zapalem i wdzięcznością? — zapytaniem odpowiedział Nikanpr. — A może chcesz mi oznajmić, że Ateny nie zastosują się do niego?

— O tym chciałem z tobą pomówić. Sądzę, że nie jecteś tylko posłańcem, który doręczyć miał pismo heroldowi do odczytania. Rozumiesz sam, że odwołanie wygnańców to sprawa wewnętrzna Hellady, a król postępuje tak, jakby nawet nie potrzebował nas zawiadamiać o swym postanowieniu, opornym natomiast

grozi użyciem siły. Czy to nie on kazał uznać za zdradę naruszenie powszechnego pokoju?

— Czy mówisz to do mnie jako do posła, bym to królowi powtórzył?

— Nie. Mówię do ciebie jako do Hellena i przyjaciela Arystotelesa, któremu za jego naukę król zapłacił okrutną i haniebną śmiercią jego siostrzeńca.

— Tedy nie wiem, po co. To prawda, że Aleksander wolę swoją uważa za prawo, ale cóż ja mogę na to poradzić? Że zaś karze zamachy na swe życie, co dziwnego? Tego nikt nie lubi.

— Nikt też nie lubi naruszania swych praw i to jest i będzie przyczyną zamachów, a zabójca tyrana może być pewny wdzięczności i pomocy wszystkich miłujących wolność.

— Dziękuję ci, że mi ufasz, iż tego królowi nie powtórzę, ale raczej nie kończ.

— Źle mnie rozumiesz — powiedział Demostenes widząc, że chybił — ale zaraz ci wyjaśnię. To co ty i ja myślimy o postępowaniu króla, to nasza snrawa.

Że Aleksander ciąży całemu światu, tego nikt nie zaprzeczy, ale ja nie przychodzę tu imieniem całego Świata, lecz Aten. Jako polityk liczę się z tym, że Aleksander żyje, że na zbrojny opór teraz nas nie stać a wykonanie królewskiego zarządzenia oznacza dla nas utratę wyspy Samos. Spróbuj wyjednać u niego by cofnął je w stosunku do Aten, ja zaś odpłacę mu cenną wiadomością. I ty możesz być pewny naszej wdzięczności, na zadatek której przyjmij ten puchar pięknej złotniczej roboty.

Nikanor z wahaniem wziął podarunek.

— Nie wiem, czy mogę to przyjąć, bo otwarcie powiem, że choć chętnie bym oddał wam przysługę. Wątpię, by moje wstawiennictwo odniosło skutek. Za Samijczykami wstawiał się już metalleuta i zbrojmistrz Aleksandra Gorgas z Jazos, a król przyrzekł mu, że nakaze wam oddać im wyspę. Czy twoja wiadomość będzie dla króla tak cenna, by zmienił postanowienie, wątpię, bo nie zwykł tego czynić.

— W każdym razie tobie ułatwi wstawiennictwo, gdy okażemy przychylność dla króla, dlatego powiem: dla Etolii zarządzenie jest jeszcze groźniejsze niż dla Aten, a nie przysłała tu nawet poselstwa, by próbować uzyskać choćby odroczenie. Wiesz, że Aleksander nakazał Antypatrowi surowo ukarać Etolczyków za zburzenie przyjaznych królowi Oiniadów. Antypater nie wykonał rozkazu i nie wykona, bo zawarł z nimi układ przeciw królowi, obawiając Się, że mu odbierze rządy w Macedonii.

— To może być prawda — powiedział Nikanor z namysłem. — Słyszałem, że król ma wezwać Antypatra do Azji, a na jego miejsce przysłać Kraterosa. Doniosę o tym i przedłożę waszą prośbę. Choć Sie spodziewam się przychylniej odpowiedzi, może uzyskacie zwłokę. Byłoby jednak dobrze, gdybym mógł jednocześnie donieść, że uchwaliliście oddawanie mu czci boskiej. Nie zwykł powtarzać rozkazów ani okazywać względów opornym. Gotów polecić swym satrapom w Azji Mniejszej natychmiast opróżnić Samos z waszych kleruchów.

— Wyjaśnij królowi, że zwłokę nie myśmy zawnili. Skoro domaga się uznania za boga uchwałą zgromadzenia ludu, musimy ją przygotować, by uzyskać pewność, jak ona wypadnie. A wiesz, że nieraz starczy jedno słowo, by lud zmienił nawet już powzięta zdanie.

— Wiesz jednak, że cierpliwość nie jest cnotą Aleksandra, on zaś wie, że ty umiesz przekonywać tłum. Dlatego radzę rychło to przeprowadzić, także w twoim własnym interesie.

- Zapewnij króla, że będę się starał, ale i on wie, że w Atenach więcej jest takich, którzy potrafią przekonywać tłum.

Ateny były jednym z ostatnich państw helleńskich, które jeszcze nie uchwaliło ubóstwienia Aleksandra. Namiestnik królewski, Filoksenos już się nie-

cierpliwili żądając odpowiedzi. Demostenes jednak niezbyt spieszył się z powrotem, wołał, by rzecz została rozstrzygnięta bez jego udziału. Nie tylko na skutek wewnętrznego sprzeciwu, ale i dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż oznaczałoby to jego zgodę na zupełne uzależnienie Aten od woli Aleksandra. Jeśli kiedyś położenie się odmieni, wrogowie nie omieszkają przypomnieć, że głosował za tym, straciłby latami wypracowywane zawołanie niezłomnego obrońcy wolności. Przemawiając zaś przeciw ubóstwieniu Aleksandra naraziłby się nie tylko królowi, ale i Olimpiadzie. Boskość Aleksandra to jej pomysł, ale gdy sam Aleksander niezbyt zdał się w nią wierzyć, to Olimpias wierzy w nią na pewno, a nie daruje nikomu, kto by się ważył zaprzeczyć jej urojeniom. Wprawdzie poparcie Aten może jej być nadal potrzebne, skoro król na miejsce Antypatra powołać zamierza Kraterosa, z którym Olimpias zapewne również walczy, jeśli się jej nie podporządkuje, le rozsądek nie grał w jej poczynaniach żadnej roli. Usunięcie od władzy Antypatra byłoby w każdym razie korzystne dla całej Hellady, byle tego doczekać. Rozważania Demostenesa przerwał widok wyłaniających się na widnokręgu wzgórz, na których rozłożyły się Ateny. Po dłuższej nieobecności zawsze przejmował mowę wzruszeniem i dumą. Nie ma i nie może być piękniejszego miasta. Gzuł się z nim zrosnięty duszą i ciałem i szczerze przekonany, że to miłość ojczyzny granicząca z ekstazą. Nie umiałby żyć poza nią, gardził takimi, którzy — jak Diogenes — nie zakorzeniają się nigdzie. Nie zastanawiał się jednak nad tym, że rozkaz Aleksandra przywraca ojczyznę wygnańcom, którzy również poza nią żyć nie mogą czy nie chcą. Pośpieszał teraz. Spodziewał się, że sprawa ubóstwienia nie udaremni jego zabiegów o zwłoka w sprawie powrotu wygnańców.

Rozczulając się własną gorliwością w służbie publicznej, ledwo powitawszy żonę i dzieci, Demostenes udał się do prytaneion, by zaraz zdać sprawę z wyni-

ków swego poselstwa, już w drodze jednak od napotkanych znajomków dowiedział się, że nieprzejednani potrafili dotychczas odwlekać powzięcie uchwały, tak że Filoksenos zapowiedział, iż dłużej czekać nie będzie. Dalsza zwłoka byłaby równoznaczna z odmową, wobec czego postanowiono zwołać nazajutrz zgromadzenie ludu. Hypereides potrafił wymóc, że termin wyznaczono na godziny popołudniowe, tak by udział wziąć mogli także wieśniacy z podmiejskich demów. Liczy na to, że pobożni i nieprzychylni wszelkim nowościom chłopci głosować będą przeciw ubóstwieniu, gdy miejski motłoch natomiast nieskłonny jest narażać swych interesów w obronie bogów.

O roznamiętnieniu walką świadczyło, że od samego rana nikt w Atenach nie brał się do zwyczajnych zajęć, panowało podniecenie, wszędzie wrzały spory. Demostenes jednak postanowił nie mieszać się do nich. Likurgowi, który na wieść o jego powrocie przybiegł zapewne z zamiarem nakłonienia go, by był rzecznikiem odmowy, kazał powiedzieć, że spi znużony podróżą. Ale czuwał, nakazawszy siostrzeńcem donosić sobie o panujących w mieście nastrojach. Wynik wciąż był niepewny, wniosek o ubóstwienie postawić ma Demades, przeciwników mu nie braknie. Demostenes już obmyślił rolę, jaką zamierzał odegrać.

Że rozprawa będzie gorąca, można było przewidzieć już w drodze na Pnyks. Rynek nie pomieściłby ciągnących na zebranie tłumów. Koło mównicy zgromadzili się już rzecznicy obu stron, czekając, kiedy herold wezwie do zabierania głosu. Demostenes przyszedł późno i z wolna przepychał się ku niej, Ustępowano mu z drogi, zachęcając do zajęcia stanowiska po jednej czy drugiej stronie. Zbywał podszepty zdawkowym uśmiechem i zatrzymywał się opodal, czekając na rozpoczęcie przemówień. Liczył na to że długoletnie doświadczenie pozwoli mu z zachowania się tłumowi przewidzieć, jaki będzie wynik głosowania, i do tego dostosować swe przemówienie od którego uchylić się nie może, jeśli nie chce utracić znaczenia.

Z niechętnym zdziwieniem dostrzegł siedzącego u stóp mównicy Diogenesa. Znowu przywłókł się skądś, a sama jego obecność drażniła i krępowała Demostenesa, zmuszając do ograniczania patosu, którym najłatwiej było grać na uczuciach tłumu. Wypędek nie zamierza wracać do swej ojczystej Synopy, nic wzniosłego ni świętego nie ma dla bezwstydnego kpiarza. Herold, który wzywał do zabierania głosu, odwrócił uwagę Demostenesa ku mównicy, na której ukazał się Demades. Czekał przez chwilę, by umilkł szmer, a gdy ucichło, zaczął:

— Zebraliśmy się, by wreszcie rozstrzygnąć pytanie, czy Aleksander godny jest ubóstwienia, czy nie. Ponieważ od miesięcy o niczym innym nie mówi się, każdy z was zapewne ma już wyrobione zdanie, wysłuchawszy wszystkiego, co można powiedzieć za i przeciw temu. Widzę tu wśród zgromadzonych i przeciwników ubóstwienia Aleksandra, sam jestem Ciekaw, co nowego mają jeszcze w tej sprawie do posiedzenia. Dlatego nie będę nadużywał waszej i ich cierpliwości uzasadniając swój wniosek. Jako wnioskodawcy służy mi zresztą jeszcze głos na końcu i uzasadnię go, gdyby zaszła potrzeba, o czym wątpię. Wnoszę o uznanie Aleksandra za syna Dzeusa-Ammonia, wcielenie Dionizosa, o wybudowanie mu świątyni i ustanowienie kapłana jako trzynastemu bóstwu olimpijskiemu.

Gdy Demades skończył, szmer przeleciał przez zgromadzony tłum. Umilkł, gdy na mównicę wstąpił z kolei Hypereides. Twarz jego, zazwyczaj ironicznie uśmiechnięta, miała wyraz zacięty. Milczał przez chwilę, widocznie nie chcąc zdradzić wzburzenia, i zaczął drwiąco:

— Mógłbyś, Demadesie, jeszcze krócej sformułować swój haniebny wniosek, a za uzasadnienie starczy, że Aleksander ci za to zapłacił. Pomijam, że żądanie Aleksandra jest obelgą dla bogów; niechaj sami ukarzą bluźniercę. Ja bronię resztek godności naszego państwa, bo tylko pies liże nogę, która go kopie.

Prawda, że o tym mówi się u nas dość długo, by każdy zdawał sobie sprawę, że to bezczelne żądanie despoty ma na celu poniżenie nas do samego dna. Czemuż bowiem nie kazał się uznać za boga we własnym kraju? Bo wie, że tam by go wyśmiano. Nie wiem, co uchwalicie. Przekupni demagogowie, wykorzystując wasze tchórzostwo i głupotę, doprowadzili do nie? jednej już haniebnej uchwały, że wspomnę tylko o wieńcach i posągach dla Filipa, Aleksandra, a na - wet Demadesa — godnych siebie dobroczyńców naszego państwa! I przypomnę, że po śmierci Filipa zburzyście jego posąg na wniosek Demostenesa, który wówczas nazwał go pomnikiem hańby naszej ojczyzny. Nie wiem, jak nazwie dziś budowę świątyni dla tyrana. Jeśli zmienił zdanie, niechaj sam powie, dlaczego. Ale przypomnę, że ten oto Diogenes powiedział wam wówczas, że w Atenach nie brak posągów, ale ustępów publicznych. Tych nadal brak i jeśli sądzicie, że pieniędzy w skarbcu jest zbyt wiele, uchwalcie ich budowę. Kto wierzy w boskość Aleksandra będzie mógł i tam składać ofiarę z tego, co ma w sobie najlepszego.

Śmiechy, które tu i ówdzie rozległy się, utonęły w groźnym pomruku świadczącym[^] że Hypereides przebrał miarę. Ucichło, gdy na mównicy zjawił się Arystofon. Nie należał do żadnego stronnictwa, z życia publicznego wycofał się stwierdziwszy, że mółoch bawi się tym, iż każdy jego wniosek przepada. Do tego też nawiązał:

— Żadnego wniosku nie stawiam, a nawet nie będę głosował ani za, ani przeciw wnioskowi Demadesa. To prawda, że do znudzenia słyszy się u nas o tej sprawie, ale nikt jeszcze nie mówił o niej spokojnie i rzeczowo. Ty, Hypereidesie, za nikczemnika uważasz każdego, kto jest odmiennego niż ty zdania, wolisz, by miasto nasze raczej uległo zagładzie, niż uznało swą zależność od Aleksandra. A przecież ona jest faktem, który odwrócić nie w naszej mocy, a uznanie go za boga to tylko symbol, jak sam przyznajesz.

...Ale są tu i ludzie pobożni, dla których żądanie to jest bluźnierstwem. Do nich się zwracam: co to są bogowie? Ani lepsi, ani gorsi od ludzi, a tylko potężniejsi i nieśmiertelni. Arystoteles naucza przecież, że człowiek nieporównanie przewyższający innych dzielnością może być uznany za boga. Nikt nie zaprzeczy że Aleksander dzielnością nad wszystkimi góruje. Ale jeśli nawet to nie starczy, przypomnę wam, że nie brak w nim boskiego pierwiastka. Wiemy, że Filip zapytywał wyrocznię w Delfach o pochodzenie Aleksandra, widocznie miał wątpliwości. Dzeus-Ammon przez swą wyrocznię uznał Aleksandra za swego syna. Zbudowaliśmy świątynię i oddajemy cześć boską Heraklesowi, którego Dzeus spłodził ze śmiertelną Alkmeną, największym naszym świętem są Wielkie Dionizje ku czci Dionizosa, również syna Dzeusa i śmiertelnej księżniczki, którego Aleksander czynami przewyższył. Czy Hellenowie nie oddają boskiej czci nawet zwyczajnym ludziom, jeśli dzielnością zasłużyli na nieśmiertelność, że wspomnę tylko spartańskiego Likurga? To nic nowego, Hypereidesie, i nikomu hańby nie przyniesie oddanie czci boskiej Aleksandrowi. Na Olimpie miejsca dość, a bogowie sami niech rozstrzygną, czy przyjmą Aleksandra do swego grona. W każdym razie radzę dostosować się do Sparty, bo samotny opór to «szaleństwo i samobójstwo.

Tym razem szmer był przychylny, widocznie Arystofon przekonał niejednego z tych, na których liczyli nieprzejednani. Demostenes wyraźnie wyzwany przez Hypereidesa nie mógł milczeć, a oddźwięk tłumów na dotychczasowe przemówienia pozwalał mu już przewidzieć wynik głosowania. Dopuszczony do głosu, zaczął:

- Zgodny jesteś, Hypereidesie, z pozostałymi mówcami w tym jednym, że dość już mówiono o tej sprawie w Atenach. A mimo to wzywasz mnie, bym przemówił. Cel tego jasny: chciałbyś mnie pozbawić zaufania, jakim zawsze cieszyłem się u współobywateli, bo zawsze miałem na celu tylko dobro na-

szego miasta, które ciebie nie obchodzi. Mój osobisty pogląd na omawianą sprawą dla nikogo nie jest tajemnicą bo przed wyjazdem do Olimpii głosiłem go publicznie. Chcesz mnie teraz zapędzić w kozi róg: bym albo poparł twój wniosek, albo usprawiedliwił się, dlaczego zmieniłem zdanie. Pozwoliłoby ci to snuć domysły podobne, jak w stosunku do Demadesa. Kto mnie nie zna, może by ci nawet uwierzył, ale mimo to ja twego wniosku nie popieram. Że jest obelżywy w stosunku do Aleksandra, nie moja sprawa, niech się sam o to upomni. Powiem natomiast, jaki był wynik mego poselstwa, choć zdawałem już z niego sprawę, ale ponieważ wróciłem dopiero wczoraj, zapewne jeszcze nie wszyscy go znają. Warunkiem cofnięcia zarządzenia o powrocie wygnańców, a przynajmniej udzielenia zwłoki, jest uchwalenie apoteozy Aleksandra. Niech sobie będzie Dzeusem, Posejdonem czy jakim tam zechce bogiem. Każdy rozumie, co jest dla nas ważniejsze, a jeno głupiec wybiera większe zło. Tedy wybierajcie!

Herold tylko z obowiązku wzywał, do zabierania głosu, bo oddźwięk tłumu na przemówienie Demostenesa był niedwuznaczny. Ale na mównicy ukazał się Likurg. Drżącym ze wzburzenia głosem krzyczał niemal:

— Ty, Arystofonie, mówisz, by bogowie sami troszczyli się o siebie. Ale jeśli my ich opuścimy, oni opuszczą nas. To, co radzisz, to nie rozsądek, lecz cynizm godny Diogenesa. Jakiemuż to bóstwu mamy wystawić świątynię, z której wychodząc trzeba się będzie oczyszczać, zamiast przed wejściem do niej! A ty Demostenesie, mówisz, że możemy wybierać! Tak. Między karą bogów i Aleksandra.

Nieklamana żarliwość szanowanego starca zrobiła widocznie wrażenie, w ciszy, jaka zapanowała, czuć było wahanie. Znowu przerwał ją głos herolda i niespodziewanie na mównicy ukazał się Diogenes.

Teraz cisza przysła, Jak zwykle powitały go syki,

gwizdy i śmiechy, a on kłaniał się jak aktor dziękujący za owację, po czym zaczął:

— Pozwólcie, że i ja doleję kubek wody do rzeki waszego gadulstwa, ale widocznie jestem ważny, bo aż dwóch mówców powoływało się na mnie. Aby jej dodać smaku, do wymienionych przez Arystofona herosów, którym oddajecie cześć boską, dorzucę jeszcze Pytionike. Ołtarz jej nie był nawet potrzebny, ponieważ godne tej bogini ofiary możecie składać w domach schadzek, bardziej uczęszczanych przez was niż świątynie. Skoro zaś bogowie nie poczuli się dotknięci, że równacie ich z heterą, Likurg bezpodstawnie obawia się, że ukarzą was za zrównanie z nimi Aleksandra, czy kogo tam jeszcze. Prawdopodobnie zresztą dlatego, że nie interesują się tym, co wy uchwalicie. Podobno bywało, że bogowie robili ludzi, ale żeby ludzie robili bogów, to coś nowego. Poza tym mogę odpowiedzieć na wątpliwość Arystofona, co pocznie Sparta, bo stamtąd wracam, a nawet dosłownie powtórzyć uchwałę wraz z uzasadnieniem, bo jest krótka: „Pozwólmy Aleksandrowi, ponieważ jest daleko, nazywać się bogiem”. Może wam się także przyda wiadomość, że Arkadia już wybudowała Aleksandrowi świątynię, spieszcie się, bo was wszyscy inni ubiegną, a niewątpliwie także w łaskach u nowego bóstwa. Jeżeli jednak nie wszystkim Aleksander odpowiada, to zamiast jego Dionizosem, zróbcie mnie Serapisem : przyrzekam opiekować się szczególnie waszym miastem, które tego bardzo potrzebuje, a będę znacznie tańszy, bo nie wymagam ani świątyni, ani kapłana, który by za mnie mówił. Macie już zresztą mnóstwo bogów, w których nie wierzycie, co wam szkodzi mieć jeszcze jednego więcej.

Przemówienie Diogenesa przerwały znowu gwizdy, krzyki i śmiechy.

Przeczekał, aż przycichło, i ciągnął:

- Nie wiem, dlaczego się śmiejecie. Z mojego wniosku, skoro żądanie Aleksandra bierzecie poważnie. Nie kto inny niż on sam przyznał wyższość filo-

zofa nad królem mówiąc, że gdyby nie był Aleksandrem, chciałby być Diogenesem. Ja natomiast nie chciałbym być Aleksandrem, bo człowiek uczciwy i rozsądny nie pożąda władzy, ale nie dlatego, że go nie lubicie, bo wy nie lubicie nikogo, kto czymkolwiek nad wami góruje. Wyganiacie lub mordujecie swych najlepszych ludzi, bo to łatwiejszy sposób, by utrzymać równość, niż do nich się podciągnąć. Skoro jednak równość najgorszych jest waszym celem, czemu sprzeciwiacie się Aleksandrowi? On zrówna was wszystkich, wszyscy będziecie niewolnikami, a jak was uczy Arystoteles, cnotą niewolnika jest posłuszeństwo.

Diogenes nie mógł mówić dalej, bo ściągnięto go z mównicy, na której znowu ukazał się Demades i zabrał głos:

— Istotnie zbyt długo rozważamy już sprawę, która jest oczywista. Słyszeliście, jak krótko i rozsądnie potrafiła rozstrzygnąć ją Sparta. I ja swój wniosek uzasadnię jedynym zdaniem: nie troszczcie się o niebo, byście nie utracili ziemi. Głosujcie!

Widoczne już było, że głosowanie będzie tylko formalnością.. Do głosowania jednak nie doszło, bo niespodziewanie na mównicę wyskoczył młody Pyteas i krzyknął:

Ty, Demadesie, umiesz trafić do najgorszych, ale jeszcze nie wygrałeś. Prawa Solona zakazują czcić obcych bogów, wnoszę skargę o bezprawność wniosku.

— Za młody jesteś, by zabierać głos w tak ważnej sprawie! — ze złością rzucił Demades. — Sprawa odwlecze się znowu, a choć areopag wniosek zapewne zatwierdzi, ale nieprędko.

Nie zmieszany Pyteas jednak odszczeknął zuchwale:

— Sądzisz, że sprawa jest zbyt poważna dla młodego człowieka? Aleksander jest jeszcze młodszy ode mnie.

Niespodziewane zdarzenie jednak odwróciło całkowicie powszechną uwagę od sprawy ubóstwienia

Aleksandra. Pierwsze blaski jesiennego przedświt
skakać zaczynały na marszczonych powiewem ze
wschodu wodach zatoki, gdy dowódcę załogi wojen-
nego portu Munichii obudził strażnik wieścią, że na
nieboskłonie widać liczne żagle nadpływającej floty.
Filokles natychmiast postawił załogę pod bronią,
a sam pobiegł na wybrzeże i patrzył. Trzydzieści trier
zakotwiczało się koło Sunion, a do pomostu dobijała
łódź, z której wysiadło dwóch mężów, niewiasta i ma-
ła dziewczynka. Jasno już było i Filokles poznał w nie-
wieście Glykerę, a po chwiejnym chodzie w jednym
z mężów domyślił się Harpalosa i patrzył na niego
niepewny, co począć. W Atenach wiadomo było, że na-
miestnik Azji Mniejszej zażądał od Rodyjczyków wy-
dania zbiega wraz ze sprzeniewierzonymi skarbami
i to widocznie skłoniło Harpalosa, że przyżęgłował do
Aten. Zbliżał się z uśmiechem na młodej jeszcze, ale
nalanej twarzy i objąwszy Filoklesa jak dawno nie
widzianego przyjaciela, krzyknął:

— Witam w tobie szlachetny lud ateński, który
nigdy nie wahał się udzielić schronienia prześladowa-
nym przez tyrana. Zechciej wyznaczyć w porcie miej-
sce dla mej floty i wskazać temu oto dowódcy moich
wojsk, Stratonowi, gdzie maże pomieścić sześć ty-
sięcy ludzi. Tu zaliczka na żywność dla nich, zanim
wspólnie postanowimy, gdzie ich użyć.

Wręczył zaskoczonemu Filoklesowi sporą sakiew-
kę i zdjawszy pierścień z ogromnym szafirem wsadził
mu na palec, dodając:

— A to dla ciebie na pamiątkę dnia, w którym
znowu wolność zaświta w Atenach.

Filokles jednak ochłonawszy odparł zwracając sa-
kiewkę:

— Bez zezwolenia kolegium strategów nie mogę
wpuścić do warowni żadnych obcych wojsk.

— Obcych? — zakrzyknął Harpalos udając zdzi-
wienie. — Wszak mam obywatelstwo ateńskie. Nie
lubię wypominać dobrodziejstw, ale sam wiesz, za co
mi je nadano wraz z posągiem i wieńcem. To zatrzy-

maj odsunął wyciągniętą z sakiewką rękę Filoklesa. - Jestem jpewny, że kolegium z wdzięcznością przyjmie nowe dobrodziejstwo.

— Ja mogę ci tylko przyrzec, że będę za tym przemawiał, nie wątpię jednak, że kolegium, przekaże sprawę do rozstrzygnięcia ogólnemu zgromadzeniu.

— Ale jako obywatela i dobroczyńcę Aten możesz mnie wpuścić do miasta wraz z córeczką. O Glykerę nawet nie pytani, bo to jej ojczyzna, która jej też coś zawdzięcza.

Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Stratona:

— Wracaj na okręt i przygotuj wszystko do lądowania. A ty — zwrócił się do Filoklesa — każ dla mnie przysposobić wóz, bo chodzić mi trudno, a dla dziecka daleko.

Mówił z pobłażliwą wyniosłością, jak do podwładnego, a gdy Filokles odszedł, by spełnić polecenie, zwrócił się do Glykery:

— Pierwszy krok uczyniony. Ty znasz ludzi i wiesz, komu dać i ile.

Gdy Harpalos przez Sunijską bramą wjeżdżał do miasta, wieść o jego przybyciu już się rozniosła. Każdy zdawał sobie sprawą, że przyjęcie Harpalosa z jego flotą, z wojskiem i skarbami oznacza wojnę. Jak przewidział Filokles, kolegium strategów uznało, że powzięcie postanowienia w tak ważnej sprawie należy do ogólnego zgromadzenia ludu. Nie mówiona o niczym innym, politycy biegali jeden do drugiego i Demostenes nie okazał zdziwienia, gdy zjawił się u niego Hypereides. Nie wątpił, w jakim celu przychodzi, i odpowiedź miał również przygotowaną, nie przerywał jednak, gdy Hypereides zaczął:

— Teraz masz sposobność wykazać, że twoja nadmiernie ostrożna polityka podyktowana była interesem państwa, a nie własnym. Wiesz, co nam ofiaruje Harpalos: od czasów Feryklesa Ateny nie rozporządzały tak wielkimi zasobami. Takich, jak on jest

w Azji więcej, którzy do wyboru mają: walczyć z Aleksandrem lub oddać głowy. Ostatnie zarządzenia Aleksandra wzburzyły całą Helladę i nigdy nastrój, nie był pomyślniejszy, by poderwać ją do walki. Zawsze chlubiłeś się, że jesteś jej przywódcą w walce o wolność, za to ci przyznano wieniec. Ale tchórzliwy i chwiejny motłoch ateński gotów zaprzepaścić i tę ostatnią sposobność odzyskania wolności, jeśli my nie będziemy zgodnie za tym przemawiać, bo i przeciwników nie zabraknie.

— Nie zamierzam usprawiedliwiać przed tobą mojej, jak ją zwiesz, nadmiernie ostrożnej polityki — odparł Demostenes — ale też nie mam powodów ukrywać, jakie jest moje zdanie, zwłaszcza że nie omieszkam wyjawić go publicznie. Jeżeli poczyniliśmy kroki i mamy nadzieję za pośrednictwem Aleksandra pozbyć się najgroźniejszego obecnie z wrogów naszej wolności, Antypatra, lekkomyślnością byłoby wszczynanie teraz walki z królem. To mówię ci jako polityk, ale jako obywatel mogę też oświadczyć, że nie odpowiada godności naszej ani przymierze ze złodziejami, którym grożą kary za nadużycia, ani przyjmowanie sprzeniewierzonych zasobów, nawet gdyby był w tym niewątpliwy interes publiczny. Że jednak je przyjmuje wielu naszych polityków, by przemawiać za Harpalosem, o tym mi wiadomo. Tobie zaś, który zaszczepiłeś się swą nieprzedajnością, dziwię się, że sam stwarzasz pozór, iż jesteś jednym z nich. Ja w każdym razie nie chcę, by i mnie między nich policzono.

Hypereides opanował wzburzenie i powiedział drwiąco:

— Gdy był silny, nie uważałeś za ujmę przyjmowanie od niego podarunków, a nawet przedstawiałeś, to jako swoją zasługę. Teraz zmieniłeś zdanie; To znaczy, że Harpalos nie był u ciebie. Z jego strony to błąd, ale może będzie chciał go naprawić. Ceń się, będziesz droższy.

Błąd ten jednak Harpalos zrozumiał zbyt późno,

gdy na wniosek Demostenesa odrzucono ofiarowaną przez niego pomoc i przymierze przeciw Aleksandrowi. Filokles otrzymał rozkaz przeciwstawienia się, choćby siłą, lądowaniu wojsk Harpalosa. Pozostawiając przeto w Atenach córeczkę swą i nałożnicę, pożegłował do Tainaron, czuł jednak, że pętla zaciska mu się na szyi. Utrzymanie wojsk i floty szybko wyczerpało zasoby, wielkorządca Filoksenos wszędzie wysyłał rozkazy schwytania i wydania zbiega. Harpalos stracił już nadzieję, by udało mu się poruszyć Helladę do walki z Aleksandrem, myślał już tylko, jak siebie ocalić. Ateny nie mogą być aż tak niewdzięczne, by mu odmówić azylu. Zabrawszy przeto dwa statki i siedemset talentów złota, zjawił się znowu w Atenach. Powzięcie postanowienia stało się palące: wydać zbiega ze skarbami lub osłonić go i gotować się do walki. O tym jednak Harpalos dowiedział się dopiero od Demadesa i zrozumiał, że może znaleźć się w pułapce. Rozgoryczony, zwrócił się do niego z wyrzutem:

— Zapewniałeś mnie, że Ateny przyjmą moją pomoc. Teraz nie wiesz nawet, czy udzielą mi azylu. Zapłaciłem ci tak, jak nikt jeszcze.

— Mylisz się. Nigdy nie broniłem małych łotrów za małe pieniądze. A w tej sprawie narażam się, nie tylko Aleksandrowi, ale i własnemu stronnictwu. Sam sobie jesteś winien, nie trzeba było żałować pieniędzy na Demostenesa.

—: Mówiłeś mi przecież, że on tylko czeka sposobności, by wyzwolić Ateny z macedońskiego¹ zwierzchnictwa.

— Ale nie mówiłem, że nie lubi pieniędzy, a co więcej, musiał się, poczuć dotknięty, że płaciłeś innym, a jemu nie. Zrozumiał to jako lekceważenie.

— Czy sądzisz, że teraz da się go jeszcze kupić? — zapytał Harpalos przygnębiony.

— Teraz. Będzie trudniej, to znaczy drożej. Zapędził się już przeciw tobie, jak zwykle wzniosłymi słowami, trudnemu będzie wycofać się.

— Ile mu trzeba dać?

—Przypuszczam, że tyle, co i mnie. Nie powinien być wprawdzie zbyt twardy, bo nie ma już skąd brać, ale jest ambitny i nie zniesie, by w Atenach kogoś wyżej ceniono niż jego — zaśmiał się.

— Skąd może wiedzieć, ile wzięłeś?

— Tu wszyscy wiedzą wszystko, bo nic lepszego nie mają do roboty, jak zajmować się innymi. Od czego zresztą są niewolnicy, niewiasty i balwierze? Ja nawet nie bardzo staram się ukrywać, ale on musi być ostrożny, skoro chce uchodzić za nieprzekupnego.

— Czy jeszcze kogoś trzeba tu przekupić? — zapytał Harpalos z westchnieniem,

— Chyba nie. O ile wiem, z wpływowych łapowników dostali już wszyscy. Hypereides jest za tobą bezpłatnie, a Fokion nie weźmie. Do niego jednak radziłbym ci udać się. Rozmowa nie będzie przyjemna, ale może się przydać. Z wierzchu jest twardy i szorstki, ale niejednego już łotra wyprosił u Aleksandra, byle go czymś wzruszyć. Weź z sobą córeczkę, błaznować pewnie potrafisz. Wiesz — sierota bez matki, gdy straci jeszcze ojca, zmarnieje. Niech dziecko trochę pobeczy. Fokion jest łatwowierny, skutek jest niemal pewny.

— A jeśli się nie uda?

— To zabawisz się w Odysa. Glykera nie jest Penelopą, da sobie radę bez ciebie, tak jak dawniej sobie dawała.

Harpalos spojrzął gniewnie na Demadesa, ale niepokój przeważył;

- Mogą mnie uwięzić — mruknął. — Co wtedy?

- O to się nie trap. Jeszcze nie było takiego, co by z naszego więzienia nie uciekł. Dozorcy też chcą żyć. Chyba że jak Sokrates, jako lojalny obywatel Aten, nie zechcesz naruszyć naszych praw. Z tych pięciuset, którzy Sokratesa skazali, ani jeden nie przypuszczał, że wyrok będzie wykonany. Chcieli się tylko poszyć uciążliwego człowieka, a on został na złość łykom i nie pozbęda się go już nigdy.

— Pójdę do Fokióna — powiedział Harpaios.
Ale jak się spotkać z Demostenesem, skoro to ma pozostać tajemnicą?

— Sądzę, że trafi się sposobność, a może on sam się o nią postara.

Fokion właśnie rozmawiał, ze swym przyjacielem Nikoklesem o powrocie Harpalosa, gdy stary wyzwolieniec tracki wszedł i oznajmił:

- Harpalos!

— Czego ten rozpustnik chce ode mnie? Fokion zwrócił się do Nikoklesa. — Nie przyszedł chyba po to, by usłyszeć prawdę.

— Obawiam się, że po to, byś nie mógł przekupnym demagogom zarzucić, iż był u nich.

— W Atenach każdy wie, kogo można kupić. Dziwię się tylko, że podobno nie był u Demostenesa.

— To rzadki wypadek, by Demostenes był zarazem uczciwy i rozsądny, bo to on przeprowadził wniosek, by odrzucić ofertę Harpalosa, Teraz przeto trudno byłoby mu zmieniać stanowisko.

Umilkli, bo w przedśionku rozległy się kroki. Harpalos nadchodził rozglądając się po domu. Prostota granicząca z ubóstwem rzucała się w oczy, nie mógł uwierzyć, że tu złotem nic nie wskóra; trzeba próbować, ale ostrożnie. Prowadząc za rękę opierającą się dziewczynkę, wszedł do megaron. Fokion, nie odpowiadając na pozdrowienie, zapytał oschle:

— Czego ode mnie chcesz?

— Mówią o tobie, że jesteś sprawiedliwy. Powiedz, czy jako obywatel tego miasta nie mam prawo schronić się tu przed prześladowaniem, gdy korzystaliście z mej hojności, póki los mnie nie pognębił?

— Mogę tylko rzec, że haniebne było korzystanie z twej hojności, a ty nią nadal uwodzisz przekupnych by ujsć przed zasłużoną karą. Jeżeli tego nie poniechasz, źle się skończy z tobą.

— Tedy nie jesteś sprawiedliwy. Gdy byłem po-

teżny i nie ja was potrzebowałem, jeno wy mnie za moją szczodroblivość przyznaliście mi wieniec i pasąg. Teraz, gdy los się odwrócił i muszę płacić, by nie doznać niewdzięczności, nazywasz to przekupstwem. Mówisz, że chcę uniknąć zasłużonej kary. Jeżeli nawet popełniłem przestępstwo, to wy jesteście współnikami, korzystał z mej hojności twój własny zięć. Nie wasza rzecz mnie sądzić. Ale nie przychodzę ani usprawiedliwiać się, ani oskarżać, ale w sprawie tej małej sieroty. Matkę straciła, teraz grozi jej strata ojca, bo wiesz, że Aleksander nie ma względów na nic i na nikogo. Chcę jej zabezpieczyć przyszłość częścią mojego mienia, którą tu przywiozłem, a u kogoż mógłbym je złożyć bez obawy, że zostanie sprzeniewierzone, gdyby mnie nie stało? Weź je w przechowanie, rozrachunku nikt od ciebie żądać nie będzie.

Gdy Fokion milczał zaskoczony, Harpalos pchnął ku niemu dziewczynkę, która chowała się za nim, opowiedział:

— Ty prosz tego bezwzględno starca, by się zmiłował. Tobie nie powie, że uniknąć chcesz zasłużonej kary.

— Nic nie chcę mieć do czynienia z brudnymi pieniędzmi. Gdyby istotnie została sierotą, stać mnie jeszcze na to, by jej zapewnić wychowanie. A jedno, co mogę uczynić dla niej, nie dla ciebie: na zebraniu postawię wniosek, by nie wydawać cię, lecz nakazać wyjazd i za to wezmę na siebie odpowiedzialność wobec Aleksandra. A teraz odejdz.

Wniosek Fokiona jednak nie przeszedł, bo wieść o pobycie Harpalosa w Atenach już się była rozeszła i groźne poselstwo Antypatra domagało się wydania go wraz ze skarbami. Niemal jednocześnie upomniała się o to Olimpias. W zamęcie sprzecznych zdań, z których żadne nie mogło pozyskać większości, przeszedł wniosek Demostenesa, który sprawę pozostawił otwartą: Harpalosa wziąć pod straż, skarby jego zabezpieczyć. Wykonanie zlecono komisji, na czele której stanął Demostenes.

Harpalos nie zasypiał sprawy, ale dotychczas nie zdołał spotkać się z nim. Demostenes bowiem wiedząc, że jest śledzony przez wrogów, miał się na baczności tak, że nawet ustalenie przywiezionej przez Harpalosa sumy zlecił Mnesiteosowi. Ten stwierdził wprawdzie, że w bitej monecie wynosi siedemset talentów, natomiast jaką wartość przedstawiają klejnoty, złota zastawa, tkaniny i sprzęty, należało ustalić. Widać było, że Mnesiteos oszołomiony jest niespotykanym ich pięknem i bogactwem i opowiadał o tym tak, że zaciekawił Demostenesa, który wzięwszy z sobą dwóch członków komisji, udał się do niego, by ocenić i spisać złożone przedmioty. Mimo że na powitanie Harpalosa odpowiedział odpychająco, nie uszło uwagi przebiegłego człowieka, że mówca jest pod wrażeniem oglądanych bogactw tak, że zapomina o swej roli. Brał do ręki poszczególne przedmioty i oglądał je dłużej, niż ibyło potrzeba, hamując westchnienia.

Harpalos znał ludzi i odgadywał, że w Demostenesie chciwość walczy z rozsądkiem. Widząc, że waży w rękę, ogląda, odstawia i znowu bierze do ręki złoty puchar przedstawiający misternie wykuta scenę porwania Ganimeda, zbliżył się z uśmiechem i zagadnął:

— Piękne to, prawda?

— Ciekawym, ile też zawiera pojemności?

— Dla ciebie dwadzieścia talentów — mruknął Harpalos — ale chciałbym się z tobą rozmówić.

Demostenes jakby nie słyszał, zwrócił się do Mnesiteosa wskazując na miechy ze złotem i rozłożone skarby;

— Odstawimy to do skarbca na Akropol. Nad Harpalosem sam obejmę nadzór, każ go jutro doprowadzić.

Demostenes nie mógł usnąć tej nocy. Wiedział, że wielu polityków, którzy pobrali od Harpalosa łapówki, nie truduilo się nawet, by za nim przemawiać na zgromadzeniu. Zły był sam na siebie, że zabierał głos w tej sprawie, teraz trudno byłoby przemawiać

za Harpalosem, tym bardziej że Olimpias nie darowała mu nieposłuszeństwa. Przed oczyma stał mu puchar, jakby go urzekł. Mógł go mieć wraz z dwudziestu talentami, gdyby nie chęć przodowania we wszystkim, co się dzieje w mieście.

Demostenes długo przewracał się na łożu nie mogąc usnąć. W panującej ciszy posłyszał odgłos kroków na bruku, które zatrzymały się pod jego domem. Zerwał się niemal pewny, że przyszedł Harpalos. Nikt nie śmie wiedzieć o tym.

Nie pomylił się. Pod bramą stał Harpalos i szepnął:

— Przyniosłem ci kubek. O reszcie pomówimy.

— Wejdz. Czy jesteś pewny, że nikt cię nie widział?

— Bądź spokojny. Zresztą nie wiem, czego się lękaś. Demades mówił mi, że tu i tak wszyscy wiedzą wszystko o innych, a ja wiem, że wszyscy biorą. Chcę tylko wiedzieć, co w zamian możesz dla mnie uczynić?

Demostenes wciągnął Harpalosa do swej piwnicy, do której nie wolno było wchodzić nikomu z domowników, i zaczął:

— Sam rozumiesz, że niewiele, skoro na mój wniosek uchwalono wziąć cię pod nadzór i zabezpieczyć skarby.

— Wiem. To się już stało. W moim położeniu muszę być przygotowany na niewdzięczność i straty. Ale nie chcę tu czekać, aż mnie wydadzą Antypatrowi czy komu tam. Musisz, mi pomóc, bym mógł stąd wyjechać.

Demostenes zawahał się. Niewątpliwie wrogowie będą go winić o ucieczkę Harpalosa, ale potrafi się wybronić. Zbyt powszechne zjawisko, dowodów nie znajdują, a co więcej, miasto pobędzie się kłopotu, większość nie będzie się tym przejmować. Przystał się wahać i powiedział:

— To mogę uczynić.

— Rozumiesz jednak, że niepodobna czekać, aż

postawowią mnie wydać, a jutro znowu mają nad tym uradzać. Nie możesz przemawiać za mną, to nie mów wcale.

— To również mogę ci przyrzec.

— To jeszcze nie wszystko. Nie wiem, jak słę dalej sprawy obróć. Chcę mieć w Atenach pieniądze na wypadek, gdyby znowu przyszło kogoś kupować.

— Nie wiem, jak sobie to wyobrażasz, skoro wszystko, co posiadasz, ma być złożone w skarbcu, Choćbym miał do tego dostęp, a obecnie nie mam, nie mógłbym ci nic wydać.

— To nie składaj wszystkiego. Wystarczy połowa, drugą sobie już sam zabezpieczę.

— Niemożliwe. Wszyscy wiedzą, ile przywiozłeś.

— Ale nie tylko ty jeden bierzesz ode mnie pieniądze. A za twoje milczenie i moją ucieczkę dwadzieścia talentów to chyba za dużo. Zresztą skąd ci je wezmę, jeżeli złożysz wszystko?

Demostenes zrozumiał, że albo musi się zgodzić, albo nie dostanie nic. Już przywykł do myśli o dwudziestu talentach. Szybko, by nie dać sobie czasu do przemyślenia skutków, odparł:

— Dobrze! Byle prędko.

Skutki jednak nie dały na siebie czekać. Drażliwa i niebezpieczna sprawa wciąż jeszcze zaprzętała wszystkich. Prócz kupionych polityków Harpalos miał za sobą wielu prostych ludzi, którzy pamiętali, że ocalił ich od głodu. Oni byliby skłonni głosować przeciw wydaniu Harpalosa Antypatrowi, nie zdając sobie jednak sprawy, że oznaczałoby to wszczęcie z nim wojny.

Sprawę na ostrzu postawił Hypereides:

— Nie chcieliście wszczynać walki o wolność w przymierzu z Harpalosem. Słyszałem wzniosłe słowa, że poniża godność naszego państwa przymierze ze złodziejem. Ja byłem zdania, że nie ma godności bez wolności. W walce o nią każdy sprzymierzeniec dobry i nic mi do tego, jakie są jego cele. Słyszeliśmy też jednak rzekomy głos rozsądku, że nie pora wszczynać walkę z Aleksandrem, gdy istnieje nadzieja, że

przez niego pozbyć się zdołamy Antypatra, który jest pono dla nas groźniejszy. Odrzuciliście wniosek Fokiona, by na jego odpowiedzialność Harpalosa wydalili, co przynajmniej odciąłoby nas od tej sprawy; na wniosek Demostenesa uchwaliliście wziąć Harpalosa pod straż, a skarb zabezpieczyć. Po co go tu przywiózł, wróble ćwierkają. Na razie mniejsza z tym, ale pytam się, co dalej? Bo jasne, że jeśli odmówimy wydania go, to mamy wojnę z Antypatrem nie w obronie wolności, ale złodzieja, i to bez pomocy jego floty, wojsk i zasobów. Wątpię, czy to bardziej odpowiada godności, a zwłaszcza interesowi naszego państwa. Demostenes był przeciwny wszczęciu walki, więc nam obecnie wyjaśni, jak jej uniknąć inaczej niż przez wydanie Harpalosa wraz ze skarbami Antypatrowi czy komu tam, Filoksenosowi, czy wreszcie Olimpiadzie, jak tego żądają grożąc użyciem siły. Demostenes jednak przyszedł na zebranie z góry postanowiwszy, że nie zabierze głosu. Potrzebował zwłoki: gdy Harpalos zniknie, wytworzy się nowe położenie. Wielu będzie z tego zadowolonych, a nikomu nie będzie zależało, jaka część skradzionych przez Harpalosa skarbów zostanie zwrócona. Z ostrożności jednak, przypuszczając, że wrogowie mogą próbować osaczyć go, Demostenes owinał szyję chustami i gdy Hypereides wezwał go do głosu, wyszedł na mównicę i wskazując na gardło dał do zrozumienia, że z powodu choroby przemawiać nie może.

Hypereides pogardliwie wzruszył ramionami, ale z tłumu ktoś zawołał:

— Nie żądajcie od Demostenesa, by przemawiał, bo w nocy opadła go gorączka złota!

Demostenes zbladł. Demades prawdę mówił, że w Atenach nic się nie ukryje, wszyscy wiedzą wszystko. Ale nie wiedzą jeszcze, że Harpalos już zbiegł, na Akropolu zaś złożona jest tylko połowa przywiezionej przez niego sumy. Tym razem Demostenes nie łudził się, że jak w procesie Ktesifona, postawiony przez Ajschynesa zarzut łapownictwa uda mu się mil-

czeniu pominąć. Wrogowie postarają się podburzyć przeciw niemu zmienny motloch, który już teraz nieprzychylnym szmerem powitał jego wykręt.

I tej nocy Demostenesa nie nawiedził sen. Przemysliwał nad sposobem obrony, gdy rozejdzie się wieść, jak wywiązał się z powierzonego sobie zadania.

A wieść się już rozeszła i idąc na zwołane zgromadzenie Demostenes odczuł przedsmak tego, co go czeka. Przyjaciele udawali, że go nie widzą, natomiast do uszu jego dochodziły złośliwe uwagi nieżyczliwych. Przyłączył się do niego tylko Demades, a widząc zgryziony wyraz twarzy Demostenesa, odezwał się:

— Nie trap się nadmiernie. Nie każdy przecie interes musi się udać.

— Nie wiem, co masz na myśli — odburknął Demostenes, Demades jednak odparł drwiąco:

— Ale ja wiem. Przede mną nie udawaj cnotliwego, a w ogóle nie warto. Ja mam do stracenia tylko pieniądze, a ty jeszcze dobre imię, dla którego zawsze musiałeś być ostrożny w braniu łapówek, i wiele cię ominęło. A ja się nie krępowałem i łatwiej mi bardziej przeboleć stratę.

Demostenes jednak teraz nie myślał o pieniądzach. Nawykł do poklasku, ilekroć się zjawił, jak biegły muzyk na swym instrumencie grał na nastrojach tłumu. Teraz przeraźliwym fałszem zabrzmiały wrogie okrzyki, gdy wysłuchawszy gwałtownych zarzutów, stanął na mównicy, by się usprawiedliwić. Przez długi czas nie mógł dojść do głosu. Gdy wreszcie na; powtarzane wezwanie herolda gwar zaczął przycichać; ktoś wrzasnął:

— Jak to?! Nie dajecie mówić człowiekowi, któremu wręczono kubek?!

Rozległy się śmiechy i znowu wszczęła się wrzawa, Wrogowie wiedzą wszystko!

Czekał pobladły, aż uciszyło się na tyle, że mógł zacząć. Jedyne ratunek w odwłóce...

- Jeszcze nie wiem, o co mnie oskarżacie, a już słyszę potępienie. Nie będę się usprawiedliwiał z mio-

tanych z za węgla zarzutów ulicznych krzykaczy czy wrogów, którzy, chcą mnie pognębić. Są sprawy, które nie nadają się do wyjaśniania na rynku. Niech zarzuty przedstawią areopagowi, do którego należy przeprowadzenie śledztwa, a jeśli okażą się prawdziwe, ten sprawę przekaże sądowi, bo i wyrokowanie nie do was należy.

Skończył i żegnany nieprzychylnym szmerem zszedł z mównicy. Wśród areopagitów miał życzliwych ludzi, areopag zresztą nigdy nie kwapił się. Nim sprawę zakończy, wzburzenie się uśmierzy. Harpalos zbiegł; ci, którzy również wzięli łapówki, muszą zamazywać sprawę.

Demostenes uspokoił się nieco, ale wołał nie pokazywać się w mieście. Siedział w domu i wypoczywał po przeżyciach, które wyczerpały go.

Rozmyślał właśnie, jak przyjdzie mu bronić się, gdy wpadła Kleobule z okrzykiem:

— Tesmoteci ze strażą!

Demostenes zbladł, zaskoczony. Przeliczył się w rachubie na gnuśność areopagu i życzliwość przyjaciół. Nie zamierzają go osłaniać, aby nie narażać się na podejrzenie o udział w przestępstwie. Dobrze znany Demostenesowi tesmoteta Derkilos nie powitał go nawet, lecz z miejsca oświadczył:

- Mamy polecenie ustalić, gdzie zniknęła połowa sumy, którą tu przywiózł Harpalos. Tobie zlecono jej zabezpieczenie. Oszczędzisz sobie przykrości, a nam trudu, jeśli powiesz, co ci w tej sprawie wiadomo. Dawaleś do zrozumienia, że to tajemnica państwowa. Areopag chce ją znać.

— Ja złożyłem na Akropolu tyle, ile znalazłem. Harpalos nie mówił mi, co uczynił z resztą, jeżeli była jaka — odparł Demostenes, siląc się na spokój.

— Tu mamy spis ludzi, którzy od Harpalosa wzięli pieniądze. Na samym czele jest twoje imię. Ale to tylko sześćdziesiąt cztery talenty. Gdzie reszta? Ty byłeś za nie odpowiedzialny, nie pogarszaj swego położenia utrudniając nam śledztwo.

— To wrogowie chcą mnie zgubić — trzęsąc się wyjąkał Demostenes. — Wiem, że pozory są przeciw mnie, bo istotnie wziąłem dwadzieścia talentów, które mi się należały jako zwrot wydatków poczynionych na theorie.

— Przed sądem będziesz dowodził, ile i jakim prawem wydałeś na rachunek publiczny. W każdym razie nie miałeś prawa bez przedłożenia rachunków sam sobie wypłacać rzekomej należności, i to z pieniędzy powierzonych ci tylko dla złożenia ich w skarbcu. Na razie je zwrócisz. Gdzie są te pieniądze?

Demostenes bez słowa ruszył przodem, a za nim, komisja. W piwnicy, służącej mu za pracownię, Demostenes odsunął łóżko, odsłaniając skrytkę w ścianie, gdzie stały dwa spore miechy skórzane. Na wierzchu świecił złoty pucharek. Derkilos biorąc go do ręki zauważył drwiąco:

— Taką piękną rzecz! Czemuż nie znosi światłą dziennego? Polecił strażnikom zabrać pieniądze. Gdy tesmoteci wyszli, Demostenes usiadł i twarz ukrył w dłoniach.

To dopiero początek..

Istotnie, choć czas płynął, wzburzenie nie cichło. Rewizje po domach najpoważniejszych obywateli, zarówno ze stronnictwa wojny, jak i rozwagi, ujawniały coraz nowych łapowników, zawistna biedota rzuciła już podejrzenia niemal na wszystkich wpływowych ludzi, ponaglając areopag, który w obawie przed zamieszkami przyspieszał śledztwo, ogłosił listę winowajców i pobranych przez nich sum, a sprawę przekazał sądowi.

Demostenes rozpaczliwie usiłował hamować bieg sprawy, nigdzie nie znajdując poparcia. Zażądał uzupełnienia dowodów, zarzucając, że zgubić go chcą stronnicy Macedonii, by się przypochlebić Aleksandrowi. W odpowiedzi jednym z dziesięciu oskarżycieli zamianowano Hypereidesa. Jemu nie będzie można zarzucić, że chce schlebiać Aleksandrowi, co gor-

sza, wobec niego Demostenes odmówił wsoóMr.iafcmi z Harpalosem, by się nie narazić Aleksandrowi. Za słańiał się godnością i interesem państwa, a petent sprzeniewierzył się im dla pieniędzy. Demostenes liczył już tylko na wzbudzenie litości, której sam nigdy nikomu nie okazał, przeciwnie, zgubił nawet staro-go przyjaciela swego ojca, Kefisodota, od którego zaznał wiele życzliwości, doprowadził do stracenia Anaksyjnora, z którego gościny korzystał, bezwzględność swą przedstawiając jako troskę o interes państwa. Ale gdy zjawił się na Słonecznym Placu wiodąc za ręce dwóch chłopczyków, nieprzychylny szmer przestrzegł go, by na miłosierdzie zbyt nie liczył. Zgnębiony, z zazdrością patrzył na Demadesa, który przyszedł strojny i pewny siebie. Stary łotr ma szczęście, głównym jego oskarżycielem będzie zaledwie dwudziestopięcioletni Stratokles, po raz pierwszy występujący w tej roli. Gdy zaczął wywód, Demades uśmiechnął się drwiąco, jakby słuchał początkującego aktora. Wezwany do wygłoszenia obrony, zamiast rozpocząć przemówienie, pokazał Stratoklesowi dwie darejki i zapytał:

— Czy możesz mi powiedzieć, która z nich jest ukradziona, a która zarobiona uczciwie?

Stratokles zaskoczony milczał, ale przewodniczący sądu tesmoteta powiedział surowo:

— Nie zadawaj głupich pytań, bo tym nie obalisz oskarżenia o łapownictwo.

—: A ty nie przeszkadzaj mi w obronie, bo przysięgłeś być bezstronnym. Zdanie masz już wyrobione, a nie jesteś nawet dość bystry, by zrozumieć, do czego zmierzam. Nikt nie rozróżni skradzionego pieniądza od prawnie nabytego. Stratokles też nie, a oskarża mnie, że przyjąłem od Harpalosa skradzione pieniądze. Nikt też chyba nie zaprzeczy, że Harpalos, jako wysoki dostojnik, jakieś własne majątkości posiadał. Stratokles jest niedoświadczony, dlatego widocznie nie umiał sformułować, w czym ma tkwić istota mojego przestępstwa. Rzeczywiście, trudno jest odpowiadać

na głupie pytania, ale trudniej jeszcze odpierać głupie oskarżenie. Dlatego ja je sformułuję: Zarzuca mi się, że w ogóle coś przyjąłem od Harpalosa. Gdyby jednak to było przestępstwem, nie byłoby w Atenach komu go sądzić, jeżeli przestępca nie może być sędzią, bo wszyscy korzystaliście z jego świadczeń, gdy był przy władzy. Wyśmialibyście mnie, gdybym zaskarżył tkacza, od którego nabyłem tę oto chłajnę, że wziął za to ode mnie pieniądze. Co ja mam czynić gdy Stratokles twierdzi, że pieniądze, które ja wziąłem, to łapówka? Czy pełniłem jakiś urząd, którego obowiązki miałem za to naruszyć? Czy ja nie dosłyszę, czy Stratokles milczy? Ja jestem rzemieślnikiem, który za pieniądze broni łotrów. Całkiem głośno zarzuca mi, że to ja wskazywałem Harpalosowi, kogo i za ile może przekupić. O bogowie! Za to miałby mi zapłacić dwadzieścia talentów? Pytam obecnych tu obywateli, ilu z nich wskazałoby mu łapowników za dwie drachmy?

Przemówienie Demadesa przerwał wybuch śmiechu, ale wzbudzony szmer rozległ się wśród przysię, głych, gdy Demades podjął:

— Wręcz przeciwnie, gdy Harpalos wybierał się do Fokiona, ja przestrzegałem go, że w Atenach tylko Fokion nigdy nie brał łapówek. Może kogoś nieumyślnie dotknąłem, ale oczywiście nie myślałem o takich, którzy nie brali, bo im nikt nie dawał.

Było jasne, że Demades drwi z oskarżenia i sądu, a co gorsze, znajduje oddźwięk w tłumie, ku radości zawistnego motłochu wykazując głupotę i zgnilizną rządzącej klasy obywateli. Westchnienie ulgi przeleciało przez sąd, gdy zakończył:

— Jest jeszcze dosyć wody w mojej klepsydrze, ale tego, co powiedziałem, starczy, byście mnie skazali.

Gdy schodził z mównicy, zegnał go przychylny szmer, a nawet tu i ówdzie rozległy się oklaski. Demostenes słuchał ich z zazdrością. Chytry demagog wiedząc z góry, że będzie skazany, umiał wywołać

wrażenie, że wyrok jest tylko odpłatą za obelżywe lekceważenie oskarżycieli i sądu. Co gorsze, podkreślając, że nie pełnił żadnego urzędu, zdał się wskazywać na Demostenesa jako głównego sprawcę uwikłania państwa w brudną sprawę, która groziła odpowiedzialnością wobec Aleksandra.

Gdy Hypereides zaczął wywód oskarżenia, również wysuwając rolę Demostenesa na pierwszy plan, retora ogarnęło obezwładniające przygnębienie. Demades nic nowego nie powiedział, twierdząc, że w Atenach tylko Fokion nie bierze łapówek. Wiedzą o tym wszyscy, wiadomo, że politycy żyją z nich, i to dobrze żyją. Jest to tak powszechne, że stało się przedmiotem komedii Timoklesa. Mniejsza z tym, że pozwolił sobie wśród łapowników wymienić także Hypereidesa, nie będzie się usprawiedliwiał, bo nie branie łapówek jest istotą niniejszej sprawy, ale działanie na szkodę państwa.

Hypereides nie ograniczył oskarżenia do sprawy Harpalosa. Nitka za nitką, nicować jął płaszcz dostojności i patriotyzmu, w jaki drapował się Demostenes. W procesie o wieniec zarzuty Ajschynesa chytrze zbił tylko wzajemnymi zarzutami i wynoszeniem własnych zasług. To było łatwe. Ale umiał sobie i w trudniejszych sprawach radzić. Z otrzymanych od Dariusza trzystu talentów na walkę z Aleksandrem poważną część zatrzymał dla siebie, zamiast poprzeć nimi powstanie w Tebach, które na skutek tego upadło, a miasto, które przyrzeczeniem pomocy skłonił do podjęcia walki, uległo zagładzie. Gdy sprawa stała się głośna, wymigał się od odpowiedzialności, żądając przekazania dochodzeń areopagowi, który ich nigdy nie Stakończył. Tego samego chwytu spróbował i teraz; gorzej, bo naprzód usiłował utopić sprawę braku połowy sumy, jaką miał złożyć na Akropolu, zasłonić ją tajemnicą państwową, dałac do zrozumienia, że sprzeniewierzone pieniądze wpłynęły do skarbu państwa. Każdy wia, że gdyby znalazł wiarę i poniechpio-dochodzeń, państwo nasze uchodziłoby za współnika zło-

dzieją i narażone byłoby na współodpowiedzialność wobec Aleksandra po to, by przed nią uchronić łapowników.

Hypereides mówił spokojnie i rzeczowo, nie używał przezwiśk ni pogardliwych przymiotników, ale każde zdanie brzmiało żrącą pogardą arystokraty dla cjorobkiewicza — pogardą człowieka który nigdy niczego, nawet własnych, słabostek nie ukrywał — względem wykrętnego demagoga, wzniosłymi frazesami maskującego swą nędzę moralną. Cytował fakty i przemówienia Demostenesa od chwili, gdy w polityce jego w stosunku do Aleksandra nastąpił zwrot zapewne również niebezinteresowny. Ale i to mu nie przeszkodziło za łapówkę chronić przed odpowiedzialnością wobec króla przeniewierczego skarbnika, a siebie — wnioskuje znowu przekazanie dochodzeń areopagowi — w nadziei, że jak poprzednio, sprawa utonie w niepamięci. Ale tym razem pomylił się.

Hypereides zwrócił się wprost do Demostenesa i ciągnął:

— Gdy sądziłeś, że nadchodzi czas, w którym areopag ogłosi listę łapowników, stałeś się nagle wojowniczy i wprawiłeś miasto w podniecenie, by zapobiec wyjawieniu; gdy jednak areopag ogłoszenie znobuwu odroczył, ponieważ dochodzenia nie były zakończone, poparłeś wniosek, by Aleksandrowi oddawać cześć jak Dzeusowi, Posejdonowi czy jakiemu tam zechce bogu.

Nic nie zostało za sztuki Demostenesa, gdy zaczął wygłaszać swą obronę. Zarzut podniesiony na wstępie, że areopag obciążając go chce się przypodobać Aleksandrowi, był tak oczywiście fałszywy i bezpodstawny, że wywołał gwizdy i śmiechy, które pozbawiły mówcę reszty panowania nad sobą. Zapomniał przygotowanych argumentów, jękał się i seplenił, podrzucił ramieniem, wreszcie w poczuciu bezsilności padł na kolana i krzyknął:

— Nie wzbogaciłem się służąc wam, nie będę miał z czego zapłacić grzywny, choćbym spieniężył wszyst-

ko, co posiadam, a żonę i dzieci zaprzedał w niewolę. Jeśli ja nie zasłużyłem na waszą życzliwość, nad nimi się zmiłujcie!

Wśród tysiąca pięciuset przysięgłych znaczną część, jeśli nie większość, stanowili jego zwolennicy lub nawet wielbiciel i w tym pokładał ostatnią nadzieję. Ale umiejętnie przez Hypereidesa wzniecony strach przed Aleksandrem pogłębił jeszcze wrogi pomruk, jakim tłum przyjął wystąpienie Demostenesa. Uniewinnienie go mogło mieć nieobliczalne następstwa.

Noc uczyniła się późna, zanim skończyły się przemówienia i sąd przystąpił do głosowania nad wyrokiem. Tłumy zrzedły tymczasem, wielu sędziów drze mało, widocznie z góry powziąwszy postanowienie niezależnie od wygłaszanych przemówień lub polegając na uwadze innych. Wyrok nie wywołał ani gorętszych sprzeciwów, ni objawów zadowolenia. Kilku oskarżonych, którzy pobrali mniejsze łapówki, uniewinniono. Demostenes i Demades skazani zostali na grzywny po 50 talentów i uwięzienie do czasu zapłaty. Biedota, zawiązująca politykom ogromnych dochodów z ich rzemiosła, podejrzewała sędziów, że oni z kolei pobrali łapówki, grzywny wymierzono bowiem niższe, niż przewidywała ustawa. Światlejsi obywatele nie pozbyli się obawy przed gniewem Aleksandra, śledztwo wykazało tylko, gdzie wsiąkły 64 talenty; gdzie pozostała się brakująca reszta zaginionej sumy — pozostało nadal tajemnicą; Hypereides wezwał do zgłaszania z zapewnieniem bezkarności, ale bezskutecznie. Zarówno wśród oskarżycieli, jak i oskarżonych byli członkowie obydwu stronnictw, co świadczyło, że w całej sprawie nie odgrywały roli względy polityczne, jak również i sąd nie brał ich pod uwagę, a poklask, jaki zyskała obrona Demadesa, dowodził, że nikt już w Atenach nie cieszy się powagą i zaufaniem.

Wraz z innymi skazanymi Demades opuszczał teraz heliąję pod strażą, ale niemal jako triumfator. Podczas gdy Demostenesa, Filoklesa i kilku innych pro-

wadzono do więzienia, on zmierzał do swego wygodnego domu, by wpłaciwszy grzywnę wykąpać się i spocząć po mozolnym dniu. Z towarzyszącej mu gromadki wysunął się Diogenes i zbliżywszy się powiedział:

— Przyjmij moje życzenia. Nikt tak jasno, jak ty, nie potrafił wykazać, że rządcy waszego miasta to zgraja głupców i łajdaków. Słusznie i siebie nie wyłączyłeś. Kto się wstydzi własnych czynów, sam siebie potępia. Ty jedynie potrafiłeś zyskać poklask motłochu.

— Chwalisz mnie ponad zasługę. Rzeczy oczywistych wykazywać nie trzeba, a motłoch zawsze się cieszy, gdy ujawnić, że ci, którzy mu przewodzą, nie lepsi od niego, bo to mu daje poczucie równości.

— Podziwiani zarówno twą skromnością, jak i szczerością. Dziwi mnie natomiast, że wcale się tym nie przejmujesz, iż cuchnie twoja ojczyzna.

— Czy widziałeś może, by jakiś nieboszczyk zmarłychwstał, gdy ktoś płakał na jego grobie? Mnie dziwi, że to mówisz ty, który w istocie jesteś do mnie podobny: tak samo jak ja nie dbasz o niczyje sądy i żyjesz, jak ci się podoba, nie troszcząc się o ojczyznę.

— Mnie się wydają istotniejsze różnice między nami: co innego nam się podoba i moja ojczyzna jest wszędzie, a twoja nigdzie.

- Ponieważ jestem śpiący, nie podejmuję z tobą dyskusji, zwłaszcza że nie dbam i o twoje zdanie. Człowiek należy po to do społeczności, by mu było lepiej, a:"nie gorzej.

— Człowiek po to należy do społeczności, by ją poprawiać, a nie korzystać z tego, że jest zła. Słów mi wprawdzie nigdy nie brak, ale istotnie szkoda je tracić dla siebie.

— Ja chcę uszczęśliwić tylko siebie samego, ponieważ nikt inny o tym nie myśli. Mogę ci przyznać nawet, że jesteś podobny do Aleksandra: obydwaj chcecie naprawiać cały świat, choć was nikt o to nie

prosi. Zegnaj, bo dziś nie jesteś nawet zabawny. Patos zawsze mnie nudzi, jakkolwiek w twoich ustach bywa raczej śmieszny.

Wyrok nie rozproszył ani zaduchu brudnej sprawy, ani strachu przed Aleksandrem i Antypatrem, ani nie szczczędających nikogo podejrzeń, gdy brak blisko trzystu talentów nadal pozostał nie wyjaśniony mimo pół roku trwających dochodzeń. Podejrzany wydawał się areopag wobec widocznej opieszałości i niedbalstwa w ich przeprowadzeniu, tak że zgromadzenie ludu musiało kilkakrotnie ponaglać i podejrzany sąd, wobec niezwyklej łagodności wyroku.

Hypereides przez dumę udawał, że nie obeszło go, iż Timokles w swej komedii wymienił jego imię w jednym szeregu z niewątpliwymi łapownikami, ale wzmogło to jego zawziętość przeciw nim i drażliwość. Gdy spotkany nazajutrz po wyroku Fokion przeszedł koło niego zamyślony, Hypereides zawrócił i zatrzymawszy go, zapytał szorstko:

— Czy chcesz mi dać odczuć, że w Atenach tylko ty jesteś wyższy ponad podejrzania, czy też gniewasz się na mnie, że spowodowałem zasądzenie twego zięcia?

Fokion zdziwiony odparł spokojnie:

— Mylisz się. Jestem po prostu zatroskany, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie grzywny za Charikleusa.

— Trzeba ci było podjąć się jego obrony. Za twoim poręczeniem byłby zapewne wyszedł czysty ze sprawy.

Nie po to uczyniłem, go swym zięciem, by osłaniać jego brudne sprawki.

- Tak czy inaczej chcesz go jednak zwolnić od odpowiedzialności. Wskażę ci tańszy sposób: dozorczy więzienia też biorą łapówki.

— Ale ja nie biorę ani nie daję. A względy mam

nie dla zięcia, lecz dla mojej córki i wnuków. Płacąc za niego nie łamię przynajmniej prawa.

— Jesteś wzniosły, ale niepraktyczny. Czy nie sądzisz jednak, że dla miasta korzystniejsze byłoby pozbyć się kilku łotrów niż ściągać od nich grzywny? Spodziewam się, że Demostenes skorzysta z tego tańszego sposobu i nic nie mam przeciw temu.

— Nic nie masz przeciw temu, by urzędnicy brali łapówki za łamanie swych obowiązków? O co tedy oskarżałeś Demostenesa i innych?

— O to, że czynią to ze szkodą państwa.

— Pomijam naszą różnicę zdań, co jest dla państwa najbardziej szkodliwe. Nasi politycy, Demostenesa nie wyłączając, zawsze brali od każdego, kto im dawał. Dopóki jednak był z tobą zgodny w nieprzejednanej wrogości wobec Macedonii, nie wahałeś się z nim współpracować, mimo że szkody, jakie ta polityka przyniosła naszemu państwu, są oczywiste.

— O tym dość już z tobą rozprawialiśmy i wiesz, co myślę.

— Wiem: zwalczałeś Demostenesa dlatego, że spij wodował rozłam w stronnictwie wojny. A jednocześnie⁵ wykorzystując strach przed królem, by pozbył się niewygodnego człowieka, oskarżałeś go o to, że swym postępowaniem naraził państwo na odpowiedzialność wobec Aleksandra. Nie masz mu za złe, że jest przekupny, lecz że sam ze strachu przed Aleksandrem stał się bardziej umiarkowany. Nie wahałbyś się przeto nadal współpracować z nim, gdyby się pozbył strachu?

— Oczywiście! W walce można także posługiwać się najemnikami, którym nikt nie ma za złe, że biorą za to pieniądze.

— Pozwól sobie jednak przypomnieć, że pod Salaminą, Maratonem i Platejami nie walczyli najemnicy, lecz obywatele. Bo wolności nie można kupić, trzeba na nią zasłużyć.

Do tego właśnie chcę zmusić Ateńczyków. Ty zbyt trzeźwy jesteś. Fokionie. Ja przypomnę ci, że nie

minęło pół wieku od czasu, gdy z Macedonią nie liczył się nikt. To dwóch ludzi uczyniło z niej potęgę, która zagraża całemu światu. Jeden już nie żyje, drugi też kiedyś umrze, choć również każe zwać się bogiem.

— Tedy poczekaj przynajmniej na to, na co zdaje się liczysz, skoro sam wiesz, że strach przed Aleksandrem obezwładnił nawet stronnictwo wojny. Nie zapominaj jednak — ciągnął z ironią — że obydwaj moglibyśmy być dziadkami Aleksandra.

— Nie zapominam. Ale wiem, że kto się raz pogodzi z niewolą, nigdy już wolny nie będzie.

Gdyby w więzieniu Demostenes miał się na czym powiesić, byłby to w przystępie rozpaczy uczynił. On, który chciał być nowym Peryklosem, skończyć ma życie w ateńskim więzieniu, bo nigdy nie zdoła zapłacić grzywny. Demadesa stać było na to i nadal może drwić ze wszystkiego. Na twardej więziennej pryczy Demos ten esa nie chciał nawiedzić sen, więzienny pokarm nie przechodził mu przez gardło, ostatnia nadzieja to rychła śmierć... Przeklinał bogów, ludzi i samego siebie.

Niesłusznie jednak, bo przyjaciele nie zapomnieli o nim. Szóstej nocy, gdy wreszcie zdołał zasnąć, obudził go dozorca, szepcząc:

— Ktoś chce mówić z tobą.

Drzwi od celi były otwarte i Demostenes w zakapturzonym człowieku poznał siostrzeńca swego, Demona, który ujął go za rękę i powiedział:

— Pójdź! Wszystko przygotowane.

Gdy znaleźli się za murami, Demon wskazał na kierunek ku wybrzeżu, mówiąc:

— Tam czeka na ciebie łódź, w niej będziesz już bezpieczny.

Bezpieczny będzie dopiero z dala od miasta, bez którego nie wyobraża sobie życia... Obejrzał się i oczy zaszkły mu łzami. Wzniósł ręce ku jaśniejącemu już niebu.

— Władczyni Ateno! — westchnął. — Dlaczego spodobałaś sobie te trzy obrzydłe stwory: sowę, węża i ateński demos?

Ruszył ku zatoce, gdy na kamiennej ścieżce posłyszał szelest szybkich kroków. Prerażony co prędzej skrył się w krzakach, ale nadchodzący dostrzegli go widocznie, bo skierowali się wprost ku niemu, z dala jednak wołając, że to przyjaciele przesyłają mu zasiłek na drogę.

Rozpłakał się mówiąc:

— Obym gdzie indziej znalazł takich przyjaciół, a nie wrogów, jakich mam w Atenach.

Niemniej podniosło go na duchu, że ma i przyjaciół, i dotarłszy do Troidzeny, gdzie na razie zamiejrzał się zatrzymać, już zaczął myśleć o powrocie. Lud ateński jest zmienny, nie pierwszy Demostenes musiał z Aten uchodzić, by potem w triumfie powrócić. Tymczasem uczynił wstępny krok, wysyłając pismo do Rady i zgromadzenia: mimo krzywdy i niewdzięczności, jaka go spotkała, każdej chwili gotów jest wrócić, gdy tylko będzie ojczyźnie potrzebny. Gdziekolwiek jednak się znajdzie, zawsze będzie prawojtri jej posłuszny. Jeżeli uciekł z więzienia, to jedynie dla tego, że będąc słabego zdrowia nie zdołałby przeżyć wstydu i poniewierki, a pewny jest, że nadejdzie jeszcze czas, gdy dane mu będzie pracować znowu ku chwale i pożytkowi Aten, jak przez całe swoje życie, nieustannie, słowem i czynem dobru ogólnemu służyć.

Wieści, jakie wcześniej niż do Aten dotarły do Troidzeny, utwierdziły nadzieję Demostenesa: Harpalos zginął, śsamordowany przez swego towarzysza Tibrooa, który zawładnąwszy jego wojskiem i skarbmami zbiegł do Kyreny. Sprawa przekupstwa straciła swe ostrze, Antypater zajmie się teraz Tibronem. Znając swe miasto Demostenes przekonany był, że skoro uniewinniono Arystofona i innych, którym również udowodniono łapownictwo, ten sam demos, który go potępił, wyzbywszy się strachu przed Antypatrem szukać będzie sposobności, by mu umożliwić powrót.

Antypatra jednak ważniejsze przyczyny wstrzymywały od wymierzenia Atenom kary za nieposłuszeństwo; nad nim samym gęstniała chmura niełaski króla. Od Jolaosa przybył posłaniec z pismem, w którym zawiadomił ojca, że król wzywa go do Azji, a mianowany w jego miejsce strategiem Europy Krateros wyruszył już w drogę do kraju, w Babilonie zaś czekają na Aleksandra poselstwa helleńskich państw, by skarżyć się, że Antypater wbrew rozkazom króla wtrąca się w ich sprawy, popierając tyranów i oligarchie. Jeżeli Antypater z powodu wieku i złego stanu zdrowia nie będzie mógł przybyć sam do Azji, niechaj wyśle Kassandra, by ojca oczyścił z zarzutów.

Antypater był zdrow i zrozumiał przestrożę. Jolaos pisze ostrożnie, obawiając się widocznie, że pismo może wpaść w niepowołane ręce, kończył je natomiast wzmianką, że potrzebnych wyjaśnień udzielić może posłaniec.

Najważniejsze było stwierdzenie, czy Aleksander wie już o zawartym z Etolczykami porozumieniu, Choć i bez tego Antypater rozumiał piętrzące się nad nim groźby. Co gorsze, król ma w Jolaosie zakładnika, postępować trzeba z najwyższą ostrożnością. Niemniej do Azji nie wyjedzie i z wielkorządztwa nie ustąpi, choćby miał je utrzymać siłą.

Zaproszony na wieczerzę posłaniec był jednym z weteranów, którzy ongiś wyruszyli pod Parmenionem. Jolaos zresztą wybrać musiał człowieka, który umie patrzeć i słuchać, a mówić z nim można otwarcie. Umiał też odpowiadać i na nie zadane pytania, bo gdy Antypater zapytał, kogo prowadzi Krateros, odparł:

- Bądź spokojny, wodzu. To twoi dawni podwładni. Jeżeli będziesz miał z nimi kłopoty, to tylko dlatego, że odwykli od naszego życia. Zaopatrzeni są, bo prócz łupów każdy otrzymał talent złota, a żołd mają pobierać przez całą drogę! Tedy nie będą się śpieszyli.

— Król jest hojny — mruknął Antypater.

— Ale nie wszystko można zapłacić złotem - uważał posłaniec.

Antypater zrozumiał, nie podtrzymał jednak zwierzeń, natomiast zapytał:

— Kto wraca ze starszyny?

— Polisperchon, zastępca Kraterosa, który zapadł na zdrowiu. Zdać się mogło, że jest z żelaza, ale trudy, któreśmy znieść musieli, przegryzą i żelazo. Prócz niego Klejtos Biały, Gorgias, Antygonos, Polydamas i Amyntas. Wszyscy walczyli jeszcze pod Cheroneą, królowi już niepotrzebni, gdy stracili zdrowie i siły. A może nie tylko dlatego.

— Pozbywa się doświadczonych dowódców — mruknął Antypater.

— Zapewne jeszcze nie słyszałeś, co zaszło pod Opis?

— Nie słyszałem.

— Tedy krótko powiem: król złamał i cisnął wykuty przez was miecz, którym tyle zwycięstw odniósł.

— Możesz mówić długo, noc długa. Chcę wiedzieć wszystko. I niechaj wiedzą moi synowie.

Polecił ich przywołać, a za nimi weszła Alkesta i w milczeniu usiadła pod ścianą. Antypater wsparł siwą brodę na dłoni i słuchał nie przerywając.

— Nie nocy, ale roku nie starczy, by opowiedzieć, gdzieśmy byli, co działo się i co wycierpieli. Piszą zresztą; o tym Ptolemaios, Nearchos, Eumenes, Onesikrifcos i kto tam jeszcze. Tedy nie o tym będą mówił, jeno jak się drogi króla z naszymi rozeszły. Zaczęło się już, gdyśmy przeszli za Eufrat, ale król umiał się pozbywać tych, co znużeni już byli i zaczęli szemrać. Rękę miał jednak dla nich otwartą, nie żałował złota ni zaszczytów. Wielu zostawało w zdobytych krajach. Odwykli od naszego życia lub wracać nie mieli do czego, a tam nęciły majątkości i władza. Nowi patrzyli na nich z zazdrością, nie wiedzieli, ja-

ką cenę za to się płaci. Ale wszyscy myśleli, że gdy król zdobędzie państwo Cyrusa, tym się wreszcie zadowolą. Gdyśmy jednak ruszali do Indii, coraz więcej było takich, którzy rozumieli, że nie wydołają temu, czego od nich żąda, a na dobitkę nie wiedzieli, po co,

Dotarliśmy nad Hyfasis , a król znowu gotować się kazał do przeprawy. Rzeka wezbrana, przez siedemdziesiąt dni deszcz i deszcz, że świata nie widać. Oręż zardzewiał, łuki i cięciwy namoknięte, ni ognia naniecić, ni szaty wysuszyć. Paznokcie ludziom obłaziły z nóg od wilgoci, koniom róg z kopyt. Azjaci milczeli, wiadomo, niewolnik nie zwykł zdradzać, co myśli. Nasi jednak głośno już pyskowali, że dalej nie pójdą. Próbował król przekonywać, że niedaleko już. Zbudujemy statki, popłyniemy Zatoką Indyjską do Perskiej i wokoło Libii do Słupów Heraklesa. Pierwszy raz powiedział, czego chce: zdobyć cały świat, by granice ziemi były granicami jego państwa. Potem obiecywał odprowadzić do domu tych, którzy zechcą, a tym, którzy zostaną w zdobytych krajach, takie nagrody i zaszczyty, że zawidzić będą ci, co odejdą.

Nie nanieci ognia z mokrego chrustu... Nie przekonał nikogo, a Polemokratesowy Koinos, który z królem był poufały, otwarcie mu rzekł, że chcemy do domu, rodziców zobaczyć, jeżeli żyją jeszcze, żony i dzieci, ód których niejeden od ośmiu lat nie miał ni wieści. Siły wytraciliśmy, nie stać nas na dalsze trudy. Gdy wrócimy ze sławą i majątnościami, będzie to zachętą dla młodych, by wraz z nim zdobywać świat;— ile go tam jeszcze zostało. Sam król także winien wypocząć, w kraju się pokazać, w Helladzie bid zaprowadzić matkę zobaczyć i małżonkę choćby odwiedzić, by zatroszczyć się o następcę...

...Dziwny z króla człek, jeśli zgoła człek. Gdy pojął Roksanę, zdało się, iż tak się w niej rozmiłował, żej kres będzie wędrownikom choć na jakiś czas. Ale jego jakowys demon gna, spocząć nie pozwalając. Jeno się rozgniewał, a na drugi dzień ogłosił, że nikogo nie zmusza, ale pójdzie dalej choćby sam, a kto chce,

może wracać, i niechaj powie w kraju, że opuścił króla pośród nieprzyjaciół. Ale to groźba była, że on nas pośród nieprzyjaciół porzuci, a już nieład zaczynał się w wojsku. Przez trzy dni ani się pokazał, zapewne czekał, czy się nie rozmyślimy, bo jakże to wracać bez króla? Jeśli nie wstyd, to obawa, że niedawno podbite ludy powstaną znowu, gdy postrzegą, że wojsko bez wodza. Wtedy zrozumieliśmy, dlaczego zgładził Parmeniona. On by wydolił wojska odprowadzić do kraju.

Iście niektórzy już się wahać zaczęli, ale wytrzymaliśmy i na czwarty dzień król ogłosił, że wracamy. Pono dlatego, że wróżby były złe; nie chciał przyznać, że musiał się ugiąć. Radość zapanowała taka, jakbyśmy już w domu byli. A jaki to był powrót, długo by mówić, ale żadne słowo nie opisze, cośmy wycierpieli, ilu kości zostawiło w pustyni Gedrozi. Drogi żadnej, nogi w piachu toną gorzej niż w bagnie. Piasek w oczach, w uszach, w gardle, w zębach zgrzyta przy żarciu, póki go stało. Potem konieśmy jedli, wozy porzucili, komu sił brakło, zostawał na śmierć z głodu i pragnienia. Tajały wojska jak śnieg w słońcu, jedno przyznać trzeba, że król siebie także nie szczędził. Pieszko szedł na czele jak zawsze, jadł i pił tyle, co każdy prosty lochita. Gdyby nie to, chyba wszyscy byśmy tani zostali, a po co? By mógł powiedzieć, że dokonał tego, czego nie wydołał nikt przed nim, bo Cyrus i Semiramis, którzy tę pustynię przejść rzekomo mieli, całe wojska utracili, a on choć połowę przeprowadził. Kto wytrzymał, doszedł do Karmanii i skończyła się nędza. Tam dołączył do nas Krateros, który część wojsk przez Drangianę wiódł — w Suzie ci, którzy pod Neartchem spływali w dół Indu i przez Morze Erytrejskie i Perską Zatokę do ujścia Tygrysu, gdzie król siódme już miasto swego imienia zbudować kazał. Jak chciwy sławy i o nią zawistny, Świadczy, że z siedemdziesięciu, jakie po wszystkich zdobytych krajach założył, ni jednego nie nazwał imieniem choćby najbardziej zasłużonych. Ale założone nad Hydaspem miasto, w miejscu, gdzieśmy z Po-

rosem krwawą bitwę stoczyli — gdy mu ulubiony koń padł ze starości — nazwał Bukefalią. Koń mu ważniejszy niż ludzie. Gdy go Uksjowie ukradli, zagroził, że całe plemię wytraci, jeśli go nie zwrócą.

— Szkoda, że mu świątyni wystawić nie kazał i czcić jako boga — mruknął Antypater.

— Ja sądzę, iż uczcił go dlatego, że koń go nosił, gdzie mu kazał, nie pytając dokąd i po co... Ale kto go zrozumie? Gdyśmy zdychali z pragnienia, cierpiał je wraz z nami. Ale koń musiał wodę dostać.

- Mniejsza o konia. Mów dalej.

— O weselu w Suzie zapewne już słyszałeś. Kto jednak tego nie widział, trudno mu uwierzyć, a wyobrazić sobie nie zdoła. Dość powiedzieć, że namiot z najdroższych tkanin i kobierców przygotowany na ucztę dla dziewięciu tysięcy gości, cztery stadia na długość liczył, a każdy z zaproszonych złotą czaszę otrzymał w upominku. Ale nie o to sprawa. Król ogłosił, że kto azjatycką niewiastę pojmie, posag za nią od niego otrzyma. Jasne było, do czego zmierza: by nie było już Makedonów, Hellenów i barbarzyńców, ale jeden naród. Wielu zresztą przedtem miejscowe niewiasty pobrało, gdy nie było naszych. Sam król już dwie azjatyckie małżonki miał, Barsinę i Roksanę, teraz pojął jeszcze dwie: Dariuszową córę Stateirę i najmłodszą córę Artakserksesa — Parysatydę. Nawet Filip, gdy następną małżonkę brał, poprzednią wyganiał, bo nie nasz obyczaj kilka małżonek. Wiadomo, że Aleksandrowi nie cztery małżonki potrzebne, ale pozór, że nie zdobywcą jest, ale prawowitym następcą perskich królów. Hefajstionowi dał drugą córę Dariusza, Drypetos, innych hetajrów też z perskimi księżniczkami pozenił, we wszystkim wprowadzał barbarzyński obyczaj. Trzydzieści tysięcy barbarzyńskich rekrutów do wojska wcielił, Baktrów, Sogdów, Arianów, Partów; barbarzyńcy na dworze, na urzędach nawet w królewskiej agemie, a dowództwo jej otrzymał baktryjski Hisjtaspes. Nas ubywało, przybywało Azjatów, można była przewidzieć, na czym się

to skończy. Nasi mruźli, zrazu cicho, gdy ciągnęliśmy w górę Tygrysu, na północny zachód, ku domowi. Tu król nie będzie nosił perskich portek; ni medyjskiego pasa, boby go wyrostki wyśmiały, barbarzyńcy nic tu nie mają do szukania, ostaną, gdzie są. Niech jeno daninę płacą, jaką król na zdobyte kraje nałożył, trzydzieści tysięcy talentów na rok, tyle złota i srebra nie znalazłby w całej Helladzie. Staliśmy czekając, kiedy król sprawy załadzi, które pod jego nieobecność nie szły, jak przykazał. Gdy się rozniosło, że król za wyzysk i ucisk kary wymierza, posypały się skargi, w ślad za nimi głowy bez żadnych względów. Dał ją i tracki Sitalkes, choć niby sprzymierzeńcem jeno był, stracony został Kleander, odpłacił im los za Parmeniona. Są skargi i na ciebie, i syn przestrzec cię kazał, byś pod jakimkolwiek pozorem wyjazdu do Azji odmówił.

— Nie ślubowałem posłuszeństwa perskiemu królowi - mruknął Antypater. — Mów dalej.

— Niecierpliwili się nasi i znowu szemrać zaczęli, aż nie wiadomo skąd wieść się rozeszła, że nie do kraju idziemy; ale na wschód do Ekbatany, a stamtąd nad Meotis, przeciw Scytom. I wtedy zawrzało: król wytracić nas chce do ostatniego i z barbarzyńcami pozostać.

W miarę jak posłaniec mówił, twarz Antypatra przybierała wyraz posępny i zatroskany, ale milczał; dopiero gdy posłaniec skończył, wódz odezwał się:

- Król nie potrzebuje nas, a my jego. Póki ja żyję lub którykolwiek z was — zwrócił się do synów - Macedonia nie będzie jedną więcej satrapią perskiego królestwa.

Niezadowolone teraz dopiero nurtować zaczęło macedońskie oddziały, zarówno starszyznę, jak i prostych lochitów, choć powody były różne. Aleksander jednak nie liczył się z tym. Dopiero gdy otwarty opór nad Hyfasis położył tamę dalszemu pochodowi na

wschód, próbował go rozładować. Zapłata długów całych wojsk macedońskich i wyposażenie tych, którzy wzięli udział w weselu w Suzie — jak sądził — powinny być jeżeli nie usunąć przyczyny, to zrównoważyć je oczywistymi korzyściami, jakie przynosiło uleganie jego woli. Siły macedońskie zresztą coraz mniej były mu potrzebne i wystarczające do jego celów. W wojnie i dla wojny wykuty przez Filipa i jego współpracowników oręż wyszczerbił się i stanowi ciężar. Nawykłe do ślepego posłuchu, na macedońską modłę zbrojne i wyćwiczone azjatyckie wojska są już sprawniejszym narzędziem, a zewsząd przybywające poselstwa z darami i zapewnieniem uległości świadczyły, że król coraz mniej liczyć się musi ze zbrojnym oporem w budowie światowego państwa. Inne natomiast związane z tym sprawy narastały w nieskończoność, całkowicie pochłaniając myśli Aleksandra. Stopienie w jedność odmiennych mową, wiarą i obyczajem ludów było zadaniem trudniejszym niż ich podbój. Dlatego gdy Hefajstion doniósł mu, że w oddziałach macedońskich znowu zaczyna się wrzenie, Aleksander powiedział niecierpliwie: — Nie są mi już niezbędni, im zaś się wydaje, że tylko oni zdolni są na wojowników i że ja tylko wojowników potrzebuję. Gdybym liczył na wdzięczność za to, co dla nich uczyniłem, odesłałbym wysłużonych tak, jak stoją. Polecę jednak każdemu, kto służy od czasów Filipa, wypłacić talent złota i żold na całą drogę. Na moją niewdzięczność nie będą mogli narzekać. Gdy odejdą ci, w których jest źródło wrzenia, a resztę wymieszam z Azjatami, skończy się opór.

— A jednak mimo wszystko oni przywiązani są do ciebie i chcieliby, byś ich sam do kraju odprowadził. Dobrze by było nie tylko dlatego. Weterani nawykli słuchać Antypatra, a nie wiesz, jak on się zachowa. Kraterosowi mogą odmówić posłuszeństwa, ty zawsze potrafiłeś ich do niego zmusić. I dobrze byłoby, gdybyś się w kraju pokazał. Tobie i Asrtypater nie

Waży się sprzeciwić, skończą się jego spory z twoją matką. Sam pisał ci, że długa nieobecność króla nie jest korzystna, a zdałoby się też, byś odpoczął. Trudny zżerają i ciebie.

Istotnie twarz Aleksandra straciła młodzieńca świeżość, a włos złocisty połysk. Tylko oczy świeciły dawnym blaskiem, a gdy rozogniły się w gniewie, nikt nie mógł znieść, ich spojrzenia. Gniewał się zaś coraz częściej, jednak tylko blisko niego. stojący Hefajstion podejrzewał, że przyczyną jest ubytek sił. Czuł też, że Aleksander śpieszy się, dlatego niecierpliwi go każda przeszkoda na drodze do celu, jakby przeczuwał, że nie starczy mu czasu, by osiągnąć, co zamierzył. I teraz powiedział gniewnie:

— Z Antypafcrem muszę skończyć tak czy inaczej. Dość mi ustawicznych skarg na niego. Wojsku sam ogłoszę, co postanowiłem. Każ zawołać Eumenesa, trzeba sporządzić spis weteranów, którzy mają odejść, i pismo do skarbnika, by przysłał potrzebne dla nich pieniądze. I chcę, byś ty przestał gwarzyć się z Eumanesem. Ani ty mi jego nie zastąpisz, ani on ciebie. Przynajmniej ty nie stawiaj mi przeszkód.

— Ty mu nadal wierzysz, a wiesz, że cię okłamał. Za twoją hojność zapłacił ci brudnym sknerstwem — niechętnie odparł Hefajstion. — On zbiera pieniądze i to jego cel.

— Ale zrozumiał, że potrafię wydobyć prawdę i więcej mnie nie okłamię. Tego, co mu płacę jest wart, a każdy z was służąc mi, czegoś po tym dla siebie oczekuje. Czyń, co kazałem — zakończył niecierpliwie.

Gdy Hefajstion wyszedł, Aleksander zamyślił się. Nie uchodziło jego uwagi, że nawet wśród najbliższych mu, którzy znali się i przyjaźnili od wyrostków, zaczyna się współzawodnictwo. On tylko przygniata swym ciężarem ich chciwość i żądzę władzy. Wypadki jednak, jakie zaszły w zdobytych krajach w czasie jego wyprawy do Indii, zdały się zapowiedzią, co będzie, gdyby jego nie stało. Kto zechce i potrafi zrozumieć myśl Aleksandra i w całości utrzymać jedność

świata, krwawym trudem wprowadzoną w czyn, a zwłaszcza dla spadkobiercy Aleksandra, nie dla siebie. Herakles liczy dopiero cztery lata, syna Barsiny jednak nie uznają za władcę ani Makedonowie, ani Azjaci. Ze Stateirą ni Parysatydą nie będzie miał potomka, pojął córę królewskie, by się spokrewnić z Achemenidami, od dnia wesela jednak nawet ich nie widział.

Myśl Aleksandra pobiegła ku Roksanie. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że to tęsknota za jedyną w jego życiu niewiastą, która związała go nigdy przedtem ni potem nie znanym uczuciem. Uciekł przed nim, bo lękał się, że ulgnie przy niej, jak Herakles przy Omfalii, spalił się w płomieniu namiętności, jaki umiała w nim rozniecić, władcza w swej uległości, drapieżna w pokorze, zagadkowa w zupełnym oddaniu. Teraz; gdy coraz częściej wstająca w nim wątpliwość, czy starczy mu czasu, by dokończyć swego dzieła, kierowała jego myśli ku następcy, który by tego dokonał, krzepił się pewnością, że spłodzony z umiłowaną niewiastą syn podoła temu zadaniu. Każę Roksanę sprowadzić do Ekbatany, gdzie zamierzał przezimować. Pod jej kłiwą opieką odpocznie. Myślał o tym z radością.

Wrócił jednak do chwili obecnej, gdy Hefajstkm nadszedł z zawiadomieniem, że wojska zbierają się, a przed pałacem czekają dostojnicy macedońscy i straż przyboczna. Aleksander dosiadł konia, by udać się do obozu rozłożonego nad Tygrysem.

Ustawione w czworobok na obozowym dziedzińcu wojska nie powitały króla zwyczajnym okrzykiem. Jak ongiś, gdy po raz pierwszy po śmierci nija przemówić miał do nich, stały w poważnym milczeniu. Wówczas jednak od ich pozyskania zależała cała przyszłość, teraz nie są już potrzebne, niemniej Aleksander chciał im okazać, że docenia ich zasługi, a poniesione trudy wynagradza po królewsku. Zaczął swobodnie:

— Widzą wśród was wielu, którzy byli starymi

wojownikami, gdy ja dopiero walczyć zaczynałem. Długie lata służby uprawniają ich do wypoczynku. Są i tacy, którzy wyzbyli sił od ran i trudów, jakieśmy ponieść musieli. Słyszę, że chcieliby ujrzeć iznowu swe domy, połączyć się z rodzinami! Nie zamierzam, jak poprzednio czyniłem, osiedlać wysłużonych w zakładanych przeze mnie miastach. Kto jednak z nich chciałby zostać, temu odpłacę tak, że zazdrościć mu będą ci, co wracają. Teraz, gdy Azja jest podbita i uspokojona, nie będę też ograniczał liczby wojowników, którzy wracać mają do kraju, nie czując sił do dalszych trudów...

Przemówienie Aleksandra przerwały krzyki, które przeszły w burzę. Szeregi złamały się, tłum ryczał, że trudno było rozróżnić słowa.

Straż i dostojnicy skupili się dokoła króla, wzburzony motłoch, w jaki niespodziewanie zmieniło się karne zazwyczaj wojsko, budził przerażenie. Dzikie postacie rwały się ku stojącej pośrodku wzburzonego tłumu gromadce wrzeszcząc:

— Chcesz się nas pozbyć, by zostać z barbarzyńcami!

— Wszyscy odejdziemy, zostań sobie z niewolnikami, którzy cię zdradzą, jak ty nas zdradziłeś!

— Urządzaj sobie wyprawy ze swym ojcem Ammonem!

— Przymknij oczy, sam odprowadzić wojska do kraju, Więcej nas nie oszukasz!

— Chcesz nas zbyć ochłapami tego, cośmy krwią naszą zdobyli!

— Teraz nas, starych i zużytych, oddajesz rodzinom! Nie takich nas od nich zabrałeś!

Coraz dziksze wrzaski i cięższe zarzuty padały z rozjuszonego tłumu. Dowódca straży bezradnie rozglądał się, ale nie było wyjścia. Zdało się, że chwila jeszcze a motłoch rzuci się na gromadkę. Kilku zuchwalszych zbliżało się już, wrzeszcząc:

- Zamordowałeś Parmeniona, by nas nie miał kto do kraju odprowadzić!

— A Klejtosa, bo ci powiedział prawdę, ale wszystkim gęby nie zamkniesz!

Aleksander, który na pozór spokojnie patrzył tia rozjuszonych, niespodziewanie zeskoczył z konia i dopadłszy pierwszego z brzegu krzykacza, cisnął nim o ziemię. Hefajstion struchlał gdyby jedna ręka podniosła się przeciw królowi, nieobliczalny motłoch rozedrze go i stratuje. Sięgnął do miecza, ale zatrzymał się, nie wierząc oczom: tłum cofał się przed rozszalałym Aleksandrem jak stado owiec przed wilkiem, a on ciskał ogromnymi chłopami, że dźwigali się z trudem. Krzyknął na straż:

— Brać ich i stracić!

Oślupiały tłum w milczeniu patrzył, jak prowadzono na śmierć towarzyszy, nie tylko ręka, ale nawet żaden okrzyk nie podniósł się w ich obronie.

W trwożnej ciszy, jaka zapanowała, donośnie rozległ się głos Aleksandra:

— Mówię do was nie po to, by was odwieść od postanowienia; jeżeli o mnie chodzi, możecie iść, dokąd chcecie. Mówię po to, byście zrozumieli, jak ja do was się odnosiłem, a jak wy odchodząc mnie żegnacie. Gdy ojciec mój nad wami obejmował władzę, byliście nędzarzami okrytymi skórą. Wszystko, coście posiadali, to małe stadka owiec i nawet tych niezbyt szczęśliwie broniliście przed łupieskimi sąsiadami. On wam zamienił skóry na płaszcze wojskowe i nauczył walczyć tak, że nie musieliście już jak ścigany zwierz szukać schronienia w górach. Uczynił was mieszkańcami miast, nadał prawa i nauczył obyczajów, z niewolników-barbarzyńców staliście się dzięki niemu panami tych, którzy dawniej narzucali wam swą siłę i ograbiali z mienia. Przyłączył do Macedonii Tfację, otworzył wybrzeże dla handlu, umożliwił - bezpieczne korzystanie z kopalń. Uczynił was też panami Tesalii, której dawniej lękaliście się śmiertelnie, pobił Fokijczyków otwierając swobodne przejście do Hellady. Pobił Teban i Ateńczyków, którzy zawsze na was czy-

hali i zamiast byćcie wy im haracz płacili, oni od was stali się zależni. Obrany wodzem przeciw Persji, nowy ład zaprowadził na Peloponezie przysparzając wam sławy. To były zasługi mego ojca wobec was.

...Ja niewiele po nim przejąłem. Wyruszając z kraju, który ledwo mógł was wyżywić, musiałem się zadłużyć. Otworzyłem wam drogę przez Hellespont. Czy mam wymienić kraje, które włączyłem do waszego państwa, a których dobra przeszły w wasze ręce? Z was uczyniłem satrapów, hipparchów i nomarchów. A ja cóż mam z tych trudów prócz diademu i purpurowego płaszcza? Niczego nie zdobywałem dla siebie. Po co gromadzić mam skarby? Jadam to, co wy lub gorzej niż niektórzy spośród was; gdy wy śpiacie, czuwam nad waszym snem.

W powszechnej ciszy Aleksander podniósł głos i ciągnął urągliwie:

— Oczywiście, to wszystko zdobyłem tylko kosztem waszych trudów i wysiłków, sam żadnych nie ponosiłem prowadząc was. Nieprawdaż? Jeżeli któryś z was odniósł rany, niech je pokaże, a ja pokażę swoje. Kto może powiedzieć, że dla mnie więcej wycierpiał niż ja dla niego? Żaden z mych członków nie jest wolny od blizn, nie ma takiej broni, która by nie potzostawiła śladów na mym ciele w walce o waszą sławę i wasze bogactwo. Długi wasze popłaciłem nie pytając, jak powstały przy tak wysokim żołdzie i obfitych łupach, wesela wam urządziłem takie same jak sobie. Nie szczędziłem uznania dla waszego męstwa, wielu z was otrzymało złote wieńce jako nieśmśertelne świadectwo. Poległych czcilem wspaniałym pogrzebem, w domach ich stoją spiszowe posągi, rodziny ich otoczone szacunkiem i zwolnione od wszelkich ciężarów. Nikt z was pod moim dowództwem nie znalazł śmierci w ucieczce. Teraz niezdolnych do dalszej walki chciałem odesłać do domu zaopatrując tak, by budzili zazdrość. Ale chcecie odejść wszyscy, to idźcie wszyscy, a w domu opowiedzcie, żeście opuścili waszego króla Aleksandra i pozostawili go pod opie-

ką pokonanych barbarzyńców, Persów, Medów, Baktrów, Sakków, Uksjów, Arachotów, Drangów, jego — zdobywcę Partii, Chorasmii, Hyrkanii, który przeszedł Kaukaz, przeszedł rzeki Oksos, Tanais, Indus, Hydaspes, Akesinę, Hydroates i przeszedłby Hyfasis, gdybyście wy nie cofnęli się trwożliwie. Dotarł tam, gdzie nie dotarł nikt prócz Dionizosa, zdobył skałę Aornos, czego nie zdołał dokonać Herakles, wyjechał na Ocean Wielki, przeszedł pustynię Gedrozi... Gdy to obwieścicie, zapewne zdobędziecie sławę u ludzi i błogosławieństwo bogów. Idźcie!

Gdy mówił, w tłumie wzrastał szmer potakujący, Aleksander jednak jakby nie słyszał, odwrócił się pogardliwie i odjechał. Za nim podniósł się gwar. Teraz gniew bezradnego tłumu zwrócił się przeciw podżegaczom, wszczęły się kłótnie, brano się do bójki, nikt nie słuchał dowódców, którzy usiłowali zaprowadzić jakiś ład, rozumiejąc, że rozpasanej tłuszczy, na dobitkę pozbawionej zaopatrzenia, nigdy do kraju doprowadzić nie zdołają. Sprawcy rozruchu, lękając się pozostać, by nie podzielić losu, który już spotkał najzuchwalszych, usiłowali nakłonić wojska do odejścia, ale nie znajdowali posłuchu i wymykali się chyłkiem. Podnosiło się coraz więcej głosów, by próbować przebłagać króla. Nikt w obozie nie spał tej nocy, nad ranem wysłano ludzi do miasta, by próbowali dowiedzieć się, o zamierza.

Gdy posłańcy wrócili, poczucie bezradności zbuntowanych przeszło w przygnębienie. Król zamknął się i nie dopuszcza do siebie nikogo prócz Eumenesa i Hefajstionaj. Pozostali, dostojnicy macedońscy, sami niepewni i zaniepokojeni, próbowali wybadać zamiary Aleksandra. Hefajstion nie odpowiadał, Eumeas odparł, że nie wie.

Dowiedzieli się trzeciego dnia. Do pałacu wezwino Persów, Medów i innych Azjatów. Zamiary Aleksandra przestały być tajemnicą. Wszyscy macedońscy dowódcy azjatyckich oddziałów zostali zwolnieni, Azjatami obsadził dowództwa i dworskie godności, naj-

dostojniejszych mianując swymi krewniakami, perskim obyczajem zegnając ich pocałunkiem.

Nawet straż pałacową objęli Persowie z rozkazem niedopuszczania nikogo do króla i rozpędzali tłum, który gromadził się pod bramami pałacu. Jasne było, że Aleksander postanowił zerwać ostatnie więzy łączące go z narodem. Jeśli ktoś jeszcze żywił nadzieję, że jak na Hyfasis opór całych wojsk macedońskich zdoła przełamać wolę Aleksandra, to stracił ją nazajutrz. Król polecił Hefajstionowi wysłać do obozu rozkaz, by go zbuntowani natychmiast opróżnili i odeszli. Jeżeli nie posłuchają, niech sobie wybiorą dowódców i gotują się do walki, albowiem usunie ich siłą.

— A co uczynisz, jeśli nie posłuchają rozkazu? — niespokojnie zapytał Hefajstion. — Czy przemyślałeś, jakie wrażenie wywołałoby w kraju i w Helladzie, gdybyś zniszczył wojska, którymi tyle zwycięstw odniosłeś?

— Wiem, co czynię, a ty rób, co kazałem. Ale nie lękaj się. Dałem im czas, by przemyśleli, co mogą osiągnąć sprzeciwiając się mej woli. I chcę, by zrozumieli, że nie ja im, lecz oni mnie zawdzięczają zwycięstwa. Przesaną się uważać za lepszych niż Azjacy i niezastąpionych.

Po odejściu Hefajstiona Aleksander zamyślił się. Wiedział, że gdyby teraz ogłosił, iż sam wojska odprowadzi do kraju, rozruch zmieniłby się w zapał i uwielbienie. Sam również mógłby ujrzyć matkę, bez wstrząsu usunąć Antypatra, ład zaprowadzić w Helladzie. Ale raz wypuszczony pocisk nie wraca tam skąd wyszedł, ani celu zmienić nie może. Śmierć i cierpienie, jego nieodstępni towarzysze od pacholecych lat, trzy obłożne choroby, piętnaście ciężkich ran nie zdołały go powstrzymać. Szedł na czele tych prostych ludzi, niesiony na noszach i wieziony na wozie, a oni szli za nim jak psy za przewodnikiem stada. Teraz zmęczeni już są, nadludzkie trudy i cierpienia zdają im się zbyt wysoką ceną za to niewielkie szczęście, jakie im zapewniał: dobrze zjeść, obficie wypić

i przespać się z niewiastą. Znał ich, wśród nich i na nich wyrósł i lubi tych zabijaków. Nie w nich leży niebezpieczeństwo dla celu, jaki sobie wytknął: jedności świata. Uderzył, gdy wyszczerzyli zęby, pogłaszczę, gdy uszy położą po sobie. Nie chcą iść dalej, pójdzie sam. Coraz mniej jest takich, którzy wąż się sprzeciwiać jego woli, musi mieć władzę, jakiej przed nim nie miał nikt.

A jednak ongiś, na początku swej drogi, zazdrościł Diogenesowi jego wolności. Władza jest ciężarem nie mniejszym, niż niewola i jak ona nie uszczęśliwia człowieka i nie uszlachetnia. Nikt ostrzej nie może sądzić Aleksandra za śmierć Klejtosa i Parmeniona niż on sam siebie, ale nie wolno nikomu. Nieraz chciałby choć na chwilę zrzucić ten ciężar, jak tytan Atlas dźwigający sklepienie niebieskie, jeno nie ma Heraklesa, który by go zastąpił. Władzy nie można odłożyć, można ją tylko utracić, a gdyby ją utracił, świat pogrzyży się w chaosie. Czyha na nią wielu chciwców i zuchwalców.

Zadumę Aleksandra zmącił wzmagający się hałas u bramy pałacu, w którym powtarzało się jego imię. Wyszedł na krużganek i ukryty za kolumną patrzył i słuchał. Tłumy macedońskich wojowników kłębiły się u stóp wiodących do wejścia schodów, ciskając broń pod nogi oddziału perskiej straży pałacowej, która zagradzała dostęp. W tej chwili dowódca jej wpadł do sali i nie czekając nawet na zapytania, zakrzyknął:

— Co mam czynić, królu? Nie słuchają twego rozkazu, napierają na nas. Czy mam ich odpędzić siłą?

— Ściągnij straż i zapowiedz, że wyjdę do nich.

Gdy dowódca straży patrzył na niego pytająco, Aleksander dodał szorstko:

— Czy nie zrozumiałeś? Nie zwykłem objaśniać swoich rozkazów.

Gdy Aleksander ukazał się na szczycie schodów wiodących do bramy pałacu gwar, który przycichł na chwilę, wybuchnął na nowo. Na leżącą już u stóp scho-

dów stertę uzbrojenia brodaci weterani z płaczem cis-
kali hełmy, tarcze, miecze i włącznie, wołając:

— Oto masz naszą broń, skoro już nie jesteśmy
twymi żołnierzami!

— Nie będziemy walczyli z tobą. Każ nas wyrznąć
Azjatom.

— Nie myśmy ciebie opuścili, jeno ty nas.

— Nie odejdziemy stąd, póki się nie zlitujesz.

Gniew Aleksandra już minął, osiągnął, co zamie-
rzał, zgasił bunt do ostatniej iskry, a widok tych wiel-
kich, niesfornych dzieci, z którymi tyle przeszedł,
wzruszył go. Podniósł rękę na znak, że chce przemó-
wić, a gdy ucichło, zaczął:

— Nigdy nie zamierzałem was opuścić, jeno przeko-
nać, że nie ma wojska bez posłuchu, i niczego więcej
od was nie oczekuję. Wybaczam wam bunt i chcę
o nim zapomnieć, a pamiętać tylko o waszych zasłu-
gach. Co was do niego skłoniło i czego wy ode mnie
chcecie, niech mówi jeden.

Gwar przeszedł w szmer, a potem w ciszę, gdy
wystąpił siwowłosy Kallines, najstarszy z pozostałych
jeszcze weteranów Filipa. Głos mu się rwał wzru-
szeniem, gdy zaczął:

— Służyłem wiernie twemu ojcu i dziadowi, od
pierwszej chwila, gdy ująłeś berło Macedonii, służy-
łem tobie i nigdy przez myśl mi nie przeszło, by od-
mówić posłuchu. Ale to boli, królu, że my przez ży-
wot cały nie zasłużyliśmy na ten zaszczyt, by zwać
się twymi, krewniakami, gdy tak wolno zwać się
twym niedawnym wrogom. Im wolno ciebie całować;
nam nie...

Nie skończył, bo Aleksander przystąpiwszy do nie-
go objął go i ucałował, a gdy weteran rozplakał się,
przytulił do piersi jego siwą głowę, a drugą zato-
czywszy krąg, zawołał:

— Wszystkich was czynię swymi krewniakami
i odtąd tak zwać będę.

Jak fala powodzi przez wyrwą uczynioną w tamie,
kilkunastotysięczny tłum runął na Aleksandra, ścis-

kając go i całując. Niebezpieczeństwo było groźniejsze niż w chwili, gdy na czele garstki stał pośrodku zbuntowanego motłochu. Zdało się, że uniesieni zapałam roztratują swego króla. Rozsądniejsi jednak otoczyli go i przy ich pomocy udało mu się wycofać pod bramę. Raz jeszcze podniósł rękę, a gdy ucichło, przemówił:

— Jutro wszyscy będziecie moimi gośćmi na uczcie pojednania z tymi, którzy zostają, a pożegnania z odchodzącymi i każdy będzie mógł uścisnąć mnie i ucałować. A teraz zabierzcie waszą broń i ze swymi hegemonami na czele, karnie jak żołnierze, odejdźcie do obozu.

Z zadowoleniem patrzył, jak bezładny przed chwilą motłoch zmienia się w zwarte i wyrównane oddziały. W ciszy, jaka nastąpiła, rozległy się rozkazy, czworobok rozwijał się w długiego węża, po czym tysiące potężnych głosów podniosło pean zwycięstwa.

Aleksander słuchał go jeszcze, gdy już tylko powiew z zachodu przynosił zamierające w oddali odgłosy.

Zwycięstwo było zupełne. Nowa organizacja wojsk jaką natychmiast po wygaśnięciu buntu zarządził, zniosła wszystkie narodowe oddziały, armia stała się wzorem tego, do czego na skalę całego świata zmierzał już otwarcie: ze wszystkich ludów, jakie w monarchi Achemenidów wiązała tylko niewolnicza zależność od króla, a wyzysk i ucisk satrapów pozbawiał możliwości rozwoju, uczynić jeden naród, w którym nie będzie zwycięzców ni zwyciężonych.

Dziesięć tysięcy wysłużonych wojowników, gotowych już do drogi, czekało tylko na Kraterosa, który odprowadzać ich miał do kraju. Lata całe tęsknili za pozostawionymi tam domami i rodzinami marzyli o powrocie. Teraz, gdy marzenie miało się spełnić, Radość mieszała się z niepokojem i żalem. Żegnali towarzyszy dalekich dróg, krwawych walk i wspaniałych zwycięstw i żegnali założone tu rodziny, które król

kazał pozostawić przyrzekając, że zajmie się nimi, a potomstwo wychować poleci macedońskim obyczajem i odeśle ojcom, gdy dojrzeją. Rozumieli, dlaczego: w kraju nie powitano by chętnie azjatyckich niewiast i spółdzonych z nimi dzieci. Odmiennie mową i obyczajem, mogły być tylko przyczyną swarów i zamętu. Ale wiedzieli, że tam tęsknić będą za nimi, jak tu tęsknili za pozostawionymi w kraju, teraz dopiero zdając sobie sprawę, że stały się im obce, jak i oni obcy mi się stali. Chętniej niż ojców i synów ujrzą łupy w klejnotach, sprzętach, kobiercach i naczyniach, a zwłaszcza w bitej monecie. Na wozach, prócz żołądka na całą drogę, w skórzanych miechach wiozą dziecięć tysięcy talentów. Wzbogacili się sami i wzbogacą kraj, ale w zamian rozsiadli po dalekich stronach swą młodość i siły.

Aleksander też z żalem rozstawał się z Kraterosem, nie tylko dlatego, że wraz z nim żegnał wspomnienia najwcześniejszych lat, ale jednego z niewielu, na których mógł polegać w każdej potrzebie. I on jednak stracił swe, zdać się mogło, niespożyte siły, a przejęcie władzy od Antypiatra mogło się okazać trudnym zadaniem. Śmierć i choroby przerzedziły grono przyjaciół, z którymi Aleksander wzrastał i wyrósł. Pozostali nie są już żywą gromadą młokosów wpatrzonych w niego jako niedościgny wzór. Jeśli nawet, jak Filotas, nie zamierzają współzawodniczyć z nim, to współzawodnictwo ich między sobą rozluźniło młodzieńcze przyjaźnie. Wchodzącym w siłę wieku mężom nie wystarczyły już wojenne i miłosne przygody, spowszedniały nawet bogactwa i ich używanie, żądza władzy brała górę nad wszystkimi innymi namiętnościami,

Bunt stworzył jednak sposobność, by przypomnieć im, że władzę sprawują tylko w imieniu króla. Pozbawieni jej z dnia na dzień, choć po strumieniu rozruchów na nowo otrzymali dowództwa, w nowym składzie wojsk nie mogli znaleźć oparcia dla siebie. Współzawodniczyć mogli już tylko o łaskę i zaufanie

króla, opór jego woli stał się niemożliwy, zależność od niego całkowita,

Nie tylko jednak chciwość i żądza władzy dostojników, których łatwo było skrócić o głowę, leżała na drodze zamierzeń Aleksandra. Trudniej przełamać bierny opór, usunąć wzajemne uprzedzenia ludów, niektóre nie znały nawet uprawy roli ni osiadłego życia, za zwierzęta je uważali wyrafinowani dziedzice prastarych kultur, których pomniki, choć zniszczone przez chciwość i zawiść, jeszcze teraz budziły podziw przybyszów, a pychę autochtonów. Nie tylko Hellada chciała żyć wspaniałą przeszłością. Łatwiej znaleźć wojowników i wodzów niż ludzi pomocnych w tej walce i usunąć ich zawiść. Powiernik wszystkich myśli Aleksandra, Hefajstion, z którym czuła przyjaźń pozostała świeża jak za chłopięcych lat, nadal z pogairdliwą niechęcią odnosił się do Eumenesa odpłacającego mu wzajemnością. Chytry Kardyjczyk miał jednak tę przewagę, że za przyczynę zająć zawsze uchodził Hefajstion. Nie umiał się pohamować mimo próśb i upomnień. Nie były to jeszcze chmury na niebie przyjaźni, ale mgiełki, niecierpliwiące Aleksandra i wzmagające przez to niechęć Hefajstiona do Eumenesa. Podejrzewał go, że świadomie zmierza, by wbić klin między niego a króla wykorzystując fakt, że trzyma w ręku nici rozrastających się w nieskończoność zawiłych spraw olbrzymiego państwa. Hefajstion zdawał sobie sprawę, że Eumenes jest ich niezastąpionym wykonawcą. Ale przypuszczenie, że Aleksander gotów jest dla nich poświęcić nawet młodzieńczą przyjaźń, stało się skazą na niczym, nawet intrygami Olimpiady, nie zmaconym dotychczas stosunku.

Dla Aleksandra zaciętość druha była przyczyną niepokoju. Myśląc o tym, komu mógłby zawierzyć rozpoczęte dzieło, gdyby mu odejść przyszło, poza nim nie widział nikogo, czyjej wierności poza grób mógłby być pewny. Wiedział zaś że Hefajstion bez Eumenesa, a tym bardziej przeciw niemu, nie podoła zadaniu

przerastającemu siły jednego człowieka. Tego nie rozumie, jest i chce być tylko cieniem Aleksandra, zazdrosny o każdego, kto go przesłania. Wady Eumenesa Aleksander sam widział i dał mu to odczuć. Gdy nad Hydaspem odmówił udziału w wyposażeniu floty pod pozorem, że nie ma przypadającej nań sumy, Aleksander kazał podpalić jego namiot, by przy ratowaniu wyszły na jaw jego bogactwa. Poniesione straty wynagradzał mu jednak hojnie, obdarzając na równi z Hefajstionem, tak by wzajemnie nie mieli przyczyn do zazdrości. To właśnie jednak drażniło Hefajstiona. Cierpliwość Aleksandra była na wyczerpaniu. Łamał to, co się nagiąć nie dało, nie nawykł obchodzić małych przeszkód do wielkich celów. Nazbyt często je napotykał.

W drodze do Ekbatany Aleksander zatrzymał się w Bagistanie, by zwiedzić położone na stokach przedgórzy, u stóp pasma górskiego Zagros, zaliczane do cudów świata wiszące ogrody Semiramidy. Były już tylko nazwą. Hodowana na Równinie Nyzajskiej, gdzie stanął na dłużej obozem, stadnina słynnych z ręczności i wytrwałości koni rozkradziona została niemal w dwóch trzecich. Z pozostałych blisko sześćdziesięciu tysięcy było jeszcze w czym wybierać dla nowo tworzonych oddziałów jazdy, potrzebnych na zamierzoną wyprawę przeciw Scytom; niemniej niedołęstwo i nieuczciwość rządów zamierzał Aleksander srogością ukrócić. Sprawa była zadawniona, dochodzenia mające na celu ukaranie winnych i odzyskanie choć części zagrabionych koni przewlekały się,

Pod koniec postoju do obozu przybył satrapa Medii Atropates, by na granicy swej prowincji powitać króla i odprowadzić go do stolicy. W czasie wyprawy do Indii nie tylko nie skalał się nadużyciem powierzonej sobie władzy, ale stłumił wrzenie, a samozwańca i podżegacza Baryaxesa schwytał i skutego odesłał Aleksandrowi do Pasargadai. Toteż król powitał satrapę łaskawie i dla uczczenia go zarządził przegląd wojsk i zawody, a przed odejściem zlecił He-

fajstionowi wyprawić ucztę dla medyjskich i macedońskich dostojników.

Hefajstion chętnie podjął się roli gospodarza, by popisać się swym bogactwem, a zarazem ukłuc Eumenesa, którego zaprosił na wyraźny rozkaz króla. Wspaniała złota zastawa, dar Aleksandra, istotnie obudziła zazdrość Kardyjczyka, dotkniętego już tym, że Hefajstion wyznaczył mu miejsce naprzeciw swego, które — jako gospodarz — zajmował na końcu stołu. Eumenes zajął je bez sprzeciwu, leżał jednak nie biorąc udziału w rozmowie i odsuwał od siebie roznoszone potrawy. Czekał na sposobność, by wzajem ukłuc Hefajstiona.

Aleksander zajęty rozmową z Atropatesem, gdy w gwarze rosnącym przyszło do kubków, zrazu nie zwrócił uwagi na podniesiony głos Hefajstiona.

Gdy Atropates wznosił zdrowie króla, Eumenes ujął puchar, lecz zamiast podstawić go niewolnikowi, by go napełnił, oglądał go odwróciwszy dnem do góry. Hefajstion, którego drażniło zachowanie się Eumenesa, szorstko zapytał:

— Lękasz się, bym cię nie otruł, czy też nie chcesz wypić za zdrowie króla?

— Nie. Tylko podziwiam i zazdroszczę ci. Miałem taką samą zastawę, ale zginęła mi w czasie pożaru.

Hefajstion, rozmyślnie głośno, tak by go usłyszał Aleksander, krzyknął:

— Otrzymałem ją od króla. Czy podejrzewasz, że on kazał ci ją ukraść?

— Nie przypisuj mi swoich podejrzeń. Nie podejrzewam nawet ciebie, skoro mówisz, że król ci ją dał — spokojnie odparł Eumenes.

Hefajstion zerwał się: i chwytając za wiszący u pasa sztylet krzyknął:

— Ty, wojowniku rysika i tabliczki! Gdyby nie wzgląd na króla, nauczyłbym cię szacunku dla godniejszych od ciebie.

Zajście zwróciło już powszechną uwagę. Eumenes wstał i odparł:

— Nie widzę, byś brał wzgląd na króla. Ponieważ nie mam rysika i tabliczki, nie mam czym bronić się, przed tobą. Dlatego odchodzę.

Skierował się ku wyjściu, powstrzymał go jednak głos Aleksandra:

— Zostań!

Zwracając się do Hefajstiona, król dodał gniewnie:

— Ty sam nie znasz swej godności! O co poszło?

— Ten... pisarz podejrzewa, że zastawa, którą mi dałeś, jemu została skradziona.

— Szczęściem są tu świadkowie, którzy potwierdzają, że nikogo nie podejrzewam. Mówiłem tylko, że miałem taką samą, jaką puszy się Hefajstion, i zginęła mi w czasie pożaru — odparł Eumenes.

Hefajstion chciał coś odrzec, Aleksander jednak uciął:

— Dostaniesz taką samą — rzekł do Eumenesa. — A teraz podacie sobie ręce. Na przyszłość w razie sporu między wami nie będę dochodził, kto zawinił; lecz obaj zostaniecie ukarani.

Eumenes bez wahania przystąpił do Hefajstiona z wyciągniętą dłonią, Hefajstion jednak cofnął swoją. Aleksander powiedział ostrzej:

— Czy chcesz, bym ukarał tylko ciebie?

Hefajstion ze złością chwycił wąską dłoń Eumenesa i ścisnął ją z całej siły. Zaskoczył go uścisk, jaki wzajem mu oddał Eumenes. Dłoń miał zdatną nie tylko do rysika.

Zajście skończyło się, ale nastrój został zwarzońy Kroi był chmurny. Nie łudził się, by przeciwnicy stali się przyjaciółmi. Natomiast rysa na jego przyjaźni z Hefajstionem pogłębiła się.

Jesień już była, gdy Aleksander na czele wojsk wkraczał do Ekbatany. Za poprzedniego pobytu w pościgu za Dariuszem nie zdążył nawet obejrzeć wspinających pomników świetności stolicy Medii z czasów jej największej potęgi, która złamała Asyrię. U stóp sztucznego wzgórza, zwieńczonego murami i basztami zamku, na przestrzeni siedmiu stadiów leżały zabudowania pałacowe, świecące dachami z polerowanej srebrnej blachy. Wnętrze, choć po śmierci Parmeniona przez chciwość Sitalkesa pozbawione niejednej ozdoby, zbytkownością zakrawało na wytwór wyobraźni. Podłogi, ściany, kolumny i stropy z cedrowego i cyprysowego drewna, wykładane złotymi płytami, jak siedziba legendarnego Midasa, którego dotknięcie wszystko przemieniało w złoto, nużyły oczy swym blaskiem. Ale i ten przepych przyćmiewała jeszcze tuż za pałacowym okręgiem położona świątynia bogini Anytis, niczym jeden wielki klejnot, ze swym dachem ze złotych i srebrnych cegieł. Cała ludność ogromnego, trzy mile w obwodzie liczącego miasta wyległa naprzeciw nadjeżdżającego króla, ścieląc jego drogę jesiennym kwieciami.

Zapał był nieklamany. Za poprzednich władców obecność dworu i wojsk była klęską miasta i okolicy^ wysysanych do dna świadczeniami w naturze i nadużyciami zbrojnego żołnierstwa. Teraz pieniądz falą zalał miasto przez ogromne zakupy na utrzymanie armii, dworu i urzędów. Wszystkie świadczenia, zmienione na podatki, łatwo płaciło bogacące się z dnia na dzień kupiectwo i rzemiosło, a nadużycia nawet najwyższych dostojników, tępione z okrutną bezwzględnością, przestały być płoszącą sen zmorą. Bezpiecznymi od rabunków gościńcami ciągnęły do miasta karawany kupieckie bez kosztownej zbrojnej osłony, jechali urzędnicy, zaproszeni goście, obce poselstwa oraz tłumy ciekawych z okolicznych miast i osad, by wziąć udział lub choćby przyjrzeć się procesjom, przedstawieniom, zapasom, zawodom śpiewaczym i muzycznym oraz ofiarom dziękczynnym dla

helleńskich wJtejscowych bogów, a zwłaszcza Dionizosa, którego w tym czasie przypadające święto czcić polecił Aleksander.

Równie uroczyście jak króla witano jego baktryjską małżonkę Roksanę, którą z ojczystego zameczku przywiózł do Ekbatany brat jej, Itanes. Ku czci obojga Atropates wydał w swym pałacu wspaniałą ucztę dla dostojników, a w obozie za miastem dla całych wojsk. Przy dźwiękach trąb herold wywołał mówców, którzy sławili czyny Aleksandra i urodę jego małżonki, w kwiecistych przemówieniach prześcigając się pochlebstwami oraz bogactwem i różnorodnością składanych darów.

Korowód ich miał się ku końcowi, gdy znowu dźwięki trąb wybiły się ponad gwar i herold wezwał do głosu Gorgasa z Jazos. Zbrojmistrza, w którego ręku spoczywało całe zaopatrzenie armii począwszy od wydobycia potrzebnych kruszców po dostawę sprzętu i uzbrojenia, król darzył szczególnymi łaskami. Gorgas powstał, a gdy na jego skinienie dwaj słudzy wnieśli olbrzymi złoty wieniec i ustawili go przed Aleksandrem, przemówił:

— Królowi Aleksandrowi, synowi Dzeusa-Amrnona, poświęca Gorgas ten wieniec z trzech tysięcy sztuk złota. A gdy będzie oblegał Ateny, zobowiązuje się dostarczyć dziesięć tysięcy ryszunków, katapult oraz wszelkiego rodzaju pocisków, jakie tylko w tej wojnie będą potrzebne.

Aleksander zrozumiał, że Gorgas przypomina mu dane przyrzeczenie, iż poleci Ateńczykom natychmiast opróżnić ze swych kleruchów wyspę Samos. -Nakazał nawet satrapom przybrzeżnych prowincji trzymać w pogotowiu flotę na wypadek odmowy posłuszeństwa. Ateny dotychczas nie okazały go, nie przybyło nawet zapowiedziane przez Nikanora poselstwo, mimo że posłowie wszystkich innych państw helleńskich, z wyjątkiem Etolii, czekali już na króla w Babilonie;

Burzliwy poklask, z jakim spotkało się przemó-

wienie Gorgasa, świadczył, że w swych uczuciach względem Aten jest odosobniony. Ci, którzy wiedzieli o danym przyrzeczeniu, sądzili nawet, że postanowienie w sprawie ukarania nieposłuszeństwa i haniebnego postępowania w sprawie Harpalosa już zapadło. Aleksander nie potrzebuje nawet zmieniać swych innych zamierzeń, starczy flota przybrzeżnych miast i satrapii i siły samej Macedonii.

Wojowniczy Perdikkas zwrócił się do Aleksandra:

— Czy zechcesz, królu mnie w tej wojnie powierzyć dowództwo? Zburzenie Aten nie zajmie mi więcej czasu niż ongiś Teb, a bardziej niż one zasłużyły na ten los.

— Nie będę burzył miast. Winnych ukarzę, a posłuch wymuszę bez wojny — odparł Aleksander wymijająco. Zdał się roztrągniony i wbrew zwyczajowi małomówny.

— Cóż mi tedy przeznaczasz? — zapytał Perdikkas. Przykrzył mu się już pobyt w Ekbatanie wraz z biesiadami i uroczystościami.

Aleksander jednak odparł:

— O tym radzić będziemy w Babilonie.

Wstał, żegnając Atropatesa i poleciwszy nie przezywać uczty wyszedł.

Perdikkas z uśmiechem zwrócił się do Gorgasa:

— Chciałem ci pójść na rękę, ale, jak widzisz, król nie chce burzyć Aten. Oszczędzi ci to dużego wydatku. Mnie jednak sprzykrzyło się już ucztowanie z tymi nowymi krewniakami. Dobrze, że ja nie muszę się z nimi całować — dodał pogardliwie.

— Dobrze, że cię nie mierzi całować się z córą Atropatesa — wtrącił się Ptolemaios.

Perdikkas wzruszył ramionami.

— Pojąłem, ją, bo król tak chciał. Chętnie ją po-witałem i równie chętnie ją pożegnaliśmy. Nie będzie moją Omfalią, jak Roksana dla naszego Heraklesa — zaśmiał się. — Nigdy nie sądziłem, że i jego usidlić potrafi niewiasta. To dla niej tak szybko nas pożegnał. O to też pewnie zazdrosny jest Hefojstion, bo

Nawet na ucztę nie przyszedł, wymigując się chorobą - Hefajstion jest naprawdę chory — wtrącił milczący dotychczas Eumenes.

— Skąd wiesz? — zapytał Penlikkas.

— Pytałem Glaukiasa, który go leczy.

— Skądże u ciebie ta troskliwość o Hefajstiona? Niezbyt się lubicie;

— On mnie nie lubi, bo zawistny jest o każdego, kto się zbliży do króla.

— To prawda. Czy choroba Hefajstiona jest ciężka?

— Glaukias zezwolił mu pić tylko wodę z miodem i winem, a zabronił jeść, zwłaszcza mięsa. A Hefajstion jest łakomy i nie słucha. Glaukias niepokoi się, może równie o sobie jak o niego, bo gdyby się to źle skończyło, król gotów jemu winę przypisać.

— Takie tu jest prawo — zaśmiał się Perdikkas — że lekarz odpowiada za życie chorego.

- Skoro jednak, jak mówi Anaksarchos, króla nie wiąże żadne prawo, tym bardziej nie powinien stosować takiego, które jest barbarzyńskie i głupie powiedział Eumenes. — Każdy zwykle choruje, zanim umrze, a każdy kiedyś umrze.

— Umiera się i bez chorowania — lekko wtrącił Ptolemaios. — Niech się tym trapi Glaukias, a ty chyba najmniej masz powodu trapić się o Hefajstiona.

— Mylisz się — odparł Eumenes — choć ja nie przyjaźniłem się z nim od wyrostka, jak ty.

— Toteż nasza przyjaźń zdążyła się postarzeć — opryskliwie powiedział Ptolemaios. — A twoja jest całkiem młoda i chyba bez wzajemności.

— Ja jestem, a przynajmniej chcę być przyjacielem króla i dbam o jego wzajemność. A przyjaźń króla z Hefajstionem mnie nie przeszkadza, bo moim współzawodnikiem on nie jest.

— Ani nikt z nas - lekceważąco powiedział Ptolemaios — choć twoja, jak ją zowiesz, przyjaźń z Aleksandrem dobrze ci się opłaca i nie dziw, że dbasz o nią

— Nie skarżę się, a sędzę, że i ty nie masz powodu się skarżyć. To co wam król powiedział w Opis, czym byliście bez niego, to szczerą prawdą.

Eumenes spokojnie wytrzymał gniewne spojrzenie Ptolemaiosa, po czym wstał i odszedł. O życie Hefajstiona istotnie był zaniepokojony. Choroba, na którą zapadł, szerzyła się i często kończyła się śmiercią. Zdawał sobie sprawę, czym jest Hefajstion dla Aleksandra, nie łudził się, by nieporozumienie między nimi, którego sam był przyczyną, było trwałe, a pamiętał, że zranienie Hefajstiona pod Gauganielą zgasiło nawet radość Aleksandra ze zwycięstwa, które mu dało władzę nad Azją. Co by uczynił w porywie żalu w razie śmierci druha, trudno było przewidzieć, ale obawiać się można najgorszego, nawet że sam na sobie rękę położy, jak usiłował po śmierci Klejtososa.

Aleksander natomiast sądził, że Hefajstion boczy się, chorobę uważał za pozór. Sam przez dzień cały zajęty sprawami państwa i uroczystościami, za złe miał przyjacielowi, że poniechał codziennego obcowania z nim, do którego obydwaj od chłopiąt nawykli. Sam Aleksander nawet Roksanie niewiele czasu mógł poświęcić i zazwyczaj zachodził do gineceum dopiero nad ranem.

I tu nie znajdował tego, co znalazł, gdy jak orzeł wpadł do górskiego zameczku przylepionego na zboczu niedostępnej Skały Ariamazesa. We wspomnieniu zostało spojrzenie czarnych jak noc oczu Roksany, w którym na widok zdobywcy zamiast strachu zjawił się zachwyt, Jakby ziścił się sen. Nie on ją, lecz ona jego pojmała w niewolę. I jemu zdało się, że po to brodząc we krwi przebył daleką drogę, by spotkać jedyną na świecie niewiastę, która zdołała poruszyć jego serce. Uciekł, bo czuł, że gotów dla niej wyrzec się wszystkiego, czym dotychczas żył. Teraz darmo chciał Roksanę odnaleźć taką, jaką zachował we wspomnieniu. Zastawał ją zawsze czuwającą, szeroko otwartymi oczyma wpatrzoną w rzeźbione belki po-

wały; czekała na niego, ale jak niewolnica na pana. Zawiódł ją, był tylko snem; w życiu, jakie prowadził, nie ma miejsca na szczęście własne ni cudze. Synka, który przyszedł na świat po jego wyjeździe, nawet nie widział. Dziecko zmarło, gdy ojciec bawił w Indiach, Im wyżej piął się, tym dalej był od ludzi. Jak ongi na Olimpie jest sam, świat pod stopami, ale nawet nieodstępny Hefajstion pozostał w dole. Do gwiazd bliżej, ale chłód i pustka dokoła. Jak Prometeusz rzucał bogom wyzwania, ale sęp wyjada mu serce.

Uroczystości związane z pobytem w Ekbatanie zakończyć miały igrzyska chłopców królewskich. I wśród nich przeważali już synowie azjatyckich książąt i dostojników, niemniej na wyraźny rozkaz króla helleńskim obyczajem stanąć mieli nago do zawodów. Nie zważał, że u Azjatów wystawienie na widok nagiego ciała uchodzi za hańbę, burzył wszystkie mury dzielące dwa światy. Być może jednak, że to było przyczyną, iż wieńce zwycięstwa przypadły tylko macedońskim chłopcom. Tłumy zebrane na ogromnym stadionie przyjęły to milczeniem, tylko Makedonowie radosną wrzawą witali ten dowód swej przewagi, gdy przewodniczący zawodom Antjrgpnos prowadził zwycięzców przed króla, by z jego rąk odebrali wieńce i nagrody. Powszechna uwaga skierowana była na nich i mało kto spostrzegł, jak do Aleksandra przypadł posłaniec. Ze zdziwieniem natomiast ujrzeli, że król zerwał się z miejsca i szybkim krokiem opuścił stadion. Rozległy się szepty, pomruk niezadowolenia wśród Makedonów, którzy przypuszczali, że król nierad jest z upokarzającego Azjatów wyniku zawodów. Szepty i sarkania ucichły, gdy wystąpił herold i ogłosił, że króla wezwano w pilnej sprawie, a nagrody w jego imieniu rozda Perdikas.

I on zdał się śpieszyć, herold nie wywoływał, jak zazwyczaj, imion zwycięzców przy dźwiękach trąb. Perdikikas szybko uwieńczył zawodników i zwrócił się ku wyjściu, poniechawszy nawet zwyczajnych ofiar

i uroczystego zamknięcia igrzysk. Zawiedzione tłumy również zaczęły odpływać, Makedonowie sarkali a do Perdikkasa dołączył się Eumenes mówiąc:

— Wyrostkom niewiele potrzeba, by znowu zaczęli się burzyć. Cóż to za sprawa tak pilna, że król nie mógł jej odłożyć ni na chwilę?

— Może i mógł, ale nie chciał — rzekł Perdikkas. — Z Hefajstionem jest źle i do niego pojechał.

— Tedy śpieszmy i my — niespokojnie powiedział Eumenes. — Istotnie lepiej być przy królu, gdyby wydarzyło się nieszczęście.

— Nie chciałbym być w skórze Glaukiasa. Ale może Hefajstion jeszcze wydobrzeje. Tęgi jest i nigdy nie chorzał.

Dosiedli koni i w milczeniu pognali do pałacu, ale już z panującego tam zamętu można było wymiarkować, że zaszło coś niezwykłego, a domyślić się nie było trudno. Król zastał Hefajstiona martwego, a teraz leży na zwłokach i woła zmarłego druha.

Gdy Perdikkas z Eumenesem przecisnęli się przez tłum dostojników i dworzan gromadzących się pod drzwiami talamu, w którym leżał trup Hefajstiona z wnętrza posłyszeli rozpaczliwe szlochanie i przejmujące wołanie. Perdikkas ze złością kazał się zebranym rozejść, a do somatofilaków, którzy pozostali, powiedział:

— I myśmy tu wszyscy niepotrzebni. Niech jeden na zmianę czuwa, aby król nie popełnił jakiegoś szaleństwa, a reszta zajmie się przygotowaniem pogrzebu, bo on nieprędko o tym pomyśli.

Zwrócił się do odejścia, a za nim szedł Eumenes. Perdikkas zapytał:

— Ozy chciałeś czegoś ode mnie?

— Chcę z tobą pomówić. Czy wstąpisz do mnie?

Perdikkas tylko skinął głową. Domyślał się, że Eumenes mówić będzie nie tylko o pogrzebie Hefajstiona. Gdy usiedli, zaczął:

— Czy myślałeś o tym, co by się stało, gdyby król niezdolny był zając się sprawami na dłużej...

albo i na zawsze? Jenó wypuści je z ręki, zaczyna się zamęt. Tak było, gdy chorzał w Tarsie, gdy szalał po zabójstwie Klejtosa, gdy niebezpiecznie był ranny u Mallów.

Perdikkas milczał, jakby się nad czymś zastanawiał, Eumenes ciągnął:

— Nie potrzebuję cię zapewniać, że jeśli ja o tym myślę, to nie przeto, bym sobie tego życzył. Ja się tego obawiam.

— To wszystko prawda — przerwał Perdikkas. — I wierzę ci, że się tego obawiasz, bo wśród, strategów niewielu masz przyjaciół. I ja nim też nie jestem, dlaczego mówisz to mnie?

— Nie odpowiedziałeś mi, czy rozważałeś nasze położenie w wypadku, gdyby króla zabrakło?

— Może nie chcę odpowiedzieć.

— I to jest odpowiedź. Ja jednak będę wobec ciebie otwarty. Nie zabiegam o twoją przyjaźń nie dlatego, bym jej nie cenił, tylko że w nią nie wierzę. Nie kto inny, lecz sam król powiedział, że Hefajstion jest przyjacielem Aleksandra, a Krateros przyjacielem króla. Wy wszyscy jesteście przyjaciółmi króla, dopóki jest królem. A między sobą?

Gdy Perdikkas milczał, Eumenes ciągnął:

— Król nie ma prawowitego następcy, zdolnego podjąć to, co on rozpoczął. Gdyby go zabrakło, któremu z was ty byłbyś skłonny podporządkować się dla dokpńczenia i utrwalenia jego dzieła?

Perdikkas odparł szorstko:

— Ty umiesz sam sobie odpowiadać.

— Umieć. Żadnemu... A który z nich zechciałby podporządkować się tobie? Pytałeś, dlaczego z tobą właśnie chcę o tym mówić: jest kilka przyczyn. Gdy Hefajstion zmarł, a Krateros odszedł, tyś jest królowi najbliższy.

— Obawiasz się, bym cię nie pozbawił wpływów i władzy, którą umiałeś zagarnąć?

— Nie obawiam się, skoro tego nie potrafił nawet Hefajstion. Teraz gdy przychodzi zbierać owoce zwy-

cięstw, które dopiero dojrzewają, inne zalety są potrzebne niż w toku walki.

— Te, które ty posiadasz.

— Takie jest zdanie króla. Wodzowie im bardziej zasłużeni, tym większym ciężarem stają się po zwycięstwie, bo nie chcą się z tym pogodzić, że nie są już niezbędni. To jest przyczyna niechęci, jaką żywią do mnie, a nie, jak mówicie, że jestem chciwy i skąpy, a bogactwa swoje zdobyłem nie narażając, jak wy, życia. Ja was znam lepiej niż wy mnie. Nie zbieram złota dla złota, nie trwonię go przez próżność. Jem, gdy jestem głodny, nie mam kosztownych miłośnic nie przez skąpstwo, lecz dlatego, że ich nie potrzebuję. Starczy mi moja Artonis, z której nie czynię królowej, lecz matkę moich dzieci. Złoto jest siłą i tę zbderam.

— Jesteś przewidujący.

— Istotnie, jestem. Dlatego oglądam się za człowiekiem, który by potrafił zrozumieć znaczenie dokonania Aleksandra i gdyby go zabrakło — niech bogowie ustrzegą — dzieło jego doprowadzić do końca.

— I mnie sobie upatrzyłeś?

— Nie sobie. I nie upatrzyłem, tylko sądzę, że gdyby się zaczęła walka o władzę, ty potrafisz ją wygrać.

— Pochlebiasz mi i zapewne czegoś dla siebie ode mnie się 'spodziewasz?

— Pochlebiam sobie, że bez mego współdziałania żaden z was nie potrafi ogarnąć ogromu spraw związanych z budową światowego państwa.

— Może masz słusność, skoro nawet przy Aleksandrze potrafiłeś tyle ich zagarnąć w swe ręce. Ale wbrew temu, co rzekłeś, nie jesteś ze mną całkiem otwarty. Ja powiem za ciebie: jedyny dotąd syn Aleksandra, mały Herakles, jest siostrzeńcem twojej żony. Ty chcesz spuściznę po Aleksandrze dla niego zachować, by za niego rządzić, ja mam ci służyć do tego celu.

— Nie mnie. Ja nie chcę niczym więcej być,

jestem przy Aleksandrze. Ani przy tobie, ni przy Heraklesie. Mnie starczy władza, jaką posiadam, nie dbam o chwałę, dla której wy wzorem króla wszystko gotowicie poświęcić. Gdyby król doczekał jeszcze syna z Roksaną, ten łatwiej znalazłby uznanie niż syn nałożnicy. Tak czy inaczej, przedwcześnie obawiasz się, bym ja w tobie chciał mieć tylko narzędzie do swoich celów.

— Przedwcześnie choćby dlatego, że król żyje, a zaczął dopiero czwarty dziesiątek lat. Jest zdrow, a jak sam wiesz, walka przestała już być najważniejszym czynnikiem dokończenia tego, co rozpoczął. Może się oszczędzać. Ale rozumiem, dlaczego obrałeś tę chwilę, by ze mną mówić o tych sprawach. Gdy Hefajstion zmarł, ja istotnie będę królowi najbliższy. Chcesz mieć we mnie poplecznika.

— Jak wiesz, Hefajstion nie był moim poplecznikiem. U króla niepotrzebne mi niczyje poparcie, popieram sam siebie. Do tej rozmowy jednak istotnie skłoniła mnie śmierć Hefajstiona, lecz z innego powodu.

Gdy Perdikkas patrzył pytająco czekając na wyjaśnienie, Eumenes podjął:

— Wiesz, że Apollodoros, którego król ustanowił strategiem Babilonu, nie miał w Hefajstionie przyjaciela. Może i nie miał czystych rąk, podobnie jak wielu innych, którzy tu rządili pod nieobecność króla, i lękał się o swoją głowę. Dość, że posłał do brata Swego Peitagorasa, który jest znanym wróżbitą, z prośbą o przepowiednię, dodając, że obawia się króla i Hefajstiona. Wczoraj otrzymał pismo Peitagorasa z zawiadomieniem, by Hefajstiona się nie lękał, bo usunie mu się z drogi.

— To istotnie zadziwiające, ale nie powód, by rozmawiać o spuściźnie po Aleksandrze.

— Nie skończyłem. Peitagoras polecił mu przestrzec króla, że i jego życie znajduje się w niebezpieczeństwie, bo wróżby są złe. Olimpias, która również nie dar wróżebny, powiedziała wprawdzie, że Ale-

ksander nie może umrzeć, zanim jego sława nie obiegnie całego świata, ale to już się stało. Nie ma kraju do którego by sława jego nie dotarła. Sam Aleksander uważa się za wcielenie Achillesa, Hefajstiona zwał swym Patrowosem. Nigdy nie dbał o własne życie. Jak Achilles po śmierci druha, nie wiem, czy będzie chciał żyć

— Istotnie, rozpacza po nim nie jak. mąż, ale jak dziewczyna po śmierci kochanka — przyznał Perdikas w- zamyśleniu. — W takim życiu jak nasze każdy chodzi w cieniu skrzydeł Thanatosa. Czy wiele brakło, by króla na łowach rozdarł lew? Leżał już pod nim. Mas?; słuszność, że trzeba wiedzieć, co czynić, gdyby spełnić się miała wróżba. Pamiętamy, co było po śmierci Filipa, choć zostawił takiego jak; Aleksander dziedzica. Pójdźmy do niego, bo jestem niespokojny.

— Zostawmy go teraz. Gdy osłabnie bez snu i ja-
dła, będzie z nim można mówić o pogrzebie Hefajstiona; Zapewne zechce go pochować w Babilonie, który ma być skriicą świata, i -uczcić w jakiś niezwykły sposób. My ze swej strony musimy się do tego przyczynić, by król wiedział, że nie cieszymy się ze śmierci jego druha.

Zwłaszcza ty. Przewidujący jesteś istotnie. Możemy zostać sprzymierzeńcami. Wrogów nam nie braknie.

— Jeśli uznajesz, że jestem rozsądny, to posłuchaj jeszcze jednej rady: wrogów nam istotnie nie braknie, nie przysparzaj ich. Wszyscy wiedzą, żeś z księżąt Orestis, krewniak królewski, męstwa i zasług nikt ci nie ujmie. Nie potrzebujesz ich przypominać ni cudzych lekceważyć.

— Nie potrzebują. Sprzymierzeńcami będziemy nie dlatego, byś do mnie był podobny, lecz właśnie dlatego, ie jesteś inny, i nie będziemy współzawodnikami.

Gdy trzeciego dnia Aleksander pozwolił się ode-
rwać od zwłok. Hefajstiona, wykąpać się i pożywić,
zdał się innyórz człowiekiem. Nie tylko dlatego, że wy-
chudła jego twarz poorana była paznokciami i zaro-
śnięta, a bujny włos, ostrzyżony na znak żałoby, po-
zostawił na zwłokach przyjaciela. Spokój, z jakim
wydawał zarządzenia w sprawie pogrzebu, był ka-
mienny, a treść ich świadczyła, że nie może znaleźć
dostatecznie silnego wyrazu dla poniesionej straty.
Kapłanom rozkazał wygasić ognie w świątyniach, jak
po śmierci króla, zarządzając żałobą we wszystkich
zdobytch krajach. Do wyroczni Zeusa-Ammona wy-
słał z zapytaniem, czy ma czcić Hefajstiona jako boga,
budowniczemu Deinokratesowi zlecił wybudowanie
mauzoleum, które miało być zarazem stosem pogrze-
bowym, przeznaczając na ten cel dziesięć tysięcy ta-
lentów złota. Dowództwo pierwszej ili jazdy hetaj-
rów powierzył wprawdzie Perdikkasowi, zawsze je-
dnak zwać się miała ilą Hefajstiona i walczyć pod je-
go znakiem. Wóz, w którym Perdikkas odwieźć miał
zabalsamowane zwłoki do Babilonu, ugiął się od klej-
notów, bogatej broni, naczyń i kobierców, które ku
uczczeniu zmarłego złożyli hetajrowie. Znając rozrz-
tuność króla nie dziwili się, że w chęci wyniesienia
druha Aleksander przekracza wszelką miarę. Skarby,
jakie w pośmiertną podróż zabierali faraonowie, były
niczym wobec tych, które pochłonać miał pogrzeb He-
fajstiona.

Atropates natomiast z milczącym zdumieniem pa-
trzył, jak na ten cel ogołacano skarbiec zawierający
kilkuletnie wpływy całej jego prowincji. Znał już Ale-
ksandra na tyle, iż wiedział, że żadne przedstawienia
ni sprzeciwy nie odniosą skutku. Natomiast lękał się
by nie obrabowano w drodze wozu ze zwłokami; zło-
żone na nim bogactwa stanowiły przedmiot podziwu
ludności, wieść o nich niewątpliwie rozchodziła się,
a gościniec z Ekbatany do Babilonu wiódł przez góry,
w których zamieszkałe plemię kossajskie od wieków
żyło z rabunków. Nie o skarby zresztą szło, ale znie-

ważenia zwłok przyjaciela król nie darowałby nikomu, satrapa odpowiadał za bezpieczeństwo na drogach, a rozkaz ukrzyżowania lekarza Glaukiasa, przed którym tylko w porę ująć zdołał, stanowił przestrożę że król w karaniu nie będzie znał miary.

Atropates nie śmiał donieść królowi, że przejazd ze skarbami gościńcem przez góry uważa za niebezpieczny, gdyż sam zapewnił go, że ład i spokój w jego satrapii zostały przywrócone. Trudno tłumaczyć królowi, że z Kossajami nikt dotychczas nie zdołał sobie poradzić. Nieraz już zrównano z ziemią rozproszone w górach ich osady, oni sami jednak zawsze zdołali w porę ująć wraz z rodzinami i mieniem ruchomym w im tylko znane, niedostępne górskie kryjówki, gdzie szukanie ich zawsze kończyło się tylko stratami. W swej rozterce Atropates postanowił udać się do Perdikkasa, który prowadząc orszak pogrzebowy własne życie wystawiał na niebezpieczeństwo i narażał się na odpowiedzialność wobec króla.

Perdikkas jednak zdał się niezbyt przejmować przestrożą, bo odparł:

— Nie pojedę bez osłony, a walka w górach to dla mnie nie pierwszozna. Rozumiem, że troszczysz się o to, by twa córa nie została wdową, skoro jednak wydałeś ją za wojownika, powinieneś być na to przygotowany. I co w końcu chcesz, bym uczynił? Odmówić prowadzenia orszaku, które jest zaszczytnym wyróżnieniem, czy namawiać króla, by pogrzebał Hefajstiona w Ekbatanie? Zyskałbym tyle, że uważałby mnie za tchórze.

— Wiem, że jesteś odważny i doświadczony i cenisz sobie to zawołanie, zwłaszcza u króla — odparł Atropates. — Ale czym jest męstwo wobec puszczonego z góry głazu? I jaki to zaszczyt polec w takiej walce? Ale to twoja sprawa, może do walki nawet nie dojść, Kossajowie umięją tak zgotować zasadzkę, że ujdą z łupem, nim osłona zdoła ich do niej zimusić. Co król pomyśli o tobie, jeśli dopuścisz, by obrabowano i znieważono zwłoki Hefajstiona, skoro ty, choć

wiesz, że jestem ci życzliwy, mnie nie chcesz uwierzyć, że to jest prawdopodobne,

— I sobie też jesteś życzliwy. Co przeto twoim zdaniem uczynić należy?

— Stało się źle, że powszechnie wiadomo, iż zwłoki ze skarbami mają być przewiezione do Babilonu. Teraz można albo zapłacić Kossajom. za bezpieczny przejazd, albo rozgłosić, że król zmienił postanowienie. Wóz ze skarbami zostawić, zwłoki wziąć między dwa konie, a ty z małym, ale wyborowym orszakiem konnym nocą jak najszybciej przejedziesz przez wąwozy.

— Mogę powtórzyć królowi to, co mówisz — powiedział Perdikkas — a ciebie zapewniam, że król nigdy nie zgodzi się, by zwłoki jego przyjaciela przewozić nocą, chyłkiem, jak wykradzione ścierwo straconego przestępcy, skoro z pogrzebu zamierza uczynić uroczystość, jakiej nigdy jeszcze nie było i nigdy więcej nie będzie.

— Jeżeli hic więcej nie wskórasz, to przynajmniej siebie osłonisz przed odpowiedzialnością, gdyby sprawa tak się potoczyła, jak się tego obawiam.

— Może masz słuszość. Ale jeśli sądzisz że osłonię też ciebie, to zapewne się mylisz. Król uzna za niedołęstwo, że nie umiałeś sobie dotychczas ze zbrojami poradzić.

— Spodziewam się, że jako mój zięć nie powiesz tego królowi. Raczej wyjaśnisz mu, że nie ma sposobu by poskromić Kossajów.

— Ty proś bogów, by król tego nie powiedział. Mogą mu rzec natomiast, że ja ich poskromię, bo ty nie potrafisz.

— Wolę już to niż odpowiadać za napaść, przed którą przestrzegam.

Gdy Perdikkas przedstawił Aleksandrowi obawy Atropatesa, na wychudłej twarzy króla zjawił się gniew;

— Teraz mi o tym mówi, zamiast przyznać od razu, że nie wydoła swym obowiązkom.

— Wybacz mu, bo jest stary, służy ci, jak umie, a jak wiesz, nawet za czasu największej potęgi Achemenidów satrapowie zawsze woleli się zbójom opłacać, skoro nie umieli ich wytępić. Nie pierwszy raz my to musimy uczynić. Pozwól mi na kilka dni zwłoki, a ja wytępią zbójcekie plemię..

— Dla garści zbójów nie zmienię tego, co postanowiłem, a zapłatę otrzymają, na jaką zasłużyli — powiedział Aleksander gniewnie. — Ty powiedzisz orszak, a ja poskromię ich sam.

— W górach śniegi już leżą, to ciężka wyprawa. Jeżeli zdolny jesteś zająć się sprawami, to wiele ważniejszych czeka na ciebie; jeśli nie ja, to zastąpić cię może którykolwiek z nas.

Jakby cień uśmiechu zjawił się na twarzy Aleksandra.

— Mnie zastąpić! Może ty potrafisz. Zawsze umiałeś mnie naśladować. Ale teraz każ zawołać Ptolemaiosa. Będziemy sobie wzajem z nim zbójców naganiać, Na co czekasz? — zapytał niecierpliwie, gdy Perdikkas się nie ruszył.

— Powiem. Miał ci to rzec Apollodoros, ale nie chcieli go dopuścić do ciebie.

— Podobno ma się z czego sprawiać, ale istotnie teraz nie pora mi tym się zajmować. Może poczekać, ale co to ma się do sprawy Kossajów?

— Nie chodzi o niego ani o nich. Może i ma się z czego sprawiać, a jak wiesz, Hefajstion go nie lubił. Tedy lękał się was obydwu i pisał o tym do swego brata Peitagorasa, który, jak wiesz, ma dar przepowiedania. W sam dzień śmierci Hefajstiona dostał od niego list, w którym Peitagoras pisze, by się Hefajstiona nie obawiał, bo usunie mu się z drogi.

— Nic po wróżbie, która się już spełniła, I nie przed nim miał się sprawiać.

— Widocznie jednak niezbyt winny się czuje, bo chciał cię przestrzec, że i dla ciebie wróżba jest zła. Lepiej tedy, byś się teraz nie narażał. Sam wiesz, jak łatwo w górach o zasadzkę.

— I ty wiesz. Tacy jak my na starców się nie nadają. Jeśli los chce, bym dokonał, co zamierzyłem, to mnie oszczędzi. Hefajstiona oszczędzał w stu bitwach, a moiży przecięły nić jego żywota w łożu. Każde życie kiedyś się skończy. Czy ci, którzy się śmierci lekają, żyją wiecznie? Tylko sława czynów może być nieśmiertelna.

— Czy bez jednego z nich będzie mniejsza?

— Czemuż tedy chciałeś zdobywać Ateny? Zawołaj Ptolemaiosa.

Ptolemaios czekał na Aleksandra na czele gotowych do drogi oddziałów lekkiej piechoty i łuczników i niecierpliwił się. Dni były krótkie, przenikliwy wiatr niósł bryzgi deszczu, a chwilami śniegowe płyty, przed nocą należało przebyć pasmo przedgórz pokrytych już śniegiem, by dotrzeć do osad nad Choaspegin i przed czekającą walką nie marnować wojsk noclegiem pod gołym, nieprzychylnym niebem. W górach zima już była w pełni, wojska czeka zapewne niejedna jeszcze noc bez ognia i dachu nad głową. Król nie szczędzi nikogo, a najmniej samego siebie.

Aleksander bawii u Roksany. Od śmierci Hefajstior na nie był u niej, zdał się jej unikać, jakby tym przebłagać chciał zmarłego druha, że zaniedbał go w ostatniej chorobie i nawet nie pożegnał. Rozsądek mówił mu wprawdzie, że nie z jej winy od chłopięcych lat niezmacona przyjaźń uległa rozluźnieniu. Złożyło się na to wiele okoliczności, a jeśli kogo można było winić, to samego Hefajstiona. Nie chciał czy nie mógł zrozumieć, że bezmierne zamierzenia Aleksandra wymagają zupełnej swobody działania, niczym nie skrzepowanej, nawet przyjaźnią. Tym mniej miłością. Aleksander czuł, że Roksana też chciałaby mieć go wyłącznie dla siebie jak ongiś w górskim zameczku, gdy trzymając jej ciepłą, małą dłoń patrzył w wyskrzone jaskrawymi gwiazdami niebo, niczego więcej nie pragnąc jak tylko, by chwila czaru trwała wiecznie. Żadne w życiu postanowienie nie wymagało większego wysiłku niż wyrzeczenie się ludzkiego

szczęścia. Powziął je nagle i wykonał natychmiast, by nie dać sobie czasu na wahanie, a jej na prośby i żale. Zerwał te więzy nie po to, by je nawiązać na nowo. Teraz po śmierci druha nie wiąże go już za dne uczucie, nawet miłość do matki. I ona była już tylko wspomnieniem. Pisywali do siebie, posyłał jej podarunki, często drażniła go jej żądza władzy. Wiedział, że nie zobaczy jej już, ale nie tęsknił za nią. Jej zresztą nigdy nie pozwolił, by mu wiązała ręce.

Wspominał też ojca, jedyne go człowieka, którego w chłopięcych latach uwielbiał, zanim pod wpływem Olimpiady nie zaczął gardzić jego rozwiązłością, a podrywać z jego namiętnego umiłowania zwycięstw, obojętne czy w wyścigach, czy nad wrogiem. Zwycięstwo jest ziszczeniem woli, daje poczucie siły. Wyruszając własną osobą przeciw Kossajom Aleksander naraża nie tylko swe życie, ale i swe dzieło. To samo czynił Filip, nie za to jednak życiem zapłacił, ale za miłość. To jest siła, która potrafi złamać rozum i wolę. Aleksander zdołał oprzeć się jej.

Po poskromieniu Kossajów zamierzał ciągnąć do Babilonu, by zająć się pogrzebem Hefajstiona, przywróceniem tej stolicy światowego państwa jej dawnej świetności i przygotowaniem godnego pomieszczenia dla dworu i urzędów, które do wiosny już tylko pozostać miały w Ekbatanie. Pamiętał, że cieszył się na myśl o spotkaniu z Roksaną, ale nie było już ono tym, co przeżył w zamczku Sisimitresa. Coraz dalej był od ludzi, a śmierć Hefajstiona odczuł jak bolesne zerwanie ostatniego węzła, jaki go z nimi łączył. Był wolny i chciał nim pozostać. Niemniej czuł, że nie powinien porzucać Roksany bez pożegnania jak nałożnicy, która się sprzykrzyła, a nie miał pewności, co uczyni, gdyby prosiła, by jej nie porzucił. W obcym środowisku, w którym widocznie nie czuła się dobrze. Więź, jaką była miłość zerwał, choć więzią jest i wspomnienie. Ale więzią jest i jej miłość, wiedział, że jest jedyną kobietą, która kochała Aleksandra, a nie króla. Poza nią nikt, nawet własna matka.

Wygnanie przez Olimpiadę córę i wnuka, by zawładnąć tronem Epiru, dowodnie świadczyło, że pycha i żądza władzy przewyższała w niej macierzyńską miłość.

Aleksander szedł do Roksany w nie znanej sobie rozterce. Nigdy nie zwykł się wahać, nigdy nie zmieniał postanowień. I teraz ich nie zmieni.

Jak zawsze, jakby czekała na jego przybycie. Gdy zaczął mówić o wyprawie na Kossajów i wyjeździe do Babilonu, widocznie wiedziała już o tym, bo przyjęła to spokojnie. Przez chwilę milczała przysłoniwszy oczy długimi rzęsami, jakby chciała ukryć łzy, po czym powiedziała nieśmiało:

— Czy pozwolisz mi, panie, prośbę swą przedstawić?

Nie wątpił, że będzie prosiła, by pozostał. Nie pozwoli się krępować. Odparł szorstko:

— Proś, o co chcesz, wyjąwszy, bym poniechał wyjazdu.

Opuścił oczy, gdy spojrzała na niego zdziwiona, mówiąc:

— Nigdy przecie nie stałam w twej drodze. Nie wstrzymywałam cię, gdy opuszczałeś mnie w ciąży. Skoro jednak postanowiłeś, że mamy się rozstać, każ mnie odesłać do ojca.

Zapytał zaskoczony:

— Dlaczego?

— Dłuży się każdy dzień i noc — szepnęła.

— Nie odsyłam cię do Babilonu, bo zimą podróż uciążliwa. Tym bardziej w baktryjskie góry. Wielokrotnie dalej tam.

Odpowiedziała jakby sobie samej:

— Tam jest spokój. Powietrze czyste, gwiazdy jaśniejsze, czasu jakby nie było. Tam łatwiej czekać. Tu lękam się pozostać bez ciebie.

— Czego się lękasz? Tam nie wiem, czy i kiedy będę mógł przyjechać.

Jakby cień przekornego uśmiechu rozjaśnił jej pobladłą twarz.

— Jeśli nie do mnie — powiedziała cicho - może przyjedziesz obejrzyć swego syna?

Stał przez chwilę zaskoczony:

— Każę cię odwiedzić do Babilonu. A póki ja żyję, nie lękaj się niczego.

Wyszedł szybko, jakby uciekał. Brzmiąły mu jeszcze w uszach własne słowa, gdy zadumany ciągnął już na czele oddziałów wyznaczonych na wyprawę przeciw Kossajom. To samo, co on Roksanie, musiał powiedzieć Filip nieszczęsnej Eurydyce, gdy po urodzeniu córeczki żegnał ją przed wyjazdem do Ajgaj, skąd nigdy już nie powrócił. A ostatnim jego spojrzeniem wyrażona prośba do syna, by uchronił osierocone potomstwo przed nienawiścią Olimpias, pozostała nie spełniona.

Człowiek, któremu bogowie dali władzę, może mieć wszystko, co da się kupić lub wymusić. A więc prawie wszystko, ale nie prawdziwą miłość i przyjaźń.

— *Meden hamartein esti theon, kai panta kathortoun* — szepnął Aleksander. — Bogowie są zawiśni, całkowite szczęście zachowują dla siebie, śmiertelnym sięgać po nie nie wolno.

Itanes stał przed Roksaną i mówił do siostry gniewnie:

— Zbieraj się i jedziemy do Babilonu. Skoro Aleksander chce cię mieć przy sobie, to głupia jesteś nie korzystając z tego. Nie licz na to, że zatęskni za tobą lub dziecko będzie chciał zobaczyć. Z Barsiną też ma syna, a odesłał ją wraz z nim do Pergamonu i nawet nie widział chłopca, choć ma już cztery lata.

— Barsina była nałożnicą — szepnęła Roksana. —

Meden hamart ein... Nigdy nie zbłądzić i wszystko osiągnąć jest rzeczą boską (z napisu na grobie Ateńczyków poległych pod Cheroneą).

Nie miłował jej... Ja byłam branką, mógł uczynić, co chciał, a uczynił mnie małżonką. Itanes roześmiał się ze złością

— Brankami były także Stateira i Parysatyda. Czy także z miłości je pojął, czy po to, by się z Achemenidami spokrewnić? A ciebie po to, by w Baktrii zyskać oparcie. Ale jeśli one urodzą mu synów, bliżej im będzie do tronu niż twemu.

— Nie obcuje z nimi — odparła zarumieniona. Miłował tylko mnie. I będzie miłował naszego syna.

Itanes zachnął się niecierpliwie:

— Miłował! Jeśli on miłować potrafi. Jesteś od nich piękniejsza, ale ciąża nie doda ci uroku. A w haremie, który wzorem perskich królów w Babilonie sobie założyć kazał, też będą piękne kobiety. Mówią, że i od chłopców nie stroni, helleńskim plugawym zwyczajem.

— Tedy po co mam jechać do Babilonu? — Rokšana rozpłakała się i ciągnęła przerywanym głosem: — Jeżeli mnie już nie miłuje, cóż zyskam, gdy się o tym przekonam? Któż go utrzymać potrafi, jeggo, który jest jak wichur i ogień? U nas choć wspomnienie będę mogła żywić, spokojnie doczekać swego czasu. Lękam się tych ludzi, którzy są koło niego...

— Nie żyje się wspomnieniami, a tym mniej będzie nimi żył twój syn... jeżeli będzie żył. Czy sądzisz, że w ojcowym zamku będziesz bezpieczna? Czy nie tam zmarł twój pierwszy, choć tęgi był i zdrowy? Jak pono mawiać zwykł ojciec Aleksandra, osioł z workiem złota każdy mur przelezie.

— Co ty prawisz? — szepnęła struchlała. — Któż by się ważył?

— Kto? Czy tylko ty chcesz być dla króla jedyną, by swemu synowi zapewnić następstwo? A ci, których już teraz się lękasz, czy nie myślą o władzy dla siebie?

Rokšana rozszlochała się znowu, Itanes jednak ciągnął ze złością:

— Niczego nie wskórasz łzami. Musisz być twarda

lub zmiażdżą cię, a wraz z tobą twoje dziecko, mnie, nas wszystkich. Gdy los cię postawił koło tronu, albo strącisz tych, co się pięć mogą do niego, albo sama zostaniesz strącona.

— Czemu mi to mówisz? — Roksana opanowała się i ciągnęła: — Kto się waży pięć do tronu po tym, co spotkało Bessosa i innych buntowników...

— Czemu mówię? — przerwał Itanes. — Bo póki Aleksander żyje, możesz usunąć ludzi, którym syn twój będzie przeszkadzał w ich zamierzeniach, a pozyskać tych, którzy wspólnych z nim mają wrogów. To możemy uczynić tylko bawiąc przy dworze. Nie chciałem cię niepokoić, lecz Apollodoros, który przewidział śmierć Hefajstiona, przestrzec kazał króla, że i nad nim wisi niebezpieczeństwo.

— Skąd wiesz? — przerwała, a Itanes odparł:

— Mówił mi Eumenes. On jest przezorny i już szuka sprzymierzeńców. Nie wolno dać się zaskoczyć wypadkom.

— Czy przestrzegał króla? — zapytała niespokojnie.

— Przestrzegał go Perdikkas. A jak Aleksander na to zważa, sama widzisz. Ruszył na Kossajów, gdzie byle kłoda puszczone z góry wstrząsnąć może światem, który nieprzezornym zwali się na głowy. Czy Aleksander miłuje cię, czy nie, wola umarłych się nie liczy. Od ciebie zależy los twego dziecka i nas wszystkich. Jedź do Babilonu zaraz, póki jeszcze nie jesteś ociężała. Im wcześniej tam będziesz, tym lepiej. Kto chce uchylić się przed pociskami, musi mieć oczy szeroko otwarte.

Żałoba po śmierci Hefajstiona położyła kres zabawom i uroczystościom, część wojsk odeszła z Aleksandrem, reszta na zimowe leże, tłumy, przyjezdnych opuszczały miasto.

Ekbatana wracała do powszedniego dnia. Pozostałe w niej urzędy podjęły zwyczajną pracę, tylko do-

stojnicy dworu po wyjeździe króla czekali z utęsknieniem na ustalenie się zimy, by zabawić się łowami, gdy wobec zarządzonej żałoby innych rozrywek nie było.

Podczaszy Jolaos w zajęтым przez siebie pałacu zabijał nudę i niepokój pisaniem listów do ojca z po-nagleniem przyjazdu któregoś z braci. Śmierć Hefajstiona odwróciła uwagę Aleksandra od wypadków w kraju i w Helladzie, ale powróci on do nich nie-wątpliwie po przybyciu do Babilonu. Jolaos dotych-czas nie wiedział, czy ojciec otrzymał jego pismo i czy je właściwie zrozumiał. Posłaniec wprawdzie winien był go objaśnić, mimo tego jednak nie był pewny, jak Ojciec postąpi; z dala trudno było zrozumieć zacno-dzące zmiany. Gdy Krateros z weteranami przybę-dzie do kraju, Antypater postawiony zostanie przed natychmiastowym wyborem oparcia się rozkazowi króla lub przyjazdu do Azji. Z Aleksandrem nigdy nie był w najlepszych stosunkach, król liczył się z nim wprawdzie jak z nikim innym, ale zmiany zachodzą-ce w samym Aleksandrze mogły wywołać u Antypa-tra błędną ocenę położenia. Był człowiekiem więcej niż śmiałym, nigdy nie wahał się przeciwstawić Fi-lipowi czy Olimpiadzie, gdy szło o dobro kraju ta-kie, jak on rozumiał.

Wobec zaszłych zmian Jolaos powziął wątpliwości, czy stanowisko ojca zawsze jest słuszne, a zwłaszcza, czy da się utrzymać. Antypater nie może ocenić, jak wielkie zmiany zaszły od czasu, gdy Aleksander opu-ścił kraj, ale gdyby to rozumiał, to znając nieustę-pliwość ojca Jolaos wiedział, że Antypater nigdy się z nimi nie pogodzi.

Niepokoił się również o siebie. Aleksander nie bez myśli zażądał od Antypatra przysłania jednego z sy-nów. Wprawdzie przyjął Jolaosa życzliwie, nadał mu urząd podczaszego i wyznaczył wynagrodzenie, o ja^{fc} kim sam Jolaos nie śmiałby zamarzyć. Ale nie lu-dził się, by w razie starcia króla z Antypatrem on nió padł ofiarą. O tym wie i ojciec, wysyłając go powie-

dział, że jedzie jako zakładnik, ale gotów się i z tym nie liczyć. Jolaos? sam musi troszczyć się o swe bezpieczeństwo, a w tym celu znać położenie, by nie dać się zaskoczyć.

Z ulgą też i radością powitał Kassandra, tym większą, że nie spodziewał się przyjazdu brata w porze, która podróż przez góry czyniła trudną i niebezpieczną. Co więcej, nieobecność króla pozwoli odwlec sprawę wyjaśnienia zarzutów przeciw Antypatrowi, tym-? czasem zaś Jolaos pomoże Kassandrowi rozejrzeć się w położeniu.

Podejmował brata z rozrzutną okazałością, nie bez dumy pokazując mu wspaniałe i drogocenne urządzenie pałacu, podczas wydanej na jego cześć uczyty liczna służba roznosiła wymyślne potrawy, nie znane Kassandrowi owoce i napoje, a stół ugiął się od kosztownych naczyń.

Kassandros jednak nie zdał się tym zbytkiem zachwycony. Skończywszy się pożywiać, powiedział do brata:

— Nie jechałem tak daleko, by tylko ucztować. Każ odejść służbie.

Gdy zostali sami, ciągnął:

— A ty nie siedzisz tu po to, by się dorabiać z łaski Aleksandra. Trzynaścioro nas wychowało się w drewnianym dworcu, jadalśmy z glinianych naczyń, sług było mniej, niż ty trzymasz dla siebie samego. Takiego pałacu, w jakim ty mieszkasz, nie miał u nas król, Pytam, po co ci to wszystko? Ojciec nie byłby z ciebie zadowolony.

Jolaos, cokolwiek zmieszany, odparł:

— Dobrze, że ciebie przysłał, bo w listach trudno wyjaśnić, co się tutaj dzieje. Gdyby sam mógł tu być nie miałby mi za złe tego, co ty. A sądzę, iż i ty zmienisz zdanie, gdy się rozejrzysz. Tu miara wszystkiego jest o tyle większa, o ile państwo Aleksandra większe od starej Macedonii. Pamiętasz, że na przygotowanie wyprawy z trudem udało mu się od kupców pożyczyć osiemset talentów, a gdy wyruszał,

w kasie wojennej było już tylko sześćdziesiąt. Dla nas była to suma, jaką trudno sobie wyobrazić. Za Peryklesa w skarbcu Aten, z haraczu, jaki ściągaly ze wszystkich sprzymierzeńców, zebrano dziewięć tysięcy talentów; to było źródło ich przewagi w Helladzie i wspaniałości ich miasta. Aleksander w samym złocie zdobył sto osiemdziesiąt tysięcy talentów. Kazał je przekuć w monetę i zalał nią wszystkie zdobyte kraje. Nigdy kredyt nie był tańszy, nigdy pieniądz tak szybko i łatwo nie wracał do skarbcza z podatków i ceł. A o twoim zdaniem miał z nim uczynić? Pozwolić złotu martwo leżeć, jak to czynili perscy królowie? To tak, jakby leżało w ziemi, gdzie nic niewarte, dbr póki nie znajdzie się w ręku człowieka, który wie, jaki z niego można zrobić użytek. I cóż dziwnego, że w tej fali każdy rad się wykapać, zwłaszcza ci, którzy znajdują się blisko jej źródła? Mówisz, że takiego pałacu jak mój nie mieli u nas nawet królowie. Tu ma taki byle bogatszy kupiec. Zaczekaj, aż zobaczysz pałac, w którym mieszka tutejszy satrapa, jeden z wielu dostojników Aleksandra. Ja mam wysoki urząd dworski, jesteśmy książęcego rodu. Gdybym żył tak, jak ojciec, uchodziłbym na dworze za dziwaka lub skherę, a u tutejszych ludzi za pacholka albo niewolnika. Wieczera, jaką dla ciebie zgotować kazałem, zda ci się zbytkiem. Aleksander na dzienne zaopatrzenie swego stołu wyznaczył dziesięć tysięcy drachm.

— Czy zjadacie co dzień stado wołów, czy król wieprze tuczy przy swym stole, czy też nogi myjecie w najdroższych winach? — pogardliwie zapytał Kassandros.

— Nie drwij! Zobaczysz, jak rychło sam przystykniesz do tego, co teraz zda ci się zbytkiem,

— Ty rychło przywykłeś i — co gorsza — widzę, że ci się to podoba. Nauczyłeś się myśleć jak kupiec i jak Azjata. Czy po to tysiące naszych najlepszych ludzi posiało swe kości; a więcej jeszcze straciło zdrowie by pozostali mogli obżerać się i zapijać? W zbytku i wygodzie zniewieścieją, spasiony wieprz nadaje

się tylko pod nóż. Czy sądzisz, że pokonalibyśmy Hel-
ladę, gdyby ludzie nasi nie umieli głodować i marz-
nąć, obywać się nawet bez wody i snu? A czymże
jest zbytek choćby Aten wobec tego, co tu widzę i co
prawisz?!

— Raz jeszcze radzę ci, nie bądź w swych sądach
zbyt pochopny. U nas nikt nie musiał myśleć, co czy-
nić z nadmiarem pieniądza, bo go nie było. Mieszka-
liśmy w drewnianym dworcu, bo z kamienia nikt bu-
dować nie umiał i nie było za co. Nasi ludzie umieli
głodować i marznąć, gdy skóry mieli za odzienie,
a nędzny dobytek nie zawsze starczył, by jeść do sy-
tości. Czy to było dobre? Prawda, że głodny wilk nie
zna granic zuchwalstwa, ale po to, by się nażreć.
A nażarty wraca do swej ostoji i chce spać. Mówisz
z pogardą o Azjatach. Co o nich wiesz? To, co nam
wpoili Hellenowie, którzy uważają ich za barbarzyń-
ców. Nas także, dlatego że nie wydaliśmy filozofów,
poetów i artystów. Czy Azja ich nie wydała wcześniej
niż Hellada? Zamiast wykorzystać stworzoną przez
Aleksandra sposobność, by ich poznać, wzbogacić się
o dorobek ich myśli, Arystoteles uważa helleńską
Hiyśl nawet nie za wyższą, ale za jedyłą, a barba-
rzyńców za rośliny i zwierzęta. Nie można nie błą-
dzić, gdy się zamknie oczy i zatka uszy. Gdy ujrzysz
Ogrom i bogactwo budowli i dzieł sztuki stworzonej
przez Azjatów, przyznasz, że tego nie mogły uczynić
zwierzęta. Nie wiem, czy są piękniejsze niż helleńskie,
ale zda mi się, że za piękne uważamy to, do czegośmy
od dziecka nawykli.

— Chętnie obejrzę te wspaniałości, ale nie po to
tu jestem. I ciebie ojciec nie przysłał, byś był na-
dwornym filozofem Aleksandra i nie o poezji czy fi-
lozofii mi mów, ale czy król wie już, że ojciec; poro-
zumiał się z Etolia w sprawie powrotu wygnańców,
i co odpowiedział posłom helleńskich miast na ich
skargi, że ojciec nie zostawia im wolnej ręki, której
by przeciw nam zwrócić nie omieszkali. Król jawnie
już nie dba o kraj, skoro wyciąga z niego siły zdatne

do walki, a odsyła zużyte, które będą raczej ciężarem. Czym dla niego jest Macedonia, dał zrozumieć pod Opis. Po tym, co tam zaszło, ojciec żadnych posiłków już nie przyśle, a tym bardziej sam ich nie przyprowadzi. Jasne też jest, że król po to go wezwał, by Kraterosowi przejęcie władzy ułatwić, jeśli nawet nie po to, by skończyć z ojcem jak z Parmenionem. Macedonia nie będzie folwarkiem Aleksandra, z którym wolno mu czynić, co zechce. Niech się w zdobytych krajach rządzi, jak mu się podoba. Dla nas miarą pozostanie nadal dobro naszego kraju. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem. Nie jestem nadwornym filozofem, ale też nie tylko posłańcem. Ojciec kazał mi oczy i uszy mieć otwarte po to, bym mógł radzić i przestrzegać nawet jego, a chyba i ciebie. Aleksander nikomu nie pozwoli wpływać na swe postępowanie i niczyjego oporu nie zniesie.

— Dlaczego jednak nie kazał w Macedonii budować sobie świątyni ni ołtarzy? Bo wie, że wystawiłby się tylko na pośmiewisko.

— Być może. Gdy jednak zetkniesz się z Aleksandrem, nie radzę ci śmiać się z czegokolwiek, co rozkaże, ani dać mu do zrozumienia, że jakkolwiek rozkaz jego nie będzie wykonany.

— Choć nie jestem tak doświadczony jak ty, nie zamierzam zdradzać, co ojciec zamyśla. Im później się Aleksander dowie, tym lepiej. Zdaje się jednak, że ty o siebie lękasz się bardziej niż o mnie. Gdyby wszyscy nie byli tak płochliwi jak ty, nigdy by pycha i samowola nie mogły tak rozdać Aleksandra,

— Nie wszyscy. Nie lękali się go Filotas, Parmenion i Klejtos. Przyznaję, że nie chciałbym podzielić ich losu. I wierz mi, że nie chciałbym, byś ty go podzielił.

— O mnie możesz być spokojny — lekceważąco zakończył Kassandros.

W Atenach wniosek o ubóstwienie Aleksandra uchwaliło zgromadzenie ludu mimo burzliwych Sprzeciwów nieprzejednanych. Zwłokę, wywołaną skargą Pyteasa o bezprawność wniosku, należało szybko nadrobić, by uprzędzić rozstrzygnięcie w sprawie powrotu wygnańców. Nadzieja, że Aleksander cofnie swe zarządzenie, była słaba, należało jednak próbować osiągnąć przynajmniej odroczenie, a czas wykorzystać na założenie kolonii w Italii, dokąd skierować można będzie samijskich kleruchów, a przez to zyskać oparcie dla ateńskiego handlu, wypieranego z Azji Mniejszej i Egiptu wskutek antymacedońskiej polityki. Teraz liczone na poparcie przez Aleksandra helleńskich kolonii na Morzu Śródziemnym, a nadzieję na nie podsycało przesłanie przez niego dziesięciu tysięcy talentów na odbudowę helleńskich świątyń, zwrot łupów Zagrabionych w czasie wojen perskich i wspaniałe dary, jakie otrzymało Krotone za udział Krótończyka Fajlosa w bitwie pod Salaminą. Spodziewano się, że Aleksander pokromi Kartaginę, dawnego sprzymierzeńca Persów, najniebezpieczniejszego wroga helleńskiego żywiołu w Italii i na Sycylii, oraz wytopi popieranych przez Rzym etruskich i antiackich piratów.

Dla pospiechu ateńskie poselstwo, nie zważając na burzliwą porę zimową, wyruszyło drogą morską na świętym statku z wieńcem i hołdem dla nowego bóstwa i szczęśliwie wylądowało w Biblos (Gebał), by po zasięgnięciu wieści i krótkim wypoczynku ruszyć dalej przez Damazek do Babilonu, gdzie spodziewano się zastać Aleksandra.

O wieści nie było trudno. W stocznjach Fenicji grzała praca nad budową statków dla Aleksandra, od największych pięciorzędowców do trzydziestowiosłowców bez pokładu. Niewątpliwie jednak nie były przeznaczone na Morze Śródziemne, król bowiem nakazał okręty rozłożone na części dostarczyć łądem do Tapsakos, a stamtąd Eufratem spławić do Babilonu, gdzie rozszerzano i pogłębiano port rzeczny na ty-

siąc statków, budowanych także na miejscu z wyci-
nianych na ten cel cyprysów w pałacowych ogrodach,
gdy innego materiału nie było. Przewodniczący ateń-
skiemu poselstwu archont Chabrias dowiedział się od
Mikkalosa z Klazomeny, który z ramienia króla wer-
bował w Syrii i Fenicji żeglarzy i cieśli okrętowych,
że król ściąga też do Babilonu flotę Nearcha, stacjo-
nującą w Zatoce Perskiej, kontyngenty wojsk z sa-
trapii w Azji Mniejszej oraz najemników zaciąganych
przez Menidasa.

Niebywale rozmiary przygotowań wojennych zda-
ły się wskazywać, że król zamierza dokończyć podbo-
ru świata, niewątpliwie jednak przede wszystkim
zmusić do uległości koczownicze plemiona Półwyspu
Arabskiego, klinem tkwiącego między wschodnią
a zachodnią połacią Aleksandrowego państwa. Z gra-
niczących z nim plemion i narodów jedni Arabowie
wazyli się nie uznawać nadrzędnej władzy Aleksan-
dra, rabunkami i ściągnięciem wysokich opłat ciężąc
nad drogami handlowymi z Indii do Egiptu. Król nie
byłby sobą, gdyby się z tym pogodził. Wobec ogrom-
nych, przeważnie pustynnych obszarów Półwyspu
Arabskiego zmuszenie do uległości ruchliwych kocz-
wników nie było sprawą łatwą i na to zapewne li-
czyli; Aleksander jednak niejednokrotnie dokonywał
czynów uważanych za niemożliwe. Za taki uchodził
przemarsz przez pustynię Gedrozi. Teraz okazało się,
że ktoś miał na celu nie próżną chwałę, lecz próbę
sił i zaprawę do działań wojennych w piaszczystych
i bezwodnych okolicach.

Mimo zimnej jeszcze pory droga przez skaliste
wąwozy gór Libanu i Antylibanu była ruchliwa.
Wszędzie nad bezpieczeństwem gościńca czuwały stra-
że, których stanice, położone co parę mil, służyły za-
razem za miejsce postoju gońców przywożących roz-
stawnymi końmi rozkazy i wiadomości. Zbiegały się
w nowej stolicy świata, gdzie pod kierunkiem Eume-
nesa rzesze urzędników zbierały je i porządkowały
tak, by na każde żądanie króla udzielać mu wyjaśnień

potrzebnych do układania planów i wykonania zamierzeń. Źródłem wieści były również gromady kupców zewsząd ściągających do największego rynku Azji, położonego na skrzyżowaniu wielkich dróg handlowych.

Gdy poselstwo ateńskie dotarło nad Eufrat, na równoległym do rzeki gościńcu różnobarwny i wielojęzyczny tłum gęstniał, często słychać było mowę helleńską. Joński żywioł Azji Mniejszej w pełni wykorzystywał olbwarę przez Aleksandra możliwości osadnictwa i handlu w podbitych przez niego krajach. W żadnym z siedemdziesięciu nowo założonych miast nie brakło świątyn helleńskich bogów, a co najważniejsze, ich wyznawców, których pośrednictwo i usługi pozwalały ogarnąć siecią handlu olbrzymie, niedostępne i nie znane dotychczas obszary.

W miarę jak poselstwo ateńskie posuwało się na południe, wiosna wychodziła mu naprzeciw, nie można było jednak przyspieszyć podróży. Wody tających w górach armeńskich śniegów wypełniły szerokie, lecz płytkie koryta Eufratu, miejscami występując z brzegów, podmywając je lub nawet przelewając się przez gościniec. Zbudowany jeszcze przez asyryjskich królów, równoległe do rzeki, ciągnący się na przestrzeń wielu mil kanał, zwany Pollakopas, odbierać miał nadmiar wiosennych wód gromadząc je w sztucznym jeziorze tejże nazwy, by siecią mniejszych kanałów suchą porą nawodnić szeroki pas kraju między rzeką a pustynią. Wiekowe niedbalstwo perskich zarządców dopuściło jednak do zamulenia urządzeń nawadniających, zamieniając pas nadrzeczny w moczary i bagno porośnięte trzcina i szuwarem, źródło złej gorączki, która dziesiątkowała ludność, a co gorsze grożąc, że główny kanał, położony niżej niż Eufrat, stanie się jego nowym korytem i odsunie rzekę od leżących nad nią miast i osad.

Teraz wszędzie jednak wrzała praca nad oczyszczeniem i pogłębianiem bagnistych strug, w jakie zamieniły się kanały, oraz nad naprawą wiodących przez nie mostów, a wiadomości, jakie poselstwo ateńskie

otrzymało w drodze, nie nagliły do pośpiechu. Króla nie ma w Babilonie, nie wrócił jeszcze z zakończonej pomyślnie wyprawy przeciw Kossajom, a Ptolemajos przywiódł już do Babilonu wojska i tłumy kossajskiej młodzieży.

Im bliżej stolicy, tym większy ruch panował na gościńcu w obu kierunkach i tym łatwiej było o wieści. Starczyło wsłuchać się w rozmowy po gospodach i na postojach, by zrozumieć, że stara Hellada, a przede wszystkim Ateny swą chwiejną i wrogą poczynaniom Filipa i Aleksandra polityką straciły sposobność takiego wzrostu potęgi i znaczenia, jaka się nigdy już nie powtórzy. Gdyby zamiast miotać im kłody pod nogi, szczerze uznały w nich przywódców zjednoczonej Hellady, jej przypadłby główny udział w korzyściach nieprawdopodobnych osiągnięć Aleksandra. Hellenowie istotnie stać się mogli narodem panów, za jakich uważał ich Arystoteles. Jeżeli nawet mylił się, inne uważając za niewolników, to władza nad nimi, jaką Aleksander powierzył wysłużonym weteranom w zakładanych przez siebie miastach, dawała korzyści i otwierała możliwości, o jakich Hellada nie mogła zamarzyć nawet w dobie największego rozkwitu. Zamiast tego pełznąć teraz musi do stóp Macedończyka, by pokornie skarżyć się na ucisk ze strony ustanowionego przez niego stróża pokoju, lub błagać, by nie wypędzał kleruchów z Samos.

To co ateńskim posłom rzucało się w oczy i cisnęło na myśl, stanowiło gorzkie zadośćuczynienie dla Demareta, który od pierwszego wejrzenia, gdy Aleksander posłował do Aten po cheronejskiej bitwie, stał się jego żarliwym i bezinteresownym wielbicielem. Że nie przypłacił tego co najmniej wygnaniem, zawdzięczał jedynie Demostenesowi, który umiał z niego zrobić pośmiewisko ateńskiego motłochu. I teraz temu miał do zawdzięczenia godność posła. Przechylni obywatele nie garnęli się do niej, doświadczenie ostrzegało ich bowiem, że w razie zmiany położenia udział w hołdzie i ubóstwieniu Aleksandra posłuży

przeciwnikom politycznym za podstawę wytoczenia zarzutów, a nawet pociągnięcia do odpowiedzialności. Ateński demos żywił przekonanie, że skutki kaideg błędu można usunąć wynajdując ofiarnego kozła. Gdy przeto zapobiegliwsi wykręcali się od udziału w poselstwie nie rokującym pomyślnego wyniku, na kpinie wysunięto osobę Demareta, uzasadniając wybór tym, że łatwiej uzyskać wysłuchanie próśb, gdy choć jeden z członków poselstwa szczerze modlić się będzie do nowego bóstwa.

Demaret był jednak na tyle ostrożny, iż nie dawał odczuć pozostałym posłom swego zadośćuczynienia. Nikt już nie mógł zaprzeczyć, że to nie on był głupcem, popierając Aleksandra. Chłystek i gamoń, jak go zwał Demostenes, wyrósł na pyтана, wobec jego osiągnięć bladły czyny mitycznych Jierosów. Trafność określenia przez niego oporu Hellady jako walki myszy uwydatniało wszystko, co jej poselstwa oglądały teraz własnymi oczami: dziesiątki tysięcy ludzi zajętych pracą przy mostach, drogach, groblach i kanałach, miasto-olbrzym z gigantycznymi budowlami i tłumem różnojęzycznej ludności, skrzętnie korzystające z tego, że Aleksander uczynił je swoją stolicą. To jest prawdziwy *ges omfalos*, pępek świata: Dzeus umieścił go w Helladzie; i mógłby był tam pozostać, gdyby nie dał posłuchu ludziom, którzy wpatrzeni we własny, chcieli żyć przeszłością. Nowy bóg przeniósł go tutaj, dobrodziejstwa, jakie świadczył staremu krajowi, miały cierpki posmak jałmużny. Bez jego łaski nie stać było Hellady nawet na to, by nie dopuścić do ruiny przybytków ojczystych bogów; także oni przyjmować musieli łaski Aleksandra.

Nie było zadośćuczynieniem, że korzystają z niej i obcy bogowie. Posłowie ateńscy, przejechawszy położoną na prawym brzegu Eufratu część miasta, zostawili wozy w zajeździe i we trzech po kamiennym moście przeszli za rzekę do otoczonego murem pałacu Nebukadenezara, oddzielonego kanałem od staro miasta, przed piętnasta wiekami założonego

przez Samuabuma. Zniszczone i splądrowane przez Hetytów, potem trzykrotnie przez Asyryjczyków, a ostatnio przed półtora wiekiem przez Kserksesa dźwigało się znowu, wspanialsze, bogatsze i rozrastające się w nieskończoność. Nebukadenezar, budując na północ od miasta swój letni pałac Babil, przyłączył, do niego i ubezpieczył murem długości kilku tysięcy stadiów ogromną przestrzeń. Znaczną jej część zajmowały pałacowe ogrody, pozostała jednak już nie wystarczała rosnącemu miastu, które przelewało się poza mury. Jedynie rozwój zachodniej jego części oddzielonej rzeką hamowały bagna i rozlewiska, powstałe na skutek zaniedbania przez perskich satrapów słuz, tam i grobli.

Pałac nad Eufratem, a raczej warowny zamek, obecnie mieszczący liczne urzędy i kancelarię królewską, stanowił olbrzymi labirynt sal, krużganków, kolumnad, korytarzy, przedsionków i tarasów, w którym ateńscy posłowie z trudem dopytali się o siedzibę Eumenesa, by zgłosić mu swe przybycie., Archont Chabrias miał nadzieję zyskać jego poparcie lub przynajmniej wy badać, przez kogo można by wpływać na króla, by przychylnie odniósł się do prośby Aten. 'Sądził, że uznanie boskości Aleksandra powinno się spotkać z należytą oceną i życzliwie go usposobić. Poczł się niemile zdziwiony, gdy ateńskiemu poselstwu przyszło czekać w przedsionku w tłumie innych, aż po długiej chwili zjawił się jakiś urzędnik, wy pytał, kto i z czym przybywa, i oznajmił, że po przyjeździe króla zgłosić się mają u zarządcy dworu, który wyznaczy kolejność przesłuchań. Zapytany, kiedy to nastąpi, odparł, że król bawi w Kelainai i tam kazał przyjechać niektórym z dworzan i urzędników, zapewne przeto nieprędko można się go spodziewać. Na prośbę Chabriasa o dopuszczenie do Eumenesa odparł, że archigrammateus jest bardzo zajęty i przyjmuje tylko tych, których sam wezwał.

Jeżeli po tym posłowie ateńscy mogli jeszcze żywić złudzenie co do znaczenia swego miasta, rozwiało

się, gdy sługa wywołał poselstwa Etiopów, Scytów i Celtów, by im wskazać gościnne pomieszczenia w pałacu. Ateńczyków, na równi z Trakami, Ilirami i posłami innych hołdowniczych lub podbitych narodów, pozostawiono własnemu przemysłowi, a nietrudno było przewidzieć, że w mieście, w którym przewalały się roje przyjezdnych, nie będzie łatwo o gospodę.

Przyjęcie nie rokowało pomyślnego wyniku poselstwa i posłowie ateńscy opuszczali pałac przygnębieni. Nie wiedząc, co począć, stali przez chwilę w milczeniu, które przerwał Demaret:

— Nie ma tu na co czekać. Poszukać trzeba, gdzie stanęły inne poselstwa helleńskie, które tu dawniej przybyły i rozeznają się już w mieście.

Czekać istotnie nie było na co, a o gospodę należało się postarać. Posłowie przeszedłszy most na kanale znaleźli się na szerokiej na kilkadziesiąt łokci ulicy, biegnącej prosto jak strzełił na południe, aż po krańce widnokągu. Wzrok ich jednak przykuła brama w północnym murze, z ogromną nadbudową o czterech basztach na narożnikach. Ściany z polewanej, różnobarwnej cegły lśniły w wiosennym słońcu, na całej wysokości zdobne płaskorzeźbami przedstawiającymi skrzydlate byki, lwy i gryfy. Na szczytowych ścianach baszt widniały symbole boga Isztar, słoneczne tarcze. Widok był zarazem wspaniały i przytłaczający, a przy ogromie i ciężarze budowli przelewający się przez bramę tłum zdawał się mrowiskiem. Nawykli do lekkości i wdzięku helleńskiego budownictwa posłowie ateńscy czuli się tu zagubieni i niepotrzebni. Milczenie znowu przerwał Demaret:

— Niczego tu nie wystoiimy. Gdyśmy już przybyli, zda się rozejrzeć po mieście, by wiedzieć, jak się obrócić gdy znowu przyjdzie tu posłować.

— Może tobie — zgryźliwie odparł Charidemos. — Ja tu jestem po raz ostatni. Posłowałem już nieraz, ale nigdzie nie spotkałem się z tak lekceważącym przyjęciem.

— Ja nie posłowałem jeszcze nigdy, może dlatego

nie dziwi mnie, że się tu z nami nie liczą. Nikt nie ceni bezsilnego wroga. Ale był taki czas, gdy zarówno Filip, jak Aleksander starali się pozyskać Ateny. Takim, jak ty i twój przyjaciel Demostenes zawdzięczamy, że staliśmy się niczym. Gniew na nic się teraz nie zda.

— A mniej jeszcze swarzyć się między sobą — przerwał Chabrias. — Zostawmy to tymczasem, bo co będziemy robić w Atenach. Tak czy inaczej, gospodę trzeba wyszukać, a czas mamy do wieczora rozjeżdżać się po mieście, co tu można kupić lub sprzedać, bo wiadomość przydać się może naszym kupcom, jeśli nie nam samym.

Pochłonięci sprzeczką na ruchliwej ulicy posłowie ateńscy nie zauważyli, że przysłuchuje się jej jakiś obcy człowiek, który teraz odezwał się:

— Co chcielibyście kupić albo sprzedać?

Obejrzeni się. Nieznajomy wyglądał poważnie i zasobnie, mówił jońskim narzeczem, ale wymowę miał semicką. Małymi bystrymi oczyma opatrywał ich, jakby szacował. Charidemos odparł szorstko:

— Nie jesteśmy handlarzami, lecz posłami.

Nieznajomy skinął głową.

— To słyszałem. Tu dużo helleńskich posłów, którzy przyjechali uczcić swego króla i boga. Ale czy posłowie nie mogą handlować? Czy to wstyd? Po co się zarzekać? Kto się zarzeka, sam sobie ręce wiąże.

— Aleksander nie jest naszym królem ani bogiem — porywczo rzucił Charidemos, Chabrias jednak uciął przezornie:

— W obcym mieście każdemu zda się wiedzieć, jak się obrócić i komu zaufać. Chętnie skorzystamy, jeśli zechcesz pokazać nam miasto, bo zgubić się tu łatwo, a potem wskażesz jakąś gospodę. Jesteś tujejszy?

- I tak, i nie — nieznajomy uśmiechnął się, a na pytające spojrzenie Chabriasa ciągnął:

- Jestem Achas ben Osias. Mój kraj jest w Pales-

tynie, praojcowie mieszkali w Jeruzalem. Ale ją zburzył Nebukadenezar, króla Joakima pojmał, a co przedniejszych naszego narodu przesiedlił tutaj. Cyrus pozwolił im wrócić, odbudować świątynie i oddał święte naczynia. Jedni wrócili, inni zostali, moi przodkowie też. Jakiego narodu tu nie ma! To tutaj ludzie umyślili sobie wieżę wybudować aż do niebios. Ale Najwyższy pomieszał ich mowy i uczynił wiele narodów. A wasz król znowu chce zrobić jeden, a wszystko, co czyni, ma być największe i najwyższe.

— Mówiłem ci, że to nie nasz król — gniewnie przerwał Charidemos, ale Achas wzruszył ramionami.

— Czy to ważne, jak się zowie? Ale słuchać go musicie i dlategoście przyjechali. Nie jeno wy. Prorok nasz, Daniel, widzenie miał, które mu wyłożył posłaniec Przedwiecznego: przyjdzie helleński król z zachodu i powstanie król mocny i będzie panował panowaniem wielkim, a czynić będzie, co mu się podoba.

— My też wyrocznie mamy, ale jeno głupcy wierzą przepowiedniom — zgryźliwie odparł Charidemos. — Przepowiadają to, co się już zdarzyło, albo tak, że zrozumieć można dopiero, gdy się zdarzy.

— Masz słusność, że nie wierzysz fałszywym prorokom — uśmiechnął się Achas. — Ja też nie wierzę ani waszym wyroczniom, ani nawet tutejszym wróżbitom, choć zdarza im się, że w gwiazdach wyczytają przyszłość. Ale przez naszych proroków przemawia Najwyższy.

- I ja bym uwierzył twemu wróżbicie — zadrwił Charidemos — gdyby nie wróżył tego, co się już stało i jeszcze się pomylił, bo Aleksander nie jest Helenem.

Spojrzenie małych oczu Achasa stało się klujące, gdy powiedział:

— Najwyższy karze po równi fałszywych proroków, jak i tych, oo prawdziwym prorokom nie wierzą. Nie jest przed nim przyszłość zakryta, a odkrywa ją, komu chce. I odkrył ją Danielowi, że gdy król

z zachodu stanie u szczytu, będzie skruszone królestwo - jego i będzie rozdzielone między cztery wiatry niebieskie, ale nie między potomki jego ani według mocy jego, którą panował.

— Nie ja będę żałował, jeśli twój bóg pokarze pyszałka, który sobie cześć boską oddawać kaze.

— Nam nie kazał. Nawet prosił arcykapłana, by mu pozwolił cześć oddać Najwyższemu. On na ziemi może wszystko, a wasi bogowie, którym się kłaniacie, nie mogą nic. Wysłannikiem jest Przedwiecznego, by wyzwolił jego lud i wyprostował drogi tego, który przyjdzie z niebios i wszystkie narody służyć mu będą.

Śliską rozmowę, przerwał Chabrias:

— To dziwne, co mówisz, ale dzień ucieka i nie zdążymy obejrzeć miasta, które nam pokazać obiecałeś.

— Nie zdążycie i za miesiąc, ale w starym mieście rozeznac się łatwo, bo wszystkie ulice biegną z południa na północ i ze wschodu na zachód. A gdziekolwiek stanąć, zewsząd widać pałac Nebukadenezara i Zikkurat.

Wskazał widoczną na widnokręgu tarasową piramidę i ciągnął:

— To świątynia największego boga Chaldejczyków, Marduka, którego też zowią Bel, co się wykląda: pan. A świątynię zowią Esangila, dom głównego wzniesienia. Zanim zrujnował ją Kserkses, była wysoka na sto pięćdziesiąt łokci. Aleksander kazał wystawić jeszcze wyższą i dwadzieścia tysięcy wojsk trzdzi się, aby rozebrać ruinę. Bram w murach jest osiem, furt sto, każda poświęcona innemu bogu, a poznać je łatwo, bo jego znak nosi. Ta najbliższa jest boga Sin, we wschodnim murze — Zababy, w południowym Enlila, Urasza i Szamasza, a w zachodnim do nowego miasta — Adada. To są bogowie nieba, powietrza, jutrzeńki, księżyca, miłości; kto i co tu nie ma osobnego boga! Ktoś chciał zliczyć i doliczył się dwa i pół tysiąca. Dokoła miasta są pięćdziesiąt trzy świątynie samych wielkich bogów, a po całym mie-

ście do tysiąca ołtarzy i bałwanów. Co trzeci czas wiek jest kapłańskiego stanu, poznać łatwo po białych szatach. Wszyscy chcą dobrze i łatwo żyć, Ale bogowie są jak towar: za dużo, to jest tani. Żrą się między sobą, a nawet wojna raz była. Najlepiej zarabiają ci, co w świątyniach trzymają kapłanki do pobożnej rozpusty. Od tego też jest bogini Isztar, którą zowią Wielką Matką wszystkiego, co żyje. Ale i innym nie wiedzie się źle. Miasto bogate jest, jak je nazywał prorok Ezechiel, miasto handlarzy w kraju kramarzy, a demonów jest więcej niż włosów w brodzie. Czyhają na każdego i tylko kapłani wiedzą, jak się przed nimi bronić; znają zaklęcia, robią amulety i wyjaśniają znaki. Bez nich ludzie nie wiedzieliby, czego bogowie chcą, choć wiadomo — najwięcej chcą pieniędzy.

Istotnie, w tłumie często widać było ludzi w białych szatach, a niemal co kilkadziesiąt kroków w niszach i wnękach domów bez okien widniały posągi bóstw i kamienne ołtarze. W ogólnym gwarze nierzadko można było wyróżnić skażoną mowę helleńską. Achas wyjaśnił:

— Po buncie jońskich miast Artakserkses wysiedlił Hellenów do Kelairtai. Teraz się rozeszli, gdzie kto chciał. Wielu osiadło tutaj albo w miastach, które król założył, i dobrze im się wiedzie. Mają swoje prawa i swoich bogów. Nie wiem, czy on jest Hellenem, ale nikt dla Hellenów więcej nie uczynił i mają mu za co dziękować.

— Co dla nas uczynił, to my lepiej wiemy niż ty — opryskliwie przerwał Charidemos.

Achas wzruszył ramionami.

— Myślałem, że i wy przyjechaliście mu dziękować jak inni.

- Zobaczmy, czy będzie za co. Ale widzę, że tobie podoba się to, co król czyni.

— Król się mnie o to nie pytał. Mnie się podoba ład i spokój, bo bez tego nie ma handlu. Ale gdyby pytał ciebie, to nie mów mu, że tobie się nie podoba.

Królowie tego nie lubią. Ja też wolę nie słyszeć.
Pokój z wami!

Odwrócił się tia pięcie i zniknął w tłumie. Chabrias powiedział gniewnie:

— Szukajże teraz sam gospody. Po coś się podjął posłowania? Czy po to, by nam zaszkodzić?

Charjdemos odparł lekceważąco:

— Nie lubię obcych i znajdziemy gospodę bez ła-ski tego Judejczyka.

Demaret, który milczał dotychczas, wybuchnął:

— Ty się po to podjąłeś posłowania, by nas pod-słuchiwać i donosić.

— Ciebie nie potrzebuję podsłuchiwać i donosić, bo wszyscy cię znają. Niechby się spełniło, co mówił ten Achas, to pójdziesz z miasta precz, choćbym ja nic nie doniósł.

Kłótnię przeciął Chabrias mówiąc ostro:

— Ale się jeszcze nie spełniło, a pyskując przed obcym na króla możesz nam jeszcze utrudnić i tak niełatwe zadanie. Sykofantów nie brak, nie tylko w Atenach. Tam będziesz gadał, a tutaj milcz, bo nie ma komu podziwiać twego niezłomnego patriotyzmu.; Skłócenie posłowie szli milcząc, aż uwagą ich zwró-cił wyłom we wschodnim murze nad' kanałem. Gruz już usunięto, a gromady robotników, rzemieślników i artystów krzątały się przy wznoszeniu jakiejś wspa-niałej budowli: ni pałac, ni świątynia. Na kamien-nym podmurowaniu, okrytym figuralnymi płaskorzeź-bami, dźwigały się ściany ze złoconego drewna, rów-nież bogato rzeźbione. Tłum gapiów przypatrywał się pracy, omawiając ją w hałaśliwym podnieceniu. Za - ciekawieni posłowie ateńscy zatrzymali się, próbując dopytać się o przeznaczenie budynku tym dziwniej-szego, że w Babilonie brakło drewna i trzeba je było z dala sprowadzać. Niespodziewanie ktoś czystą mo-wa attycką powiedział:

— Witaj, Charidemosie!

Charidemos obejrzał się. Ku posłom przepychał się przez ciżbę wychowanek Demostenesa, Ariston

z Platei. Poznawszy Chabriasa powitał go również a zapytany, skąd się wziął w Babilonie, odpowiedział; — Demostenes wysłał mnie z pismem do Hefajstiona. Tymczasem Hefajstion zmarł, a tu właśnie budują dla niego stos pogrzebowy. Nie było co robić w Ekbatanie, więc przyjechałem tu spodziewając się, że Ateny przysłały poselstwo jak inni. Sądzę, że pozwolicie mi się do was przyłączyć, bo bezpieczniej wracać w gromadzie, a tu mogę się wam. na coś przydać, bo rozejrzałem się już w mieście.

— Chętnie — odparł Chabrias — bo właśnie szukać mamy gospody. Ale chyba nieprędko będziemy wracać, bo króla nie ma w Babilonie i nie wiadomo, kiedy przybędzie.

— Spodziewam się, że już rychło, bo wróciło poselstwo, które wysłał do wyroczni Dzeusa-Ammona z zapytaniem, czy Hefajstiona należy czcić jako boga, a jak widzicie, jego stos pogrzebowy jest na ukończeniu.

-Widząc., że Charidemos zachnął się, Aryston ciągnął;

— Dziwicie się? Jeszcze nieraz będziecie się tu dziwili. Ja się natomiast dziwię, że wyrocznia nie zgodziła się na ubóstwienie Hefajstiona i kazała go czcić tylko jako herosa. Nikt się już nie waży sprzeciwić Aleksandrowi i miasto nasze rozsądnie uczyniło godząc się na jego żądanie.

— Jak widzą, i ty wraz ze swym opiekunem doszedłeś do rozsądku — zgryźliwie rzucił Charidemos.

A ty jak sądzisz, co osiągnęlibyśmy opierając się woli Aleksandra? — żywo odparł Aryston. — Na tę budowlę przeznaczył dziesięć tysięcy talentów po to, by ją spalić. Tyle Ateny nigdy nie miały w swym skarbcu. W igrzyskach ku czci Hefajstiona ma wziąć udział trzy tysiące zawodników. Cała Hellada nigdy taką ilością nie mogła obesłać żadnych igrzysk. W samym Babilonie jest więcej ludzi niż w całej Attyce. Sto dwadzieścia tysięcy wojska już stoi pod nim obozem, a wciąż jeszcze ściągają nowe. Któż się odważy

myśleć o oporze przeciw tej potędze, jakiej jeszcze nigdy nie było?

- Jeszcze są tacy — uszczypliwie powiedział Demaret. — W tym leży, ich odwaga, że nie lękają się śmieszności.

Nowej sprzeczce zapobiegł Ghabrias mówiąc:

— Pójdźmy po nasze wozy i niech Ariston wskaże nam gospodę. Tam będziecie mogli się kłócić, żeby nie wyjść z wprawy. Tutaj nie wiadomo, kto słyszy i komu doniesie.

W Babilonię wiele najważniejszych spraw czekało na Aleksandra. Trudy i niebezpieczeństwa czterdziestodniowej zimowej wyprawy w góry kossajskie na pozór przywróciły mu zachwianą przez śmierć przyjaciela równowagę ciała i umysłu, w napięciu walki zdał się zapominać o poniesionej stracie. Obcięte jego kędziory odrosły, przybladłą twarz pozłociły górskie wichry i słońce, wróciła mu chęć do jedzenia i sen. Zaskoczonym w swych siedzibach rozbójnikom, gdzie nawet ciepłą porą nikt dotychczas ścigać ich się nie ważył, ni na chwilę nie pozwolił ochłonąć z wywołanego popłochu. Niedostępne górskie komysze nie dały im schronienia, a niedobitki bezlitosnych rzezi szerzyły trwogę od osiedla do osiedla i coraz większe gromady uchodziły na południe, porzucając swe siedziby na pastwę ognia, a wynędzniałe niewiasty i dzieci na łaskę i niełaskę wroga, gdy jasne się stało; że tylko niewola może je ocalić od śmierci z głodu i mrozu. Mężów Aleksander zakazał brać żywcem, toteż uchodzili, póki się w nich dech kołatał, a bezlitosny nieprzyjaciel szedł za nimi, ścigając nawet pojedynczych ludzi, gdy zmożeni trudem, bez ognia i strawy, próbowała wymknąć się prześladowcy, by skończyć gdzieś spokojnie w ustroniu. Śnieg zdradzał ślady i nie było ucieczki, chyba na dno górskich przepaści, gdzie wielu wołało skończyć żywot niż wpaść w ręce budzącego przerażenie wroga.

Wreszcie i tej ucieczki nie stało. Pasma górskie kończyło się, skaliste szczyty pozostały za uchodzącymi, wąwozy przechodziły w doliny. Wyczerpany do ostatka kilkunastotysięczny tłum uchodźców kłębił się na wzgórzu jak zwierzyna spędzona w jedno miejsce olbrzymią obławą, z rozpaczą patrząc na pierścień ognisk u stóp, znaczący pętlę zarzuconą na ich gardła.

Teraz Aleksandrowi nieśpieszno była ją zacisnąć. Znużone pościgiem wojska jego wypoczywały i pożywiały się przed ostatecznym uderzeniem, ale parę dni spokoju nie niesło wypoczynku kossajskim góralom. Zbójcekie plemię dobijał głód i chłód, a okrutny wróg zdał się czekać, by ostatnie iskry oporu same zgasły.

Jednego wieczora Aleksander siedział samotny przed namiotem, gdy zjawił się Ptolemaios i powiedział:

— Ruch jakiś widać u Kossajów. Może będą próbować wyłamać się z matni. Czy mamy uderzać?

— Każ porwać paru. Jeśli będą się bronili, uderzymy. A jeśli nie... — urwał i zamyslił się. Bitne plemię może dostarczyć dobrego żołnierza. Zakładników miał w ręku nadmiar, rzucony postrach na długo starczy, by poskromić rozbójników i zmusić ich do życia z pasterstwa i roli.

Widok słaniających się ludzkich cieni starczył za wyjaśnienie. Aleksander przez chwilę patrzył na jeńcowi powiedział:

— Wracajcie do swoich i powiedzcie im, że kto złoży broń, dostanie jeść. Starszyzna zostanie jako zakładnicy. Jutro wam ogłoszę, co postanowiłem.

Cel wyprawy był osiągnięty. Ptolemaios sądził, że jak zazwyczaj król biesiadą zechce uczcić zwycięstwo, Aleksander jednak odprawił go skinieniem reki i wszedł do namiotu.

On nie osiągnął swego celu. Objął dowództwo nad wyprawą, mimo że poskromienie rozbojów niczym było wobec wagi czekających na niego nowych zadań,

przede wszystkim nowej organizacji gromadzących się w Babilonie wojsk. Czekał Eumenes na rozstrzygnięcie przez króla mnożących się zagadnień budowanego państwa, czekały poselstwa niemal wszystkich narodów, by ułożyć z nim swe stosunki, i czekała Roksana. Miał w pełni świadomość, że od życia jego zależą losy świata i los syna, którego spodziewała się mu dać małżonka. A dzień za dniem narażał się po to tylko, by nie myśleć o poniesionej stracie. Zamiast tego na każdym niemal kroku odzywało wspomnienie towarzysza nieodstępnego od chłopięcych lat. Jeśli nawet przez chwilę zdołał zapomnieć, że nie ma go już, tym dotkliwiej przypominał się jego brak. W zamęcie walki z nawyku nieraz obejrzał się, czy Hefajstion idzie przy jego boku; budząc się nocą zaczynał mówić do niego po to, by zaraz uświadomić sobie, że jest sam; jak ongiś w swej wyprawie na Olimp, gdy drżąc z wysiłku i chłodu patrzył na leżący u stóp jego świat. Ale wtedy wiedział, że na dole czeka Hefajstion. Boskie uczucie, że nad nim nie ma już nikogo, że jedynym bogiem na Olimpie jest on, wypełniało pierś nieznanym szczęściem dlatego, że mógł je podzielić z druhem. Z nim dzielił zabawy, naukę, marzenia, niebezpieczeństwa i zamiary: młodość. Teraz, gdy świat znowu ma u swych stóp, Hefajstion czeka już tylko na swój pogrzeb, a połączyć ich może Śmierć. Aleksander znał się z nią od pacholęcych lat, ale w największym niebezpieczeństwie nigdy nie myślał o tym, że i jego może doścignąć, jakby dzielił wiarę swych prostych żołnierzy, że zabić nie może go nikt. Tylko w Tarsie, gdy choroba zwała go z nóg, a lekarze odstępowali go zwątpiwszy w swą sztukę, myślał o śmierci. Ale wtedy nie chciał umierać, jeszcze nie osiągnął tego, co zamierzył. Teraz jest u szczytu; dzieli go od niego jeszcze jedno czy dziesięć zwycięstw łatwych i pewnych. W tym istotnie zastąpić go może którykolwiek z hetajrów, Większej władzy ni chwały już nie osiągnie. Zburzył stary, zmurszały i strupieszwały świat. Teraz gdy trzeba go

budować na nowo, to, co czeka na niego, odczuwał jako ciężar i obowiązek. Wszystkich i wszystko uzależnił od siebie, nie wolno mu przekreślić swych osiągnięć, by zagłębić się w pustce, jaką poczuł w pierśsiach, gdy stłumił rozpacz. Teraz gdy sfolgowało napięcie walki, pustka stała się nieznośna, lękał się bezsennej nocy w ogromnym namiocie. Próbował czytać, ale ulubiona poezja zdała się martwa i wyblakła. Zniechęcony, zawołał o wieczerzę, pożywił się szybko, po czym pił tak długo, aż zmorzył go sen.

Ptolemaios wracał do swego namiotu w towarzystwie lekarza Kritobula, który z polecenia Aleksandra towarzyszył wyprawie, by zbierać wiadomości o sztuce lekarskiej spotykanych narodów. Król, który sam, kształcił się w niej u Arystotelesa, zwykł dopytywać Kritobula o jego nowe zdobycze, od śmierci Hefajstiona jednak jakby przestał się tym zajmować.

Kritobulos pochodził z Kos, osiadł jednak w Macedonii już za czasów Filipa, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach, leczył jego rany i za zasługi obdarzony został godnością królewskiego towarzysza. Aleksandra znał od pacholęcia i przywiązany był do niego, a zachodzące w królu zmiany budziły niepokój. Już poprzednio przestrzegał go przed nadużywaniem wina w czasie trwających nieraz przez kilka dni biesiad.

Teraz uczy wobec zarządzanej żałoby ustały, natomiast nie uchodziło uwagi Kritobula, że Aleksander pije samotnie. Pijaństwo w czasie uczt było dorywcze, stanowiło odprężenie po wysiłkach, samotne picie łatwo mogło stać się nałogiem, szczególnie niebezpiecznym w gorącym klimacie. Lekarz czuł się jednak bezradny. Troską chciał się podzielić z Ptolemaiosesem i rzekł:

— Uczty zwycięstwa król nie zarządził, ale pewnie sam będzie pił.

— Pije przecie od dawna — odparł Ptolemaios. — Skończy się żałoba, będzie znowu piał na ucztach.

—Ale nawyk może pozostać i źle się skończyć. Tyle ran, chorób, wysiłków i wyrzeczeń musiało nad-szarpnąć jego zdrowie.

Ptolemaios wzruszył ramionami.

— Może myśli, że jest nieśmiertelny, zawsze żył wyobrażnią. Czy zdarzyło się choć raz, by kogoś posłuchał? Jeśli ty, który masz się troszczyć o jego zdrowie, nie widzisz rady, to tym mniej którykolwiek z nas. Zresztą Filip także był opojem. Aleksandra przynajmniej niewiasty nie zgubią.

— Król wie, że jest zwyczajnym człowiekiem — powiedział Kritobulos w zamyśleniu. — Gdy opatry-wałem jego ranę, którą odniósł w walce z Oksydra-kami, powiedział: *Ree d'arnbroton haima theoio* .

— Widzisz przeto...

— Nię! On drwił, bo dodał: „Czy ciebie nie dziwi, że ze mnie cieknie całkiem zwykła krew?”

— Trzeba ci było potwierdzić. On może drwić sam z siebie — powiedział Ptolemaios — ale nikomu więcej nie pozwoli; świadczy chyba dowodnie przykład Filotasa i Klejtosa.. Mnie starczy, że nam nie każe palić przed sobą kadzidła ni pelzać na brzuchu.

Kritobulos westchnął i pożegnał stratega. Zmienia się nie tylko Aleksander, ale i gromada jego najbliż-szych towarzyszy. Ongiś wpatrzeni w niego, skłonni iść za nim choćby do Erebu , bez wahania życiem wła-snym osłaniać jego życie, teraz, gdy nie ma już prze-ciwnika zdolnego stawić mu czoła, sami czują się zdolni burzyć i budować królestwa. Król ciąży im, a gdyby go zabrakło, będą sobie wzajem wydzierać władzę. Wobec tej żądzy nic nie znaczą młodzieńcze przyja-źnie, zżycie się od pacholących lat, tysiące wspólnych przygód i niebezpieczeństw. Jak w babilońskiej le-gendzie, gdy wspólnie wznoszona wieża sięgnęła pod

Ree d'arnbroton haima theoio... {z gr.) — Pocięła ambrozyjska krew boga {*Iliada*, K.s. V, w. 339).

obłoki, bóstwo pomieszało mowy. Nie pozwala nikomu i niczemu wyrastać ponad ludzką miarę. Dziś tylko miejsce pokazują, gdzie ongiś stała budowla,, która sięgnąć miała niebios, a nie zostały nawet ruiny, bo rozdrapano je na domy i pałace.

Słońce stało już wysoko, ale od zaśnieżonych szczytów pociągał wiatr, przenikając do kości wynędzniałe gromady jeńców, którzy z trwogą czekali na swój los. Ściągnięte już i gotowe do odmarszu oddziały wojsk również niecierpliwiły się, by odejść na dobrze zasłużony odpoczynek. Ptolemaios kilkakrotnie zaglądał do namiotu Aleksandra, ale król spał jeszcze jak ongiś przed bitwą pod Gaugamelą. Wówczas jednak zbierał siły do nierównej walki, teraz odsypiał pijaństwo. Zbudził się wreszcie i kazał wybrać pięć tysięcy kossajskiej młodzieży, resztę zwolnić z rozkazem osiedlenia w dolinach i płacenia daniny w owcach i bydło, a Ptolemaiosowi ruszyć z wojskiem do Kelainai. Gdy odszedł, król wziął kąpiel, złożył ofiary i polecił związać namiot, a straży przybocznej gotować się również do odjazdu.

Kritobulos przyglądał mu się uważnie. Nie widać było jednak po królu żadnych skutków przepicia. Może Aleksander, jak ojciec, odporny jest na nie. Filip nie bardziej niż syn oszczędzał się na wyprawach, pić zaczął wcześniej, siły trwonił na rozpustę, a jeśli nie był ranny, obchodził się bez lekarzy do końca swego życia. Aleksandrowi wysiłki i wyrzeczenia w czasie wyprawy zdały się raczej przywracać jego niezwykłą sprawność i odporność, niemniej Kritobulos niepokoił się o zdrowie króla. Ptolemaios zapewne słusznie przypuszcza, że gdy skończy się żałoba, zaczną się znowu dniami i nocami przeciągające się biesiady. W czystym i świeżym powietrzu górskiego przedwiośnia pijaństwo zakończone snem mogło pozostać bez złych skutków. Także w wojsku nie było chorób mimo braku dachu nad głową, a często i ognia.

Kritobulos, od dziesiątków lat towarzysząc mu, zauważył, że ludzie najmniej chorują w górach dzięki czystemu powietrzu i wodzie. Babilon jednak leży na równinie, po ustąpieniu wiosennych wód zabagnionej przez ich rozlewiska tak, że nawet położone na prawym brzegu rzeki groby dawnych królów babilońskich sterczą z zalewów zarośniętych trzcina, a z nastaniem ciepłej pory w mieście szerzy się zła gorączka. Magowie chaldejscy, którzy trudnili się leczeniem, przypisywali powstanie chorób złym demonom; trzeźwy Kritobulos jednak zbyt doświadczonym był lekarzem, by w to uwierzyć, dlaczego bowiem demony nie miałyby mieszkać w górach lub też spać zimową porą. Wiara w nie potrzebna jest zapewne chorym, by ułatwić leczenie, a przede wszystkim magom, by lud utwierdzać w przekonaniu o ich władzy nad złymi mocami. W tajemniczych zabiegach, jakie wyczyniali nad chorymi, Kritobulos dopatrywał się zwyczajnych zabiegów lekarskich.

Korzystając z ułatwionego w czasie podróży dostępu do króla, zaczął mówić o tym, spodziewając się zainteresować Aleksandra i może znaleźć sposobność wywarcia wpływu na niego, by miarkował się w picciu. Ten jednak uciął:

— Czy nie obojętne, dlaczego ludzie umierają? Nieważna jest przyczyna, jeno skutek.

— Ale sam wiesz, że nie można zapobiegać skutkom nie znając przyczyny. Jedno zaś jest pewne, że demon czy nie demon łatwiej obali słabego niż silnego. Pisał ci przecie Dandamis, że bramini, którzy nie jedzą mięsa i nie piją nic prócz wody, żyją po sto pięćdziesiąt lat i nigdy nie chorują. Skutek powściągliwości jest przeto widoczny.

— Drzewa żyją jeszcze dłużej — pogardliwie odparł Aleksander. — Też nad nikim nie panują, żadne drugiemu nie służą i umierają tam, gdzie stoją. Nie jest cnotą znosić to, na co jest się skazanym. Niczego nie pragnąć, nie brać i nie dawać to właściwość umarłych. Zwierzęta też nie mają pragnień, jeno potrzeby.

Powściągliwość jest cnotą przy nadmiarze, nie przy niedostatku, a nigdy nie jest celem życia, ani też życie nie jest celem dla siebie. A długie czy krótkie! — król wzruszył ramionami.

— Ale powściągliwość sprzyja jego celom. Tym jnniej zaś celem życia dzielnego męża nie może być niepowściągliwe używanie.

Aleksander spojrział przenikliwie na Kritobulosa i rzekł:

— Wiem, że przyganasz mi, iż pije. wino. Chętnie zamienię je na wodę, ale tylko z letejskiego strumienia .

Kritobulos umilkł. Zrozumiał, że król nie może przeboleć poniesionej straty i szuka zapomnienia; powiedział:

- Czas leczy każdą ranę.
- Czas nie leczy umarłych — odparł Aleksander.

W Kelainai czekali na króla posłańcy Eumenesa z pismami, dworscy i wojskowi dostojnicy, magowie chaldejscy oraz budowniczy Deinokrates z wieścią, że budowla mająca stanowić pogrzebowy stos Hefajstkma jest gotowa i tylko jeszcze artyści i rzemieślnicy wykańczają i urządzają pośmiertny pałac herosa.

Nie tylko niesłychane marnotrawstwo olbrzymich bogactw i dzieł sztuki było przedmiotem ożywionych szeptów. Deinokrates przywiózł też sporządzony na rozkaz króla plan piramidy przewyższającej największą z egipskich, jaką Aleksander zamierzał Wznieść ku uczczeniu pamięci Filipa. Dziwiono się, że Aleksander, który zdał się zaiprzeczać ojcostwa Filipa, za życia tegoż buntował się przeciw niemu i lekceważył jego osiągnięcia, po śmierci zaś nie zatroszczył się o jedyne istoty bliskie ojcowskiemu sercu, wydając je przez to okrutnej zemście Olimpiady, teraz chce go uczcić, narażając się matce, nienawiścią swą ścigającej małżonka poza grób.

Nie jeno zdziwienie jednak, ale wzburzenie wśród Helionów spowodowała wieść, że Aleksander zamierza siedzibę bogów Olimp przekuć na swój posąg. Tylko w jego umyśle mógł się ulegnąć taki pomysł i tylko Deinokrates mógł się podjąć jego wykonania, Sam zamiar wielu uważało za bluźnierstwo, a wykonanie go za świętokradztwo. Aleksander chce zostać jedynym bogiem olimpijskim, odwieczną siedzibę bóstwa zamieniając na pomnik swej pychy i symbol ponizienia Hellady. Gdy ludzie nie ważą się już stawiać mu oporu, wyzywa bogów. Jednocześnie składa im ofiary, buduje i odbudowuje świątynie, a bluźni swym postępowaniem, nie licząc się z nikim i niczym, sam nieobliczalny. Budził niepokój, ale zdał się tego nie widzieć, cały dzień zajęty zaległymi i zamierzonymi sprawami, tak że spóźniał się lub wcale nie brał udziału we wspólnych posiłkach i polecił nie czekać na siebie. Pod jego nieobecność niemal wyłącznym przedmiotem rozmów bywało zachowanie się króla i zachodzące w nim zmiany. Thersippos, który towarzyszył mu od początku wyprawy i dzięki znajomości azjatyckich języków służył mu za tłumacza, a często za posła, zauważył:

— Gdyśmy wyruszali do Azji, to, co król zamierzał, wydawało się niemożliwe. Teraz zdaje się szukać przedsięwzięć istotnie niemożliwych. Co ludzie zbudowali, ludzie mogą zburzyć. Ale góry ukształtowali bogowie, zmienić je to nawet dla tytanów praca ponad siły.

— Nawet, tytanom Dzeus nie pozwolił zepchnąć się ze swej siedziby — wtrącił Artemios z Kołofonu. — Pamiętamy, na czym skończyło się, gdy król mieważył Dionizosa, odmawiając mu czci. Kłejtoś to życiem przypłacił, król zaś omal nie szaleństwem. Gdy zabrakło Hefajstiona, nie ma już nikogo kto by się ważył wytknąć królowi, że jego zamierzenia są zniewagą bogów.

— Aleksander przecie sam jest bogiem — zakpił Anaksarchos. — Jak wiadomo jednak, i bogowie nie

panują wiecznie. Chronos strącił swego ojca Uranosa, Dzeus strącił Chronosa, Aleksander zaś widocznie uważa, że dość jest potężny, by z kolei strącić Dzeusa, którego synem się mieni.

— Ty drwisz z bogów — powiedział Artemios wzburzony. — Ale nie wiem, czy ważyłbyś się zdrwić z Aleksandra.

— To dziwne, że nie wiesz, bo to ja przecie kpina skłoniłem Aleksandra, by nie robił z siebie głupca rozpaczając nad Klejtosem. Bogowie, całkiem podobnie jak ludzie, najbardziej obawiają się śmieszności. Bierzcie przykład z Deinokratesa: robi, co mu król każe, nie zastanawiając się, ozy to się innym bogom podoba, czy nie.

Umilkli, bo w tej chwili swym szybkim krokiem wszedł w towarzystwie Deinokratesa Aleksander. Może słyszał ostatnie słowa, bo badawczym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych. Anaksarchos jednak nie zmieszany podjął:

— Omawialiśmy właśnie, królu, zamiar przekucia Olimpu na twój posąg. Pomysł Deinokratesa istotnie godny jest ciebie, są jednak tacy, którzy obawiają się, że narazisz się bogom, pozbawiając ich siedziby. Jak wiesz, ja jestem sceptykiem, zresztą sądzą, że jak równy z równymi załatwisz z nimi sprawę budując bogom inną siedzibę. Ja lękam się czego innego. Hellenowie, a zwłaszcza Ateńczyey, nie będą zachwyceni twym zamiarem, a nie mogąc nic więcej począć, będą drwić, że głowę masz często zamgloną.

Aleksander spojrzał ostro na filozofa, ale ten jakby nie zauważywszy tego, ciągnął:

— Nie wątpię, że posąg zamierzasz wystawić po to, by go było widać. Jak wiesz, Homer opowiada nam, że na rozkaz Dzeusa Notos zaciąga mgłę nad Olimpem, gdy odbywa się tam zgromadzenie bogów. Ale jeżeli ich nawet tam nie ma, to mgła jest bardzo często. Sądzę, że Deinokrates dlatego obrał Olimp, że jest najwyższy w Helladzie. Ale w twoim państwie są przecie i wyższe góry, choćby Kaukaz czy

Parapamissos. Jeżeli jednak chodzi o to, by posąg oglądało jak najwięcej ludzi, to nie ma lepszej niż Athos; jakby stworzona na symbol twojej władzy nad światem, przy pewnej wyobraźni taka, jak jest, przypomina postać ludzką, na wiele tysięcy stadiów widoczna z lądu i morza.

— Co o tym sądzisz? — zwrócił się Aleksander do Deinokratesa, który odparł:

— Jeżeli ci nie zależy na Olimpie, to Athos istotnie łatwiej byłoby przekuć. Jest znacznie niższy, dostęp z trzech stron od morza ułatwia dostawę robotników i sprzętu, oszczędzi kosztów, a zwłaszcza przyspieszy wykonanie.

— Tedy przerób swój plan — powiedział Aleksander i zwrócił się do Thersippa:

— Czy rozmawiałeś z kapłanami Baala? Czego chcą?

— Mówią, że ich bóg kazał cię przestrzec, byś nie wjeżdżał do Babilonu z tej strony rzeki, lecz patrząc na wschód, w przeciwnym razie nie czeka cię tam nic dobrego.

Amaksarchos zaśmiał się i powiedział:

— Czy to nie dziwne, królu, że Baal nie chce sam mówić z tobą, lecz przez pośredników? Ja nie znam się na wróżbach, ale znam się na ludziach. By wjechać od zachodu, musisz przepłynąć przez rzekę, a potem przez bagna, objazd daleki i trudny, długo potrwa. Na tym właśnie zależy magom, bo nic nie zrobili, by doprowadzić do lądu świątynię swego boga, mimo że zostawiłeś im na ten cel wielkie zasoby, i teraz potrzebują czasu, by to choć w części nadrobić. Ich to raczej nie czeka nic dobrego, gdy przybędziesz do Babilonu, choćby za to, że uważając cię za przesądneho, chcą cię narazić na niepotrzebny trud i stratę czasu.

— „Ten wróżbita jest dobry, co szczęśliwie wróży” — zacytował Aleksander, ale zamyślił się.. Złe wróżby zaczynają się mnożyć. Gdy indyjski mędrzec,

Kalanos, przed wstąpieniem na stos, na którym spłonął żywcem, odmówił pożegnania się z królem mówiąc, że spotka się z nim w Babilonie, Aleksander nie rozumiał, co to oznacza. Często jednak myślał wracał do tego. Dobrowolny wybór najokrutniejszego rodzaju śmierci, a zwłaszcza zachowanie się Kalanosa, który nawet nie poruszył się, gdy dosięgnął go płomień, był dowodem władzy ducha jego nad ciałem; przepowiedni jego, choć niezrozumiałej, nie potrafił Aleksander zlekceważyć ni zapomnieć. Wróżby Peitagorasa potwierdziła śmierć Hefajstiona, Aleksander żył pod jej wrażeniem. Zwłoki druha czekają na pogrzeb. Gdy odda mu ostatnią posługę, może potrafi oderwać myśl od poniesionej straty, wrócić nią do czekających go jeszcze zadań. Nigdy nie wrócono mu długiego żywota, nie może jego reszty spędzać na żałobie. Czy Anaksarchos ma słuszność, czy nie, Aleksander postanowił najkrótszą drogą ruszyć do Babilonu.

Od przedświtku wiosennego dnia ryk dziesięciu tysięcy wołów, dających gardła pod nóż jako olbrzymia hekatomba ku czci nowego herosa, niósł się po mieście wraz z surową wonią krwi, która strumieniem spływała do rzeki i barwiła na czerwono wody Eufratu.

W Babilonie już od paru dni panowało poruszenie, tłumy ciągnęły oglądać wspaniałą budowlę, której pięć kondygnacji obwiedzionych kolumnadami pięło się do wysokości dwustu stóp, zwieńczone platformą z czterema ogromnymi rzeźbami na narożnikach przedstawiającymi syreny. Wydrążone ich wnętrza stanowiły pomieszczenie dla chórów, które podczas pogrzebowej uroczystości odśpiewać miały żałobne pienia. Pośrodku na wysokich marach, okrytych purpurą, stało złote łoże, na którym po raz ostatni spocząć miały zwłoki Hefajstiona. Purpurowe zasłony zamykały widok do wnętrza, a stojąca dokoła budynku

straż nie dopuszczała ciekawych, ale tym więcej mówiono o niesłychanym zbytku urządzenia pośmiertnego pałacu herosa, rzeźbach, malowidłach, sprzętach i tkaninach. Wiadomo było, że sami tylko dostojnicy i bogate kupiectwo, by się przypodobać królowi, złożyli w ofierze nowemu herosowi klejnoty, broń, szaty¹ i wonności wartości dwu tysięcy talentów. Trudno było uwierzyć, że wspaniała budowla ze wszystkimi bogactwami przeznaczona jest na pastwę płomienia. Sto pięćdziesiąt tysięcy zgromadzonego w Babilonie wojska wziąć miało udział w stypie ku czci herosa. Teraz w pełnym uzbrojeniu ustawiało się nieprzejrzanymi szeregami od pomocnego muru aż po bramę. Isztar, wzdłuż głównej ulicy, którą nadjechać miał Aleksander. Na przygotowanym naprzeciw budowli podniesieniu zasiadły już obce poselstwa i kapłani wszystkich bóstw, jakie czczono w Babilonie, a chodniki sąsiednich murów i dachy budynków obsiadły gromadzące się od brzasku dnia tłumy ciekawych. Na środku wolnej przestrzeni między podniesieniem a wejściem do budowli stał kamienny ołtarz ze stosem cyprysowych drew, obok którego półkolem zgromadzeni dworscy i wojskowi dostojnicy oraz gromady płaczek. Czekali na rozpoczęcie uroczystości.

Zrazu ledwie dosłyszalny szmer jak fala przebiegł zgromadzone tłumy, zwiastując przybycie króla, a wkrótce można już było rozróżnić zbliżający się orszak. Siedmiu somatofilaków w pełnym rynsztunku bojowym jechało na czele królewskiej agemy, przed nimi na czarnym rumaku, w purpurowej długiej szacie, Aleksander. Bez broni, z odkrytą głową, miał diademu uwieńczoną białym kwieciem. Zwyczajem swym przechylił ją na lewe ramię, utkwionymi w dal oczyma zdał się nie dostrzegać nikogo. Dojechawszy przed ołtarz król zsiadł z konia, bez słowa skinął na somatofilaków, którzy skierowali się do budynku, a w ślad za nimi herold z berłem w ręku, i zniknęli za zasłoną. Po dłuższej chwili ukazali się na szczycie budowli, niosąc zwłoki towarzysza, złożyli

je na marach i odeszli, a herold wstąpiwszy na skraj platformy donośnym głosem, obwieścił:

— Z rozkazu Dzeusa-Ammona Hefajstion, syn Amyntora z Pelli, policzony został w poczet herosów i doznawać ma wieczystej czci.

— Sława mu i chwała — odpowiedział Aleksander, za nim chórem powtórzyli zgromadzeni dostojnicy, a potem okrzyk, jak przeciągły grzmot, przeleciał przez szeregi zgromadzonych wojsk i skończył w oddali. Ze szczytu budowli rozległy się żałosne śpiewy, płaczki podniosły lament. Do ołtarza przystąpił Aristandros z zapaloną głownią i po chwili wysnuwać się zaczęła smuga dymu, a potem języki płomieni lizać języki suche drwa. Aleksander zdjął z głowy wieniec i cisnąwszy go na stos patrzył, jak płatki kwiecica zwijają się, czernieją, a potem zamienione w popiół z podmuchem płomienia ulatują w górę. Wyciągnął ku nim dłonie i stał tak przez chwilę, po czym ująwszy płonącą głownię skierował się do wejścia i zniknął za zasłoną.

Obecni sądzili, że poszedł rzucić jeszcze ostatnie spojrzenie na towarzysza swego dzieciństwa i młodości, ale nie ukazywał się. Śpiewacy opuścili już budynek, król pozostał w nim sam. Wzrastało napięcie oczekiwania. Perdikkas niespokojnie szepnął do Lizymacha:

— Pójdźmy za królem. Nigdy nie wiadomo, co uczyni.

Lizymachos zrozumiał, czego obawia się Perdikkas, ale w tej chwili ukazał się Aleksander u wejścia, a jednocześnie ze wszystkich otworów budowli snuć się zaczęły smugi dymu, poruszając zasłonami. Coraz gęstniejące jego kłęby ogarniały budynek i chwilami zasłaniały go przed oczami obecnych. Jak w olbrzymiej kadzielnicy płonęły wonne żywice i zioła, ale gęsta, niemal dotykalna zasłona dymów zaczynała, drgać od żaru, stawała się półprzezroczysta, a potem ze wszystkich stron wyskoczył płomień i pnąc się ku górze, w jednej chwili ogarnął cały budynek. Huk

pożogi zgłuszył laments płaczek, a bijący od niej żar zmusił bliżej stojących do cofnięcia się.

Aleksander jakby nie czuł tego, stał z oczyma utkwionymi w olbrzymie ognisko. Gdy Perdikkas Ujął go pod ramię, drgnął jak przebudzony i skierował się ku podwyższeniu, pośrodku którego stał przygotowany dla niego tron. Usiadłszy, głowę oparł na rękę, jakby przysłaniając oczy od blasku. Podniósł ją dopiero, gdy przepalone ściany budowli zaczęły walić się z trzaskiem, a po chwili całe wspaniałe dzieło wielu miesięcy pracy tłumu artysitów i rzemieślników z hukiem zapadło się w ogromny słot, a miliardy iskier ognistym słupem wabiły się w niebo i zgasły. Tylko płomień pożerał jeszcze przepalone belki, które na obwodzie ogniska już zaczynały okrywać się siwym, nalotem popiołu.

Tłumy rozplynęły się, wojska odeszły na stypę, z wyjątkiem królewskiej agemy i ili Hefajstiona. Aleksander siedział bez ruchu, jakby nieświadomy, że czas płynie. Słońce pochyliło się i zaszło, w gęstniejącym półmroku zgliszcza przeświecały różowym po-blaskiem, ale i on gasł, aż zwyciężył mrok i chłód ciągnący od rzeki. Aleksander wstał i zwrócił się do kapłanów:

— Pobierzcie ze stosu żar i rozpalcie ogień w świątyniach na znak, że żałoba skończona.

Jezdni Hefajstionowej ili zapalili pochodnie, he-tajrowie ze stojących hydrii zalewać jęli pozostałość tlejących głowni. Gdy resztki żaru skonały z sykiem, Aleksander ze złotą urną w ręku Wstąpił na pogorzeli-sko i w zgliszczach szukać jął nie dopalonych szczątków zwłok przyjaciela. Resztki zetlałych kości to było wszystko, co pozostało ze wspaniałego męża, którego z powodu jego uderzającej urody matka Dariusza ongiś przez omyłkę wzięła za króla, a ten uspokoił zmieszana, mówiąc: „To jest także Aleksander”.

Patrzył na żalosne szczątki. Południe jego życia minęło, wydłuża się cień.

Żałoba i przygotowania do pogrzebu Hefajstiona wstrzymały bieg życia dworu, urzędów i wojsk. Teraz ruszyło całym pędem. Przez szereg dni wyprawiane ku czci zmarłego igrzyska i zawody zapaśników, muzyków i poetów, zakończone uroczystym rozdaniem wieńców i nagród, ścigały tłumy widzów i słuchaczy. Król zdał się zapominać o poniesionej stracie, ponurej wróżbie i przestrodze chaldejskich kapłanów, czynniejszy jeszcze niż zazwyczaj, jakby nadrobić chciał stracony czas. Śpieszył się i wszystkich przynaglał do pośpiechu, osobiście doglądając robót przy świątyni Marduka, odbudowy wyburzonego pod stos Hefajstiona muru, a zwłaszcza poprawy systemu kanałów. Corocznie bowiem od wiosny dziesięć tysięcy ludzi przez całe miesiące trudzić się musiało nad budową tamy zapobiegającej ucieczce wód Eufratu do kanału, Polla? kopas, ale przepuszczalne podłoże udaremniało znaczną część pracy. Aleksander zebrałszy foematystów Deinokratesa oraz chaldejskich kapłanów ze starymi planami kanałów, często już trudnych do odszukania wśród zalewów, sam stanął przy sterze statku, by wytyczyć miejsca robót, a przede wszystkim, by wyszukać brzeg o nieprzepuszczalnym podłożu na budowę nowej tamy i śluzy.

Dzień był pogodny, ale wietrzny, mimo to jednak feniocy wioślarze ciężko musieli się trudzić na rozlewiskach, gdzie żagle były bezużyteczne, a kil statku często rył bruzdę w mule lub przepychać się byłd trzeba przez gęstwą zarośli, wśród których tu i ówdzie sterczały ruiny zapadniętych grobowców dawnych królów babilońskich. Mimo słonecznego dnia widok tej pośmiertnej nędzy potężnych ongiś władców nie był pogodny i Aleksander patrzył w zadumie, którą przerwało nagłe uderzenie wiatru. Podmuch zerwał z jego głowy purpurową kausję i cisnął ją na zalewisko, gdzie natychmiast zatonęła, a zerwany z niej diadem pofrunął i zawisł na trzcinie obrastającej grobowiec. Jeden z fenkich wioślarzy bez namysłu skoczył w wodę i wszyscy patrzyli, jak mozolnie przepy-

cha się przez trzcinę chwytającą go za ręce i nogi. Dotarwszy do grobowca zdjął diadem z trzciny i włożywszy go na głowę płynął z powrotem. Milczenie przerwał kapłan Azrabal, mówiąc cicho:

— Głowa, na której spoczął twój diadem, nie może pozostać na karku.

Aleksander spojrzał na niego przenikliwie i zapytał:

— Czy to znowu przestroga? Przyjechałem do Babilonu patrząc na zachód.

— Przyjechałeś, królu, ale jeszcze nie wyjechałeś. Bogowie nie lubią, by lekceważyć ich przychyłość.

Aleksander obojętnie obrócił się, a gdy femioki wioślarz wspiął się na pokład i ukląkł przed nim wręczając mu diadem, powiedział:

— Zasłużyłeś na nagrodę. Skarbnik wyda ci talent złota.

Przepasał odkrytą głowę biało-purpurową wstęgą i jakby nic nie zaszło, ujął z powrotem ster. Azrabal spojrzał porozumiewawczo na Deinokratesa, który widocznie był pod wrażeniem złowieszczego znaku. Obydwaj myśleli to samo, ale nie rozumieli króla. Od śmierci Hefajstiona życie straciło dla Aleksandra urok. Pamiętał, że Achilles, za którego wcielenie się uważał, niedługo przeżył Patroklosa. Ale jak Prometeusz nie pozwolił się postraszyć nawet bogom, nikt i nic nie wpłynęło na jego postępowanie. Natomiast jak , zawodnik pod koniec biegu, rozumiał, że trzeba wyczerpać wszystkie siły, by osiągnąć cel już niedaleki. Nie oszczędzał ich nigdy, teraz na to tym bardziej nie pora. Nie pora też na wspomnienia i rozmyślenia. Wojska, przeznaczone na trzy wyprawy jednocześnie, już zgromadziły się w Babilonie. Prócz przywiezionych przez Peukestasa Persów, Tapurów i Kosajów przybyli Filoksenos i Menander z zaciągami z Karii i Lidii oraz Menidas z jazdą. Chodzący mur falangi nieprzydatny był do walki z ruchliwą jazdą scytyjską czy arabską, ciężka jazda hetajrów tylko wyjątkowo mogła okazać się potrzebna, gdyby wypadło

walczyć ze zwartą masą. Walka z lotnym i nieuchwytnym przeciwnikiem wymagała nowej taktyki i dostosowania do niej całych wojsk. Toteż król osobiście każdego dnia nadzorował ćwiczenia, mimo że rozpoczęły się już upały. I do nich też należało zaprawić mieszkańców górskich i północnych okolic, by jednak nie czynić tego zbyt nagle, Aleksander ćwiczył wojska w rozległych ogrodach pałacu Babil, gdzie w cieniu drzew kazał dla siebie ustawić na podwyższeniu tron, skąd ze strategami nadzorował ćwiczenia, a w popołudniowych godzinach nie tracąc czasu udawał się na posiłek do pałacu, podczas którego z Eumenesem omawiał bieżące sprawy.

Helleńskie poselstwa złożyły już Aleksandrowi hołdy i wieńce, natomiast nie doczekały się rozpatrzenia swych prośb i skarg. Po całodziennych zajęciach król po dawnemu zasiadał do uczt w gronie zaproszonych gości i tu jeszcze zazwyczaj rozpatrywał sprawy, póki podniecenie winem nie zamieniło biesiady w pijatykę, trwającą nieraz do świtu.

Atenńskie poselstwo ni razu nie zostało szlachetnie zaproszeniem na ucztę. Mimo że w Babilonie było na co patrzeć, Chabriasa niepokoiło wyczerpywanie się zasobów i niemal codziennie dopraszał się posłuchania u zarządcy dworu Charesa z Mityleny. Próbował wybadać, czy przez niego nie mógłby wpłynąć na króla, by przychylnie ustosunkował się do prośby Aten o cofnięcie zarządzenia powrotu wygnañców, dając Charesowi do zrozumienia, że pośrednictwo mu się oplaci. Chares jednak odparł drwiąco i wyniośle:

— Za biedni jesteście, by tu kogoś znaczniejszego przekupić, ale gdyby was nawet stać było na to, wyrzucilibyście pieniądze na darmo. Od śmierci Hefajstiona nie ma nikogo, kto by miał wpływ na króla. Może to nawet dla was lepiej. Nie kto inny, jaik najbliższy mu teraz Perdikkas chciał go nakłonić, by jemu zlecił zburzenie Aten. Eumenes zaś, który wiele spraw ma w ręku, choć pieniądze lubi, jest zbyt mądry, by się za wami ujmować, bo wie, że nie macie

przyjaciół wśród hetajrów. Ja nie potrafię nawet wpłynąć na króla, by przyśpieszyć wam posłuchanie, z którego nic wam nie przyjdzie, bo on nigdy nie cofa swych rozkazów. Sądzę, że zwłoka raczej jest wam na rękę. Gdy król raz odmówi waszej prośbie, albo wykonacie rozkaz natychmiast, albo dowiecie się, czym grozi nieposłuszeństwo.

— Czy ty rozumiesz, co to dla nas oznacza? — powiedział Chabrias strapiony.

— Rozumiem, i nie tylko dla was; ale król nie będzie się z nikim o wykonanie swej woli targował. A najmniej z wami. Sprawa Harpalosa — że o innych nie wspomnę — nie zyskała wam jego życzliwości.

— Skazaliśmy przecie winowajców.

— Którzy kpią sobie z waszych wyroków. Ale nie radzę wam kpić z wyroków króla. Staroście go raz za boga uznali, słuchajcie go jak boga, bo żaden inny wam nic przeciw niemu nie pomoże. To wam się opłaci najlepiej, jak opłaca się małoazjatyckim miastom helleńskim. Sprawę z wygnańcami załagodźcie tak jak u nas w Mitylenie: wybrano wspólną komisję, która uregulować ma zwrot mienia. Albo jak w Kalymna, gdzie z obcego miasta ustanowiono sędziów polubownych. Przynajmniej nie będą się sprawy wlokły.

— Tak. Ale my mamy jeszcze sprawę zwrotu wyspy Samos.

— Kto więcej zrabował, więcej zwracać musi. Żal mi ciebie, bo niewdzięczne ci zlecono zadanie, ale nie Aten, bo zbierają, co posiały. Tetj sprawy radzę ci nawet nie poruszać, bo odebranie Atenom Samos król przyrzekł Gorgasowi z Jazos, on zaś zobowiązał się już dostarczyć sprzętu do oblężenia Aten, gdyby nie wykonały rozkazu.

Chabrias wyszedł przygnębiony, rozważając, czy w takim położeniu warto czekać, ale wieczorem tegoż dnia posłaniec Charesa zawiadomił wszystkie poselstwa helleńskie, że nazajutrz w kancelarii królewskiej zgłosić mają swe prośby i skargi. Przyjmował je oso-

bisty sekretarz króla, Diodotos z Kardii, po czym zlecił posłom stawienie się wieczorem w pałacu Nebukadenezara celem rozpatrzenia prośb, zarazem zapraszając imieniem króla na ucztę.

Niemal wszystkie poselstwa ze starego kraju żaliły się na ucisk Antypatra, prześladowanie niewygodnych mu ludzi, popieranie tyranów i sianie zamętu i niepokoju. Wielu obywateli zmusza znowu do opuszczenia ojczyzny, wbrew woli i przyrzeczeniom królewskim, nie pozwalając miastom helleńskim rządzić się swymi prawami.

Skargi na Antypatra nie po raz pierwszy dochodziły do Aleksandra. Hellada zbyt ciasna jest dla nagromadzonych sił; gdy znajdzie się dla nich ujście, stanie się czynnikiem postępu. Aleksander miał już dla nich przeznaczenie. Antypater stawał w poprzek jego zamierzeniom, był dla niego symbolem upartego i zuchwałego żywiołu macedońskiego, który w królu chciał widzieć tylko swego wodza, a zaszłych zmian nie widzi i nie uznaje. Po złamaniu oporu Hellady Antypater stał się niepotrzebny, co więcej, sam stał się jego źródłem. Król kazał na posłuchanie wezwać Kassandra, by wysłuchać, co ma na usprawiedliwienie ojca.

Wcześniej niż posłaniec z wiadomością o tym przybiegł Jolaos. Widząc zaniepokojenie brata, Kassandros roześmiał się mówiąc:

— Dobrze, że to nie ty będziesz musiał ojca usprawiedliwiać, bo zapomniałbyś języka w gębie.

— Nie miałbym czego zapomnieć, bo to, na co żalą się Hellenowie, to prawda. Ojciec prowadzi politykę jak za czasów Filipa, szczuje jednych na drugich, by ich obezwładnić. Król zaś zamierza helleńskimi siłami opanować Italię i wybrzeże Śródziemnego Morza.

— Co król zamierza czynić w zdobytych krajach, to nas nie obchodzi, ale nie jest zdobywcą Macedonii. Od dwunastu lat nie był w kraju. On nie chce pamiętać, ale nam nie wolno zapomnieć, że Hellada także Filipa uznała za boga, a jeno padł, uwieńczyła jego

mordercę i powstała przeciw nam. Jest i pozostanie naszym wrogiem, którego należy osłabiać każdym sposobem.

— Aleksander jednak żyje i nie przekonasz go, że ojciec słusznie czyni, nie wykonując jego rozkazów.

— Mnie starczy przekonanie, że ojciec ma na celu dobro kraju, o które król nie dba.

— To możesz mówić mnie, ale co odpowiesz Aleksandrowi?

— Nic. Po prostu zaprzeczę doniesieniom.

— To nie na wiele się zda. Król potrafi sprawdzić słuszność zarzutów, a narazisz tylko siebie i ojca, kłamstwo dodając do nieposłuszeństwa.

— I ciebie. Ale mnie nie drżą łydki przed gniewem perskiego króla, a ty masz jeszcze czas bać się, bo nie sprawdzi zbyt prędko.

— Odważny jesteś, bo nie znasz Aleksandra. Oby się to źle nie skończyło. A teraz zbieraj się i chodźmy.

W sali tronowej na podwyższeniu, jak bóstwo na ołtarzu, zasiadł Aleksander w purpurowym, kaftanie przepasanym pozłocistym pasem medyjskim, w diademie perskiego króla. Poniżej na ławach ze srebrnymi nogami zajęło miejsce siedmiu somatofilaków ze złotymi wieńcami na głowach, w macedońskim stroju, z wyjątkiem Peukestasa, perskim obyczajem przybranego w Obszerne spodnie, kaftan z długimi rękawami i turban na głowie lśniący od klejnotów. Thuan helleńskich posłów słuchał w skupieniu, jak Diodotos przedstawiał skargi ich miast przeciw Antypatrowi. Naprzeciw nich, samotnie, jak oskarżony przed sądem, stał Kassandros uśmiechając się drwiąco lub ironicznie spoglądając na króla, którego czoło chwilami marszczyło się gniewnie. Jasne było, że Antypater swym postępowaniem udaremnia Aleksandrowi zamiar położenia kresu wewnętrznym zatargom w Helladzie, by sił jej, które wytraciła na bezpłodne spory lub sprzedawała własnym wrogom, użyć do swoich

celów. Antypater zbyt doświadczony był i bystry, by tego nie rozumieć. Gdy Diodotos skończył, król zwrócił się do Kassandra:

— Dlaczego ojciec twój nie przybył sam, jak rozkazałem?

— Ojciec ma lat siedemdziesiąt pięć, walczył z wrogami Macedonii wtedy, gdy jeszcze nawet twój ojciec nie ujrzał światła dziennego. Nie ma już sił do tak dalekiej podróży.

— Toteż zwolniłem go od obowiązków, gdy wiek już mu ich pełnić nie pozwala — oschle powiedział Aleksander.

Kassandros jednak odparł:

— Ojciec uczył nas, że obowiązki wobec kraju kończą się z ostatnim tchem i nikt od nich zwolnić nie może.

— Ma czynić, co ja rozkazałem. Słyszałeś zarzuty przeciw niemu, co możesz na nie odpowiedzieć?

— Że posłowie kłamią. Chcą się pozbyć Antypatra twoimi rękami, gdy nie zdołali własnymi.

W gronie posłów rozległ się wzbudzony szmer, a Kassandros ciągnął drwiąco:

— Oto słyszysz, królu, głos zjednoczonej Hellady; w nienawiści do nas, bo innego zjednoczenia nie znała nigdy, nawet w obliczu najazdu barbarzyńców. Czym odpłaciła twemu ojcu za wspaniałomyślność, z jaką odpuścił jej popełnione wobec nas winy i zjednoczoną chciał poprowadzić przeciw odwiecznym wrogom? Sprzedają za perskie złoto sił swoich, których odmówiła twemu ojcu i tobie. Antypater sieje rozdwojenie i zamęt? Czy trzeba siać chwasty? Był prawą ręką Filipa, która głupie głowy na sztywnym karku wygięła do ziemi, to jest jego wina...

— Rękę mam własną — gniewnie przerwał Aleksander — a od ciebie ni twego ojca nie czekam rady, jeno wypełniania rozkazów. Posłowie nie jechaliby w tak daleką drogę, by mi przedstawiać kłamstwa, bo oni już wiedzą, że mnie okłamywać nie wolno. Dowiesz się o tym i ty.

Aleksander wstał i wyszedł, by przebrać się na ucztę. Kassandros nieznacznie wzruszył ramionami. Nie zląkł się groźby. Gdyby bunt pod Opis znalazł doświadczonego i poważnego przywódcę jak Parmenion lub Antypater, wynik byłby inny. Aleksander wiedział, dlaczego pozbył się Parmeniona, a chce usunąć Antypatra; wie, że tylko brak przywódcy, który nie lęka się go, trzyma na uwięzi siły zdolne przeciwstawić się samowoli. Umie budzić strach, ale niechaj wie, że są tacy, którzy się nie pozwolą zastraszyć.

Jolaos natomiast, z urzędu swego zajęty nadzorowaniem przygotowań do uczt, z niepokojem oczekiwał wyniku spotkania Kassandra z królem. Zuchwalstwo wobec niego niejednym już życiem przypłacił. Odetchnął, gdy ujrzął brata wśród schodzących się gości. Zapytany o przebieg spotkania, Kassandros odpowiedział z drwiącym uśmiechem:

— Jak widzisz, nie umarłem ze strachu, chociaż król pogroził mi, jeżeli kłamię.

Widząc, że Jolaos wyraźnie zaniepokoił się, dodał:

— Strach, jest wrogiem tego, kto się lęka. Na szczęście nie zna go ni ojciec, ni ja. A ty czego się znowu boisz? Nic się nie stało, choć dałem Aleksandrowi do zrozumienia, że ojciec nie ustąpi. Jaką siłą może go do tego zmusić, skoro wszystkie, jakie tu zebrał, lada dzień wyruszą na zdobycie reszty świata — zadrwił. — Może sobie być autokratoem wszędzie, ale nigdy nie będzie w Macedonii. Weterani, których wiedzie Krateros to ci, którym pod Opis brakło tylko Antypatra, by króla o tym przekonać.

— To szczęście, że pod Opis ojca nie było, bo dziś by już zapewne nie żył. A ty lepiej nie pokazuj się więcej królowi i ciesz się, że twoja nieprzezorność jeno na groźbie się skończyła — powiedział zniecierpliwiony Jolaos.

- Ty zaś zbyt jesteś przezorny. Dzięki takim jak ty królowi zdaje się, że jest bogiem, którego woli nikt nie śmie się sprzeciwić.

Rozmowę przerwały dźwięki trąb, zapowiadające

przybycie króla. W krużganku, okalającym ogromną aulę pałacu, ustawiała się perska gwardia meloforów. Jolaos pośpieszył ku zejściu na salę, gdzie gromadzili się dworzanie. Gwar ucichł, obecni zwrócili się ku schodom, na których ukazać się miał Aleksander. Odgłos szybkich kroków po kamiennej posadzce oznajmił jego nadejście. Zanim ukazał się na szczycie szerokich schodów, zatrzymał się i powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Makedonowie pochylili głowy, helleńscy posłowie przyklękli, Azjaci upadli na twarz. Stojący wśród dworzan Kassandros patrzył z pogardą na niewolniczy hołd. Makedonów do niego król zmusić nie zdołał, tylko oni pozostali wolnymi i oni jedynie przypominają mu, że nie jest bogiem, ale jednym z nich.

Gdy Aleksander ruszył mijając leżących, a ci jęli się dźwigać, widok wspaniale przybranych dostojników, niezdarnie usiłujących powstać, rozśmieszył Kassandra, który parsknął głośnym śmiechem.

W ciszy śmiech zabrzmiał jak wyzwanie i urwał się. Jolaos patrzył z przerażeniem na to, co się stanie. Przed Kassandrem stał król. Mięśnie jego szczęk drgały, lśniącymi oczyma wiercił zuchwalca, który uciekał ze spojrzeniem i mimo woli próbował cofnąć się. Aleksander chwycił go za włosy i z rozmachem uderzył jego głową o ścianę. Kassandros ukląkł, zdało się, że upadnie, ale podparł się rękoma. Głowa jego chwiała się na wszystkie strony, a oczy latały nieprzytomnie. Król stał nad nim, ale widocznie opanował gniew, bo powiedział tylko:

— Czemu się już nie śmiejesz z tych, co wykonują mój rozkaz? I ty możesz wstać, jeśli potrafisz.

Kassandros jednak nie potrafił. Zataczał się jak pijany, a na czole jego wyrastał ogromny guz. Król obojętnie odwrócił się i skierował ku swej kline na podwyższeniu, a Jolaos, korzystając z zamieszania, jakie powstało, gdy zaproszeni goście zajmować zaczęli swe miejsca, dźwignął Kassandra i zataczającego się powiódł do swego talamai. Brała go zarazem złość na

brata i trwoga o niego, ale nie miał serca czynić mu wyrzutów. Teraz myślał tylko, by jak najprędzej usunąć go spod ręki króla, nie był bowiem pewny, czy na tym skończy się zajście. Gdy tylko opatrzony Kassandros przyszedł nieco do siebie, Jolaos pozostawił go i pobiegł na ucztę. Przyjaźnił się z Mediosem z Laryssy, który umiał rozweselać króla i ostatnio cieszył się takimi względami, że budził zazdrość innych hetajrów. Obrotny człowiek potrafi ośmieszyć całe zajście i to byłby najlepszy sposób zapobieżenia jego dalszym skutkom. Pozostawiony sam Kassandros usiadł na łożu i twarz ukrył w dłoniach. Gryzł wargi i zaciskał powieki, hamując płacz bezsilnej nienawiści, wstydu i upokorzenia. Bardziej jeszcze niż sponiewieranie go przez króla wobec posłów całego niemal świata upokarzał go obezwładniający strach, jaki odczuwał pod spojrzeniem Aleksandra. Nie mógł go opanować, przez zamknięte powieki jak w sennej zmurze wciąż widział jego oczy, jak oczy Gorgony, zamieniające ludzi w kamień. Chciał uciec przed tym spojrzeniem, a czuł, że nie ma przed nim ucieczki.

Jolaos wrócił z uczy nad ranem, nieco uspokojony. Król kilkakrotnie zwracał się do niego, jakby już zapomniał o zajściu, całkowicie pochłonięty przygotowaniami do zamierzonych wypraw. Odsuwały one także grożące Antypatrowi niebezpieczeństwo, niemniej Jolaos zamierzał natychmiast wyprawić brata do kraju, gdy tylko zdolny będzie do drogi. Nie śmie się więcej pokazywać królowi, a ojciec winien znać położenie. Co Antypater pocznie, o tym Jolaos myślał z troską. Otwarta walka z królem musi się zakończyć zupełną klęską, sprzymierzeńców w niej Antypater nie znajdzie żadnych, wrogów bez liku. Olimpias swą nienawiść i żądzę zemsty nasyci zagładą całego rodu. Teraz Jolaos czynił sobie wyrzuty, że odradził ojcu przyjazd. Może doświadczony starzec rozeznawszy się w położeniu przełamałby swój opór i okazał uległość

woli króla, który wówczas nie miałby powodu pozbyć się go jak Parmeniona. Tragedia Klejtosa musiała przestrzec Aleksandra, aby bez istotnej przyczyny nie wyzywał znowu weteranów Filipa, którzy przywiązani są do starych wodzów. Przyjazd Kassandra natomiast pogorszył położenie. Gdy ojcu doniesie, co go spotkało, zaostrzy jeszcze niechęć Antypatra do króla, której Kassander na pewno nie będzie się starał załagodzić, nie licząc się z tym, że jest lekkomyślnością ciężar Aleksandra, przygniatający cały świat, ściągając na własne barki. Teraz Jolaos mógł tylko biernie oczekiwać rozwoju wypadków, które groźbą zagłady zawisły nad całym rodem.

Ostatnią nadzieję pokładał w zwłoce. Dla króla, zajętego podbojem reszty świata, sprawa Hellady była drobiazgiem, której nie mógł myśli poświęcać, zaprzętniętej już jego urządzeniem. Nowa organizacja wojsk, dostosowana do walk z lotnym przeciwnikiem, była na ukończeniu, flota gotowa do wyruszenia, Aleksander rozdzielał już zadania i dowództwa. Jeszcze tylko nie postanowił, nad którą z trzech wypraw sam obejmie dowództwo, a tymczasem omawiał z Eumenesem. bezlik spraw, jakie powierzał mu na czas swej nieobecności. Choć najlepiej wtajemniczony w zamierzenia króla, Eumenes słuchał ze zdziwieniem, gdy Aleksander, wydając zarządzenia rozbudowy i uporządkowania stolicy, powiedział:

— Kanał za pałacem Babil podzielisz na dwa równe odcinki i zatrudnisz przy jednym niewolników, przy drugim równą ilość wolnych najemników, którzy dostaną żołd i zaopatrzenie jak wojsko.

Eumenes wiedział, że król nie lubi objaśniać swych rozkazów, zaskoczony jednak wyrwał się:

— Te sprawy zleciłeś przecie bematystom pod nadzorem Deinokratesa.

— Nie zlecam ci nadzoru nad pracą, a tylko nad jej kosztami i wynikiem.

Widząc, że Eumenes wciąż jeszcze nie rozumie swej roli, dodał:

— Arystoteles twierdzi, że społeczność nie może istnieć bez niewolniczej pracy. W walce stwierdziłem, że dziesięciu popędzanych batem niewolników nie dostoi jednemu wolnemu, który chce walczyć. Chcę stwierdzić, czy podobnie jest w pracy.

— Czyżbyś zamierzał, królu, zmieść niewolnictwo?

— Domyślny jesteś, ale przedwcześnie o tym mówić. Spotkaliśmy jednak ludy, w których nie ma niewolnictwa.

— Tak, ale to byli albo górale, albo koczownicy. Nie trzymają niewolników, bo ani nie mają ich za co nabyć, ani nie potrzebują ich, by zaspokoić swe niewielkie potrzeby. Nie budują miast, nie stworzyli sztuki, życie ich niewiele się różni od zwierzęcego.

— To prawda, ale chcę właśnie przekonać się, czy ludy, które budują miasta i stworzyły sztukę, muszą się posługiwać niewolnikami, których życie tym się różni od zwierzęcego, że nie mają swobody. Tylko głupiec trzyma zwierzęta, które nie są mu niezbędne. Gdy dokończę podboju świata i nie będzie więcej wojen, nie będzie skąd brać niewolników. Dlatego chcę wiedzieć, czy bez niewolniczej pracy społeczność może się obyć. W Koryncie ograniczono ilość niewolników, bo odbierali pracę i zarobek demiurgom na korzyść bogaczy. Gdybym zniósł niewolnictwo w Helladzie, próźniaczy motłoch musiałby się wziąć do pracy i nie miałby czasu słuchać demagogów, którzy tylko wywołują zamęt.

— Kto jednak zechce wówczas pracować w kopalniach, bez których nie można się obejść?

— Przesłupcy. Odebranie wolności powinno być karą dla tych, co jej nadużywają, a nie wynikać z urodzenia.

— Tak, ale od ich ilości nie można uzależniać wydobycia, bo będzie zmienne.

— Trzeba wolnym tak zapłacić i stworzyć takie warunki, by nie umierali po dwu latach pracy.

— To bardzo podroży koszty, a zatem i metale.

- Gdy pieniądz będzie droższy, inne dobra pota-

nią— odparł Aleksander. — Przemyśl zresztą tę sprawę, bo ja teraz mam pilniejsze — zakończył.

Gdy Aleksander odszedł, Eumenes zamyślił się. Jeżeli król zdąży urzeczywistnić wszystkie swoje zamysły, świat odmieni się do niepoznania. Ale jeśli nie zdąży? Dotychczas burzył tylko stary porządek, nowy jest dopiero w zarodku. Jak się rozwinie bez niego? Eumenesowej przyszły na myśl złowrogie przepowiednie; to co zaszło nazajutrz, napełniło go niepokojeni, choć nie był przesądny.

Przed główną bramą pałacu Babil, u stóp schodów wiodących do perystylu, na ławach o srebrnych nogach siedzieli strategowie. Purpurowe kity z końskiego włosia jarzyły się w czerwcowym słońcu, blaski grały na zbrojach i broni. Nad nimi u szczytu schodów, na złotym tronie, zasiadł Aleksander, przyglądając się defilującym oddziałom wojsk, które *vr* najbliższych dniach miały wyruszyć na arabską wyprawę. Najłżejszy powiew nie poruszył liśćmi kępy drzew, (których cień skracał się wystawiając siedzących na pastwę promieni słońca, w miarę jak zbliżało się do zenitu. Spod okapów hełmów pot sływał na czoła, w powietrzu stał odór końskiego potu i łajna, pozostawiony przez oddziały jazdy, piersi z trudem łapały oddech. Strategowie spoglądali na króla, **czekając**, kiedy zarządzi przerwę na południowy (posiłek **lub** przynajmniej nakaże gromadzie rzezańców, gotowych do posługi, przynieść napoje dla zwilżenia Wyschniętych gardzieli. Nie uchodziło uwagi strategów, że z oddziału gwardii melof orów, który od wczesnego ijana stał przed frontem pałacu, wyniesiono już kilku Ludzi porażonych przez słońce.

Aleksander zdał się tego nie widzieć, nie odczuwać skwaru ni pragnienia, z uwagą śledząc teraz przechodzące oddziały nowo uformowanej piechoty. W rozwiniętych szeregach, po czternaście rzędów, których cztery pierwsze stanowiły pozostałości rozwiązanej falangi, w macedońskich hełmach i zbrojach, z ogromnymi sarysami , szły jedna za drugą taksy wyćwi-

czone do walki z lotnym przeciwnikiem. W potężnych dłoniach Makedonów sarysy chyliły się przed królem jak trzcina, jednym ruchem, że jeno iskry słonecznego blasku błyskawicą przelatowały po świeżo wyostrzonych grotach. To był żywy mur, z za którego azjatyccy łucznicy i dzirytnicy razić mogli na odległość arabskich jeźdźców, przed ich uderzeniem wręcz chronieni przez twarde i nieustępliwy żywioł macedoński, wciąż jeszcze stanowiący czoło i wybór nowo utworzonej armii, która teraz miała wykazać swą sprawność.

Na wojennej naradzie poprzedniego dnia odzywały się liczne głosy za odroczeniem wyprawy do jesieni. Walka w bezwodnych pustyniach w letnim skwarze stawiała wojsku wymagania ponad siły. Król jednak uciał, mówiąc, że do jesieni wyprawa musi być Ukończona. Pośpiech był niezrozumiały, kilka miesięcy zwłoki zdało się bez znaczenia dla wyniku wojny, a oszczędziłoby strat. Już teraz upał był wyczerpujący; strategowie z ulgą ujrzeli, że król wstał, zdjął z głowy purpurową kausję z diademem, położył ją na tronie i skinąwszy na nich ręką skierował się do wyjścia. Z ulgą ruszyli za nim i w miłym chłodziel kamiennego budynku jęli się posilać, czekając na króla, który poszedł wypłuskać się w sadzawce. Dowódca straży również ściągnął meloforów w cień perystylu, tylko rzezańcy nie mając rozkazu pozostali na miejscu. Korzystając z nieobecności dostojników usiedli, gdzie który mógł, i zasłaniając oczy przed jaskrawym blaskiem południowego słońca zapadali w drzemkę.

Aleksander odświeżywszy się kąpielą z ożywieniem omawiał wyniki przeglądu, a Ptolemaios raz jeszcze poruszył sprawę odłożenia wyprawy do ustania upałów wskazując na to, że już teraz ludzie mdleją od skwaru. Aleksander jednak rzekł gniewnie:

- Sam poprowadzę wyprawę, skoro dla ciebie jest zbyt gorąco. Nie żądam od nikogo więcej niż od siebie.

Ptolemaios zmilczał stropiony. Chwilową ciszę zma-

cił nagle piskliwy lament rzezańców, świadczący, że zaszło coś niezwykłego. Satrapa Agaton zerwał się i wybiegł z sali: na tronie Aleksandra, w jego kausi. z diademem na głowie siedział jakiś człowiek, rzezańcy zaś darli na sobie z krzykiem szaty i wrywali włosy w największym zamieszaniu. Agaton znając azjatyckie przesady zrozumiał przyczynę. To, co uczynił obcy człowiek, było świętokradztwem, a współwina obciąża także ich, skoro nie zapobiegli temu przez niedbalstwo.

Zuchwalec, jakby nie słyszał, co się dokoła niego dzieje, siedział wpatrzony przed siebie, błędnymi oczyma. Obojętnie pozwolił się zakuć w kajdany i bez oporu ruszył za dowódcą straży, któremu Agaton kazał zamknąć go w lochu do dalszych rozkazów króla. Zdał się nie czuć kopnięć i razów, którymi okładali go strażnicy, również w obawie odpowiedzialności za niedozór.

Gdy Agaton doniósł Aleksandrowi o przyczynie zamieszania, król zaszepił się wyraźnie i rozkazał:

— Stawić go tu!

Sprawa była niezrozumiała, strażę strzegły dostępu do ogrodów pałacowych. Jak dostał się do nich obcy człowiek, bez przeszkody rozsiadł się na tronie, a przede wszystkim, po co to uczynił? Zachowanie się rzezańców świadczyło, że dla Azjatów rzecz przedstawia głębsze znaczenie.

Wprowadzony przed króla nieznanego człowieka nie wydał się jego widokiem zmieszany ni zatrwożony, widocznie nie zdawał sobie sprawy, co go czeka. Patrzył na Aleksandra wodnistymi oczyma jakby poprzez niego, gdy ten dwukrotnie powtórzył zapytanie:

— Kto jesteś?

Gdy więzień milczał, strażnik pięścią pchnął go między łopatki.

— Odpowiadaj, bo inaczej pytać będziemy — warknął.

Aleksander gniewnym gestem wstrzymał strażnika i raz jeszcze zapytał:

— Jak się zowiesz?
Więzień, jak obudzony, zdał się namyślać, zanim odparł:

— Nie pamiętam.
— A może pamiętasz, kto skłonił cię do tego, coś uczynił?

— Pamiętam. Bóg mi kazał.
— Który bóg? Jakie jego imię?
— Przecie wiesz, że jest tylko jeden. Ten, co tobie kazał tu przyjść.

— Jak się tu dostałeś?
— Nie wiem.

Agaton wtrącił się:
— Pozwól, królu, że ja go wezmę na spytki. Wolę bogów znają kapłani. Dowiem się, przez których ów bóg ją objawił.

— Nie — odparł Aleksander. — Tego człowieka stracić, strażników i rzeźców wysłać do kopalń w Pangaion, dopilnować, by nie gadali z nikim. A wy wszyscy milczeć o tym, co zaszło.

Wieść o wydarzeniu jednak już wybiegła na miasto i łatwiej byłoby wstrzymać wody Eufratu niż zapobiec jej rozpowszechnieniu. Rozlewała się jak fala i, jak woda śmiecie, niosła plotki i domysły. Jeszcze słońce nie zaszło, gdy wylała się poza bramy i rozpląwała na wszystkie strony.

Ateńskie poselstwo zbierało się właśnie do wyjazdu, gdy z wiadomością wpadł na gospodę Ariston. Poruszony był wyraźnie, Charidemos jednak osadził go:

— Już niejeden półgłówek zasiadał na tronie.
— O niczym innym nie mówią w mieście, uważając to za przepowiednię, że tron wkrótce będzie opróżniony. Dla nas wróżba chyba pomyślna i ty pierwszy cieszyć się z niej winienesz.

— Czas będę miał cieszyć się, gdy się spełni. Niejeden już raz cieszyliśmy się na próżno. Ale nic nie mam przeciw temu, by radowali się wszyscy, bo to dowodzi, jak miłują Aleksandra.

- Ja się nie cieszę — wtrącił Demaret. — Wreszcie jakiś ład i spokój zapanował w Helladzie. Gdyby Aleksandra nie stało, znowu zburzą go tacy jak ty, bo to jedyne, co potrafią.

— Nie dziwię się, że ty się nie cieszysz — zjadliwie rzucił Charidemos. — Dla ciebie to nieprzyjemna wróżba. Ale ja bez wróżby Wiem, że Aleksander wieczny nie jest, a gdy on się skończy, nie będzie w Atenach miejsca dla zdrajców ojczyzny.

— Znowu zaczynacie — gwałtowną odpowiedź Demareta uprzedził Chabrias. — Przepowiednia istotnie nie pierwsza, a czy się spełni, czy nie, czas będzie dowiedzieć się w Atenach. Droga do domu daleka, starczy wam w podróży sposobności do kłótni, a teraz się zbierajcie. Inne poselstwa helleńskie też odjeżdżają, a bezpieczniej podróżować w gromadzie.

— Nie jest obojętne, kto dowie się najwcześniej — powiedział Ariston — gdyby przepowiednia spełnić się miała. Ja zostanę, choć chętnie pojechałbym z wami. Słyszałem, że w najbliższych dniach król ruszy na arabską wyprawę. Mówią, że pustynia usiana jest kośćmi tych, co zginęli od strzał Apollina, przed którymi nie uchroni żaden pancierz ni tarcza. Nawet tu upał jest nieznośny.

— Toteż wyruszyć chcę przed świtem, by stawać aa popas w skwarnych godzinach — rzekł Chabrias. — A ty zostań, jeśli chcesz. Dobrze, że ktoś będzie naon donosił, co się tu dzieje.

— A zwłaszcza Demostenesowi — zjadliwie wtrącił Demaret. — Ale bogowie prędzej podróżują niż ludzie, Demostenes dowie się najwcześniej od Pallas Ateny, jak ongiś o śmierci Filipa, i nie omieszka znowu wzniecić zamętu. Ateński demos zaś chętnie zapomni, dlaczego ten boski wybraniec musiał z miasta uchodzić.

— Jasne jest — nowej kłótni zapobiegł Chabrias — że skazaliśmy Demostenesa tylko ze względu na króla, a gdyby go nie stało, Demostenes będzie

nam potrzebny, bo śmierć Aleksandra stworzyłaby jedyną sposobność zrzucenia macedońskiej hegemonii. — I tylko zdrajcy mogą nie życzyć sobie tego. Ty, Demarecie, słusznie obawiasz się powrotu Demostenesa, bo on potrafi rozprawić się z takimi, co walkę o wolność nazywają sianiem zamętu.

— Walkę — pogardliwie odparł Demaret. — Demostenes raz tylko walczył: pod Cheroneą, w pierwszym szeregu... uciekających. O wolności z łaski i za złoto perskiego króla.

- Skończcie już spory o to, co było, lub o to, co może być — uciął Chabrias. — Tymczasem Aleksander żyje, potrzebna nam jego łaska, a złoto też się przyda. Gotujcie się do podróży, bo na nikogo czekać nie będę.

Poselstwa nie wyjechały jednak ani nazajutrz, ani na trzeci dzień. W wystawionym bowiem na rozkaz Aleksandra na wzór helleński amfiteatrze odbyć się miało przedstawienie dramatów Eurypidesa, na które zaproszono wszystkie poselstwa z zawiadomieniem, że król tam chce je pożegnać. Niewątpliwie zależało mu na tym, by do Hellady trafiła wiadomość, że dzięki niemu jej mowa i sztuka zaszczerpione zostały w dalekich krajach, dokąd nigdy jeszcze nie docierały. Spodziewano się, że ze swą zwykłą hojnością przy pożegnaniu obdarzy poselstwa, toteż posłowie radzi skorzystali z zaproszenia, z wyjątkiem Charidemosa. Nie gardził i on zyskiem, ale pamiętał, że gdy Filip po zawarciu pokoju obdarzył posłów ateńskich, Demostenes odmówił przyjęcia darów po to, by przeciw towarzyszom ukuć zarzut przedajności. Przykrzyło się jednak Charidemosowi siedzieć samotnie w gospodzie i właśnie zamierzał wybrać się do miasta, gdy zjawił się podniecony Ariston.

— Nie poszedłeś do teatru? — powitał go, Charidemos zapytaniem.

— Teatr mogę oglądać w Atenach, tu dzieją się ciekawsze sprawy.

Charidemos wzruszył ramionami,

- Zapewne. Tylu i takich heter nie ma nawet w Atenach, ani tak wyuzdanej rozpusty.

- Naszych heter więcej tu teraz niż w Atenach, a przez nie najłatwiej uzyskać wiadomości.

— Odwiedzasz je przeto przez patriotyzm. Powiedz więc, czegoś się dowiedział.

— Król zaniemógł.

Charidemos drgnął, ale opanowawszy się rzeki:

— Król żegna teraz poselstwa w teatrze.

— Król jest w pałacu. Miał żegnać, ale zastępuje go Perdikkas pod pozorem, że króla wstrzymały ważne sprawy. I on się śpieszy jak wówczas, gdy w czasie igrzysk doniesiono o agonii Hefajstiona.

— I stąd wniosek, że król jest chory? Może się zresztą przepił, bo noc za nocą ucztuje. Ale Filip też był opojem, dłużej pił niż Aleksander, również się nie szanował w czasie wypraw, a trzeba było sztyletu skrytobójcy, by zdechł. Roksana jednak nie jest Olimpiadą.

— Nie wiem dlaczego, ale wiem, że zachorował. Z przepicia też można umrzeć. Na stypie indyjskiego mędrca Kalanosa Aleksander urządził pijackie zawody. Zwycięzca Promachos wypił cztery choa wina i zmarł na trzeci dzień, Aleksander także w pijaństwie chce nad wszystkimi górować. Trzecią noc z rzędu ucztował. Nad ranem chwyciły go bóle, tak że przeleżał u Mediosa cały następny dzień i dopiero wieczorem można go było przenieść do pałacu.

— Skąd to wiesz?

— Tais była na ucztach u Mediosa.

— Przestałem wierzyć w przepowiednie, odkąd Pytia zaczęła wróżyć za pieniądze Filipa. Jeśli ta się spełni, zacznę w nie wierzyć znowu. Sądzę jednak, że Aleksander prędzej umrze z pragnienia na pustyni niż z przepicia, po którym niejedni już dostali bólów.

— Przekonamy się w najbliższych dniach, czy choroba jest poważna. Jeśli odroczy wymarsz, potwierdzi się, że jest chory. Długo ukryć się tego nie da.

- Dostojnicy macedońscy gotowi ukrywać nawet

śmierć Aleksandra, bo ona istotnie byłaby hasłem powstania przeciw tyranii. Trzeba tu zastać, póki się sprawa nie wyjaśni.

Pogłoska o chorobie króla już się rozchodziła, bo przynieśli ją także wracający z teatru posłowie. Perdikkas był wyraźnie zatroskany i roztargniony, nie doczekał końca przedstawienia i wyszedł. W mieście nie budziła radości, lecz niepokój i niepewność. W tysiącletnich dziejach Mezopotamii Aleksander był pierwszym zdobywcą, który zwycięstw swych nie wieńczył rzezią całych narodów i zamienianiem w pustynię całych połaci kraju. Gdyby zmarł, ład i spokój, jaki zaprowadził, będzie znowu zburzony. Nie tylko lud, ale i dostojnicy azjatyccy lękali się nowej zmiany. Mimo zawartych na rozkaz króla związków pokrewieństwa, Makedonowie odnosili się do nich z lekceważeniem. Gdyby Aleksander zmarł, nie omieszkają przypomnieć, że oni są zwycięzcami.

Kritobulos, który sprawował pieczę nad zdrowiem króla, nie okazywał zaniepokojenia. Król ostatnie nadużywał swych sił natomiast wdała się gorączka, jak zwykle po dłuższej bezsenności. Król jednak ma dopiero trzydzieści dwa lata, nieraz już przy najwyższych wysiłkach nie spał po kilka nocy, ale umiał jej potem odespać i zawsze po odniesionej ranie czy przebytej chorobie niezmiernie szybko odzyskiwał siły. Potrzeba mu — jak sądził Kritobulos — tylko paru dni spokoju i wypoczynku i widocznie czuje się już lepiej, bo zamierzony wymarsz odroczył tylko o dni kilka.

Może Kritobulos był szczery uspokajając dopytujących się o zdrowie króla, bo nie wiedział, że po powrocie od Mediosa Aleksander znowu noc spędził bezsennością. Od chwili gdy wystąpiły obezwładniające bóle, przeczucie, że nadchodzi kres, nie opuszczało Aleksandra. Mimo że po śmierci najbliższego przyjaciela życie straciło dla niego urok, a nigdy nie spodziewał się dożyć starości, czuł się zaskoczony. Nie tak sobie swój koniec wyobrażał i nie w porę nadchodził. Wysłał

mącony coraz częstszymi napadami gorączki umysł, starając się przewidzieć skutki swej śmierci i obmyślić sposoby, jak im zapobiec. Jeszcze tylko krótki czas był mu potrzebny na zakończenie olbrzymiego dzieła, utrwalenie go i doczekanie następcy. Bezlik zawiłych spraw przytłaczał go jak góra, rozgorączkowanym umysłem przeskakiwał od jednej do drugiej: matka w zajadłej nienawiści z groźnym Antypatrem, trzy żony i nałożnica z synkiem, z których każda będzie szukać i znajdzie sobie popleczników, wiecznie skłócona i skłonna do buntu Hellada, czyhająca na każdą sposobność odwetu za klęski i upokorzenia, gromada towarzyszy, których żądzę władzy trzymał na uwięzi tylko sam Aleksander, spory i zawiści w armii między Make donami i Azjatami, między wojskami pieszymi i konnymi; i Azja, dziesiątki krajów i narodów, dopiero zaczynających pod przymusem wdrażać się do nowych form współżycia ludów o prastarej, wyrafinowanej kulturze z niedawnymi koczownikami. Stare i przeżyte ich ustroje zburzył, jak zrujnowaną świątynię Zikkurat, by na jej miejsce wystawić nową, największą i najwspanialszą budowlę, jaką kiedykolwiek wzniosły ręce ludzkie. Plany są gotowe, materiały ściągane zewsząd, zasoby nieograniczone. Trzeba tylko czasu.

Aleksander wiedział, że już go nie ma. Komu zlecić może swoje dzieło, by nie runęło wszystko, co zbudował? Hefajstion, któremu ufał jak sobie samemu, nie żyje. Najwierniejszy z towarzyszy młodości, Krateros, jest daleko. Z pozostałych Perdikkas byłby zdolny je podjąć. Męstwem i bystrością nie ustępuje Aleksandrowi, ale świadomy, jest tego, czy nie przypomni sobie, że pochodzi z rodu książąt Orestis; Filip pozbawił ich samodzielności, bo z władców macedońskich szczepów był najsilniejszy. Władza zawsze należy do najsilniejszych, dzielić się nią nie chce nikt, współzawodników nie znosi. W słabych rękach jest tylko źródłem zamętu. Sam Aleksander zgładzić kazał Amyntasa, do którego z prawa należało berło Ma-

cedonii. Musiał to uczynić, by zapobiec wewnętrznym rozgrywkom, gdy jednocześnie zewnętrzne siły sprzyściły się na jej zgubę. Po kaźni Filotasa i księcia Lynkesitis nikt już nie ważył się współzawodniczyć z Aleksandrem, uzależnił od siebie wszystko i wszystkich. Ale wszyscy współzawodniczą ze wszystkimi; jak zapobiec ich walce między sobą? Gdy berło wypadnie z jego rąk, którymi teraz z trudem podnosił do spieczonych warg kubek z napojem, władzę uchwyci najsilniejszy. Perdikkas. zda się najsilniejszy, ostatnio zbliżył się do Eumenesa, jedyne go człowieka, który zadawał się władzą, nie dbając o blask i rozgłos.

Nowy napad gorączki zmącił myśl Aleksandra, rozmywała się w majaczeniach. Szybkie bicie własnego serca zdało mu się tętentem idących w skok koni, zwielokrotnionym w mrocznej pustce rozległej komnaty. Pędzi na czele jazdy hetajrów, przy nim Klejtos i Hefajstion. Oni go chronią, bo słaby jest tak, że ręki dźwignąć nie zdoła, podtrzymują, by nie spadł pod kopyta koni.

Nie ma ich, dokoła gęstniejący mrok, w którym roztapia się głowa Bukefalosa. I jego już nie ma. Aleksander padł na wznak i czekał, kiedy po nim przejdą tysiące kopyt. Ale tętent ucichł. Otworzył oczy. Jest sam, jest noc, ale chłód przedświt ogarnia spotniałe ciało. Może wreszcie uda się zwabić sen.

Ale sen nie przychodził. Noce bez snu wysysają siły jak zmora. Nie ma już sił nawet na tyle, by pozorować, że je ma. Jeszcze poprzedniego dnia wydawał strategom tozkazy, omawiał zamierzone wyprawy; Nieraz przewodził im wyczerpany raną czy chorobą na noszach lub na wozie. Może wierzyli, że i teraz tak będzie. Ale wiedział, że nie ma lekarstwa przeciw śmierci. Przechodzi w myśli wszystkie znaki i przepowiednie, towarzyszące mu od urodzenia po ostatnie dni; pewny już był, że niewiele ich pozostało.

Gdy rankiem przyszedł Kritobulos i widocznie zaniepokojony stanem chorego usiłował go nakłonić, by zażył gorzki wywar z ziół, Aleksander odrzekł:

— Nie troszcz się o mnie, uleczę się sam. A teraz zawołaj mi Perdikkasa.

Lekarz nie był mu już potrzebny, a nie chciał, by człowieka, który wiernie i rozumnie służył dziesiątki lat Filipowi i jemu samemu, obciążono odpowiedzialnością. Gdy nadszedł Perdikkas, Aleksander zdjąwszy z palca pierścień z pieczęcią królewską powiedział:

— Patrz, jak mi schudła dłoń. Lękam się, że pierścień spadnie mi z palca i podejmie go ktoś niepowołany. Weź go.

Gdy Perdikkas nie wyciągnął ręki, Aleksander dodał:

— Weź! Zawsze przecież lubiłeś mnie naśladować. Czyżbyś teraz nie chciał, bo wiesz, że to łatwe nie będzie?

Perdikkas, sięgając po pierścień, odparł:

— Biorę! Ale chciałbym ci go oddać jak najprędzej.

Aleksander patrzył badawczo na krewniaka. Myślał o nie urodzonym synu. Może Perdikkas mówi szczerze, wiedział jednak, że takiej władzy, jaką on sam osiągnął, nie dziedziczy się ani jej przekazać nie można.

Powiedział:

— Jeśli nie mnie, oddasz pierścień memu synowi.

— Heraklesowi?

— Synowi Roksany, jeśli go urodzi. Niech mu nada moje imię. Chroń ją wraz z dzieckiem. I zaopiekuj się moją matką. Ma wielu nieprzyjaciół.

Gdy Perdikkas milczał, Aleksander dodał:

— Wiem, że i to będzie trudne. Olimpias jest nieprzezorna, Antypater jest groźnym wrogiem. Ale i jemu nie brak wrogów. Niechaj z nim walki nie wszczynają.

— Czy zechcesz wolę swą ogłosić hetajrom?

— Nie. Im później się dowiedzą, tym lepiej dla ciebie. I nic nie mów Roksanie,

Gdy Perdikkas patrzył pytająco, Aleksander zakończył:

- Tylko Eumenes niechaj wie, że pieczęć królewska jest w twoim ręku. Teraz każ mnie przenieść do pałacu w Babil.

Duszny, lepki skwar wciskał się nawet do mrocznego talamu. Aleksander oddychał z trudem, czekając na ulgę wieczoru. Gdy słońce pochyliło się, wyniesiony na taras pałacu oddalił straż i służbę, zabraniając dopuszczać kogokolwiek. Chciał być sam z myślą oderwaną już od spraw, które zaprzętały ją od najwcześniejszej młodości. Patrzył, jak cienie drzew wydłużają się, jakby mierząc czas. Gdy zapadnie mrok, czas przestanie płynąć.

Czy mrok niebytu? Matka wszczepiła mu ongiś przeświadczenie, że on jest wcieleniem Achillesa. Bramini również nauczają, że dusza wędruje, póki nie wyzwoli się w niebycie przez połączenie z Brahłą, początkiem i kresem wszechrzeczy. W tym widzą szczęścia i ostateczny cel. „Urodzenie jest cierpieniem, życie jest cierpieniem i śmierć jest cierpieniem”, jak pisał mędrzec Dandamis. Helleńscy kapłani natomiast uczą, że nagrodą za życie cnotliwe jest wieczny pobyt na wyspach szczęśliwych. Czy to jest szczęście niczego nie pragnąc, do niczego nie zmierzać, niczego się nie spodziewać? Czy, jak mówi Sofokles, szczęście jest tylko brakiem cierpienia? Scytowie i Trakowie płaczą nad nowo urodzonym dzieckiem; chór w tragedii Edypa; mówi; „Jeśliś ujrzał światło dzienne, za najlepsze miej odejść jak najszybciej tam, skąd przyszedłeś”.

Niczego nie wyjaśniają mędracy i poeci, ani co to jest szczęście, ani jak je osiągnąć. Budda słusznie porównał ich do ślepców obmacujących słonia, Żaden nie ogarnie zmysłowym poznaniem całości, sądy ich są względne, słowa bez pojęć. Arystoteles za szczęście głosi osiągnięcie tego, co jest człowiekowi dostępne i potrzebne, a wiedzą za najwyższe osiągalne dobra,

Diogenes drwi z tego; wiedza sama dla siebie jest niczym, jeśli nie służy jakiemuś celowi. Arystoteles ceni ją najwyżej, by ją drogo sprzedawać. Diogenes szczęście widzi w spokoju, w harmonii wewnętrznej, w równowadze potrzeb i możliwości ich zaspokojenia. W pełni szczęśliwym byłby przeto ten, kto nie ma żadnych potrzeb, a to jest niemożliwe, jak długo człowiek żyje. Potrzeby ma nawet niewolnik w kopalniach. Tymon również widzi szczęście w spokoju, ale by je osiągnąć, doradza zupełną samotność. Tę również ma tylko umarły. Najmędrszy z ludzi, Sokrates, za szczęście uważa przyjemność wolną od wyrzutów. Takie szczęście najłatwiej dostępne jest zwierzętom. Przyjemność znajdują w zaspokojeniu swych ograniczonych potrzeb, żyją, jak im każe natura, nie służy im wybór, nie mogą mieć przeto wyrzutów.

Wszyscy głoszą szczęście Aleksandra, bo dokonał wszystkiego, co zamierzał, osiągnął władzę i chwałę, jakich nie miał nikt przed nim; kosztem życia pełnego cierpień i trudów, własnych i cudzych. Piętnaście ran, blisko dwadzieścia lat nieustannych, nieraz nadludzkich wysiłków nie były przyjemnością. Nie jest wolny od wyrzutów, że usuwał ludzi, którzy stali na drodze do jego celów. Czy tylko władzy i chwały? Wyniósł się ponad wszystkich, by wszystkich zrównać, prowadził wojny, by więcej wojen nie było, świat w jego ręku miał być światem pokoju, wiedzy i sztuki.

Władza! Nie ma jej już nawet nad własnym ciałem, o własnych siłach niezdolny zaspokoić nawet najprostszych potrzeb. Chwała! Ma przed oczami inieważony i obrabowany grób Cyrusa, zdobywcy Azji, którego dzieła rozplamiły młodzieńczą wyobraźnię chęcią naśladowania, i tragiczny w swej pokorze napis nagrobny, prośbę o pośmiertny spokój skierowaną do tego, kto zaćmi jego chwałę i zburzy jego dzieło, prośbę nie spełnioną. Wola umarłych się nie liczy. Tajemnicze bóstwo przez usta judejskiego proroka ten sam los przepowiada dziełu Aleksandra,

któremu poświęcił wszystko: miłość do matki, którą pożegnał przed dwunastu laty, wiedząc, że jej więcej nie zobaczy; do jedynej niewiasty, do której pociągało go serce, do splodzonych z nią dzieci, z których pierwszego nie widział, a drugiego nie ujrzy. Tragiczny los sierot po Filipie jest ponurą wróżbą ich losu a zarazem zagłady królewskiego rodu Karanosa, z którym wiara macedońskiego ludu wiąże losy ojczyzny. On, jest ostatnim potomkiem, innych sam wytępił, by mu nie przeszkadzali w naprawie świata. Ale nie naprawi go przemoc, za wszystkie trudy i cierpienia, które zniósł i zadał — zyskał tylko diadem i purpurowy płaszcz. Teraz go w nich pochowają w złotej trumnie po to, by ludzka chciwość nswet zwłok jego nie zostawiła w spokoju, tym jedynym szczęściu, jakie dostępne jest słabym i bezbronnym. Diogenes miał słuszność mówiąc, że naprawiać należy ludzi.

Jedno jeszcze może uczynić, zanim przepalono gorącą kłosać ciało całkowicie odmówi posłuszeństwa: nikt nie będzie oglądał jego walki ze śmiercią, którą musi przegrać. U podłoża wszelkich rozważań o szczęściu leży strach przed cierpieniem i śmiercią, strach przed tym, co nieuniknione. Aleksander nie lękał się ich nigdy. Zniknie jak bóstwo, które zeszło na ziemię, by objawić swą wolę; prostym ludziom, którzy widzą w nim wyższą istotę, pozostawi wiarę, że zwyciężył śmierć,

Dźwignął się najwyższym wysiłkiem. Nocne niebo iskrzyło się gwiazdami, patrzył na nie kierując się na Arktosa. Od północnej strony ogrody zamykał kanał, tam nie stoją strażę. Od ciemnych, brzegów odbłaskiem gwiazd odcina się wodna płaszczyzna, jeszcze kilka kroków, a rzuci nieznośny ciężar, jakim stało się własne ciało.

Przez szum w uszach nie dosłyszał szelestu lekkich stóp na żwirze. Jakieś dłonie objęły go z rozpaczliwą siłą. Próbował strącić je, lecz nie starczyło mu sił, w głowie poczuł zawrót i upadł.

Zerwana nić świadomości nawiązuje się do chwili, gdy ziemia zakołysała się pod nim. Na twarzy czuje wilgoć, czy to już rosa poranna? Z trudem podniósł powieki. Zamiast gwiazd, w półświatle wstającego już dnia lśnią nad nim ciemne oczy Roksan, a do uszu dochodzi jej przerywany łkaniem szept:

— Mogliśmy być tacy szczęśliwi! A teraz co z nami będzie?

Wiedział, że mówi o sobie i nie urodzonym dziecku. Nie chciał odpowiedzieć, natomiast rzekł:

— Szczęścia nie ma. Przymknął, że nigdy nie staniesz na mojej drodze.

Niechętnie przymknął powieki. Nie stać go nawet na to, by wyjść śmierci naprzeciw. Musi na nią czekać.

Strategowie zgromadzeni w sali przyległej do królewskiego talamu trwali w milczeniu. Dziś przypadał dwukrotnie już odraczany termin wyruszenia, w portyku pałacu hegemonowie poszczególnych oddziałów czekają na rozkazy.

Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że wyprawa nie ruszy. Jak zwykle w czasie choroby Aleksandra w wojsku zaczynał się zamęt, a nie było nadziei na jego wyzdrowienie. Aleksander nie przyjmował już pożywienia. Rano złożył zwyczajną ofiarę leżąc na noszach, bo nie mógł nawet usiąść o własnych siłach. Wyprawy nie odwołał, jeszcze strategowie nie chcieli tego postanowić na własną odpowiedzialność, ale bezczynne i pozostawione bez nadzoru wojska wyłamują się z karności, dochodzą do głosu przeciwnictwa, trzymane na uwięzi przez króla. Jego choroby nie dało się ukryć; zawsze chory czy zdrow miał zwyczaj przed wyprawą sam sprawdzać gotowość; teraz nie pokazał się wojsku już od ośmiu dni. Psie przywiązanie do niego niesfornych chłopów macedońskich łącznie ze skłonnością do buntu znowu wywołać może rozruch, który w razie śmierci króla trudno będzie

opanować. Kritobulos nie chciał nikogo dopuścić do niego mówiąc, że Aleksander wreszcie usnął; ale sam widocznie nie był pewny, czy król śpi, czy tylko leży bezwładny po silniejszym niż inne napadzie gorączki. Że lekarz stracił zaufanie do własnej sztuki, świadczyło, iż gorliwie poparł Peukestasa, by udać się do kapłanów Marduka z zapytaniem, czyby nie przemieścić króla do świątyni dla ubłagania boga o wyzdrowienie.

Skwarny dzień włókł się, nie przynosząc żadnej zmiany. Wieczorem Peukestas z kilkoma towarzyszami udał się do świątyni, by tam spędzić noc w nadziei na wróżebny sen, inni pozostali w pałacu na wypadek, gdyby Aleksander zechciał ich widzieć; jeśli nie po to, by wydać rozkazy, to by ogłosić swą wolę. Nie wiadomo, czy zdaje sobie sprawę ze swego stanu, a gdyby zmarł nie przekazując władzy, natychmiast zaczęła się walka o nią. Z azjatyckich dostojników nikogo nie było w pałacu, ale i oni zapewne rozważają, co poczynać w razie śmierci Aleksandra. Azjaci mają już w wojsku liczebną przewagę. Twardy i zjadły chłop macedoński umiał zwyciężać liczniejszych gdy na czele widział swego króla. Ufność, że Aleksander poddał wszystkiemu, co zamierzy, stała się niezachwianą wiarą. Ale też ilekroć groziło, że ten czar pryśnie, ślepe przywiązanie do króla objawiało się podejrzliwością wobec jego otoczenia. Tak było, gdy ciężko chorował w Tarsie, gdy był niebezpiecznie ranny w Kusinagara, twierdzy Mallów, gdy szalał po zabójstwie Klejtosa.

Mało który z dostojników zmrużył oczy tej nocy, nieufność legła i między nimi. Rano wrócił Peukestas z towarzyszami przynosząc odpowiedź boga, że dla Aleksandra będzie lepiej, gdy zostanie tam, gdzie jest. Przepowiednia niewiele mówiła. Król gasł, nie mógł już mówić, ale przytomny był widocznie, bo na pytania odpowiadał skinieniem głowy lub ledwo zrozumiałym szeptem. Jeśli ma jeszcze wyjawić swą wolę, czas zdał się ostatni.

W obozie natomiast hegemonomie nie mogli już opanować wzrastającego nieładu. Kto chciał, wymykał się do miasta, gdzie również panowała niepewność i niepokój. Bogatsi kupcy pozamykali już swe kramy, przyjezdni wyjeżdżali, jakby groziło oblężenie, ulice pustoszały, wszelkie prace zostały wstrzymane. W południe ktoś puścił plotkę, jakoby król zmarł.

Gdy dotarła do obozu, zakotłowało się. Więzy karności pękły, celowo przez króla wymieszane narodowościowo oddziały natychmiast rozwarstwiły się jak płyny o różnej gęstości. Wieść była niepewna, ale starczyła, by zburzyć wszelki ład. Na dziedzińcu obozowym gromadził się tłum wyrażając bogom, lekarzom i strategom.

Na wóz wspiął się brodaty dimojryta i wzniósłszy dłonie krzyczał:

— Tymi rękami podniosłem Aleksandra na tarczy, gdy łotr, któremu Filip powierzył swe bezpieczeństwo, skrytobójczo go zamordował. Tak za swe godności i 'dobrodziejstwa' płacą dostojnicy! Filip uczynił nas swymi towarzyszami, piłem z nim nieraz. Wśród nas był bezpieczny, żyłby do dziś, gdyby nam się zawierzył.

Rozległy się liczne potakiwania, a dimojryta podniósł głos:

— Myśmy królem uczynili Aleksandra, a on nas swymi krewniakami. Jesteśmy nimi czy nie?

Odpowiedziała mu burza okrzyków, a on ciągnął:

— Czy nie nasze psie prawo i święty obowiązek Wiedzieć, co dzieje się z naszym królem? Skąd możemy wiedzieć, że i on nie trafił na swego Pausaniasa? Od dziesięciu dni mówią nam, że chory. Czy mało było spisków na jego życie? Teraz gadają, że zmarł. Jeśli prawda, to chcemy wiedzieć jaką śmiercią!

Wyciągnął miecz i potrząsając nim z wściekłością, krzyczał:

— Ja idę zobaczyć króla żywego czy umarłego. Kto mi spróbuje zabronić, temu — na Heraklesa —

rozwałę łeb! Nie będą nas dostojnicy trzymali w wątpliwości ani ukrywali przed nami, co się stało, by zyskać na czasie, zamącić sprawę lub swarzyć się o władzę. Pójdę choćby sam, a kto z was troszczy się o króla, ten pójdzie ze mną.

Kritofoulos nie tuił, że Aleksander ma przed sobą już tylko dni, jeżeli nie godziny. Po nowym ataku gorączki król zdał się spać, pierś jego ledwo poruszała się oddechem. Lekarz nie był pewny, czy jeszcze otworzy oczy. Czekał na to, by zapytać, czy może przyjąć czekających od wczoraj strategów.

Milczeli, każdy zajęty swymi myślami lub starając się odgadnąć myśli innych. Śmierć Aleksandra oznaczała rozstaje wspólnie od pacholących lat przebywanej drogi. Dotychczas żaden z nich ani nie potrzebował, ani nie mógł głowić się nad tym, dokąd ona prowadzi. Choć wielu legło przy niej, niejednemu z pozostałych zdała się za ciasna, ale dopóki na ich czele kroczył Aleksander, nawet myślą nie można było z niej zbroczyć. Z chwilą gdy jego nie stanie, kierunek, który wytknął, zasnuje nieprzebyta mgła. Czuli, że lepiej byłoby pójść razem, ale przynajmniej z początku, póki się nie rozjaśni, ktoś musi iść na czele. Byłoby łatwiej, gdyby go wyznaczył Aleksander. Nawyk ustępowania przed jego przemożną wolą tkwił głęboka, wspomnienia ożywiały przywiedle przywiązanie. Chóry Aleksander zdał się bardziej ludzki i bliższy, pragnęli mu je okazać. Jego śmierć nie była jedna; z wielu, na które patrzyli od zarania młodości... Nie chcieli jednak przerywać snu królowi w nadziei, że może przywróci mu choć trochę sił.

Aleksander nie spał. Wyczerpanie doszło do dna nie powtarzały się nawet napady gorączki. W stygnącym ciele tliła się chłodna myśl. Przechodził w niej swe klótkie życie, przebył drogę od chłopięcych marzeń do budzącej się myśli, od myśli do zamierzeń, od zamierzeń do czynów. Urodzony wśród huku gro-

mów, przemknął przez życie jak burza, a teraz, gdy wszystko to zapada w przeszłość, ze zdziwieniem stawia sobie pytanie: po co? Chce już tylko spokoju.

Ale nie dane mu nawet skonać spokojnie. Ciszę zburzył wzmagający się gwar, który zbliżał się i zatrzymał przed pałacem. Wybijało się w nim powtarzane jego imię, znał te odgłosy; te same słyszał, gdy walczył ze śmiercią z rany odniesionej u Mallów, te same, gdy złamał bunt pod Opis. To żołnierze chcą widzieć swego króla.

Kritobulos, który czuwał przy Aleksandrze, wybiegł zaniepokojony, gdy w sąsiedniej komnacie rozległ się tupot kroków i przyciszone, ale wyraźnie podniecone głosy. Konającemu potrzebny jest spokój.

Hałas przed pałacem istotnie przycichł, zapewne strategowie odegnali żołnierzy. Aleksander chciałby ich pożegnać, ale nawet to nie zależy już od jego woli.

Mylił się jednak. Strategowie również domyślili się, co oznacza zbliżający się gwar. Ilekroć król leżał złożony niemocą, w wojsku zaczynało się wrzenie, plotki i domysły. Sami druzi już dzień daremnie czekają, by zobaczyć się z Aleksandrem, nie mogą do niego dopuścić żołnierzy. Wzmocnionym strażom, stojącym przy bramach do pałacowych ogrodów, wydano rozkaz niewpuszczenia nikogo niepowołanego. Hałas przed pałacem świadczył, że tłum wdarł się wbrew zakazowi. Na wyjaśnienie przyczyny nie trzeba było czekać. Wpadł dowódca gwardii meloforów i niespokojnie rozglądał się po obecnych, widocznie niepewny, do kogo się zwrócić. Perdikkas przystąpił do niego.

— Dlaczego pozwoliłeś wejść tym ludziom? - zapytał.

— Pobili strażę przy bramach, a teraz grożą, że siłą wejdą, jeśli ich nie wpuścimy do pałacu. Czy kazać swoim uderzyć?

Perdikkas bez słowa skierował się ku wyjściu. Na schodach portyku oddział meloforów najeżonymi lan-

cami trzymał jeszcze napierający tłum. Gdy na rozkaz Perdikkasa rozstąpił się, by uczynić mu przejście, rzucił się w nie z mieczem w rękę brodaty dimojryta, ale stanął na widok Perdikkasa i przez chwilę spozierali na siebie. Gwar ucichł, w ciszy oczekiwania rozległy się słowa żołnierza:

— Na Heraklesa przysięgam, że łeb rozwalę temu, kto nam zabroni wstępu do króla. Ustąp! Żał by mi było ciebie.

— A ja ciebie ubiję, Tybronie, jeżeli natychmiast nie schowasz miecza, choć pamiętam, że to ty mnie wyniosłeś z zamętu, gdy byłem ranny pod Tebami.

Tybron zawahał się. Powiedział niepewnie:

— Musimy wiedzieć, co dzieje się z królem. Jeżeli zmarł, chcemy wiedzieć jak, jeżeli żyje, niech sam powie, że nas, których uczynił swymi krewniakami, widzieć nie chce. Nie odstępimy. Możesz mnie ubić, ale ich wszystkich — wskazał na tłum — nie ubijesz.

Teraz Perdikkas zawahał się. Ani do walki dopuścić nie może, ani jak Aleksander pod Opis przeciwstawić się wielotysięcznemu tłumowi nie zdoła. Odparł:

— Król żyje, ale kona. Jeżeli przywiodła was tu troska o niego, nie zakłócajcie mu ostatnich chwil. Tu zaczekacie, a ty pójdiesz ze mną — zwrócił się do Tybrona. — Przekonasz się sam, czy możecie zobaczyć się z królem.

Kritobulos zastąpił im wejście do talamu, Perdikkas jednak odsunął go bez słowa. Przepuścił przed sobą Tybrona, który zdjął obuwie i trwożnie podchodził do łoża, na którym spoczywał Aleksander. Stary wojownik w życiu swym widział tysiące konających i jeden rzut oka starczył mu, by poznać, że król umiera. Padł na kolana i chwyciwszy wychudłą dłoń Aleksandra zaniósł się łkaniem.

Zsiniałe powieki Aleksandra zadrgały. Podniósł je i przez chwilę patrzył na spoczywającą przy nim głowę po czym przeniósł spojrzenie na stojącego przy

łożu Perdikkasa, który zrozumiał, że król chce coś powiedzieć, i pochyliwszy się nad nim rzekł:

-Żołnierze niepokoją się o ciebie i przyszli, by cię zobaczyć. Przyprowadziłem Tybrona, by im oznajmił, że nie mogą.

Gniewna zmarszczka przecięła spotniałe czoło Aleksandra.

Perdikkas zapytał:

— Chcesz ich widzieć?

Aleksander skinął głową z wysiłkiem.

— Pójdź — zwrócił się Perdikkas do Tybrona, a do Kritobulosa, który próbował się przeciwstawić, powiedział cicho:

— Król tak chce. Czy sądzisz, że coś jeszcze może mu zaszkodzić?

Nie czekając odpowiedzi wyszedł. Dowódcy melo-forów kazał ściągnąć strażę i zwrócił się do tłumu:

— Król chce was pożegnać. Wchodzić pojedynczo, nie bawić długo, zachowywać się cicho.

Ale na widok leżącego bezwładnie Aleksandra, w którym zwykli widzieć wzór sprawności i siły, jak dzieci zapomnieli o przestrodze. Z płaczem ściskali jego bezwładną dłoń, siłą uścisku pragnąc okazać mu swe uczucie, niebaczni, że ich twarde ręce sprawiają królowi ból. -Pamiętali go dzieckiem, chłopcem, efebem, wspomnienia cisnęły się na usta:

— Czy pamiętasz, królu, pod Peryntem...

— Czy pamiętasz, gdy pod Cheroneą...

W górach Barnos, w kotlinie Pelionu, pod Tebami, nad Istrem, nad Granikiem, pod Issos, Gaugamelą, nad Hydaspem, w Gedrozji — krótkie życie, a nie kończący się szereg wspomnień, każde stanowić Mogłoby przedmiot odrębnej pieśni ogromnej epopei, której napisać nikt niezdolny. Dziejopisów są dziesiątki, ale tylko ci prości ludzie, których twarde uściski miazdzą teraz bezsilną dłoń Aleksandra, poezję jego czynów przechowują w sercach i przekażą legendzie.

Późna noc była, gdy ostatni wyszedł na palcach

z talamu. Aleksander patrzył na swą zsiniałą i obrzękłą dłoń. Nie czuł jej, ale nie będzie mu przydatna. Nie czuł już własnego ciała, władza nad nim skończyła się, jeszcze tylko kołacze się półprzytomna myśl.

Podniósł oczy, gdy u łoża stanęła stłoczona gromada strategów, a Ptolemaios zapytał:

— Któremu z nas zechcesz, królu, przekazać władzę?

Władzę? Nie ma już żadnej. Wola umarłych się nie liczy. Sardoniczny uśmiech ściągnął zsiniałe wargi Aleksandra, a potem poruszył ledwo dosłyszalny szept:

— Kratisto..

Przymknął oczy i płytki oddech poruszał jego pierś.

Patrzyli wzajem na siebie ze zdziwieniem. Czyżby król rozmyślnie rzucał między nich jabłko niezgody? A prócz nich jest jeszcze Antypater z synami, jest w drodze z dziesięcioma tysiącami weteranów Krateros, jest w Syrii potężny Antygonos Jednooki. W gasnącej jednak świadomości Aleksandra tkwiła pewność, że cokolwiek by rzekł, nie odwróci biegu wypadków.

Wyszli w milczeniu i czuwali; każdy zajęty swymi myślami, których dzielić nie chciał z nikim.

Przedświt letniego dnia nasycił już światłem, wnętrze, komnaty, gdy we drzwiach talamu stanął Kritobulos i powiedział:

— Aleksander nie żyje.

POKŁOSIE

Nawykłego do ustawicznej pracy Demostenesa gnębiła bezczynność, pobyt w Troidzenie przedłużał się, bez nadziei na zmianę. Życie z dnia na dzień przypominało o nadchodzącej starości. Jak wyrzucony na brzeg delfin miotał się bezsilnie.

Nade wszystko żarła go tęsknota za Atenami. Niewdzięczne miasto! Za trud całego życia poświęconego jego chwale i wielkości małodusznie wyparło się go ze strachu przed tyranem.

Zrazu sądził, że gdy po śmierci Harpalosa sprawa łapownictwa straciła dla Aten niebezpieczne ostrze, przeważy przychylny nastrój dla wieloletniego przywódcy, kilkakrotnie wieńczonego w uznaniu zasług. Powoływał się też na nie, przypominał o nich w pismach do areopagu i zgromadzenia, oświadczając gotowość dalszej służby niewdzięcznej ojczyźnie. Nie otrzymał nawet odpowiedzi. Mimo że dzięki zasobom dostarczonym mu przez przyjaciół życie w Troidzenie toczyło się bez niewygód i braków, przedniósł się do Aiginy. Stąd bliżej było do Aten. Czuł jednak, że ludzi sam siebie. Nie było bliżej, dzieląca go od nich niespełna trzy mile szerokości mająca cieśnina była nieprzebyta, choć w pogodny dzień na północnym nieboskłonie wylaniały się wzgórza Attyki. Zgorzkniał, unikać zaczął ludzi, mimo że i tu znalazł przychylnych. Siadywał samotnie na skalistym cyplu wybrzeża i wpatrywał się w wytęskniony widok, póki

nie przesłoniła go ciemność. Z zazdrością śledził wypływające łodzie rybackie; każda z nich w ciągu kilku godzin może dopłynąć do Attyki, tylko jemu nie wolno.

Zaczynała go trapić bezsenność; nieraz już świt zastawał go nad morzem, gdzie czekał, by poranny powiew spędził mgiełkę i przywrócił mu jedyną łączność z ojczyzną. Odchodził jednak, gdy opodał na płaskim brzegu rozlegały się głosy młodzieży, która pluskała się w falach. Zazdrościł im ich beztroskiej wesołości, ich sprawnych, wyzłoconych słońcem ciał. Wypływali daleko w morze, po czym kładli się na wznak i pozwalali się unosić falom, póki powiew nie przygnał ich do brzegu.

Raz nie zauważył, jak dwóch młodzików fala przyniosła pod skałę, na której zwykł siadywać. Zręcznie wspięli się na nią, a jeden odezwał się:

— Siedzisz tu jak Odys na Ogygii.

— Jesteś zuchwały, ale przypadkowo zgadłeś — odparł Demostenes. — Tylko że nie trzyma mnie tu żadna nimfa, ale złość i niewdzięczność współobywateli. Jeżeli chcecie żyć bez trosk i zgryzot, trzymajcie się zawsze z dala od spraw publicznych.

— Dzięki ci za radę — roześmiał się chłopiec — ale możesz być spokojny. Nic nas one nie obchodzą. Nie zda mi się jednak, by i dorosłym zbyt wiele trosk przysparzały. Wszystko idzie ustalonym porządkiem, zmieniać niczego nie trzeba. Ani nie można, chyba że Aihypater rozkaże.

Demostenes zerwał się wzburzony. Z takiej młodzieży nie wyrosną bohaterowie. Wargi paliła mu żrąca nagana, ale opanował się. Sam przecie doradzał, by nie mieszały się do spraw publicznych. A może miał słuszność? Cóż zyskał na tym on lub jego ojczyzna, że całe życie jej poświęcił? Zmarnował je. Ludzie chcą spokoju, choćby kosztem, godności. I on niczego już nie pragnie, tylko powrotu do swego miasta, by tam dokonać żywota.

Odwrócił się, by ukryć łzy, i odszedł. W uszach

Ogygii! Ale Odysa uwolnił rozkaz Ateny.

Wzniósł ręce ku niebu i modlił się.

— Władczyni! Jeżeli mile ci były moje ofiary, jeżeli dla twojej stolicy położyłem jakieś zasługi, spraw, bym mógł do niej powrócić.

Tym razem sam uwierzył w cud. Gdy przygnębiony do dna wszedł do swej izby w wynajętym domu naprzeciw świątyni Aiakosa, na jego widok wstał jakiś człowiek, w którym ze zdumieniem poznał Charidemos. Zanim zdążył ochłonąć na tyle, by zapytać skąd się wziął w Aiginie, Charidemos powiedział z uśmiechem:

— Dziwisz się, że jestem tu, a nie w Babilonie. Zdziwisz się jeszcze bardziej, gdy powiem dlaczego: Aleksander nie żyje.

Demostenes poblądł, pot wystąpił mu na czoło. Rękoma szukał za sobą oparcia. Opadł na ławę i siedział w milczeniu. Nie śmiał jednak uwierzyć. Tylekroć już ta sama wieść okazała się nieprawdziwą. Po chwili zapytał z wysiłkiem:

— Czy sam widziałeś Aleksandra?

— Nie. Widziałem coś lepszego. Zaraz po jego śmierci wybuchła walka o władzę między jego strategami. Piesze wojska wyparły z Babilonu jazdę Perdikkasa, któremu Aleksander wręczył rzekomo królewską pieczęć i powierzył opiekę nad nie urodzonym potomkiem Roksany. Perdikkas zaś jazdą zamknął wszystkie drogi do miasta, tak że ledwo zdołałem wydostać się przez bagna, by donieść ci, co się stało.

— Czy wieść dotarła do Aten?

— Nie wiem, ale być może. Aleksander chorował przez jedenaście dni, a już trzeciego mówiono, że umarł. Tym chyba można wyjaśnić, że choć śpieszyłem się z wieścią jak królewski goniec, wszędzie po drodze słyszałem już pogłoski o jego śmierci. Ariston z resztą poselstwa ateńskiego został w Babilonie. Czekają, by z miasta można było bezpiecznie wyjechać.

Będziemy wiedzieli, jak się skończyła walka i w miarę tego, co poczynić.

— Co czynić? — Demostenes dźwignął się, twarz mu pałała, oczy rzuciły błyskawice. — Czy nie rozumiesz, że bogowie dość dla nas uczynili, do Erebu ciskając bluźniercę? Reszty sami musimy dokonać, nie czekając ani dnia. Wygnać macedońskie załogi, obalić przekupne oligarchie. Aleksander w swym szaleństwie wysłał z sił Macedonię, Antypater nie ma czym przeciwstawić się Helladzie zjednoczonej w żądzy wolności. Natychmiast jedź do Aten, zanieś radośną nowinę i powiedz, że ja, niepomny krzywdy, która mnie spotkała, imieniem, naszego miasta wyruszę na Peloponez skłonić tamtejsze państwa, by gotowały się do walki pod naszym przewodem.

— Czy nie ostrożniej byłoby wstrzymać się do czasu, gdy zapadnie postanowienie, co czynić? — z wahaniem, zauważył Charidemos. — W Atenach nie braknie i takich, którzy będą usiłowali powstrzymać je od rozpoczęcia walki.

— Wiem o tym. Właśnie dlatego należy ich zaskoczyć. Ateny zawsze przodowały w walce o wolność - gdy dowiedzą się, że inne państwa helleńskie sposobią się do niej, nie pozwolą sobie odebrać przywództwa. Po obaleniu tyranii przyjdzie kolej na zdrajców,

Pogłoska o śmierci Aleksandra rozchodziła się już w Helladzie; do Aten przywiózł ją Asklepiades i ospały nastrój w mieście pierzchnął jak dym pod uderzeniem wichru. Niczym w czasie trzęsienia ziemi, kto żył, wyległ na ulice. Tłumy zmierzały na Pnyks, gdzie zebranie zwołał najmłodszy z kolegium strategów Leostenes.

Nikt nie wątpił, jakie wnioski postawi. Dotychczas nie należał wprawdzie do żadnego stronnictwa, ale wiadomo było, że marzy mu się sława wojenna. Szedł zresztą w otoczeniu nieprzejednanych, ściągając na

siebie powszechną uwagę, co widocznie napawało go dumą. Wysunął się na czoło towarzyszącej mu gromadki polityków i kroczył, podniesioną głową górując nad tłumem, jakby już prowadził wojsko do zwycięstwa.

Będące u władzy stronnictwo rozważy, z sędziwym Fokionem na czele, zaskoczone było samą pogłoską, jak i postawą Leostenesa, który bez porozumienia z kolegią strategów zmierzał widocznie do rozpoczęcia wojny z Macedonią i równie niewątpliwie do objęcia w wojnie tej dowództwa. Wywołany w mieście nastrojów zdał się sprzyjać jego zamierzeniom, choć nie było jeszcze pewności, czy wieść jest prawdziwa. Starsi i umiarkowani pamiętali, ile razy już podobne pogłoski okazały się zwodnicze. Gdyby teraz pod wpływem fałszywej wieści wdano się w wojnę, groziło to miastu zagładą. Toteż próbował przygasić niewczesny zapal, mówiąc:

— Nie pierwszy raz donoszą nam o śmierci Aleksandra i za każdym razem znajdują u was posłuch tacy, którzy wzywają do wojny z Macedonią, jakby jedynym powodem, dla którego jej nie prowadzimy, był strach przed Aleksandrem. Nie pierwszy też raz muszę wam przypomnieć, że jeśli król istotnie umarł, co nie jest pewne, to nie zmartwychwstanie, i czas będzie zastanowić się spokojnie nad nowym położeniem, gdy wieść będzie sprawdzona, obejrzeć się za sprzymierzeńcami...

— A wrogom pozostawić czas, by się za nimi obejrżeli.— krzyknął Leostenes. — Cóżże ty, Fokionie, za zasługi oddał miastu, przez tyle lat sprawując dowództwo?

— Niemale, bo obywatele mogą być chowani we własnych grobach. Przemawiałem także przeciw wojnie, w której spełniła się wróżba pityjska: „ Czarny ptaku, zaczekaj na bitwę nad Hermodonam . Na żer tam znajdziesz ludzkiego ścierwa dostatek". Ty, młodzieńcze — myślisz o rozpoczęciu wojny, a ja o jej zakończeniu. Rozpocząć łatwo, wojska i zasoby, jakie

posiadamy, na to wystarczą. Co będzie, jeśli nie starczą na jej prowadzenie, gdy się przedłuży?

— Przedłuży się, jeśli pozwolimy wrogom ochłonać i przygotować się — odparł Leostenes. — Jeśli uderzymy niespodzianie, jak grom, zaskoczemy zwierza w jego własnej jaskini.

— Nie zapominaj, Leostenesie, że droga do niej wiedzie przez kraj Beotów, a ci nie przepuszczą nas bez walki, bo obawiać się będą odbudowy Teb i zemsty za ich zburzenie. Antypater zyska na czasie, a jest wodzem doświadczonym, potrafi wykorzystać zwłokę, osłabienie naszych wojsk walką i pochodem, i przewagę, jaką daje znajomość własnego kraju. Jeżeli uchwalicie wbrew rozsądkowi wyprawę, to radzę przynajmniej zapewnić sobie u Beotów swobodny przemarsz, a nie wdawać się w wojnę. Lepiej z nimi walczyć na słowa, w których górujecie, niż bronią, w której górują oni.

Rozległy się syki i gwizdy, a Leostenes, pewny poparcia tłumu, odparł lekceważąco:

— Przyznaj raczej, że się lękasz, byśmy nie pomyśleli, że przemawiasz przeciw wojnie jako przyjaciel naszych wrogów. Ale nikt od ciebie nie żąda, byś objął w niej dowództwo, bo dziwny to wódz, który zapal żołnierzy gasi zamiast go rozplómieniać.

Znowu rozległy się gwizdy i wołania: „Tchórz”. Fokion słuchał spokojnie, a gdy herold uciszył motłoch, odezwał się pogardliwie:

—Wy nie możecie uczynić mnie walecznym, a ja was tchórzami. Znamy się wzajemnie, nic łatwiejszego, jak waleczne uchwały. A twoja mowa, Leostenesie, jest jak cyprys: wielki i wyniosły, ale nie daje owocu.

Hypereides, który z gromadą swych stronników stał obok mównicy i widocznie zamierzał zabrać głos, nie czekając na swą kolejność, przerwał Fokionowi:

— Mam szacunek dla tych przekonañ, Fokionie, bo wiem, że są szczere; ale dla każdego jest chyba jasne, że jeśli teraz nie wykorzystamy sprzyjających

okoliczności i nie podejmiemy walki o wolność, to nie odzyskamy jej nigdy. Cierpki jesteś, Fokionie przestań jednak drażnić Ateńczyków, wytykając im wady, przynajmniej obecnie, gdy gotowi są życie poświęcić dla ojczyzny, bo ciebie może to życie kosztować.

— Może. Ale niesprawiedliwie, bo przemawiam dla ich dobra. Wino również bywa cierpkie, a zdrowsze jest od słodkiego — odparł Fokion.

— Kiedyż wreszcie uznasz dla Aten chwilę za odpowiednią, jeśli nie dziś? — niecierpliwie zapytał Hypereides.

— Gdy zobaczę, że młodzież ochoczo garnie się w szeregi, bogacze chętnie płacą podatki, a politycy przestaną sprzeniewierzać publiczne pieniądze — powiedział Fokion zgryźliwie i zszedł z mównicy, na którą z kolei herold wywołał Demadesa.

Nie zmieszał się, gdy powitały go nieprzychylnie okrzyki, a nawet obelgi. Udawał, że pilnie słucha, a gdy przycichło, zaczął:

— Prócz zwykłych wyzwisk, na które potrafiłbym odpowiedzieć z nawiązką, jak wiadomo bowiem, słów mi nigdy nie brak, słyszałem tu zarzuty, że biorę od Macedończyków pieniądze i dlatego jestem ich przyjacielem. Na to odpowiem: jestem swoim własnym przyjacielem i przyjacielem naszego miasta...

Znowu przerwały mu wrzaski; wyczekał cierpliwie, aż herold uciszył je, i ciągnął: — Jakieś zasługi przecież położyłem, skoro przynależność mi spiszowy posąg i utrzymanie w prytaneion z którego zresztą nie korzystam, bo lepszy wikt mam w domu. Każde dziecko w Atenach wie, że biorę od Macedończyków pieniądze od lat, od bitwy pod Cheroneą, w której walczyłem do końca i dostałem się do niewoli, jak wielu innych, którzy nie legli lub co gorsza nie uciekli. Mnie i wspaniałomyślności Filipa mogą dziękować, żeśmy się z niej wydostali bez okupu. Ktoś tu podniósł zarzut, że sam Antypater powiedział, iż ma w Atenach dwóch przyjaciół: mnie

i Fokiona. Zapomniał przy tym, co dodał Antypater: że Fokiona nigdy nie mógł nakłonić, by coś od niego przyjął, mnie zaś niczym nasycić. Pytam, co jest mniej korzystne dla Antypatra, a na odwrót, korzystniejsze dla naszego miasta: przyjaciel płatny czy bezpłatny?

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, ale ktoś krzyknął:

— Najkorzystniejsze dla ciebie!

— Nie przeczę. Ale bywam w sprzeczności z własnym interesem, nigdy jednak z interesem miasta.

Podniósł rękę, by uciszyć sprzeciwy, i ciągnął:

— Wysłuchajcie, a kto umie myśleć, przyzna mi słuszność. Gdyby Antypater miał dziś te pieniądze, które przez lat piętnaście potrafiłem wydobyć od Macedończyków, mógłby za nie zaciągnąć i uzbroić przynajmniej dziesięć tysięcy wojsk.

Znowu rozległy się śmiechy, a Demades podjął:

— Że bywam w sprzeczności z własnym interesem, a z korzyścią dla miasta, nie zaprzeczy ten, kto wie, że zapłaciłem grzywnę sto tysięcy drachm za wprowadzenie stu obcych do chóru. Czy mógłbym tyle zapłacić i czy miasto odniosłoby tę korzyść, gdybym nie brał od Macedończyków pieniędzy?

— Bezczelny jesteś! — krzyknął ktoś. — Złamanie prawa przedstawiasz jako zasługę.

Demades uśmiechnął się.

- Istotnie! Bo czynię jawnie to samo, co inni starają się ukryć, choć bezskutecznie. Za moją działalność w sprawie Harpalosa zasądziście mnie na zapłacenie pięćdziesięciu talentów. I te wzbogaciły sikarbiec miasta, jakkolwiek zasłużyłem raczej na pochwałę i nagrodę. Bo czyż nie dzięki temu leży teraz w naszym skarbcu blisko czterysta talentów ukradzionych przez Harpalosa i odebranych mu pieniędzy, o które nikt się więcej nie upomni, jeśli Aleksander naprawdę zmarł? Jeżeli głoszę tu swoje zasługi niczym Demostenes, to nie w nadziei, że uchwalicie mi wieniec, ale zmusiliście mnie, by wykazać, że moja przychylność

dla miasta nie jest mniejsza niż wasza, a działalność korzystniejsza, oczywiście nie dla wojowników, bo ich; interesem jest wojna, lecz dla ludzi, którzy lubią spokojne życie. Jestem szczery i nie uzasadniam swej polityki, jak wielu innych, wzniosłymi frazesami, lecz przyznaję po prostu, że lubię nasze miasto i wolę swe pieniądze wydawać na przyjemności, niż płacić podatki, na przegraną wojnę. Uwierzcie więc też, że w sprawie tej mówię z przekonaniem: jeżeli wieść o śmierci Aleksandra okaże się fałszywa, to jasne chyba, że rozpoczęcie z nim wojny skończy się jak w Tebach. Jeżeli zaś istotnie zmarł, to zaduch jego zwłok wypełni cały świat i ukryć się tego nie da. Czy potem wszczynać wojnę z Antypatrem, który, jak powszechnie wiadomo, nie ma ani wyrozumiałości Filipa, ani wspaniałomyślności Aleksandra, czas się zastanowić, gdy okaże się, czy będziemy mieli do czynienia tylko z siłami, jakie dziś pozostają w ręku Antypatra, czy też z innymi jeszcze, o których nic nie wiemy.

Szmer, jaki wszczął się wśród zgromadzonych, zdał się wskazywać, że obrotny demagog potrafił wzbudzić wątpliwości i przygasić zapał, z jakim początkowo przyjęto wniosek Leostenesa. Hypereides, wzburzony i zawiedziony, gotował się do odpowiedzi, gdy uwagę odwrócił jakiś ruch i wszystkie oczy skierowały się ku człowiekowi przepychającemu się przez tłum. Ze zdziwieniem poznano Charidemosą, o którym wiadano, że bawi w Babilonie jako członek poselstwa. Tłum rozstępował się przed nim wśród podnieconych szeptów, a Charidemos zamiast niego wstąpił na mównicę. W napiętej ciszy przemówił:

— Wracam z Babilonu, by wam donieść: Aleksander nie żyje!

Burza okrzyków nie pozwoliła mu dalej mówić, ale czekał cierpliwie, aż przycichła, a gdy zaczął znowu, cisza zapanowała taka, że najdalej stojący słyszeli każde słowo:

— To nie pogłoska, którą, jak słyszę, próbowano

tu podać w wątpliwość, ale fakt pewny; dla nas jednak ważniejsze są skutki, jakie ta śmierć wywołała. Nigdy wprawdzie nie było jedności między Hellenami i Makedonami a Azjatami, którą Aleksander wszelkimi sposobami starał się wprowadzić. Ale nie ostygły jeszcze jego zwłoki, gdy wyszła na jaw zupełna bezowocność jego zamierzeń. Nie wymiesza oliwy z wodą, jeno zaprzestać beltania — rozdzielią się. Ale nie dosyć na tym. Zapanował nie tylko rozłam między zdobywcami a podbitymi. Nie ma jedności nawet między samymi Makedonami czy Azjatami. Ledwo udało mi się z narażeniem życia wyjechać z Babilonu, bo wszystkie drogi zamknęła jazda macedońska, którą wśród walki piesze wojska wyparły z miasta. Nie ma jedności i wśród Azjatów. Podobno Roksana czy jej brat Itanes zamordowali rzekomo małżonki Aleksandra — Stateirę i Parysatydę. Każdy chce urwać ze spadku po Aleksandrze swój udział, a odsunąć innych. Nie zrośnie się rozbite państwo Achemenidów, rozleci się państwo Aleksandra. Podniósł głos i krzyknął:

— Naszym udziałem, udziałem Hellady, jest wolność.

Wzgórze zatrzęsło się od wrzasków. Długo trwało, nim ucichły na tyle, że mógł zakończyć:

— Ale udziału naszego nie otrzymamy z niczyjej łaski. Sami go wziąć musimy. Demostenes, u którego byłem z wieścią, kazał wam rzec, iż nie zważając, że od roku nie widział małżonki swej i dzieci, natychmiast udaje się do Elidy, Sikionu, a nawet do Argói i Messeny, choć te są w przymierzu z Macedonią, by imieniem Aten i pod ich przewodem wezwać państwa te do przystąpienia do związku mającego na celu zrzucenie macedońskiej hegemonii. Wnoszę o wyznaczenie posłów do wszystkich państw helleńskich z wezwaniem do walki o wolność i zatwierdzenie Demostenesa jako jednego z nich.

Wieść o śmierci Aleksandra i wywołanym przez nią wstrząsie dotarła też do Pelli, a gdyby doświadczony Antypater nie domyślał się skutków, jakie ona wywoła w Helladzie, wątpliwości rozproszyłoby przybycie płatnych przez niego demagogów — Pytheasa i Kallimedona. Po uchwałach, jakie zapadły w Atenach, zbiegli, pewni, że z chwilą powrotu Demostenesa głowy ich niewarte nawet obola. Mianowany posłem wraz z Hypereidesem i Polyeuktosem objeżdża państewka helleńskie, by je nakłonić do wspólnej wyprawy na Macedonię. Pozbawiony praw i czci Demades stracił możliwość wpływu na bieg spraw.

Antypater nie wątpił, że zabiegi ateńskich posłów odniosą skutek, a wyzbyta z sił Macedonia nie oprze się najazdowi. Wszystko, co mógł przeciwstawić, to trzynaście tysięcy wojsk pieszych i kilkaset sprzymierzonej jazdy tesalskiej. Jeżeli dopuści do opanowania i zniszczenia kraju, Macedonia znowu stanie się bezbronny łupem sąsiadów, u schyłku życia patrzeć będzie musiał na ruinę wszystkich swych osiągnięć. Takie są skutki wyrozumiałości Filipa i wspaniałości Aleksandra, niebaczących na jego przestrogi. Podstępne wroga trzeba dobić, gdy leży.

Gorycz Antypatra mieszała się z zaciętością. Rąk opuścić nie myślał. Najważniejsze zyskać na czasie. W drodze do kraju jest Krateros z dziesięcioma tysiącami weteranów, tysiącem łuczników perskich i 1500 Jazdy, nie wiadomo jednak, gdzie się obecnie znajduje. Najbliższe siły, na jakie można by liczyć, to Leonnatos, satrapa Małej Frygii w Azji Mniejszej. Gdyby Aleksander nie zezwolił Atenom na rozbudowę wojennej floty, drogą morską dałoby się ściągnąć odsiecz w ciągu kilkunastu dni. Ta droga jednak zamknięta. Leonnatos maszerować musi wybrzeżem, niewątpliwie również nie bez przeszkód, kiedy przybędzie, trudno przewidzieć. Tymczasem trzeba samemu działać.

Znając Helladę jak własną dłoń, Antypater liczył też na istniejące w niej przeciwieństwa i sąsiedzkie

porachunki oraz na niedołęstwo i małoduszność przywódców. By to wykorzystać, natychmiast wysłał swoje poselstwo, przyłączając do niego obu zbiegów ateńskich, z groźną zapowiedzią, że dla buntowników nie będzie miał żadnych względów, a sam nie czekając na wynik postanowił wyruszyć: Jak ongiś Aleksander, czy on sam w czasie wyprawy przeciw spartańskiemu Agisowi, zaskoczy państewka helleńskie, zanim zdążą się porozumieć, i zmusi nie tylko do uległości, ale nawet do współdziałania.

Przewidywania Antypatra tylko częściowo okazały się trafne. Beocja odmówiła wprawdzie zezwolenia na przemarsz, Akarnania nie przystąpiła do związku przeciw Macedonii, przystąpiły do niego natomiast sprzymierzone z Antypatrem Argos i Messena, na które liczył.

... Demostenes odniósł tam triumf krasomówczy, który stawiał na równi z odniesionym swego czasu w Tebach Antypater wieść o tym przyjął spokojnie, ale powiedział:

— Bogowie pozwolą, że przeniewierców spotka podobny los jak Teby. Ten zaś, który ich do przeniewierstwa nakłonił, nie ujdzie bezkarnie.

Tymczasem jednak Demostenes kroczył od triumfu do triumfu. Arkadię pozyskał dla związku, przystąpiły do niego Etolia, Leukas, Karistos, Hestiaia, Elida, Sikion i państewka środkowej Hellady. Jak pod Cheroneą, brakło tylko Sparty. Gdy Hypereides posłując tam przestrzegał Spartan, żeby nie powtórzyli błędu, jaki zemścił się nie tylko na innych państewkach helleńskich, ale na samej Sparcie, zmuszonej potem do samotnej walki z Antypatrem, najgroźniejszym wrogiem helleńskiej wolności, otrzymał drwiącą odpowiedź, że dla Sparty korzystniejszą będzie, by wrogowie bili się między sobą, a ona swoje siły zachowa do walki z tym, który wygra.

Hypereides zrozumiał, że przyczyną odmowy jest udział w związku odwiecznych wrogów Sparty — Argos i Messeny, który nie równoważył jej braku. Tak

więc największy triumf Demostenesa nie przyniósł związkowi korzyści. Gdy w powrotnej drodze posłowie ateńscy spotkali się w Koryncie i Hypereides wspomniał o tym, Demostenes przyciął zjadliwie:

— Rozumiem, że przykro ci, iż nie zdołałeś nakłonić Sparty do walki, tym bardziej że ja potrafiłem przekonać nawet macedońskich sprzymierzeńców. Ale nie trap się, nie tylko obędziemy się bez Sparty, ale nawet lepiej, że nie weźmie w walce udziału, bo jak sami mówią, zwykli rozkazywać, a nie słuchać. Po zwycięstwie sobie przypisałiby główną zasługę.

— Mnie jest obojętne, komu przypisana zostanie zasługa — odparł Hypereides — niechby nawet tobie. Zależy mi na samym zwycięstwie, a z udziałem Sparty byłoby pewniejsze.

— Sądziłem, że zależy ci na sławie i wielkości naszego miasta, przekazanych przez przodków w najdroższym dziedzictwie.

— Byłoby lepiej, gdybyś umiał kroczyć w ich ślady, a nie tylko chwalić.

Demostenes odwrócił się ze złością. Hypereides zgodził się na współpracę z nim, ale nie zmienił swego zdania, któremu dał wyraz oskarżając go w procesie Harpalosa, a Demostenes nie zapomniał nawet w dniu największego w swym życiu triumfu, że Hypereidesowi w znacznej mierze zawdzięcza największe w życiu upokorzenie; w Aiginie czekał na Demostenesa wojenny trójrzędowiec ateński, a gdy wioząc go zawiął do portu w Pireusie, ludność miasta, nie Wylączając niewiast i dzieci, z członkami urzędów wyległa na jego powitanie. Zaslana kwieciami droga z portu do miasta wzdłuż Długiego Muru zdała się mówcy być krótka, chciałby tak jechać w nieskończoność, upojony własną wielkością. Takiego powitania nie zgótowały Ateny nawet wracającemu z wygnania Temistoklesowi, zwycięzcy spod Salaminy, tak nie witały powrotu do władzy Peryklesa, twórcy wielkich Aten.

Prawomocnego wyroku, skazującego Demostenesa

na grzywnę, nie można było jednak uchylić, a mówca nadal nie mógł jej zapłacić.

Tesmoteci i tu znaleźli wyjście: przyznano Demostenesowi sumę pięćdziesięciu talentów na ozdobienie ołtarza Dzeusa Sotera, bez obowiązku składania rachunku.

Wobec panującego w mieście nastroju nikt nie ważył się sprzeciwić, a nieprzyjaciele Demostenesa po cichu jeno powtarzali uwagę Fokiona, że Demostenes stał się tak wielki, iż Dzeus płaci za niego długi.

Nikt zresztą nie zwracał na nich uwagi, stronnictwo wojny z każdym dniem zyskiwało na znaczeniu, w miarę jak napływały posiłki państw sprzymierzonych. Miasto żyło w nieustającym podnieceniu, zapal wojenny wzrastał, w miarę jak wzrastały siły, jakich Hellada nie zgromadziła od czasu wojny z Filipem. Tym razem jednak Los zdał się obiecywać zadośćuczynienie za klęskę i hańbę Cheronei. Antypater nie jest Filipem, a siły, jakie może przeciwstawić najazdowi, nie dostoją samym nawet ateńskim. Toteż wiadomość, że wkroczył do Tesalii i ciągnie naprzeciw, spotkała się z kpinami. Wyruszające przeciw niemu wojska żegnano jak już zwycięskie.

Po ich odejściu przerzedziło się w Atenach, oczekiwane z niecierpliwym napięciem wieści rychło nadeszły. Mianowany polemarchą wojsk sprzymierzonych Leostenes doniósł, że złamał opór Beotów i przez Orchomenos i Elateę ciągnie na Termopile, by przebyć wąskie przejście między zatoką a górami, zanim zamknie je Antypater. Jednocześnie potężna flota ateńska zajęła Hellespont odcinając Antypatra od pomocy, jaką mógł otrzymać od małoazjatyckich satrapów.

Na następną wieść trzeba było czekać dłużej, ale gdy nadeszła, miasto ogarnęło upojenie: wojna skończona, Antypater nie zdołał obsadzić Termopil, Leostenes uprzedził go, przeciągnął na swoją stronę sprzymierzoną z Antypatrem Tesalię, jazda tesalska w czasie bitwy zwróciła się przeciw niemu dopełniając

klęska, po której z trudem udało mu się z resztą swych wojsk wycofać do Lamii, gdzie zamknięty ma do Wyboru poddać się lub zginąć. Leostenes wyrastał na herosa, wśród powszechnego zapału uchwalono mu wieńce zwycięstwa i posąg, zarządzono nabożeństwa i ofiary dziękczynne. Świąteczny nastrój odciągał od codziennych zajęć, nieustające uczty, iluminacje i procesje zdały się zapowiedzią powrotu złotego wieku, hegemonii Aten, której już nic nie zagrozi.

Ostateczne zwycięstwo zdało się tak pewne, że sprzymierzeni Etolczycy odeszli do domu. Wiadomość o tym w Atenach nie zrobiła wrażenia, nadmiar wojsk przy oblężeniu niewielkiego miasta raczej przeszkadza i rozluźnia karność w beczynności. Tylko Fokion na wieść o tym przypomniał bajkę Ezopa o wyścigu żółwia z zającem, ale nikt nie zważał na zgryźliwego starca. Macedoński żółw w swej skorupie może tylko zdechnąć z głodu, bo jeśli, waży się wystawić łeb, zostanie ścięty.

Nię tak lekko odniósł się do tej sprawy Leostenes. Przykład Etolczyków może podziać na innych sprzymierzeńców, a co gorsze, otrzymał wiadomość, że satrapa Małej Frygii Leonnatos z dwudziestokilkutysięczną armią nadciąga. Wieść nie była sprawdzona, może rozmyślnie rozpuścił ją Antypater, niemniej była prawdopodobna, bo jednocześnie rozeszła się pogłoska o klęsce zadanej flocie ateńskiej w Hellesponcie przez macedońską pod wodzą Klejtosa Białego. Ostrożność nakazywała kończyć bezzwłocznie, by zapobiec walce pod murami oblężonego miasta z siłami niewiele mniejszymi niż własne.

Zamknięty w warowni Antypater nie mógł jednak wiedzieć o zmianie położenia i Leostenes natychmiast wysłał do niego poselstwo ofiarując mu swobodne wyjście pod warunkiem złożenia broni, zaprzysiężenia wieczystego pokoju i zwrotu utraconych w wojnach wszystkich posiadłości ateńskich. W razie odmowy zagroził wyrżnięciem całej macedońskiej załogi. Gdy zajadły starzec nie udzielił nawet odpowiedzi, Leo-

stenes postanowił złamać jego upór jednym uderzeniem, które sam poprowadził.

Przedłużające się święto zwycięstwa w Atenach zakończyła mniej radosna uroczystość, pogrzeb Leostenesa, który w czasie natarcia ugodzony kamieniem w głowę zmarł po trzech dniach. Wzięły w pogrzebie udział poselstwa państw sprzymierzonych, co świadczyło o zaufaniu, jakie młody wódz zdołał sobie za skarbić w tak krótkim czasie, zarazem jednak podkreślało stratę. Zarządzono żałobę państwową, skończyły się uczty i uroczystości, a wraz z nimi upojenie zwycięstwem, które nie wydawało się już tak pewne. Sprawdziły się obawy Fokiona, że wojna się przedłuży i może nie starczyć na nią zarówno środków, jak i zapłału, potwierdziła się wieść o klęsce floty ateńskiej i o nadsięganiu odsieczy Leonnatosy. Minął już Olimp i szybkimi marszami zmierza pod Lamię. Obsadzenie stanowiska naczelnego wodza stało się naglące.

Zmianę nastroju w Atenach odczuł natychmiast na własnej osobie Demostenes. Mowę pogrzebową ku czci Leostenesa zlecono nie jemu, lecz Hypereidesowi; co gorzej — Fokion odzyskiwał znaczenie. Nie było wodza równego mu doświadczeniem i uznaniem, jakim cieszył się w całej Helladzie. Nawet na naradzie przywódców stronnictw wojny podniosły się głosy, by na powszechnym zgromadzeniu jego osobę wysunąć jako następcę Leostenesa.

Demostenes sprzeciwił się gwałtownie: nic to, że Fokion jest zgrzybiałym starcem, gdy potrzebny jest rłłody dowódca, zdolny do ponoszenia trudów wojennych i jak Leostenes — świeceni własnym przykładem męstwa. Fokion był wojnie przeciwny i będzie zmierzał do najszybszego jej zakończenia za wszelką cenę, na każdych warunkach. Sam nie przeczy, że jeśli przyjacielem Antypatra, i nawet w razie zwycięstwa będzie usiłował ocalić najbardziej zawziętego wroga helleńskiej wolności. Na następcę Leostenesa najlepiej nadaje się Antyfilos, który już zyskał pewien mir

jako dowódca, a niewątpliwie uczyni wszystko, by sławę swą powiększyć i utrwalić.

— Nie przeczę, że należałoby raz na zawsze pozbyć się Antypatra — wtrącił Hypereides — ale by to uczynić, należy odnieść zwycięstwo. W obecnym położeniu jednak potrzebny jest wódz nie tylko doświadczony, ale mający powagę u sprzymierzeńców, których zapął do wojny, jak świadczy przykład Etończyków, przygasa. Nie widzę go już zresztą i u naszego motłochu od chwili, gdy skończyło się ucztowanie na koszt państwa. Fokion jest człowiekiem uczciwym, jeżeli przyjmie dowództwo, będzie walczył w miarę swych możliwości. Jego przyjaźń z Antypatrem nie przeszkadzała mu zwycięsko walczyć z Filipem.

— A nam może się przydać w razie, gdyby sprawy wzięły zły obrót — zauważył ktoś.

Demostenes wybuchnął gwałtownie:

— Czy można się dziwić, że zapął do wojny przygasa wśród, jak go zowiesz, motłochu, gdy nie widzę go wśród nas? Czy to nie z twej strony, Hypereide, spotkał mnie ongiś zarzut, że z obawy o własną sikorę stałem się ugodowy? Czy nie trafia on w ciebie, skóro najwyższą władzę wojenną powierzyć chcesz człowiekowi, o którym wiadomo, że wojnie jest przeciwny i będzie skłonny do układów?

— Ja stwierdzam tylko, że Fokion jest najzdolniejszy z przywódców, jakich przedstawić możemy zgromadzeniu — zimno odparł Hypereides. — I że za zwycięstwo gotów byłbym nawet zrzec się głowy Antypatra, który jest stary i niedługo już będzie mógł grozić naszej wolności. Nie ja wysuwam Fokiona, ale powszechnie mówią o nim w mieście, zapewne właśnie w nadziei na szybkie zakończenie wojny. Nie mam jednak nic przeciw temu, byś przeprowadził wybór Antyfilosa, jeżeli potrafisz. Jeżeli zaś nie będę przemawiał przeciw wyborowi Fokiona, to dlatego, że nie chcę być znowu świadkiem nikczemnego odwoływania się do Fokiona dla ratowania głów, choćby mojej, a tym mniej twojej, dopiero wtedy, gdy sprawa jest

beznadziejna; i do jego przyjaźni z Antypatrem, jak swego czasu z Aleksandrem, za którą groziłeś mu śmiercią.

— Nie troszcz się o moją głowę i bądź spokojny, że ja potrafię przeprowadzić wybór Antyfilosa, byle mi nikt z was nie przeszkadzał.

— Wybierajcie, kogo chcecie, byle prędko — zakończył spór Moirokles. — Wojsko bez wodza jest tłumem podatnym na popłoch z byle powodu, a czeka je walka z Leonnatosem, jednym z najbieglejszych wodzów Aleksandra.

Wybór mało znanego Antyfilosa ułatwił sam Fokion. Gdy bowiem na zgromadzeniu z wielu stron padało jego imię, na mównicę wstąpił jakiś stary człowiek i przemówił:

— To prawda, że nie ma godniejszego niż Fokion człowieka, któremu losy wojny można by powierzyć. Ale położenie nie jest bynajmniej tak złe, by trzeba było sięgać do tej ostatniej nadziei, jaką w nim pokładamy, bo niejednokrotnie wyratował nas, gdy wszystko wydawało się stracone. Jako jego przyjaciel i ongiś szkolny towarzysz proszę was przeto: oszczędzajcie go. Jest starcem, którego trudy wojenne mogą 'wykończyć, i do kogóż zwrócimy się, gdyby — niechaj bogowie ustrzegą — znowu trzeba było ratować ojczyznę z najgłębszej toni? Póki nie zajdzie ostateczna potrzeba, niech korzysta z dobrze zasłużonego spoczynku, a trudem obarczmy młodego Antyfilosa. Odznaczył się już męstwem, nie będzie się oszczędzał, by zdobyć sławę, która dla Fokiona jest już chlebem powszednim. Stawiam wniosek, by ustanowić polemarchą Antyfilosa.

- Ja popieram wniosek tego człowieka — zabrał głos Fokion. — Wprawdzie zgola go nie znam, nigdy z nim do szkoły nie chodziłem ani nie byłem jego przyjacielem. Ale będę nim od dziś, ponieważ postawił wniosek, który jest mi bardzo na rękę. Nie dlatego, bym się nie czuł zdolny do ponoszenia trudów. Ale nie chcę ponosić odpowiedzialności za wynik woj-

ny, Którą rozpoczęto wbrew memu zdaniu, obiecując wam, że będzie krótka i łatwa, a już obecnie widać, że będzie ciężka i przewlekła. Gdybyście jednak mimo wszystko mnie chcieli ustanowić polemarchą, to muszę przyznać, że gdym powrócił z wyprawy przeciw Filipowi, udaremniwszy jego zamiar zdobycia Bizancjum i zamknięcia nam drogi zbożowej, Demostenes oświadczył, że tylko rany chronią mnie przed podejrzeniem, iż rozmyślnie wypuściłem z pułapki flotę macedońską. Antypater, mój przyjaciel, jest wodzem biegłym. Każde niepowodzenie w walce z nim będzie mi poczytane za rozmyślne. Nie dziwiecie się przeto, iż nie chcę, by chlebem powszednim stała się dla mnie hańba.

Po tym przemówieniu jednomyślnie wybrany został na wodza Antyfilos. Przygnębienie wywołane śmiercią Leostenesa ustąpiło, niemniej z niepokojem oczekiwano nieuniknionej walki z Leonnatosem. Mąż w pełni sił, od pacholęcia zaprawiony do wojny, wsławiony zarówno osobistym męstwem, jak bezwzględnością i okrucieństwem przy złamaniu powstania Oreitów, zapowiadał się jako groźny przeciwnik młodego wodza helleńskiego, mimo zmęczenia wojsk macedońskich dalekim i pośpiesznym marszem. Gdyby Leonnatos zdążył połączyć się z Antypatrem, Hellenów czekałaby ciężka i niebezpieczna przeprawa.

Antyfilos potrafił temu zapobiec. Nocą potajemnie zwinął oblężenie Lamii i pośpieszył naprzeciw nadciągającego Leonnatosa. Antypater, który natychmiast ruszył w ślad za nim, nie zdążył wziąć udziału w bitwie. Leonnatos, prowadząc uderzenie jazdy, poległ zaraz z początku bitwy, jazda poszła w rozsypkę, pozbawione jej osłony i wodza wojska piesze schroniły się na wzgórza przed uderzeniem zwycięskiej jazdy helleńskiej. Gdy nadciągnął Antypater, bitwa była skończona. Nie podjął jej, widząc wyczerpanie wojsk Leonnatosa uciążliwym marszem, zniechęconych śmiercią wodza, a obawiając się odcięcia od kraju wobec zdrady ze strony Tesalii, wycofał się, pozostawiając chwałę zwy-

cięstwa Antyfilosowi. Ale tylko zwycięstwa w bitwie. Znał Helladę i wiedział, jakie będą tego skutki: sprzymierzeńcy syci chwały odejdą do domów, a wobec wzmocnienia sił Macedonii wojskami Leonnatosa najazd na nią już nie grozi. Antypater tymczasem osiągnął swój cel. Gdy doczeka nadejścia Kraterosa, pora będzie raz na zawsze rozprawić się z buntownikami.

Sprawy wewnętrzne Macedonii, w szczególności dziedzictwo po Aleksandrze, również wymagały poświęcenia im czasu i uwagi Antypatra, a zwłaszcza jego obecności w kraju. Najpilniejszą było ułożenie stosunków z Kraterosem. Mianowany przez Aleksandra następcą Antypatra jako strategos Europy, gdyby zechciał obstawać przy objęciu stanowiska, znajdzie poparcie przeciwników poprzedniego wielkorządcy, a przede wszystkim Olimpiady. Ulubieniec wojsk wodzem jest mężnym i doświadczonym, ale człowiekiem prostodusznym, niezdolnym do kierowania zawiłymi sprawami, a ślepe przywiązanie do Aleksandra i jego rodziny łatwo może uczynić go narzędziem w ręku Olimpiady. Antypater ani nie może przekazać mu swego stanowiska, ani doprowadzić do wewnętrznych walk w chwili, gdy walka z Helladą jeszcze nie skończona.

Odcięty w Lamii od wieści, Antypater zbierał je w powrotnej drodze rozmyślając, jak je wykorzystać do swego celu, który był jeden i jasny: utrzymanie zdobytej przez Filipa macedońskiej hegemonii w Helladzie. Nie wątpił natomiast, że rozkład monarchii Aleksandra już się rozpoczął, i nie zamierzał niczego przedsięwziąć, by temu zapobiec. Zawsze uważał ją za efemerydę i za złe miał królowi, że dla swego szalonego pomysłu wytraca najlepsze siły własnej ojczyzny. Rozpoczęta po śmierci króla walka między jego strategami skończyła się wprawdzie ugodą, a przewagę wśród wodzów Aleksandra zdołał utrzymać Perdikkas przy współdziale Eumenesa, zmierzając do zachowania w całości dzieła zmarłego króla.

Ale w treści ugody, doświadczony Antypater już

widział zaczątki rozkładu. Nowy podział satrapii odsunął Azjatów od władzy, którą Aleksander roztropnie dzielił, zarząd skarbu i dowództwo wojsk oddzielając od sądownictwa i administracji. Nowi satrapowie zapewnili sobie pełnię władzy równą królewskiej. Antypater, znając ich, przewidywał, że zechcą ją sprawować we własnym imieniu.

Do tej sprawy odniósł się obojętnie, sam sprawował pełnię władzy w Macedonii, natomiast poruszała go załatwiona również w ugodzie sprawa następstwa tronu. Wbrew woli zmarłego króla i wiernego jej Perdikkasa, wojska piesze królem ogłosiły nieprawego syna Filipa — półgłówka Arridajosa, pod imieniem Filipa III, a zgodziły się jedynie, by urodzony po śmierci ojca syn Roksany, Aleksander, został jego następcą. Tkwilo w tym zarzewie przyszłych walk o tron Macedonii, zwłaszcza gdyby wmieszała się w nie Olimpias ze swą zajadłą nienawiścią do wszystkich nieprawych potomków Filipa. Tymczasem jednak obu królów miał w rękę Perdikkas i starał się utrzymać na urzędach Azjatów, by nie otworzyć na nowo przepaści między zdobywcami a podbitymi, którą usilnie starał się zasypać Aleksander. Ale i Perdikkas na równi z innymi hetajrami oddalił swą perską małżonkę. Zamierzony przez Aleksandra związek między Azją a Europą nie będzie trwalszy niż zawarte na jego rozkaz małżeństwo.

Od pacholęcia nawykły widzieć w Antypatrze najwyższego w państwie dostojnika, który nawet królowi potrafił narzucać swą wolę, Krateros bez sprzeciwu uznał nadrzędne stanowisko Antypatra, a zawarte porozumienie utrwalone zostało związkiem z jego córką, Filą. Drugą, Nikaję, Antypater postanowił swatać Perdikkasowi, ubiegając Olimpiadę. Gdyby jej bowiem udało się porozumieć z Perdikkasem zyskując jego poparcie i dostać w ręce zarówno wnuka, jak i Arridajosa, natychmiast załatwiłaby sprawę następstwa po nim i imieniem małego syna Roksany objęła regencję. Dla wywarcia zemsty nad znieawia-

dzonym Antypatrem i jego stronnikami gotowa zawrzeć ugodę z Helladą i zaprzepaścić krwawo wywalczoną przewagę Macedonii.

Weselne przygotowania nie przerwały przygotowań wojennych, układy z Perdifikasem zakończyły się pomyślnie. Wiosną Nikaja z żalem żegnała ojca i rodzeństwo, by udać się do małżonka, którego w Azji zatrzymywały walki ze zbuntowanymi najemnikami helleńskimi, stłumienie powstania Pizydów i wprowadzenie Eumenesa siłą w posiadanie nadanej mu satrapii Kapadocji. Wezwany po to Antygonos odmówił posłuszeństwa, jawnie już nie uznając nadrzędnej władzy regenta. Także Ptolemaios niewątpliwie zmierzał do, stworzenia z satrapii egipskiej niezależnego państwa, samowolnie włączając do niej Kyrenę. W Azji gotowało się starcie między diadochami w Macedonii jednak stała już w pogotowiu potężna armia. Pierwsza Tesalia miała zapłacić za zdradę, potem przyjdzie kolej na Ateny, wiecznego podżegacza do przemieszania i buntu. U kresu długiego żywota, od najmłodszych lat poświęconego służbie swej ojczyzny, Antypater chce ją zostawić silną i bezpieczną. Wrogów zgniecie tak, by nie powstałi więcej.

Zwycięzca Leonnatos, Antyfilos, nie tylko nie otrzymał wieńca, lecz spotkał się z zarzutami, iż wypuścił z pułapki Antypatra. Nie święcono zwycięstwa, którego jedynym skutkiem było odejście sprzymierzeńców. W skarbcu brakło pieniędzy, a w spiżarniach zboża, klęska floty ateńskiej odcięła Attykę od rynków pontyjskich, cło wywozowe podrażało egipską pszenicę. Jak przepowiedział Fokion, wojna przewlekła się, a na jej prowadzenie brakło i środków, i zapłału. Stronnictwo wojenne coraz bardziej traciło zwolenników; jeżeli nie mówiono o układach, to jedynie dlatego, że Ateny tylekroć złamały zaprzysiężone warunki, iż nie można było liczyć na łatwowierność okrutnego wroga. Rozgoryczenie i przy-

gnębieni zwracało się przeciw tym, którzy wojnę wywołali, nie oszczędzając nawet czczonego do niedawna jako bohatera poległego Leostenesa. gdyby zamkniętemu w Lamii Antypatrowi ofiarował warunki łagodne, mógł być zakończyć wojnę jako zwycięzca. Antypater zechce i potrafi odplacić okazaną mu wówczas bezwzględność.

Poległemu wodzowi nie można było jednak wytoczyć procesu, a nie wytoczono go pozostałym przywódcom stronnictwa wojny, bo wobec niemożności zawarcia pokoju byli niezbędni. Demostenes do upadku sił przez całą zimę objeżdżał opiesziałych sprzymierzeńców, potęgą swej wymowy usiłując ich przekonać już nie o łatwości zwycięstwa, lecz o wielkości grożącego niebezpieczeństwa, któremu tylko wspólny wysiłek całej Hellady stawić może czoło. Pominął jedynie zawsze wrogich Beotów, a nie potrzebował zachęcać do najwyższego wysiłku Tesalii, która — najbliższej położona Macedonii — pierwsza miała odczuć skutki popełnionego przestępstwa.

Doszczętnie wyczerpany Demostenes powrócił na przedwiośniu do Aten, przywożąc przyrzeczenie dostawy kontyngentów sprzymierzonych i ku swej uldze zastał przygotowania wojenne w pełnym toku. Hypereides, Polyeuktos, Moirokles, Damon i inni przywódcy stronnictwa nie tracili również czasu, udało im się opanować przygnębienie i zniechęcenie, zmusić bogaczy do uzupełnienia floty, zaopatrzyć miasto w zboże.

Nie wypocząwszy nawet po podróży, mimo sprzeciwu żony, Demostenes jął się pracy nad siły. Czuł, że nadchodząca walka będzie ostatnia, klęska oznaczałaby nieodwołalny kres wolności Aten i własnego życia. U jego schyłku nachodziła go wątpliwość, czy wysiłek nie był daremny i czy droga obrona wiodła, do celu. Wolności nie można podarować ani nikomu narzucić. Dla kogo nie jest droższa nad życie, ten na nią nie zasługuje. Ale nie pora była na rozważania i na wycofanie się z walki.

Idąc na zebranie przywódców swego stronnictwa Demostenes z niechęcią ujrzał Demadesa. Sprzedawczyk, na jego wniosek pozbawiony praw i czci, nie pokazywał się w mieście, dopóki upojenie pewnością zwycięstwa nastrajało ateński demos wrogo względem zwolenników układów. To że Demades znowu wypełznął na rynek, świadczyło, iż obywatele dopuszczają myśl o niepowodzeniu i wolą nie zrażać sobie ludzi, którzy w razie klęski mogą okazać się przydatni.

Demostenes chciał wyminąć Demadesa, ale ten zaczął go, mówiąc:

— To ja raczej mógłbym udawać, że cię nie widzę, skoro niezbyt pięknie odwzięczyłeś mi się za wytargowanie od Aleksandra twojej głowy. Ale ponieważ mi za to zapłaciłeś, wolno ci nie poczuwać się do wdzięczności. Chciałem cię jednak uprzedzić, że gdyby zażądał twojej głowy Antypater, nie podjąłbym się jej od niego wytargować. Nawet nie dlatego, bym do ciebie chował żal, ani nawet nie dlatego, że nie masz pieniędzy, by mi zapłacić. Choć nazywasz mnie łotrem, jestem w przeciwieństwie do ciebie na tyle uczciwy, że nigdy nie brałem pieniędzy z góry, wiedząc, iż nie potrafię wywiązać się z tego, za co mi płacą.

— A ja chciałem cię przestrzec — ze złością warknął Demostenes — że jeżeli będziesz nadal odbierał ducha obywatelom przepowiedniami klęski, skończy się to dla ciebie gorzej niż hańbą i pozbawieniem praw.

— To może w wypadku, gdybyśmy zwyciężyli — odparł Demades. — Ale mimo to nie dlatego przewiduję klęskę, bym jej sobie życzył. Ja zawsze umiałem rozróżniać to, czego chcę, od tego, co możliwe i prawdopodobne. Ty zaś nigdy. Spróbuj jednak raz spojrzeć rozsądnie na samego siebie. Że, przed Cheronęą szedłeś do wojny z Filipem, to mogę zrozumieć, bo wtedy sam wierzyłem w możliwość zwycięstwa. Gdy po naszej klęsce Filip — może dzięki

mnie — okazał umiar, jakiego nikt nie mógł się spodziewać, zamiast postawić na konia, który udowodnił już, że potrafi wygrywać, i nadal poganiałeś kulawą szkapę ateńską do wyścigu z nim. Cóżes zyskał dla miasta i dla siebie? A czy Filip nie był lepszy od Aleksandra? Po zwycięstwie wydał nam bezpłatnie jeńców i poległych, ani jeden jego żołnierz nie przekroczył naszych granic. I nie tylko nie zażądał twojej głowy, ale chciał kupić twoją gębę. Ty wolałeś ją sprzedać za darejki ...

— Ty śmiesz mnie zarzucać sprzedajność?! — wybuchnął Demostenes;

Demades jednak odrzekł spokojnie:

— Mówimy w cztery oczy, mnie ich nie zasypiesz piaskiem. Czy Aleksander z kolei nie był lepszy od Antypatra? Zażądał wprawdzie twojej głowy po zwycięstwie, ale machnął na nią ręką, wszystko jedno, Czy przez wspaniałomyślność, czy przez lekceważenie. Pozwolił nam rządzić się swymi prawami, zakazał Antypatrowi mieszać się w nasze sprawy, odesłał nam złupione przez Mardonisa skarby i pamiątki, odbudował helleńskie świątynie, przesłał bogate dary opiekunce miasta...

— I tobie też. Przestań już chwalić swego dobroczyńcę i powiedz, do czego zmierzasz.

— To ja chciałbym wiedzieć, do czego ty zmierzasz. Skutki twojej polityki są jasne nawet dla ślepcy, ale nie dla ciebie. Że twój ojciec był zwolennikiem wojen, nie dziwię się, bo był fabrykantem broni. Ale fabrykę rozkradli przecie twoi zacni opiekunowie. Skąd u ciebie, cherlaka i tchórza, ta wojowniczość? Nie przerywaj mi, nie chcę cię obrazić, tylko pomóc ci w poznaniu samego siebie. Gdybyśmy choć po Cheronei podjęli szczerze współpracę z Macedonią, Hellada byłaby pierwsza w państwie Aleksandra, który na równi z Filipem miał słabość do naszej wiedzy i sztuki, a pierwszeństwo w niej przypadłoby Atenom. Do wojny — jak się okazało — nie byliśmy mu potrzebni, ale tu było słońce helleńskiej kultury, tu

zostawały pieniądze, które posyłał Arystotelesowi na jego badania, tu do Lykeion ściągają bogata młodzież, podnosząc zasobność i znaczenie Aten. Cóż się uczynił, by jaśniej świeciło „słońce Hellady”? Wygryzłeś Arystotelesa nawet nie za to, że był przyjacielem Aleksandra, bo poróżnili się ostatnio, ale za to, że twoje mowy uznał za afektowane, niskie i podłe. Nie przecz, ja za dobrze wiem, co się dzieje w Atenach, nie byłeś obcy temu, że hierofant Eurymedon wytoczył Arystotelesowi proces o bezbożność. Gdyby filozof nie uciekł, do sławy naszego miasta przyrosłby jeszcze jeden piękny i sprawiedliwy wyrok.

— Kończ i mów, o co ci chodzi?

— Nie dziwię się, że ucieszyła cię śmierć Aleksandra, bo to pozwoliło ci wrócić do miasta. Rozumiem ciebie, ja też nie chciałbym żyć poza Atenami. Ale tego było ci mało, znowu zacząłeś judzić, nie dasz nikomu spokojnie żyć, zaś głupi motłoch witał cię tak, jakbyś to ty pokonał Aleksandra, a owoce tego zwycięstwa przypadły Atenom. Przrzekałeś wojenką krótką i łatwą, mimo że Fokion przestrzegał, a on lepiej niż ty zna Ateńczyków, jak i Antypatra. Teraz mnie i takim jak ja chcesz przypisać brak zapалу do wojny, gdy już się okazało, żeś się omylił. Liczysz na sprzymierzeńców; przypomnij sobie, jak Ateny obeszły się ze sprzymierzeńcami po cheronejskiej klęsce, a łatwo będziesz mógł przewidzieć, jak zachowają się po pierwszym niepowodzeniu, o które nietrudno przeciw takiemu wodzowi, jak Antypater...

— Czego chcesz? — ostro powtórzył Demostenep.

— Ślijcie do Antypatra. Ma prócz nas inne kłopoty, można by jeszcze uzyskać znośne warunki pokoju.

— Ile ci za tę radę zapłacił twój przyjaciel Antypater?

- Antypater przestał mi płacić od czasu, gdy pozbawiliście mnie głosu w sprawach publicznych, a ja przestałem być jego przyjacielem od czasu, gdy przesiłał mi płacić.

— Tedy ja ci zapłacę wzajemną radą: zniknij z Aten, bo gdy skończymy z zewnętrznym wrogiem, oczyścimy miasto z wewnętrznych.

— Dziękuję ci, ale nie posłuchałbym, nawet gdybym nie wiedział, że twoje rady zawsze wychodzą na złe. Jestem równie stary jak ty i jak ty nie lubię zmieniać przyzwyczajzeń. Wiem, co czeka mnie w razie zwycięstwa, a ciebie w razie klęski. Że naprawdę nie wierzę w zwycięstwo, niech ci będzie dowodem, iż zostanę w mieście. To jakby zakład, kto z nas trafniej przewiduje, a stawka są nasze głowy.

Demostenesowi coraz częściej przychodziło na myśl, że zakład przegra. W ciągu lata opieszale napływały szczupłe kontyngenty państw sprzymierzonych, wywołując w Atenach rozgoryczenie. Ciężar walki w rzeczywistości dźwigać miały Ateny z Tesalia. Zgromadzone siły, nierównie słabsze od tych, które zebrał Antypater, zdolne były tylko hamować jego pochód. Wkroczył już do Tesalii i niemal nie napotykając oporu posuwał się w głąb kraju pałac i tuiszcząc. Czekać nie było na co, Tesalia ponaglała o pomoc; gdyby pozbawiona jej załamała się, wojna byłaby przegrana.

Wojska sprzymierzona ruszyły na północ, by połączyć się ze zgromadzonymi w Krannon siłami tesalskimi, które gotowały się stawić opór Antypatrowi u przeprawy przez Peneios. —

Miejsce było dobrze obrane, schodząca z gór w równinę Tesalii rzeka, bystra i głęboka, stanowiła poważną przeszkodę, trzy i pół tysiąca nieźrównanej jazdy tesalskiej znieść może po kolei przepraw wiające się oddziały macedońskie, Antypater nie będzie mógł wyzyskać swej dwukrotnej przewagi liczebnej. Wodzowie sprzymierzeni byli lepszej myśli. Jeżeli zdołają powstrzymać pochód Antypatia w głąb Hellady, wkrótce będzie zmuszony zawrócić. Olimpias nie omieszka skorzystać z jego nieobecności, by

siłami Epiru zająć pozbawioną osłony Macedonia w której nie brak jej zwolenników.

Początek bitwy podniósł jeszcze na duchu sprzymierzone wojska. Jak było do przewidzenia, Antypater w pierwszym rzucie pchnął do walki całą swą jazdę. Zapieniły się wody Penekwu od kopyt pięćci tysięcy koni, fala uderzyła o brzegi, powstrzymała jednak ich pęd, a nim zdołały postawić kopyta na południowym, uderzenie jazdy tesalskiej jęło je spychać z powrotem w wodą i coraz częściej splywały z nią trupy jeźdźców i koni. Nie biorące w walce udziału tylne szeregi jazdy macedońskiej również spychał prąd i bitwa jazdy przesuwiała się ku wschodowi. Lewym brzegiem towarzyszył jej tysiąc pięćset ludzi liczący oddział perskich łuczników, pociskami usiłując razić jazdę tesalską, by umożliwić przyjscie do sprawy macedońskiej.

Gromadka wodzów helleńskich z radością śledziła pomyślny, początek bitwy, gdy przypadł do niej goniec z okrzykiem:

— Antypater przeprawia falangę — wskazał w górę rzeki, gdzie bystry jej prąd rozbijał się ó głazy.

Z helleńskich wodzów żaden nie przypuszczał, że tam można próbować przeprawy, ale dla weteranów Kraterosa niczym była wobec nocnej przeprawy przez górny bieg Tygrysu. Nim dopadły lekkie oddziały helleńskie, by zapobiec postawieniu przez Antypatia nogi na prawym brzegu rzeki, stał już na nim najeżony włóczniami mur dziesięcioletniego oddziału pedzetajrów, od którego bezsilnie odbiło się uderzenie helleńskich piechurów, pozostawiając pod tón rannych i poległych. Ale już śpieszyły z prawego skrzydła oddziały ciężkozbrojnych hoplitów i bitwa zaczęła się skupiać koło falangi, przybierając na zjadłości. Żyła jeszcze pamięć, jak trudno było pod Cheroneą poruszyć z miejsca ten żywy mur. Ale tam, cofając się, oparł się o skały, tu za plecami kłębiła się woda. Zepchnięcie w nią równało się zwycięstwu i każdy z walczących rozumiał, że należy to uczynić

najwyższym wysiłkiem. Póki Antypater nie przeprowadzi reszty swych wojsk, helleńska piechota ma dwukrotną przewagę liczby. Potem stosunek się odwróci. Ale do walczących w przednich szeregach wodzów helleńskich znowu przypadł goniec wołając: — Antypater przeprowadza wojska powyżej. Jasne się stało, że swą liczebną przewagę wykorzystuje, by rozciągnąć bitwę na jak największej przestrzeni, rozpraszając wojska helleńskie. Tylko jazdą można było temu zapobiec; trąby jęły ją wzywać do powrotu z pościgu. Antyfilos wycofał się z walki i z niepokojem patrzył na wschód, by powracając jazdę skierować w miejsce nowej przeprowy wojsk macedońskich. Ale te ujrział wcześniej. Nadciągały w szyku bojowym, grożąc uderzeniem na walczących Hellenów ze skrzydła i odcięciem im odwrotu. Cel bitwy, powstrzymanie pochodu Antypatra, był już chybiony, pozostało wyprowadzić nienaruszoną jeszcze siłę, by go przynajmniej opóźnić.

Trąby zagrały do odwrotu, który osłaniała jazda tesalska, ale nie ścigał ich nikt. Wojska sprzymierzone odeszły na zachód w kierunku wzgórz. Ciemność już zapadła, gdy ubezpieczwszy się stanęły na nich obozem. Mimo niewielkich strat zapanowało przygnębienie, a niemrawa zrazu narada wodzów nagle stała się burzliwa.

Gdy Antyfilos wezwał zebranych dowódców do głosu, nikt go nie zabrał. Jasne było, że wydanie Antypatrowi walnej bitwy w otwartym polu grozi klęską. Gdy wodzowie milczeli, sam zaczął:

— Nie mamy sił, by pobić Antypatra, dość jednak, by go powstrzymać. Nie udało się nam to na Peneiosie. Cofnijmy się do Termopil, tam nie potrafimy, jak tutaj, rozciągnąć bitwy; w wąskim przejściu setki mogą opierać się tysiącom, jak świadczy sławny przykład...

Nie skończył, bo dowódca jazdy tesalskiej Menon krzyknął:

— Jak świadczy sławny przykład Teb po cherońskiej klęsce, nas zostawicie pomście Macedończyka za złamanie przymierza, do czego wyście nas nakłonili zapewnieniem, że cała Hellada powstanie, by zrzucić macedońskie jarzmo. Oto jest cała Hellada — pogardliwie wskazał na dowódców nielicznych od działów sprzymierzonych.

— Nie wiń nas — przerwał zmieszany Antyfilos. — My wystawiliśmy całą siłę, na jaką nas stać. Sprzymierzeńcy, sami zagrożeni, zapewne też zdobędą się na najwyższy wysiłek. Gdy stawimy skuteczny opór w Termopilach, nasze siły wzrosną, macedońskie stopnieją, wówczas nastanie pora...

Menon znowu wpadł mu w słowo i skończył z gorzką drwiną:

— ...zawrzeć korzystny dla Aten pokój, a zniszczoną Tesalię pozostawić na łup Antypatra. Ty chcesz bronić Aten, a ja Tesalii. Ani jedną nogą nie przekroczymy jej granic. Nie jesteśmy zresztą potrzebni — dodał zjadliwie — skoro paręset ludzi — jak mówisz — starczy, by bronić przejścia przez Termopile. Jeno takich, jakich miał Leonidas, a nie takich, z których każdy myśli jeno o własnym ocaleniu, ciężar walki zrzucając na innych.

Niechętny pomruk rozległ się wśród zgromadzonych, ale Menon spozierał na nich wyzywająco. Antyfilos zapobiegł wybuchowi kłótni:

— Nie mówiłeś nic, gdy wzywałem do głosu, zabrałeś go sam. Jeśli widzisz lepsze wyjście, czemu przed nami taisz? Przedstaw je, a ja uczynię, co uchwalicie, choćbym miał lec tutaj lub co gorzej, jak Lizykles po Cheronei, dać głowę w Atenach.

Menon pomiarkował się i odparł:

— Póki jeszcze jesteśmy razem, Antypater bardziej musi się z nami liczyć, niż gdy się rozejdziemy, bo co rzekłem, tego nie cofam. Ślijmy do niego o pokój. On wie, że nasza dzisiejsza porażka to jeszcze nie ostateczne jego zwycięstwo, a nie wie, ile mu przyjdzie za nie zapłacić. I on woli oszczędzić swe siły

a dla nas każdy pokój lepszy niż przegrana wojna. Przynajmniej unikniemy strat i zniszczenia.

Gdy skończył, zaległo milczenie, Antyfilos przybladł. Rozumiał, co go czeka, jeśli bez upoważnienia zawrze niekorzystny pokój.. Jednocześnie zdawał sobie sprawą, że z odejściem Tesalczyków grozi nieuchronna klęska, a demagogowie, którzy wywołali wojnę, jego za nią obciążą odpowiedzialnością. Po chwili milczenia odezwał się:

— Słyszeliście, co mówi Menon: prosić o pokój równa się uznaniu Antypatra za zwycięzcę. Antypater nie jest Filipem, na jego wielkoduszność nam nie liczyć. Kto jest za pokojem? Głosujcie.

— Ja nie mogę głosować ani za pokojem, ani przeciw — odrzekł dowódca etobkich posiłków. — Może Antypater zgodzi się na rozejm do czasu, aż porozumiemy się z naszymi władzami.

— Antypatrowi czas jest droższy od krwi, zwłaszcza naszej — odpowiedział Antyfilos i goryczą. — Menon ma słuszość mówiąc, że Antypater bardziej będzie się liczył z nami, dopóki nie wie, że Tesalczyki nas opuszczą. Postanowienie musimy powziąć natychmiast, bo jeśli wybierzemy walkę, odejść należy bez zwłoki, by noc pozostawić za sobą, w przeciwnym razie zmusi nas do bitwy, zanim dotrzemy do Termopil. Tylko że po odejściu Tesalczyków będzie miał nie dwukrotną, lecz niemal czterokrotną przewagę nad nami. Głosujcie — powtórzył niecierpliwie. — Kto jest za wojną?

Nie podniosła się ani jedna dłoń. Antyfilos wstał z słowami:

- Jadę do Antypatra dowiedzieć się o warunki pokoju.

W nieprzyjacielskim obozie przed namiotem również zebrało się szczupłe grono strategów. Krateros, Polysperchon i Kassandros pożywiali się w milczeniu. Antypater siedział głęboko zadumany. Nie my-

ślał jednak o dniu jutrzejszym i nie potrzebował rady ni głosowania. Wszystko działo się jego wolą i myślą, ale wiedział, że dowodzi po raz ostatni. Mimo wyczerpania nie mógł jeść i nie brał go sen. Od zarania młodości przez lat sześćdziesiąt w ustawicznej walce, naprzód o istnienie swego kraju, potem o jego potęgę, wyzbył już sił. Wśród licznych wrogów Macedonii zawsze napotykał Ateny. Gardziły jego chłopskim narodem, gdy był słaby, nienawidziły go, gdy wyrósł im ponad głowę, wiarołomne i podstępne, czyhają na każdą chwilę słabości, by go zniszczyć. U kresu życia znużonego starca znowu zmusiły do walki, Niewiele brakło, by dokonał żywota będąc świadkiem ruiny wszystkiego, czym i dla czego żył.

Myślał o tym, komu przyjdzie przekazać ciężar władzy. Nie widział następcy wśród licznych swych synów. Może popełnił błąd trzymając dawno dojrzałych mężów w ślepym posłuszeństwie, z którego najstarszy Kassandros ostatnio próbował się wyłamać. Obudził jednak tylko gniew ojca. Chciałby władzy, ale nie dla dobra kraju, lecz dla dogodzenia swej pyrze. Wyrzucał ojcu, że żyje w drewnianym dworcu, gdy okazalszy ma już co bogatszy kupiec, że nie zajął królewskiego pałacu, skoro od lat kilkunastu sprawuje królewską władzę. Kassandros nie będzie jej miał. Od czasu gdy Antypater dowiedział się od Jolaosa o zejściu w Babilonie, które Kassandros wywołał swą głupotą i zuchwalstwem, a potem pozwolił się sponiewierać jak niewolnik, Antypater żywt do niego pogardliwą niechęć.

Patrzył na potężną postać Kraterosa. Wsławiony wojownik i dziś na czele falangi dał dowód swego męstwa, utrzymując główny ciężar bitwy. Uwielbiany przez wojska, szczery i otwarty, wodzem byłby znakomitym, ale kierowanie państwem to nie tylko dowodzenie. Antypater lubił go i cenił, ale władzy mu nie przekaże.

Badawczo patrzył na Polisperchona, znał go mniej,

ale zwrócił na niego uwagę. Od chwili jego przybycia do kraju zlecał mu różne sprawy, z każdej wywiązał się ku najwyższemu zadowoleniu Antypatia. Dziś po raz pierwszy widział go w bitwie; i tu nabrał do niego zaufania.

Rozważania wodza przerwał dowódca straży, oznajmiając poselstwo od wojsk helleńskich. Twarz Antypatra skurczyła się gniewnie i odparł:

— Jeżeli chcą pochować swych poległych, powiedz im, że zezwalam, jeśli to uczynią zaraz, bo jutro będzie za późno. Chyba że wolą pochować razem dzisiejsze i jutrzejsze trupy — dodał zjadliwie.

— To nie herold przybył, wodzu, ale polemarcha wojsk sprzymierzonych i dowódca wojsk etolskich — odparł strażnik.

— Niech się stawia.

Nie odpowiedział na powitanie przybyłych, nie wskazał im miejsca, by usiedli, i nie czekając na ich odezwanie, sam zaczął:

— Jeżeli przybywacie, by się poddać, złóżcie broń i przyslijcie zakładników. Jeżeli nie, nie traćcie słów; chcieliście walki, będziecie ją mieli.

— Czy tobie nie zależy na pokoju z Helladą? — zapytał Antyfilos przez zaciśnięte wargi.

— Nie miałem go nigdy — odrzekł Antypater. — Ale teraz — na Dzeusa — będę go miał. Taki, jaki mnie jest potrzebny. I nie przemawiaj do mnie imieniem Hellady. Nie jest i nigdy nie była jednością.

— Czy nie zechcesz przynajmniej podać nam swoich warunków? — zapytał Antyfilos zdławionym głosem.

— Warunki podam każdemu państewku osobno, bo nie jednaka jest ich wina w spisku na zgubę mego kraju. Ty zapewne chcesz wiedzieć, jakie warunki podam Atenom? Te same, jakie Ateny postawiły mnie, gdy byłem zamknięty w Lamii. Zapewne je znasz, tedy i ja nie będę tracił słów. A ty — zwrócił się do etolskiego stratega — dowiesz się o nich później. Jak wiesz, narażając się królowi, ze-

zwoliłem wam nie dopuścić do powrotu wygnanych przez was Oiniadów, w zamian za co miałem zyskać waszą pomoc przeciw każdemu wrogowi. Teraz naradzę się z Oiniadami, jak wam za pomoc odpłacić. Możecie odejść — zakończył pogardliwie. — Do rana macie czas przemyśleć to, co wam powiedziałem.

Helleńscy wodzowie jednak nie namyślali się ni chwili. Gdy Antyfilos przedstawił przebieg rozmowy z Antypatrem, Menon zapytał:

— Czy przeto wydamy mu jutro bitwę? Odpowiedzią było milczenie. Menon wstał i również bez słowa wyszedł.

Po chwili głosy rozkazów i gwar oznajmiły, że Tesalczycy odchodzą. Antyfilos powiedział:

— Stało się. I my nie mamy na co czekać. Ruszamy do Termopil.

Odwrót wykazał, że Antypater wiedział, dlaczego dyktować chce warunki pokoju każdemu państewku z osobna. Gdy świt pozwolił wprowadzić ład, wśród cofających się wojsk brakło oddziałów Dolopów, Ftio-
tów i Hisitai. Nie było wątpliwości, że i oni, jak Tesalczycy, chcą uniknąć odcięcia od swych krajów i starać się będą zawrzeć odrębny pokój. Gdy znużone i zniechęcone wojska dotarły do Termopil, narada wojenna wykazała, że Antypater pogardliwym kopnięciem rozbił związek helleński jak spękany garnek. Tylko dowódcy Lokrów i Fokijczyków głosowali za obroną przejścia, bo im bezpośrednio już zagrażał macedoński najazd, a wśród kłótni i wzajemnych zarzutów odeszli. Antyfilos zrozumiał, że tylko nad wojskami ateńskimi, i tak stanowiącymi większość sprzymierzonych, jeszcze nie utracił władzy. I on myślał tylko o obronie własnego kraju, od którego dzieliła go wroga Beocja, odcinając możliwość otrzymania posiłków i zaopatrzenia. Pchnął przeto do Aten posłańców z zawiadomieniem, że będzie próbował powstrzymać Antypatra dopiero nad Azopem, i z prośbą o przysłanie tam uzupełnień.

Od wieści o wypadkach zatrzęsły się Ateny. Łatwo było przewidzieć, że zrozpaczony demos zacznie od szukania winnych, a trudno było kozłem ofiarnym uczynić Antyfilosa, jakkolwiek bywały wypadki, że sikazywano na śmierć nawet zwycięskich wodzów za niepochowanie poległych, jak po zwycięstwie pod Arginos; tą winą można było go obarczyć. Wśród gorączkowych narad przywódców stronnictwa wojny wysunięto i tę myśl, ale Hypereides, zazwyczaj zbywający takie pomysły drwiną, tym razem nie pował nad sobą i wybuchnął gwałtownie:

— Prawda, że ateński demos jest głupi, ale chyba nie do tego stopnia, by nie rozumieć, iż Antyfilos nie pochował poległych, by ocalić żywych. Stawcie go przed sąd, może uda wam się dostać jego głowę, będzie o jednego dobrego żołnierza mniej.. Ale jeśli mniemacie, że przez to uda się wam ocalić własne, to jesteście ideałem głupoty. Ja chcę wiedzieć, czy mamy radzić nad tym, jak z siebie zrzucić odpowiedzialność za wynik wojny, czy też jak ją prowadzić dalej. Jeżeli nad własnym ocaleniem, to radźcie sobie sami. Wasze głowy nie więcej mnie obchodzą niż moja, bo nie mam zamiaru żyć jako niewolnik barbarzyńców.

— Rozważmy wszystkie możliwości — pojednawczo wtrącił Mairokles. — W każdym razie Antyfilos nie może nadal zostać polemarchą. Nie umiał sobie zdobyć powagi u sprzymierzeńców, całym wojakiem sprzymierzonym nie potrafił udaremnić przepawy wroga przez Peneios. Jak potrafi to uczynić samymi ateńskimi siłami nad Azopem? Żąda posiłków; ma dziesięć najlepszych roczników, co mu pošlemy? Ojców rodzin, którzy wyszli już z wprawy we władaniu bronią, a ogołocimy miasto z jedynych obrońców..

— uważasz, że wystarczy zmienić wodza; by wszystko obróciło się na dobre? — ironicznie zapytał Hypereides. — Nie ja byłem za mianowaniem Antyfilosa polemarchą. Sądzę, że on chętnie zrzeknie się

tego zaszczytu, chciałbym tylko widzieć takiego, kto go podjął zechce.

— Może by jednak Fokion - rzucił ktoś nieśmiało.

- Wiedziałem, że padnie to imię — parsknął Hypereides, — Jak zawsze, gdy jest źle. Kto nie ma wstydu, niech idzie prosić go o to. Nie wiem tylko, czy nie sprzeciwi się Demostenes, bo pamiętamy wszyscy, że gdy Aleksander zażądał wydania przywódców naszego stronnictwa, Fokion przemawiał za tym. Ja się nie sprzeciwiałem wtedy, nie sprzeciwiam się i dziś.

Patrzył na Demostenesa drwiąco, ale ten wbrew zwyczajowi milczał. Od chwili gdy dowiedział się o porażce pod Krannon i odejściu sprzymierzeńców, ogarnęło go przygnębienie, jakiego nie doznawał nawet w ateńskim więzieniu, a zarazem czuł, że drwiąca uwaga Demadesa, iż rady jego zawsze wychodzą na, źle, jest słuszna. Do jedynej dobrej rady, jakiej kiedyś udzielił chłopcom w Aiginie, by nie mieszała się do spraw publicznych — sam się nie zastosował. Wówczas marzył jedynie o powrocie do ojczyznanego miasta, by spokojnie dokonać żywota. Sam jest winien, że to marzenie nie spełniło się. Może Fokion, jeśli zgodzi się objąć władzę, potrafi dla miasta uzyskać znośne warunki pokoju. Ale że Antypater nae wyrzeknie się głów przywódców stronnictwa wojny, tego był pewny. Przyjdzie znowu uchodzić z miasta, tym razem na zawsze; jeżeli zdoła ujść, bo z chwilą pokonania Aten nie będzie dla przeciwników Antypatra bezpiecznego miejsca w Helladzie.

Bez sprzeciwu zapadła uchwała, by prosić Fokiona o objęcie władzy. Nie zachodziła obawa, by wyboru nie zatwierdziło zgromadzenie ludu, bo na stanowisko polemarchy wysuwano go powszechnie. Hypereides podjął:

— Znaleźliście tedy wodza, na którego będzie można zrzucić odpowiedzialność, ale nie o to chodzi, przynajmniej mnie. On ma siłami, ateńskimi po-

wstrzymać najazd nad Azopem, gdy cała Hellada - zadrwił — nie potrafiła tego dokonać nad Peneiossem. Gdy swego czasu Filip zagrażał Atenom, na mój wniosek uzbroiliśmy niewolników i metojków przyrzekając pierwszym wolność, drugim obywatelstwo. Dziś niewolnikom nie dałbym broni, bo dobrze pamiętają, jak odpłaciliśmy im za gotowość walki za swych panów. Obróciliby ją przeciw nam. Metojkom jednak można by dać obywatelstwo, ale ja takiego wniosku nie postawię, bo już raz, gdy tylko minęło niebezpieczeństwo, skazany zostałem za jego bezprawność. Stawiam natomiast wniosek, by zaciągnąć najemników, ilu się da.

— Jeno skąd wziąć na to pieniędzy? — zauważy Damon. — Skarbiec jest pusty.

— Skąd? Choćby ode mnie i od ciebie. Od was wszystkich. Nic nam po majątkach, jeżeli przegramy wojnę

— Ale jeżeli wygramy, to z czego będziemy żyć? Stracimy nie tylko majątkości, ale i głos w sprawach publicznych.

— Jesteś zbyt przewidujący. Nie puściłbyś worka srebra, nawet gdyby cię wraz z nim ciśnięto do wody. Radźcie tedy sami, jak wygrać wojnę niczym się do tego nie przyczyniając. Wam szkoda pieniędzy, a mnie słów.

Wstał i opuścił zgromadzenie.

Wkroczywszy do Beocji Antypater zatrzymał się tebańskiej Kadmei. Spieszyły tam na wypródkę poselstwa państw helleńskich, by usłyszeć, jakie im poddyktuje warunki pokoju. On nie potrzebował się śpieszyć. Walki toczyły się tylko w zawsze spornym między Beocją a Atenami okręgu Oropos. Po Cheroinei Filip przyznał go Atenom, po Krannon, imieniem króla Filipa-Arridajosa, Antypater przyznał go Beotom, którzy sami zajęli się wykonaniem zarządzenia.

Ku jesieni pod bronią stały już tylko Ateny, Eto-
lia i kilka miast tesalskich; z peloponeskich jedynie
Sikion, zapewne w rachubie, że Antypater na Pelo-
ponez się nie zapuści. Pozostali nie mieli na co li-
czyć. Etolczycy opuściwszy miasta uszli w góry. Spę-
dzi ich stamtąd zima, tesalskie miasta otworzy głód.
Pozostawało rozprawić się z Atenami.

Tu ostatnią nadzieję pokładano we flocie. Rozbi-
ta w Heilesponcie gromadziła się pod Amorgos, uzu-
pełniając straty i naprawiając uszkodzenia. Jeżeli
przed nastaniem jesiennych burz zdolna będzie do-
konać najazdu na wybrzeże Macedonii, Antypater
będzie musiał odejść, by bronić własnego kraju.

Tym jeszcze przywódcy stronnictwa wojny pod-
trzymywali płomyk wojennego zapału.

Zgasł jak lampka na wietrze, gdy w miasto ude-
rzyła wieść o pogroimie floty zgromadzonej pod
Amorgos. Teraz obawa, że Fokion zdoła skończyć
wojnę byle jakim pokojem, stała się nadzieją. W zgro-
madzonym na Pnyksie tłumie nie znalazł się nikt, kto
by się sprzeciwił dopuszczeniu do głosu oozbawione-
go praw i czci Demadesa ani wnioskowi jego o na-
tychmiastowe wysłanie poselstwa do Antypatra, z peł-
nomocnictwem zawarcia pokoju na wszelkich warun-
kach.

Jakie warunki Antypater postawi, nie trzeba było
się domyślać, znana była odpowiedź jego, jakiej po
bitwie pod Krannon udzielił Antyfilosowi: rozbroje-
nie i zdanie się na łaskę zwycięzcy lub rzeź w razie
oporu. Teraz wzburzony motłoch przeklinał Leostena-
sa i niewiele brakowało, by wyrzucono z grobu pro-
chy poległego wodza. Było to groźną zapowiedzią, co
czeka żywych przywódców, a ruiny Teb, których
wstydział się Aleksander, stanowiły ponurą wróżbę,
co czeka miasto. Antypater nie będzie się wstydział.

Cieniem nadziei była jego przyjaźń z Fokionem,
którą zawarli jako efebowie, studiując w Platońskiej
Akademii. By mu przypomnieć, że i on kiedyś korzy-
stał z blasków „słońca Hellady”, w skład poselstwa

wyznaczono Ksenokratesa. Od lat siedemnastu scholarcha Akademii, znany i poważany w całej Helladzie, dostojny, pewny siebie i wymowny, może potrafi okrutnego starca nakłonić do umiaru...

Demostenes nie łudził się: jakiegokolwiek warunki zdoła poselstwo wytargować dla miasta, Antypater nie zadowolony się przyrzeczeniami, zbyt wiele razy łamano zaprzysiężone układy. Głowy podżegaczy do tego są jedyną ceną, jaką Ateny mogą zapłacić za ustępstwa. Że tę cenę zapłacą najchętniej, Demostenes nie mógł żywić wątpliwości. Niedawno po powrocie z obczyzny przeżyty triumf zdał mu się snem. Teraz w rynku głośno mówiono, że przywódców stronnictwa wojny należy postawić pod sąd, by przychylnie usposobić Antypatra; a on dopilnuje nie tylko wydania wyroku, ale i jego wykonania. Dach zdał się płonąć nad głową Demostenesa, trzeba uciekać. Gdy z Kadmei wróci poselstwo, będzie za późno.

W ciemną i wietrzną noc jesienną Demostenes przemykał się jak złodziej wybrzeżem Faleońskiej Zatok. Na przylądku Koliaś czekać ma na niego łódź, by go przewieźć na Kalaurię. Odtąd jego dom stanowić ma niewielki przybytek Posejdona na małej, słabo zaludnionej i rzadko uczęszczanej wysepce w Zatoce Sariońskiej. Od niepamiętnych czasów przywiązanego do niego prawa azylu nikt dotychczas nie naruszył, może uszanuje je także Antypater.

Łudziła się tym Saimia, ale nie Demostenes. W tajemnicy przed nią zabrał z sobą truciznę, Antypater nie dostanie go żywym. Przeplaceni resztką zasobów wiosłarze zaprzysięgli tajemnicę, lecz Demostenes nie wierzył już nikomu; nie ma po co żyć.

Łódź czekała jednak i gdy zepchniętą w ciemność miotać zaczęła rozkołysana fala, zdało mu się, że to Acheron i łódź niesie go w królestwo Hadesa. Uderzenie wiatru kilkakroć omal jej nie przewróciło i Demostenes. modlił się do wszystkich bogów o ocalenie w chwilach trwogi. Po co? By ją przeżywać nadal, bo koniec będzie jednaki. Nie wierzył w ocalenie.

Gdy o świcie łódź mijała Aiginę, Demostenes obejrzał się. W pogodny dzień mógłby jeszcze dojrzeć ojczyzną Attykę. Ale stalowoszare morze zlewało się na nieboskłonnie z ołowianym niebem. Nie ujrzy jej już nigdy.

Sędziwy strażnik samotnej świątyni na skalistym cyplu wysepki nie zapytał go o nic. Poproszony o azyl ułożył w jej przedsionku posłanie, przyniósł świeżego mleka koziego i odszedł do leżącego opodal domku. Zaczęło się czekanie, nawet bez wieści, kiedy dopełni się los.

Dopełniał się już. W Atenach, na wniosek zdrajcy Pyteasa, tym skwapliwiej postawiono przed sąd i skazano na śmierć przywódców stronnictwa wojny, że żadnego nie było już w mieście, a zachodziła obawa, że Antypater miastu przypisze winę ich ucieczki. Ostrożniej było — przynajmniej tym sposobem — okazać uległość.

W Tebach tymczasem ważyły się losy Aten. Antypater gotował się już wkroczyć z wojskiem do Attyki. Przyjęcie posłów nie mogło ich natchnąć nadzieją na pomyślny wynik układów. Powitał ich Kassandros wyniośle i oschle, jedynie Fokiona zapraszając do zamku. Pozostałym polecił czekać na posłuchanie, a tymczasem obejrzeć sobie miasto.

Była w tym gorzka drwina, a zarazem zapowiedź, co czeka Ateny, jeśli nie zastosują się do podanych im warunków: kamienna pustynia ruin ze sterczącym wśród nich jedynym domem poety Pindara i opuszczonymi i zaniebanymi przybytkami bogów, oszczędzonymi na rozkaz Aleksandra. Gdy po jego odejściu do Azji Antypater przestrzegał przed złamaniem układów, zapowiedział, że jeżeli zostanie zmuszony do wojny nie uszanuje w Atenach nawet świątyń.

Przygnębieni posłowie szli w milczeniu do domu Pindara, by tam przenocować, bo noce były już zimne. Jedynie Deinades nie zdał się przejmować, bo powiedział:

— Trzeba przyznać, że nasze miasto z dwojga złego zawsze umiało wybrać większe. Gdy ongiś mówi-

łem, że będziemy żałować Filipa, chciano mnie obić. Dziś chyba nikt nie zaprzeczy, że lepszy był od Aleksandra. Że Aleksander lepszy był od Antypatra, mamy dowód przed oczyma. Szanował przynajmniej naszych bogów, poetów i filozofów, czego nie można spodziewać się od Antypatra. Ale ja wam mówię, że i jego możemy kiedyś żałować. Jest bezwzględny, ale przynajmniej rozsądny. Jeżeli będzie miał pewność, że Ateny nigdy już nie poderwą się do walki, zostawi nasze miasto w spokoju, może jednak mając wzgląd na przyjaźń z Fokionem, Ale obydwaj są starzy, a gdyby władzę w Macedonii objął ten wyniosły pyszałek Kassandros, nie będzie ani komu, ani z kim gadać. Temu należałoby zapobiec i póki pora obejrzyć się za jakimś innym następcą Antypatra.

— Który by ci za to zapłacił — pogardliwie wtrącił Ksenokrates.

Demades wzruszył ramionami.

— Który by mi za to zapłacił, a naszemu miastu był wdzięczny za poparcie. Nie częstuj mnie ironią, bo ja jestem na to odporny. Ty żyjesz z filozofii, a ja z polityki. Nie zauważyłem, byś się zmartwił, gdy wygryzono z Aten twego współzawodnika w handlu mądrością, Arystotelesa, choć niewątpliwie nie było to z korzyścią dla miasta choćby dlatego, że i on był przyjacielem Antypatra. Tym zapewne nie zyskaliśmy jego przychylności ani szacunku.

- Trzeba twojej bezczelności, by porównywać opłaty za naukę z łapówkami i — jak to zwiesz — „handel” mądrością z przedajnością swych przekonań - wyniosłe rzekł Ksenokrates.

Demades jednak nie zmieszany odparł: — Bezczelność jest potrzebna politykowi, jeno miło wiedzieć, kiedy i wobec kogo. Ja umiałem być bezczelny, nawet jako jeniec w stosunku do zwycięskiego Filipa i wyszło to na dobre zarówno mnie, jak i miastu. Tobie jednak nie radzę próbować tego z Antypatrem. On nie ma poczucia humoru i nie potrafi się z tego śmiać, a tym bardziej nie będzie się z twoim

zdaniem liczył dlatego, że młócisz plewę po Platonie. Zapewne już zapomniał, że kiedyś był uczniem Akademii.

— Po tobie poznać, że nigdy nim nie byłeś — hamując gniew odpowiedział Ksenokrates.

Demades jednak nie zostawił mu ostatniego słowa.

— Jak widzisz — rzekł — obeszło się. Politykowi potrzebny jest spryt i obrotność, a nie wykształcenie. Kota nikt nie uczy upadać na cztery łapy. A kto ma głowę obciążoną cudzymi myślami, łatwo na nią upada. Ty możesz tylko popsuć to, co Fokion zdoła wytargować. Jesteś tu potrzebny jak łysemu grzebień.

Fokion również uważał udział Ksenokratesa w poselstwie za zbędny, a nawet niebezpieczny. W położeniu, w jakim znalazły się Ateny, uzyskanie znośnych warunków pokoju zależało tylko od tego, aby Antypater zechciał zapomnieć, jakie warunki jemu postawiły Ateny, gdy miały chwilową przewagę. Fokion nie sprzeciwił się mianowaniu posłem filozofa nie należącego do żadnego stronnictwa, by nie sądzono, że chce mieć towarzyszy tylko z własnego.

Znając jednak Ksenokratesa i Antypatra przewidywał, że scholarcha zwykł przemawiać do ludzi jak do swych wychowanków w Akademii, Antypater zaś — nawet jako siedemnastoletni młodzieniec — nie przyjmował bezkrytycznie wykładów samego mistrza Platona, a teraz mniej niż kiedykolwiek skłonny będzie słuchać wyводу o cnocie umiarkowania, którego mu zapewne nie oszczędzi Ksenokrates.

By go przeto uprzedzić, Fokion znalazłszy się sam na sam z Antypatrem chciał zaraz przystąpić do sprawy, Antypater jednak uciął:

— Chcę dziś widzieć w tobie jedynie swego przyjaciela i gościa. Rzecznikiem zdradzieckiego wroga będziesz jutro i ze względu na ciebie nawet mnie będzie przykro powiedzieć, a tym bardziej tobie wysłuchać tego, co mam do powiedzenia. Sądzę, że nie weźmiesz

mi tego za złe, bo nie moja wina, że po raz nie wiem już który przypadła nam rola przeciwników.

— Ja sędzę, że przyjaźń nasza dlatego zdołała się utrzymać, że nigdy nie braliśmy sobie wzajem za złe, iż każdy z nas strzegł interesów swojej ojczyzny. Ale jak ty z przyjaźni dla mnie nie potrafisz przestać być Maikedonem, tak i ja Ateńczykiem. Człowiek może być uczciwy albo dla wszystkich, albo dla nikogo, a ojczyzny, nie wybiera. Może się tylko starać poprawić ją, jeżeli jest zła.

— Ale jeśli żyje w zgnilej społeczności, musi zgnieć wraz z nią. Przykro mi to powiedzieć o twojej ojczyźnie.

— Ojczyzna to nie tylko ten bezmyślny motłoch, jak dym wiatrem miotany, byle podmuchem. To jest wszystko, co było, co jest i co będzie. Tym bardziej nieważny jest jeden człowiek i jego los.

— Nie jesteś ścisły, Fokionie. Społeczność składa się z ludzi, a sumą nicości jest nicość. To w waszej demokracji ludzie są równi, dlatego nie warto im pracować nad sobą. Przyznasz jednak, że jest różnica między herosem a łotrem.

— To prawda. Smutne jeno, że herosi jednego narodu są bezecnymi łotrami dla innych. Antypater uśmiechnął się.

— Podejrzewam, że do mnie pijesz. Ale ja nie przeczę, że wolę być łotrem dla innych, a herosem dla własnej ojczyzny, niż jak Aleksander herosem dla wszystkich narodów na jej koszt. Czy możesz pochwalić to, co uczynił z Parmenioneoi?

- Nie chcę go sądzić, gdy nie mogę już wysłuchać. Można by go potępić, gdyby samego siebie szczenił w urzeczywistnieniu swej idei, a to jest ta sama, którą głosi Diogenes: ojczyzną każdego człowieka winien być cały świat. Dopiero wtedy ludzie przestaną tępić się wzajemnie.

— Ale Diogenes nie morduje tych, którzy mają odmienną ideę. To świadczy, że jest mędrcom i wie, iż cechą idei jest to, że nie może być urzeczywistniona.

Ale nawet gdy cel jest osiągalny, droga do niego wiodąca nie może być jego zaprzeczeniem.

Antypatar uśmiechnął się znowu i ciągnął:

— Na Starość zaczynamy filozofować, gdy kończy się. zdolność do działania, które zaprzętało nam cała długie życie. Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, choć starszy jesteś ode mnie. O sobie nie mogę tego powiedzieć, obawiam się, że po raz ostatni rozmawiamy ize. sobą. I po raz ostatni mam możliwość zabezpieczyć swą ojczyznę przed przewierstwem Helady.

— Mam nadzieję, że nie spełnisz swej zapowiedzi nieoszczędzania nawet świątyn w Atenach.

— Przemysła jeszcze, co jest konieczne dla osiągnięcia mego celu. Jedno wiedz, że nie zadowolę się słowami ni przysięgami i nie wyrzeknę się głów podżegaczy. Nie prosz mnie nawet o to. P-o Cheronei, by chronić Demostenesa, wysłaliście go rzekomo po zboże. Gdy Aleksander stał u waszych granic, zgodził się odstąpić od żądania, by mu wydać wojowniczych demagogów, bo przyrzekaliście postawić ich pod sąd i nie dotrzymaliście przyrzeczenia. Teraz, gdy chybił ich zamiar zniszczenia Macedonii, zasądzono ich nawet na śmierć, ale pozwoliliście im uciec. Musiałbym być niedoświadczonym wyrostkiem, gdybym wierzył, że nie wrócą i nie będą znowu judzili. Muszę ich na zawsze usunąć — uprzedził odezwanie się Fokiona — choćby dla twego bezpieczeństwa. Nie pierwszy raz przyjaźń ze mną poczytają ci za zdradę ci sami, którzy nie imają wstydu wykorzystywać jej, ilekroć sami wpędzą się w położenie bez wyjścia. Teraz nie mówimy o tym więcej i nie mąćmy naszego spotkania niemiłymi dla nas obu sprawami.

Antypater nie darmo zapowiadał, że ateńskim posłom przykro go będzie wysłuchać, a Demades trafnie przewidywał, że Ksenokrates nie może liczyć u niego na szacunek, jaki filozofom okazywał Aleksander.

Gdy wezwani na posłuchanie posłowie weszli do megaronu, stary wódz siedział w gronie podwładnych dowódców, sam tylko bez żadnych oznak godności, z odkrytą głową, w płaszczu z ciemnej wełny. W przeciwieństwie do Kassandra powitał posłów uprzejmie, wyrażając zadowolenie ze spotkania z mężami, którzy zawsze starali się skłonić Ateny do dotrzymywania układów i teraz zapewne zechcą dopilnować wypełnienia warunków twardych z konieczności, pod jakimi skłonny jest zawrzeć pokój.

Z kolei podawał rękę posłom, pominął jednak Ksenokratesa, który cofnął wyciągniętą już dłoń i rzekł wzburzony:

— Antypater słusznie tylko przede mną wstydzi się niesprawiedliwości, jaką zamierza wyrządzić Atenom.

Patrzył wyniośle na wodzów, wśród których rozległ się groźny pomruk, Antypater jednak, jakby nie słysząc odezwania, ciągnął:

— Warunki te są następujące: nieodpowiedzialny motłoch, zawsze skłonny dać posłuch demagogom, pozbawiony będzie praw i głosu. Zachowają je tylko obywatele o majątności co najmniej dwu tysięcy drachm. Taki zresztą był wasz ustrój za Solona i tylko taki zapewnia rozwagę w pobieraniu postanowień, gdy pobierają je ci, którzy mają coś do stracenia.

...Sprawcy wielokrotnego złamania układów albo zostaną zgładzeni przez was, albo mnie wyliani do ukarania. Skradzione przez Harpalosa, a u was przechowywane pieniądze zostaną mi zwrócone, poza tym zapłacicie czterysta talentów, jakie zmuszony byłem wydać na koszty wywołanej przez Ateny wojny. Wysnę Saimos natychmiast opróżnicie z waszych kleruchów i wydacie prawowitym właścicielom. Gdyby w Attyce brakło dla nich miejsca lub gdyby pozbawieni praw nie chcieli w niej pozostać, wyznaczę im Ba osiedlenie stosowne obszary w Tracji. Będziecie pokrywali utrzymanie moich wojsk w Attyce, dopóki

będę to uważał za potrzebne, a dla zapewnienia w mieście ładu i poszanowania układów w Munichii pozostanie na stałe macedońska załoga.

Nim Fokion jako przewodniczący poselstwa zdążył zabrać głos, odezwał się ironicznie Ksenokrates:

— Dla niewolników warunki twe byłyby łagodne. Dla ludzi wolnych są bezwzględne i okrutne.

— Nie moja rzecz, czy będziesz Ateńczyków uważał za ludzi wolnych, czy za niewolników — oschle uciał Antypater. — Możesz to sobie rozważyć ze siwymi uczniami. A teraz milcz.

Ksenokratesowi krew uderzyła do twarzy. Nie nawykł do podobnego lekceważenia, ale gwałtownej jego odpowiedzi, która mogła tylko rozdrażnić Antypatra, a źle się skończyć dla filozofa, zapobiegł Fokion mówiąc:

— Rozumiem, dlaczego stawiasz twarde warunki i chcesz dopilnować ich wykonania, ale jeśli istotnie chcesz pokoju, a nie pomsty, nie możesz stawiać takich, których nie jesteśmy w stanie wykonać. Nie ma już w Atenach przywódców wojennego stronnictwa, nie możemy ich przeto ani stracić, ani tobie wydać. Nie ma w skarbcu pieniędzy, a wyczerpana wojną Attyka nie wyżywi twoich wojsk.

— Z rozsądnym człowiekiem mogę rozmawiać — rzekł Antypater. — Chcę mieć spokój i będę go miał. Odstąpię od żądania stracenia podżegaczy, bo uczynię to sam. Poczekam na wypłatę odszkodowania wojennego, natomiast nic mnie nie obchodzi, że skradzione pieniądze wydaliście na wojnę ze mną. Jeżeli nie znajdziecie ich sami, to ja poszukam, choćbym miał zaprzedać w niewolę tylu Ateńczyków, ile potrzeba na pokrycie. Ksenokrates będzie miał jedną więcej przesłankę do rozstrzygnięcia swego dylematu — dodał zjadliwie. — Mogę natomiast odstąpić od żądania utrzymania moich wojsk w Attyce...

— Jak to? — rzucił się Krateros. — Będziemy tym obciążać naszych sprzymierzeńców, gdy możemy żyć na koszt wrogów?!

Antypater położył ręką na jego zaciśniętej pięści i rzekł:

— To chcę uczynić dla Fokiona. W pozostałych sprawach przypomnę mu warunki, jakie Leostenes mnie postawił w Lamii. Musi przyznać, że moje są łagodniejsze.

— A mimo to ja proszę o ich złagodzenie. Wprowadzenie macedońskiej załogi do Munichii byłoby dla Aten upokorzeniem.

— To potrzebne także dla twego bezpieczeństwa, Fokionie. Dla ciebie chętnie bym poszedł na ustępstwa, ale nie w tym, co tobie i mnie na złe wyjść może. Czy potrafisz zaręczyć, że jeśli tego poniecham, nie będzie nowych knowań i prób zerwania pokoju?

Zdrajca Kallimedon, który obawiał się wrócić do Aten, gdyby załoga macedońska nie zapewniała mu bezpieczeństwa, zakrzyknął:

— Czy ty byś na jego gadanie zmienił swój zamiar?

— Na jego tak, a na twoje nie — pogardliwie uciął Antypater i dodał: — Słucham cię, Fokionie.

Gdy Fokion milczał, Antypater wstał i zakończył: — Tedy warunki są ustalone. Mnie wiążą tylko, jeżeli nie będę musiał przeprowadzić ich siłą.

Przed wyjazdem Fokion próbował jeszcze ocalić choćby Hypereidesa, dla którego mimo wszelkich przeciwności żywił szacunek, Aritypater jednak odparł:

— Co by o tym pomyśleli Ateńczycy, gdybym wbrew ich własnemu wyrokowi sam odstąpił od głównego warunku naszych układów. I czy uważaliby za sprawiedliwe, gdyby przywódca nieprzejednanych ocalił głowę, gdy dadzą ją mniej winni?

— Temida nie ma u nas czcicieli — ze smutkiem odparł Fokion. — Na szalach jej wagi w Atenach najczęściej przeważają głupota i strach. Mógłbyś jednak udawać, że nie możesz go schwytać.

— Nie mógłbym, bo nawet nie bardzo stara się ukrywać. Jest na to za wygodny czy też sam nie dba

o życie. Bawi w Aiginie i nie ja sam wiem o tym. Nie wiem natomiast, gdzie skrył się Demostenes, ale do wiem się tego wkrótce od innych przywódców buntu. Gdy Fokion nic nie odrzekł, Antypater zakończył: — Nie chciałbym, byś odjechał z przekonaniem że nic nie chcę dla ciebie uczynić. Mogę to jedno; dowódcą załogi uczynię Menillosa. Znasz go i on ciebie. Potrafi utrzymać w karności nie tylko Ateńczyków, ale i własnych ludzi i nie będzie nadużywał swej władzy.

„Fokion Hypereidesowi pozdrowienie. Może już wiesz o tym, że w Atenach na wniosek Demadesa zasądzono na śmierć przywódców waszego stronnictwa, a między nimi i ciebie. Wyrokiem tym nie potrzebowalbyś przejmować się, bo wydano go oczywiście tylko po to, by od Antypatra uzyskać łagodniejsze warunki pokoju. Niestety są ciężkie, on nie wierzy już w dobrowolne ich dotrzymanie i dopilnować ich wykonania ma załoga macedońska. Próbowałem uzyskać ich złagodzenie, a przede wszystkim chciałem ocalić choćby ciebie. Antypater jednak odmówił. Natomiast zdradził mi, nie prosząc o tajemnicę, że wie, iż przebywałeś w Aiginie, nie mam przeto wyrzutów donosząc ci o tym, byś się miał na baczności i na przyszłość staranniej ukrywał miejsce swego pobytu. Każdą sprawą z biegiem czasu traci siwe ostrze, okoliczności się zmieniają. Może więc kiedyś i ty będziesz mógł jeszcze wrócić do Aten, czego ci życzę”.

„Hypereides Fokionowi pozdrowienie. Dziękuję za przestrozę nie dlatego, by mi zależało na życiu w warunkach, na które nigdy się nie zgodzę. Nigdy nie poniecham walki przeciw tyranii i mógłbym wrócić do Aten tylko po to, by ją dalej prowadzić. Wolę być ostatnim poległym w walce o wolność niż jednym więcej niewolnikiem, których nie braknie w Atenach. Ponieważ powrót mój mógłby nastąpić jedynie w razie zaniżonej okoliczności, o której wspominasz, ty z kolei

znalazłbyś się w niebezpieczeństwie z powodu warunków pokoju, który nie jest niczym innym, jak niewolą. Ponieważ wiedząc o tym chcesz mnie jednak ocalić i życzysz mi powrotu, jestem ci wdzięczny, że mogę umrzeć z przekonaniem, iż w Atenach pozostanie choć jeden człowiek godny szacunku. Będę się miał dzięki tobie na baczności, jakkolwiek nie sądzę, by to odmieniło mój los, bo wszędzie znajdują się sykofanci, którzy za pieniądze czy dla przypodobania się tyranowi zdradzą miejsce mojego pobytu. Żegnaj tedy i chajre".

Przestroga dotarła do Hypereidesa w ostatniej chwili, zbyt niedbały był jednak, by z niej natychmiast skorzystać i jak stał chyłkiem opuścić miasto. Chciał też przestrzec również ukrywających się w Aiginie towarzyszy. Wieczorem gotował się właśnie do wyjazdu i wyszedł przed dom, by rozejrzeć się, czy ktoś go nie śledzi, gdy zza węgła wypadło kilku siepaczy. Dawny zapaśnik, mimo podeszłego wieku, broił się zajadle, przenosząc śmierć w walce nad dostanie się w ręce wroga, lecz uchwycony z tyłu za gardło stracił oddech, a wraz z nim przytomność. Gdy ją odzyskał, leżał na ziemi ze związanymi rękami. Jak kłodę rzucono go na wóz, na którym mimo ciemności poznał leżących już tam Aristonifca i Himeraiosa. W porcie wtrącono ich pod pokład wojennego okrętu, który odpłynął w nieznanym kierunku.

Po złamaniu oporu Aten Antypater zlecił oblężenie na przywódców wojennego stronnictwa Archiasowi z Turioi, a sam ruszył na Peloponez, by i tam zaprowadzić macedoński ład. W drodze do opornego Sikionu zatrzymał się w Kleonai na odpoczynek, bo coraz ciężiej odczuwał brzemień starości.

Gdy mu doniesiono o przywiezieniu pojmanyh, powiedział do Kassandra:

— Wybadaj ich, gdzie pozostali, a zwłaszcza Demostenes. A potem stracić.

Gdy stawiono przed nim Hypereidesa, Kassandros, mierząc wzrokiem więźnia, odezwał się:

— Tedy mamy już jednego z ważniejszych. Od ciebie dowiemy się, co wiesz o pozostałych. Ty jeździłeś po miastach helleńskich podmawiając je do buntu. Opowiedz z dobrej woli, gdzie byłeś i kto ci w tym pomagał. Będziesz miał lżejszą śmierć.

Gdy Hypereides nic nie odpowiedział, Kassandros ciągnął groźnie:

— Zawsze wymowny byłeś, czyżby ci teraz słów zabrakło? Mam sposoby, byś nie tylko mówić zaczął, ale nawet śpiewać — dodał złośliwie i wskazał na płonące ognisko domowe.

— Jesteś zbirem. To ostatnie słowa, jakie ode mnie słyszysz — odparł Hypereides.

Na skinienie Kassandra siepacze uchwycili Hypereidesa i zawlekli do ogniska. Płomień oświetlił jego twarz, Kassandros spojrział na niego i zrozumiał, co Hypereides miał na myśli: na jego szpakowatą brodę spływała krew, z ust zwisał strzęp odgryzionego języka. Dławiąc się i zachłystując własną krwią Hypereides śmiał się.

Widok był tak okropny, że Kassandros wstrząsnął się z obrzydzeniem. Ze złością wskazał na leżącego, który już tylko cicho piał łapiąc oddech, i rzekł:

— Dobić!

Hypereides nie był ostatnim poległym. Archias okazał się zdolniejszym kierownikiem oblawy niż ongiś aktorem, zyskując sobie przydomek Fygadotherras. Wyłowił już niemal wszystkich, bezskutecznie tylko poszukiwał Demostenesa.

Niewielka wysepka o niedostępnych brzegach niemal była nie nawiedzana przy burzliwym morzu je-siennym, a nieliczni mieszkańcy również rzadko ją opuszczali, by udać się do leżącej naprzeciw niej Troi-dzeny, gdzie po pierwszej ucieczce z Aten Demostenes znalazł schronienie. Znano go tam i nie ludił się, by dla prześladowców miejsce jego pobytu na długo po-

zostało tajemnicą. Ale też jak można żyć wpatrując się tylko w wiecznie to samo, a wciąż zmieniające się morze, gdy jedyną odmianą jednostajnego bezczynnego bytowania był strach, ilekroć ujrzał zbliżających się do świątyni ludzi lub statek przecinający cieśninę. Gnębiła go zarówno samotność, jak i brak wiadomości, o które mógłby zaczepić nadzieję powrotu do Aten, choćby nie tak triumfalnego jak ongiś. Byle jeszcze przed śmiercią ujrzeć posąg partenoińskiej Ateny, żonę swą i chłopców, znajdujących się właśnie w tym wieku, gdy oparcie o doświadczonego ojca jest najpotrzebniejsze. Pozostawił rodzinę bez zaopatrzenia, resztki zasobów wydał na — i tak wątpliwe — ocalenie życia, z którym w dodatku nie wiedział, co począć. Chwytał się na tjra, że bezmyślnie liczy fale jednostajnie bijące o brzeg, jak przysłowiowy tępak Margites, Tak ongiś nazwał Aleksandra. Czy wszystko, «o czynił przez całe życie, nie było równie wielką pomyłką? Nie znał nawet własnego miasta. Po klęsce pod Aigospotamoi potrafiło odrzucić warunki spartańskiego Lizandra, przetrzymać w zupełnym osamotnieniu najgorszy czas i doczekać pomyślniejszych okoliczności. Teraz nie znalazło w sobie tej siły, choć okoliczności mogą się zmienić; Demostenes wiedział, że po spadek po Aleksandrze wyciągają się liczne ręce, w sarniej Macedonii niejeden sięgnie po władzę.

Co gorsze, nie znał samego siebie. Skąd mu przyszło na myśl współzawodniczyć z Filipem czy Aleksandrem o hegemonię w Helladzie? Po cheronejskiej klęsce powinien był zrozumieć, że Ateny są równie niezdolne do walki z nimi, jak on sam. Gdyby wówczas zdecydował się na współpracę, Filip czy Aleksander po odejściu do Azji w ręku Aten pozostawiliby władzę nad Helladą, a w Atenach jemu przypadłaby pierwsza rola. Łotr Demades połapał się, gdzie jest źródło korzyści. Pozostał w mieście, opływa w dostatki, gdy zenił syna, całe Ateny świętowały na jego koszt, jakby Wielkie Dionizje; drwi ze wszystkich i ze

wszystkiego. Demostenesa natomiast czeka nędzne życie lub równie nędzna śmierć.

Nie czekała, była już blisko. Dziwny sen wzbudził w Demostenesie jej przeczucie. Zazwyczaj sypiał źle i lekko, budził go byle szmer. Tej nocy spał tak twar-r do, że nie słyszał wycia wichury, a to, co ujrzał, zdało mu się tak rzeczywiste, że zastanawiał się, skąd nagle znalazł się w Atenach. Był na Akropolu, z góry oglądał każdy szczegół znanego mu jak własna dłoń miasta. W dali przy drodze do portu, wśród wielu innych rozróżniał swój dom i ogarnęła go niezmierna tęsknota za swoimi. Przewyciężył lęk, musi ich ujrzeć, choćby to miało być po raz ostatni, i chyłkiem przemykał się przez ruchliwe ulice. Zdziwiło go, że nikt z przechodniów nawet okiem nie rzucił na niego. W bramie domu nie było odźwiernego, wszedł i zatrzymał się przy wejściu do megaronu. Chłopcy siedzieli przy posiłku, który podawała im matka. Widocznie niewolnicy zbiegli lub sprzedano ich. Cekał z bijącym sercem, kiedy go zauważą, i cieszył się radością najbliższych. Ale serce stanęło w nim, gdy żona przeszła koło niego obojętnie. Wszedł i zatrzymał się przed synami, ale i oni nie zwracali na niego uwagi zajęci jedzeniem. Z zaschniętego gardła nie mógł wydobyć głosu. Udają, że go nie widzą, lękają się przyznać do ojca, gdy on naraża się na śmierć, by ich ujrzeć. Łzy stanęły mu w oczach,

-; Nie płacz, Demostenesie!

Odwrócił się. Przed nim, z wyciągniętymi ramionami, stała matka, Kleobule. Chciał się w nie rzucić i nagle uprzytomnił sobie, że Kleobule od dawna nie żyje. Wstrząs był tak silny, że Demostenes obudził się. Dokoła ciemność, wicher wyje na dworze, gałęzie drzew tłuką o ściany, a rozkołysana fala o brzeg.

Leżał bezsennie, aż świt wydobył z cienia posąg Posejdona, kamiennym spojrzeniem patrzącego na żywioł, którego był panem. Uspokoił się już, dzień wstawał pogodny, spokój udzielał się Demostenesowi. Jeżeli dusza może wracać do miejsc i ludzi, które umiło-

wala, śmierć nie jest rzeczą straszną. Straszne jest tylko życie bez nadziei.

Bez trwogi patrzył na wojenną trierę przecinającą wody cieśniny, choć przeczuwał, kogo wiezie. Zawinęła do przystani i wysiadło kilku ludzi, wśród których Demostenes poznał Archiasa. Wszedł do świątyni, usiadł w przedsionku i czekał. Ze stojącego opodal domku kapłana doszedł go jego gniewny głos, potem na żwirze rozległ się szelest kroków. U wejścia stanął Archias i dostrzegłszy siedzącego Demostenesa zwrócił się do niego przyjaźnie:

— Witaj, Demostenesie. Przybywam z pomysłą dla ciebie nowiną. Antypater zawarł pokój z Atenami, a chciałby zawrzeć i z tobą, wiedząc, jakie znaczenie i wpływ posiadasz w mieście. By cię uczcić, przysłała po ciebie wojenny statek i czeka w Kleonai na rozmowę z tobą.

Demostenes nie odpowiedział na pozdrowienie i nie ruszył się z miejsca. Patrząc drwiąco na Archiasa, odparł:

— Mój Archiasie! Jako aktor nie robiłeś nigdy na mnie wrażenia, byłeś kiepskim uczniem dobrych nauczycieli. I teraz nędznie grasz rolę posłańca pomyslanej nowiny. Po części winien i Antypater, źle obsadziwszy tę rolę. Niewielki zaszczyt mi uczynił wysyłając z nią takiego jak ty łotra. Nie sądz, że zdołasz mnie przekonać przyrzeczeniami.

Maska życzliwości spadła z twarzy Archiasa. Wybuchnął ze złością:

— Tedy przekonam cię inaczej. Antypater będzie z tobą mówił, czy chcesz, czy nie chcesz, a raczej ty wysłuchasz, co on ma ci do powiedzenia. Tedy wyjdź, bo nie chcę, by ten głupi kapłan ciskał się o naruszenie azylu, a nie zawaham się wywlec cię za włosy, jeżeli nie wyjdiesz sam.

— Teraz mówisz przekonywająco — ironicznie odparł Demostenes. — Lepiej ci się przemawia z macedońskiego trójnogu i wierzę, że nie ma świętości, której byś nie potrafił splugawić. Wyjdę, bo nie chcę.

być choćby pośrednią tego przyczyną, ale musisz poczekać, bo chcę jeszcze coś napisać do swoich.

Wyjął tabliczkę i ująwszy trzcinowy rylec żuł jego koniec jakby w głębokim zamyśleniu. Archias patrzył na to niecierpliwiąc się, wreszcie rzucił ze złością:

— Nad czym tak myślisz? Jeśli chcesz pisać ostatnią wolę, to zbędne, bo twoi własni rodacy skazali cię na śmierć i wyzucie z majątku.

Demostenes powiedział zmienionym głosem:

— Jesteś większym łotrem, niż sądziłem. Antypater zapłaciłby ci przecie, choćbyś mi oszczędził tej wiadomości.

Wstał i szedł ku wyjściu, zataczając się. Twarz miał siną, oczy mu pląsały. Archias patrzył na to sądząc, że to jego słowa wywarły takie wrażenie. Demostenes puszczając rylec i tabliczkę oparł się o odrzwia. Przez chwilę czepiał się ich, potem runął na wznak. Na ustach miał pianę, oczy stanęły w ślup.. Archias pochylił się nad nim.

— Wymknął mi się — powiedział ze złością.

Podniósł rylec i oglądał go. Demostenes go zwiódł, otrul się na jego oczach zawartą we wnętrzu trzciny trucizną. Archias cisnął rylec, kopnął trupa i odszedł.

Wyczerpane wojną, przygnębione klęską i zubożale Ateny paraly się z trudnościami zda się nie do pokonania. Ponad dwadzieścia tysięcy Ateńczyków pozbawionych praw i wsparcia ze strony państwa, czy też wygnanych z Samos, w wyznaczonych przez Antypatra nowych siedzibach w Tracji szukać musiało chleba. Ale brakło go i dla pozostałych. Odbudowa zniszczonej floty zarówno handlowej, jak i wojennej była dla dowozu zboża i zabezpieczenia przed piratami sprawą życia. Z trudem zbierano na to środki, a nie starczyło ich, by dopełnić ciężącego na mieście obowiązku zwrotu chociażby skradzionych przez Harpalosa pieniędzy. Menillos nie drażnił Ateńczyków, załogę trzymał w Munichii, nie pozwalając jej włóczyć się po mieście,

nie było nadużyć żołnierstwa, ale wciąż nad miastem wisiała groźba Antypatra, że w razie niedotrzymania warunków sam ściągnie należne pieniądze i nałożoną kontrybucję. W tym wypadku nie obędzie się bez nadużyć. Fokion, który był faktycznym rządcą miasta, już kilkakrotnie zdołał uzyskać od Antypatra odroczenie terminu zapłaty, ale można było przewidzieć, że nie da się jej odraczać w nieskończoność, a co gorsze, obydwaj byli starzy. Gdyby w Macedonii objął władzę Kassandros lub w Atenach zabrakło Fokiona, miastu groziła ostateczna ruina.

Jedynym człowiekiem w Atenach, którego nie dotknęła wojna, był Demades. Rozpętana wbrew niemu, zakończona klęską, gniew i rozżalenie ludu skierowała na jego przeciwników. Umiał to wykorzystać: pew zbył się ich raz na zawsze; Demostenesowi zawiązką odpłacił za niewdzięczność i pozbawienie praw, które nie tylko odzyskał: nigdy jeszcze głos jego nie miał takiej wagi jak obecnie, zwłaszcza że popularność Fokiona malała. Bliscy rozpaczyli obywatele zaczęli szemrać, że przyjął warunki pokoju, z jakich miasto nie potrafi się wywiązać, a obecność załogi macedońskiej nie pozwoli na zerwanie układu nawet w razie korzystnej zmiany okoliczności, na którą się zanosilo. Antypater jest chory, sama sprawa następstwa po nim na czas dłuższy obezwładni Macedonię. Olimpias ma w ręku Roksanę z małym Aleksandrem, w razie śmierci Antypatra nie omieszka w imieniu wnuka sięgnąć po regencję, pomoc Aten jednak, o którą zabiegała przeciw Antypatrowi, teraz stała się niemożliwa.

Demadesowi sprawa ta nie spędzała snu z oczu, niemniej obrotny człowiek myślał o przyszłości. Sam czas zmian przynieść musi, a każdą można wykorzystać. Fokion, mimo że minęło mu już osiemdziesiąt lat, jest w dobrym zdrowiu, ze śmiercią Antypatra jednak należało się liczyć i rękę trzymać na sprawach. By nie dać się zaskoczyć wypadkom. Demades miał własne plany i poczynił już pewne kroki, niemniej

wolałby porozumieć się z Fokionem, który mógł je udaremnić. Niezbyt chętnie udał się do niego. Starzec był zgryźliwy, nie zwykł taić, co o kim mniema a mimo że niejednokrotnie współdziałali, nie żywił do Demadesa szacunku.

Przywitanie nie było zachęcające. Fokion, nawet nie odpowiadając na pozdrowienie, zapytał:

— Czemu mam przypisać twoje odwiedziny?

— Trosce o dobro naszego miasta, która chyba jest nam wspólna.

— Poza tym niewiele mamy wspólnego — odburknął starzec — a i w tej sprawie nie zawsze to samo uważamy za dobro, zwłaszcza zaś sposób jego osiągnięcia.

— Każdy sposób jest dobry, jeśli prowadzi do celu — odparł Deimades. — Czy to nie ty zawsze twierdziłeś, że kto sam nie jest najsilniejszy, winien być przyjacielem najsilniejszego?

— Nie zmieniłem zdania, ale do czego zmierzasz?

— Czy sądzisz, że Antypater jest najsilniejszy, a zwłaszcza czy będzie nim, gdy umrze?

— To, że Antypater jest moim przyjacielem, nie oznacza, że jest przyjacielem Aten. Nigdy tego nie udawał. Nie zawarliśmy też z nim przyjaźni, jeno układ, za którego cenę zgodził się nie niszczyć miasta; i nie z nim osobiście, jeno z Macedonią, której królem jest Filip-Arridajos, Antypater tylko jego namiestnikiem. Gdyby zmarł, będzie nim kto inny.

— O to właśnie chodzi. Kim jest Filip-Arridajos nie potrzebuję ci mówić, jak również, że nie jest nam obojętne, kto będzie następcą Antypatra.

— To przyznaję, ale nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy na to wywrzeć wpływ.

— A ja wiem. Czy możesz także przyznać, że z wodzów Aleksandra najsilniejszy jest Perdikkas?

— Trudno o tym sądzić, gdy walki między diadokhami dopiero się rozpoczęły. Przypominam ci jednak, że Perdikkas jest zięciem Antypatra. Dla Aten najważniejszy jest spokój, bo do żadnej walki nie są zdol-

ne. Nie wspominam, ile zapłaciło nasze miasto zarywanie układów i rozpoczynanie wojen bez obliczania się z siłami, bo ciebie to nie dotknęło. Ale nie zapominaj, jak zapłacili nie bez twego udziału ci, którzy wplątali w to Ateny.

— Ty chyba nie masz powodu ich żałować, zwłaszcza Demostenesa. Gdyby wojnę wygrały Ateny, mnie i ciebie skróciłby o głowę.

— Mimo to ja nie cieszę się, żeśmy wojnę przegrali. Ale też nie chcę więcej wojen. Dość mi troski o to, jak wyżywić miasto, choć w części odbudować flotę i zapłacić wreszcie choć część należnych sum. Nie śmiem już prosić Antypatra o odroczenie płatności, a nie byłoby dobrze, gdyby kazał je ściągać Menillosowi.

— Ale byłoby dobrze, gdyby zabrał z Aten swą załogę. Dlaczego nie chcesz go o to poprosić? Mogę ci zdradzić, co ludzie szepczą: dlatego, że to ci pozwala rządzić w Atenach i wszystkie urzędy obsadzać swoimi ludźmi.

— Nie potrzebują szeptać — gniewnie odparł Fokion. — Menillos nikomu nie przeszkadza, dopóki jest spokojny. Nie mogłem Antypatrowi za to poręczyć w czasie, gdyśmy się układali, nie mogę i teraz. Zwalnia mnie to z odpowiedzialności wobec niego, gdy sam pilnuje dochowania warunków.

— Ale nie od odpowiedzialności wobec miasta za to, że bardziej troszczysz się o przyjazne stosunki z Antypatrem niż o nasze dobro.

— Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że ty nie własne masz na celu.

— Między nami jest ta różnica, że ja umiem dbać zarówno o interes miasta, jak i własny, a ty o żaden. Kiedyś się to na tobie zemści.

— Między nami jest różnic więcej, jeno ty ich nie dostrzegasz.

Demades zaśmiał się:

— Jedną jeszcze widzę: ja lubię się puszyć swoim bogactwem, a ty swoim ubóstwem. Jedno równie do-

bre jak drugie, jeno że ubogich w Atenach mamy więcej, niż potrzeba. Ale mniejsza z tym. Skoro ty nie chcesz prosić Antypatra, by ściągnął z Aten załogę, ja pojadą prosić go o to. Przynajmniej mnie nie spotka zarzut, że mogłem coś uczynić dla miasta, a poniechałem tego.

— Czyń, co uważasz, byle nie w moim imieniu. Ale weź pod rozwagę, że Antypater nie jest człowiekiem łatwowiernym, a ciebie zna równie dobrze jak ja.

— Ale ty jesteś łatwowierny, jeśli sądzisz, że ja jadą tylko po to. Widzę jednak, że się nie dogadamy. Wybacz, że zabrałem ci trochę czasu poświęconego troskom, których można by uniknąć.

— To ci wybaczę najłatwiej, o ile dbasz o to. Nie zwykłeś zważać, co inni myślą o tobie. I to mści się czasem.

— W tym jesteśmy podobni.

— Mylisz się wnioskując z tego, że nie dbam o swoją opinię. Możesz sobie wyszukiwać i dalsze podobieństwa, ale bez mego udziału, bo na to istotnie szkoda mi czasu.

Demades zrozumiał, że Fokiona dla swoich planów nie pozyska, zadowolony był, że ich przed nim nie zdradził. Uparty starzec gotów był przestrzec Antypatra Wróciwszy do doimu zawołał syna Demeasa i powiedział:

— Zbieraj się, pojedziesz ze mną do Pelli. Czas, byś i ty zaczął się wtajemniczać w politykę. Ja zaczynałem jako wioślarz; gdy poślubiłem twoją matkę, nie wiedzieli o tym nawet sąsiedzi. Na koszty twego wesela składali się królowie. Jeżeli potrafisz, jak ja, wszystko wiedzieć, z nikim się nie liczyć i szybko wykorzystywać każdą nadarżającą się sposobność, sam możesz królem zostać. Powiem ci, czego nie powie - działem Fokionowi: Perdikkas odesłał Antypatrowi jego córę, bo zamierza poślubić siostrę Aleksandra, wdowę po królu epirockim. Rozumiesz, że oznacza to zerwanie z Antypatrem, a zawarcie przeciw niemu

przymierza z Olimpiadą. Zacznie się walka o władza nad Macedonią, zawczasu należy zawrzeć przymierze z tym, który wygra. Pisałem do Perdikkasa, ofiarując mu pomoc nie tylko Aten, ale całej Hellady.

— Czy dostałeś odpowiedź?

— Jeszcze nie. Ale może być tylko pomyślna. On będzie potrzebował sprzymierzeńców, bo chce utrzymać w ręku cały spadek po Aleksandrze wbrew zakusom innych, a zwłaszcza Antygonosa i Ptolemaiosa, którzy już wyłamali się z posłuszeństwa. Odmówił mu go i Antypater, wbrew jego woli poślubiając pół główkowi Arridajosowi córę Amyntasa, do którego z prawa należał tron Macedonii, i Kynanny — nieprawej córę Filipa. To zapewne skłoniło Perdikkasa, by się pogodzić z Olimpiadą. Tym bardziej zechce pogodzić się z nami. Rozumiesz, że prośba o wycofanie załogi z Aten to tylko pozór naszej podróży. Chcę się na miejscu rozejrzeć, co zamierza Antypater, a zwłaszcza, jaki jest jego stan. A Fokion, miał myśleć o tym, jak zwolnić się z wymuszonego układu, trapi się, skąd wziąć pieniędzy na zapłacenie kontrybucji. Nowemu panu Macedonii nie tylko nie będziemy potrzebowali płacić, ale jeszcze on nam płacić będzie. Na razie potrzebna nam tylko zwłoka, a tę chyba uzyskam bez trudu. Antypater też miękniejszy być musi, gdy mnożą mu się kłopoty, a nie dopisuje zdrowie. Może w Pelli doczekamy jego śmierci, wtedy obędzie się nawet bez jego zgody.

Nadzieja na to zdała się uzasadniona, bo po przybyciu do Pelli Demades natychmiast dowiedział się, że Antypater nie opuszcza już swego dworca, a wszystkie sprawy w jego imieniu załatwia Kassandros. Z nim nie miał ochoty rozmawiać, pamiętając, jak oschle i wyniośle przyjął ateńskich posłów w Kadmei, mimo, że niemal wszyscy należeli do promachonńskiego stronnictwa. Powiedział do syna:

— Nam niespieszno. Poczekamy, aż Antypater będzie mógł nas przyjąć. Trzeba tylko zawiadomić Kassandra o naszym przybyciu, by on się nie pośpieszy

z wysłaniem do Menillosa rozkazu ściągnięcia kontrybucji. Ale i on ma zapewne ważniejsze sprawy na głowie.

Kassandros miał je istotnie. Mimo że Antypater żył jeszcze, zamęt w Macedonii już się zaczynał. Władzę nad wojskiem i opiekę nad bezwolnym królem Antypater przekazał Polisperchonowi. Do spraw państwowych zleconych Kassandrowi mieszać się zaczynała małżonka Arridajosa, młodociana królowa Eurydyka. Wszystko zdało się wskazywać, że rachuby Demadesa okażą się słuszne. Demades pomylił się tylko w jednym, że Kassandros nie będzie miał czasu zająć się ateńskim poselstwem. Zaledwie bowiem Demades rozejrzał się po mieście, pokpiwając z tej nowej stolicy świata i po powrocie na gospodę zbierał się do wypoczynku, zjawił się posłaniec z zamku z rozkazem, by wraz z synem stawił się tam natychmiast.

Demadesowi ten pośpiech nie był na rękę, nie rozumiał też jego przyczyn, ale nie sposób było odmówić, i zebrawszy się niechętnie szedł wraz z Demeasem na zamek. Idąc przez groblę na bagnistym jeziorze, wiodącą do położonego na wyspie zamku, miał jakieś niemiłe przeczucie. Odezwał się do syna:

— Niełatwo się tu dostać i niełatwo stąd wydość.

Odetchnął jednak, gdy wprowadzono obydwu do megaronu, gdzie zastali już Kassandra, który na powitanie powiedział:

— Cieszę się, że was tu widzę i nie muszę ślać po was do Aten. Jak wiecie, ojciec mój jest chory, a nie brak takich, którzy czekają na jego śmierć. Jesteś doświadczonym człowiekiem, Demadesie, zdajesz sobie sprawę z położenia, jakie wówczas powstanie. Przez wiele lat, nie bez korzyści dla siebie, stanowiłeś nasze oparcie w Atenach. Chciałbym wiedzieć, czy w razie śmierci Antypatra ja mogę liczyć na nie?

— Na nas możesz zawsze liczyć tak, jak my liczymy na twoją wdzięczność.

— Słusznie! Możesz być pewny, że odpłacę ci z nawiązką. Gdybym żywił jakieś wątpliwości w twą szczerłość, to pismo pozwoliłoby mi wyzbyć się ich. Znasz je zapewne.

Wręczył mu pergamin, a Demadesowi zdało się, że ujął rozpalone żelazo. Był to jego własny list do Perdikkasa. Otarł pokryte zimnym potem czoło, Kassandros zaś ciągnął zjadliwie:

— Piszesz, że władza w Macedonii wisi na zmurzalej nitce. Bądź pewny, że gdy cię każą na niej powiesić, nie zerwie się, choć spasteś się, wieprzu, na naszym chlebie. Brać ich — krzyknął.

Demades opanował się już. Rozumiał, że jest zgubiony, chciał jedynie ocalić syna. Nie stawiał oporu, gdy go pochwycono, i siląc się na spokój, powiedział:

— Nie dziwi mnie twój gniew. A ty nie dziw się, że chciałem dla swego miasta uzyskać złagodzenie warunków, których dopełnić nie może. Gdybym miał nadzieję osiągnąć to od ciebie, nie miałbyś wierniejszego, przez tyle lat wypróbowanego sprzymierzeńca.

— Ty sprzymierzeńcem, najmito! Pies nie ugryzie ręki, która go karmi. Jesteś gorszy od psa.

— Ale jestem posłem Aten. Obrazisz Dzeusa...

— Jesteś zdrajcą i szpiegiem! — gwałtownie przerwał Kassander. — Powiedziałeś, że liczysz na moją wdzięczność. Zaraz ci ją okażę.

Z całej siły uderzył Demadesa pięścią w twarz, a wskazując na Demeasa, który trzymany przez strażników stał niemy z przerażenia, rozkazał:

— Zarżnąć go!

— Zarżnij mnie — wyjąkał Demades. — On ci nic nie winien.

— Ale ja winien ci jestem z nawiązką.

— Bezbożny łotrze! Tchórze! — krzyknął Demades z rozpaczą. — Ty to pełzałeś przed Aleksandrem jak skopany pies. Mnie nie ujrzysz u twoich stóp.

Kassandros przybladł. Przez zaciśnięte wargi powtórzył rozkaz:

— Zarznąć go! A ty patrz!

Ale Demades zamknął oczy. To było zbyt okropne, że nie mógł zatkać uszu, by nie słyszeć jęków, a potem charczenia jedyne go syna. Otworzył je dopiero, by po raz ostatni spojrzeć na to, co zostało z jedynej miłości w jego życiu. To, co czekało jego samego, było mu już obojętne.

Własnego losu Demades przewidzieć nie umiał, trafnie natomiast przepowiedział skutki prostoduszności Fokiona i słusznie pouczał syna, że należy rękę trzymać na sprawach, by w porę wyciągnąć korzyści, a uniknąć błędów.

Rozkład monarchii Aleksandra postępował prędkiej niż rozkład jego zwłok, które Ptolernaios wbrew woli zmarłego wywiózł do Egiptu, zamierzając z Aleksandrii uczynić siedzibę jego kultu, a zarazem punkt ciężkości imperium przenieść do swej satrapii. Lud egipski pozyskał sobie, skracając o głowę dotychczasowego nomarchę Kleomenesa z Naukratis, który bezwstydnie wykorzystywał swe stanowisko, opodatkowując wszystko, nawet święte krokodyle, a cło wywozowe na zboże podniósł tak, że za bezcen wykupił nadwyżki i sam je wywoził, dyktując lichwiarskie ceny, zwłaszcza Atenom, wskutek odcięcia od rynków czarnomorskich nie mających wyboru. Nie było jednak i środków i wśród biedoty zaczynał się głód, a w ślad za nim wrzenie. Jak zwykle szukano winnych, położenie Fokiona stawało się coraz trudniejsze, zaczynało być niebezpieczne. Powszechnie i głośno szemrano, że zamiast zachęcić lud do wytrwania, wykorzystać otwartą już walkę między diadochami i rozdwojenie w samej Macedonii, skłonił Ateny do zawarcia pokoju na warunkach, które je obezwładniły i doprowadziły do nędzy. Teraz sławiono niezłomność Demostenesa w walce o wolność, w której padł jako ofiara małoduszności Fokiona.

Gdy staremu wodzowi donieśli o tym zaniepokojeni przyjaciele, odparł ironicznie:

— Nic nie mam przeciw temu, by uchwalono mu wystawić pomnik za pieniądze tych, którzy skazali go na śmierć. Ja nie potrzebowałbym się do tego przyczyniać.

— Niemniej przyjaciele Demostenesa ciebie obciążają winą jego śmierci, przypominając, że gdy Aleksander zażądał wydania przywódców stronnictwa wojny, ty byłeś za tym.

— Komu mam przypominać, że to ja wówczas skłoniłem Aleksandra, by od tego żądania odstąpił?

— To wiemy — odparł Charikles — ale ty wiesz, że Ateńczycy pamiętają to, co chcą pamiętać, i zawsze znajdują winowajców własnych błędów. Czy nie byłoby dobrze, byś się z miasta usunął? Zmienni są, gdy się przekonają, że bez ciebie Antypater niezwłocznie wykonać zechce swą groźbą i sam ściągnie nałożoną kontrybucję, prędko będą cię prosili o powrót.

— Ale on nie jest chwiejny. Gdy raz wyda rozkaz, nie cofnie go. Ja natomiast mogę żywić nadzieję, że gdy mnie z kolei Ateńczycy skazą na śmierć, także znajdą winowajców i być może wystawią mi nawet pomnik.

— Ty drwisz, a sprawa jest poważna.

— A cóż mam czynić, mój Chariklesie? Demades słusznie powiedział, że najtrudniej bronić się przed głupimi zarzutami. Ja tylko sobie nie chcę mieć nic do zarzucenia, a miałbym, gdybym ze strachu naraził miasto na represję Antypatra.

Fokiom nie wiedział, że w chwili gdy to mówił, Antypater już nie żył, a przed śmiercią opiekę nad królem Arridajosem, a wraz z nią i władzę przekazał Polisperchonowi. Kassandros, który bezskutecznie usiłował wymóc na ojcu zmianę zarządzenia, nie zamierzał jednak podporządkować się. Jak długo potrafił, trzymał śmierć ojca w tajemnicy i natychmiast w jego imieniu wysłał rozkaz do Menillosa, by wracał

do kraju, a warownię w Munichii przekazał Nikanorowi.

Przybycie Nikanora, jednego z dziewięciu synów Antypatra, na czele znacznie liczniejszej załogi wywołało w Atenach niepokój i poruszenie. Do Menillosa i jego ludzi Ateńczycy już przywykli, nie mieli powodów żalić się na ich zachowanie; zmiana mogła być tylko na gorsze.

Fokion również jej nie rozumiał, a zwłaszcza dlaczego Antypater nie uprzedził go, iż zmienia dowódcę załogi, którego sam uznał za najodpowiedniejszego, załogę zaś powiększa wiedząc, że Ateny z trudem dźwigają koszty utrzymania dotychczasowej. Menillos, który przyszedł pożegnać Fokiona, również nie umiał niczego wyjaśnić, Nikanor nie zjawił się, by Fokiona powitać. W sprawie było coś niejasnego, wódz zaniepokoił się. Nie czekając udał się do Munichii, by zasięgnąć języka.

Nikanor przyjął go uprzejmie, tłumaczył się nawet, dlaczego sam nie pośpieszył z powitaniem: musi zapoznać się z warownią i jej położeniem, wydać zarządzenia dla jej zabezpieczenia, a także odpocząć po pośpiesznym marszu.

Fokion dalej nie rozumiał, co oznacza ten pośpiech i zarządzenia obronne. Zapytał o zdrowie Antypatra oraz czy Nikanor nie przywiózł od niego listu.

Nikanor odparł:

— Mogę ci wyjaśnić, jeżeli zatrzymasz wiadomość w tajemnicy, dopóki nie będzie znana powszechnie.

— Sądzę, że masz powód, by żądać mi udiwości. Ja mogę ci tylko być wdzięczny za zaufanie.

— Ojciec zmarł — powiedział Nikanor. — Sam rozumiesz, że to sposobność dla naszych wrogów, by znowu wzniecić niepokój, tym bardziej że, jak wiemy, lud zaczyna zwracać się, przeciw tobie. — Chcemy utrzymać Ateny w posłuchu także i dla twego bezpieczeństwa, bo nie wątpię, że będziesz naszym przyjacielem, tak jak byłeś nim dla naszego ojca,

Fokion zamyślił się smutno, zanim odpowiedział:

— Chciałbym, by przyjaźń była dziedziczna. Z twoim ojcem zawarliśmy ją jako efebowie. Jeżeli dotrwała do śmierci, to dlatego, że on nigdy nie zapominał. Ja jestem Ateńczykiem. Nawet gdy walczyliśmy po przeciwnych stronach, nie było między nami nieszczerości ni podstępu.

— I ja będę się starał o tym pamiętać, a że chcę być wobec ciebie szczery, dowód masz, że zdradzam ci to, czego nie powiedziałem nawet Menillosowi.

— Wierzę ci — rzekł Fokion. — I mam do ciebie prośbę, która zarazem będzie radą: nie pozwól swym ludziom waleśać się bez potrzeby po mieście, staraj się z miejsca przychylnie usposobić lud, najlepiej urządzając zawody z nagrodami. To najpewniejszy sposób, by motłoch odciągnąć od politykowania, a głodnego kupić za kawałek chleba.

— Posłucham twej rady, Fokionie, postaram się zjednać sobie Ateńczyków, a wzajem od ciebie oczekuję poparcia.

— Możesz na mnie liczyć — odparł Fokion i pożegnał się, zadowolony, że zmiana obędzie się bez tarć.

Zrazu nic ich nie zapowiadało. Ugoszczony i ubawiony przez Nikanora demos ateński uspokoił się. Ponadto Nikanor okazał się przystępny i hojny, odwiedzając wielu znaczniejszych obywateli, zwłaszcza zamieszkałych w Pireusie, obdarowywał ich. Zdać się mogło, że wróciły czasy, gdy Filip kupował sobie w Atenach stronników; zrazu jednak pogłoska, a potem wieść o śmierci Antypatra znowu wprawiła miasto w podniecenie.

Dla Fokiona nie była nowiną, toteż gdy przybiegł z nią zaniepokojony Kallimedon, powiedział obojętnie:

— Wiem o tym. Nas to nie dotknie, jeżeli nie będziemy się mieszać w wewnętrzne sprawy Macedonii.

— Ale nie wiesz, że kto żyw ciągnie do Pireusu, dokąd przybył herold Polisperchona, który odczytać ma jakieś ważne pismo króla do wszystkich Hellenów.

Fokiona zastanowiło, dlaczego herolda wysłał Polisperchon, a nie Kassandros, a zwłaszcza dlaczego sam

zwoluje obywateli ateńskich, zamiast zgłosić się do władz z tym żądaniem. Pominięcie ich nie mogło być przypadkowe, może za rządcę miasta uważa dowódcę macedońskiej załogi. Należało wyjaśnić, czy Nikanor wie o tym, jak również dowiedzieć się, co zawiera pismo Arridajosa. Fokion zebrał się i ruszył w stronę portu. Istotnie, ciągnęły tam tłumy. Zboczył do Munichii i zauważył, że i tu panuje podniecenie. Dowódca wzmocnionej straży przy bramie nie wpuścił wodza. Na żądanie, by zgłosił Nikanorowi jego przybycie, powiedział:

— Jeśli z nim chcesz mówić, przybyłeś w samą porę, bo zaraz wyjeżdża.

W przystani widać było statek pod żaglami, a po chwili ukazał się Nikanor w hełmie i zbroi, jakby ciągnął na wojnę. Śpieszył się widocznie, bo podszedłszy do Fokiona sam zaczął:

— Nie miałem czasu donieść ci, że wyjeżdżam na Samos. Jeżeli przychodzisz zawiadomić mnie o zebraniu w Pireusie, to wiem o tym.

— Czy nie mógłbyś jednak wstrzymać się z wyjazdem? Trzeba wiedzieć, co oznacza przybycie tego herolda, a zwłaszcza, co zawiera przywiezione przez niego pismo. Ja idę na zebranie, a sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś poszedł i ty.

— Co zawiera pismo, ja wiem: jak ongiś Aleksander, Arridajos zezwala na powrót wszystkim wygnanców, przywrócenie im praw, a miastom demokratycznych ustrojów. To podstęp Polisperchona, bo jasne, że Arridajos jest kukłą. Chce mieć Helladą za sobą, dopóki nie rozprawi się z Kassandrem. Herolda wysłał z pismem, a Derkyllosa z wojskiem, rzekomo na pomoc Atenom, gdybym ja nie chciał ustąpić z Munichii.

Fokion zachmurzył się i powiedział:

— A jednak lepiej, byśmy się udali na zgromadzenie. Potrafię wyjaśnić obywatelom, że dla miasta korzystniej nie mieszać się między was. Ty masz tu stronników, możesz to bezpiecznie uczynić.

— Mnie potrzeba wojsk, a nie stronników, i po to jadą. A tobie bezpieczniej nie pokazywać się.

— Ja pójdą, w przeciwnym razie niepoczytalny motłoch zostawimy w ręku nieodpowiedzialnych demagogów.

— Jak chcesz. Gdyby ci jednak groziło niebezpieczeństwo, zostawią rozkaz, by każdej chwili wpuszczono cię do warowni.

— Dziękuję ci, ale nie potrzeba — odrzekł Fokion i pożegnawszy Nikanora udał się na zgromadzenie.

Treść dekretu Arridajosa musiała być już wcześniej ogłoszona w innych miastach, na zebraniu bowiem prócz pełnomocnych obywateli Fokion ujrzał wielu wygnańców, obcych, a nawet niewolników. Panowało podniecenie, jak w Olimpii w czasie ogłoszenia dekretu Aleksandra. Gdy dostrzeżono Fokiona, rozległ się pomruk, a na mównicę wstąpił Filomenes z Lampra i zwracając się do niego zawołał:

— Na ciebie, Fokionie, zwrócone są wszystkie oczy - tobie przypadnie zaszczyt zrzucenia z Aten jarzma, które nam wspaniałomyślnie zdjąć pozwala wola króla Filipa. Wezwij pod broń Ateńczyków i prowadź nas przeciw samozwańczemu tyranowi, by wyrzec z jego rąk klucz do naszej wolności, świętą warownię Artemidy.

Odpowiedział mu ryk tłumu, ale Fokion docisnąwszy się do mównicy uciszył go podniesieniem ręki na znak, że chce przemówić, i zaczął:

— Ty, Filomenesie, nie masz prawa stawiać wniosków, a motłoch, którego tu widzę więcej niż obywateli, nie ma prawa ich uchwalać. Ale to pomijam. Czego chcecie? Wojny? Czy nie dość zaciężyły na nas skutki niedawno zakończonej, a rozpoczętej wbrew moim przestrogom? I z kim? Z Nikanorem, którego chwaliliście za umiar, a nawet hojność? Ja żywię do niego zaufanie, a on do mnie wzajem. A jeśli rozpoczniecie z nim walkę, nie czekajcie od niego umiaru, a ode mnie, bym go o to prosił. Czy wiemy, kto

jest, a kto nie jest samozwańcem? Wiemy tylko, że Arridajos to król słomiany. Niech Makedonowie sami załatwiają swoje wewnętrzne sprawy, nie dajmy się w nie wciągnąć za tanią wspaniałomyślność. Teraz rozejdźcie się spokojnie i zajmijcie swoimi sprawami, a politykę zostawcie tym, którzy za jej skutki odpowiadają.

Zawiedzione i zniechęcone zgromadzenie rozplywało się z wolna, ale zakłócony spokój nie wrócił do Aten. Coraz liczniej napływali do miasta wygnańcy, którzy po zawarciu pokoju zmuszeni byli je opuścić, a Fokionowi przypisując winę swej tułaczki, wzmagali nieprzychylny wobec niego nastrój. Przynoszone przez nich wieści doprowadzały do wrzenia. Kassandros zbiegł do Antygonosa, panem Macedonii jest Polisperchon, a wobec odmowy wystąpienia Aten przeciw Nikanorowi zbiera wojska, by samemu wygnać przeciwnika. Jeżeli zajmie miasto siłą, nie omieszka odplacić mu za odrzucenie swych dobrodziejstw.

Ale prawdziwa burza przeciw Fokionowi wybuchła, gdy jednej nocy Nikanor, który również wiedział o wypadkach w Macedonii i nadciąganiu z wojskiem Polisperchonowego syna Aleksandra, najemnikami niespodzianie zajął Pireus i obwarował się w nim, odcinając miasto od morza. Jednocześnie runęła na nie powrotna fala wygnańców, a wraz z nimi wszelkiego rodzaju wypędków, wykorzystujących powstały zamęt. Skończył się wszelki ład, w nieustannych zgrarpadzeniach brał udział i stawiał wnioski, kto chciał, Fokiona i jego zwolenników lżono, wymyślano im od tchórzów i zdrajców. Zawierucha doszła do szczytu nasilenia, gdy pod murami miasta zjawily się wojska macedońskie, a jednocześnie przyszła wieść o nadciąganiu samego Polisperchona wraz z królem Arridajosem. Teraz Ateny mają ponieść skutki wojny, w którą — za sprawą Fokiona — nie wdały się.

Fokion siedział w domu przeżuwiąc gorzkie myśli. Zaufał Nikanorowi, który znał widocznie położenie w Macedonii, skoro ściera siły i nie uprzedzając

Fokiona, postawił go w dwuznacznym położeniu, a teraz poza nim próbuje ułożyć się z Arridajosem, zapewne kosztem Aten. Demades miał słuszość mówiąc, że Fokion jest łatwowierny i że należy znać położenie, by trafnie pobierać postanowienia. Teraz nie wiedział nawet, co się dzieje w mieście.

Dowiedział się. W popłochu wpadli do niego Charikles i Kallimedon i nie pozdrawiając go nawet, jeden przez drugiego w najwyższym podnieceniu opowiadali mu przebieg odbywającego się właśnie zgromadzenia; wybrano nowe kolegium strategów, Fokiona pozbawiono urzędu i czci, a na wniosek Agnonidesa uchwalono postawić go przed sąd za zdradę.

— My uchodzimy z miasta — zakończył Kallimedon. — Ateńczycy, jak zwykle, szukają kozłów ofiarnych, by się ich krwią wkupić w łaski Polisperchona, Ty będziesz pierwszym z nich, uchodź, póki nie za późno.

— Ty masz powód, by uchodzić, Kallimedonie. Wszyscy wiedzą, że w czasie wojny działałeś przeciw Atenom. Ale ja uchodząc przyznałbym się do winy, do której się nie poczuwam.

— Ja również nie — wtrącił Charikles — a mimo to uciekam. Starczy, że jestem twoim zięciem. Ateński sąd z białej owcy czarnego kozła uczynić potrafi, gdy mu taki potrzebny, a nie mam na przekupienie sędziów.

— To wyjątkowo dobrze, że roztrwoiłeś pieniądze. Ja zostaję.

Siedział samotny i rozważał położenie. Pozory są przeciw niemu. Ale dla kilku lat czy tylko miesięcy życia nie będzie szedł na tułaczkę, by tam umierać. Jeżeli jednak ma umierać, to wołałby z ręki wroga, przynajmniej ciało jego spocząć będzie mogło w ojczyźnie. Gdy ateński sąd uzna go za zdrajcę, zwłoki wyrzucone zostaną z granic Attyki zwierzom na pożarcie.

— *Gaia de patris echet kolpois ton pleista kamo-*

nton somat... — szepnął do siebie Fokion. Czy śmierć na polu bitwy jest największym cierpieniem? Krótka i łatwa. Fokion setki razy przechodził obok niej bez zmrużenia powiek. Życie jest cierpieniem, osiemdziesiąt dwa lata to dość, by mogło obrzydnąć, ale i śmierć, która go czeka, może nie być łatwa.

Noc była późna, gdy Fokiona zbudziło z zadumy ciche pukanie. Otworzył drzwi i przy świetle oliwnej lampki poznał Solona z Platei i Deinarcha z Koryntu. Gdy usiedli, Solon zapytał:

— Czy wiesz, co dziś uchwalono na zgromadzeniu?

— Wiem.

— Co zamierzasz uczynić?

— Nad tym się właśnie namyślam.

— Źle się stało, że odwiodłeś Ateńczyków od wystąpienia przeciw Nikanorowi. Teraz tobie przypiszą winę, że miał czas zaciągnąć najemników, wzmocnić się w Munichii i zająć port. Gdy Polisperchon zdobędzie Ateny siłą, może je czekać los Teb.

— I to wiem. Nie wiedziałem natomiast o tym, że Antypater władzę przekazał Polisperchonowi ani że Kassandros nie uszanował woli ojca i podstępem wprowadził swą izalogę do Munichii; ani że Nikanor zaciąga wojska, by zająć Pireus. Chciałem miastu oszczędzić wojny, a wpłatałem je po stronie, która musi przegrać.

— Ja ci wierzę — powiedział Solon — ale nie wierzy ateński demos. Twoi stronnicy już uciekają z miasta. Uciekł nawet twój zięć. Jeżeli chcesz unieść głowę, nie czekaj nawet do rana.

— Nie. Sądzę, że jedyne, co mogę uczynić, to wobec Polisperchona wziąć winę na siebie.

— Znając cię, tak przypuszczałem. Dlatego prosiłem Deinarcha, który z Polisperchonem był w zaży-

¹ *Gaia de patris echet kolpois ton pleista kamounton somat...* (gr.) — Ziemia ojczysta swym łonem obejmie ciała tych, co wycierpieli najwięcej... — z napisu na grobie poległych pod Cheroneą

łości, by uprzedzając ateńskie poselstwo udał się z tobą do niego i pomógł ci wyjaśnić sprawę. Jeżeli on da się przekonać że nie zawierałeś z Kassandrem sojuszu przeciw niemu Ateńczycy nie będą nastawać na ciebie, bo bez wątplenia oddali cię pod sąd tylko ze strachu przed nim. Ale jechać musimy zaraz, póki urząd jedenastu nie otrzyma rozkazu, by cię uwięzić.

Dziękuję wam, bo teraz niebezpiecznie jest przyznawać się do przyjaźni ze mną. Obawiam się jednak, że Polisperchon nie potrzebuje pozór by zająć Attykę i ofiara wasza będzie daremna.

Bądź dobrej myśli i zbieraj się. Wyjechać musimy zaraz po otwarciu bram.

Fokion nie był jednak dobrej myśli. Wiedział, że nawet jeśli Polisperchon potrzebuje pozoru zajęcia miasta i da się przekonać, że nie było spisku z Nikanorem przeciw niemu, wzburzenie głodującej biedoty i nienawiść próżniaczego motłochu przywykłego żyć na koszt państwa, a teraz zmuszonego do pracy szuka winnych swej nędzy.

Mimo pośpiechu Fokion z towarzyszymi nie zdążył uprzedzić poselstwa na skutek bowiem choroby Deiparcha musieli zatrzymać się w Elatei. Jeżeli Fokion mógł jeszcze żywić jakieś złudzenia, to musiałby się ich wyzbyć, gdy dotarli do rozłożonego u podnóża góry Akurion obozu wojsk Polisperchona. Poselstwo ateńskie pod przewodnictwem Agnonidesa było już na miejscu, a prócz niego przybyła gromada Ateńczyków, jedni z ciekawości, inni z niepokoju o jego wynik, lub o samych sobie. Nie było dobrą wróżbą, gdy Polisperchon wszystkich razem kazał wziąć pod straż zapowiadając, że król rankiem rozpatrzy sprawę. Niepokój i niepewność płoszyła sen, przeważna część nocy zesłała na kłótniach i wzajemnych zarzutach, które wybuchły na nowo gdy posłaniec Polisperchona wezwał przybyłych do sprawy.

Gdy weszli na dziedziniec obozowy, zdać się Mogło, że znaleźli się w teatrze, w którym marny aktor odgrywać ma rolę króla. W otoczeniu dworzan, na

podwyższeniu pod złocistym baldachimem, w purpurowej szacie, z diademem na głowie siedział Arridajos. Z postawy i rysów twarzy przypominał Filipa, zachowaniem natomiast — głupawego wyrostka, któremu każą zachować powagę, a ta go nudzi. Wiercił się na tronie, sztywniejąc, gdy stojący za nim Polisperchon coś do niego szeptął. Za podwyższeniem stała gromada macedońskiej starszyny wojskowej, widocznie ubawiona tym widokiem, bo od czasu do czasu wybuchały śmiechy, a wówczas król również zaczynał się śmiać i urywał, gdy Polisperchon szturchnął go w plecy. Trudno było wątpić, kto tu sprawuje władzę; — niepoważny nastrój świadczył o lekceważeniu, a starszyna macedońska znajduje rozrywkę w upokorzeniu Aten. Gdy wezwany do głosu Agnonides odczytywać zaczął dekret Arcestratosa, oskarżający Fokiona i jego współpracowników o podstępne wydanie miasta i portu w ręce Nikanora wbrew woli ateńskiego ludu, rozległy się pogardliwe śmiechy i uwagi. Arridajos śmiał się również, jakkolwiek widocznie nie rozumiał, o co chodzi, a Polisperchon nie przerywał mu teraz i drwiąco patrzył na Ateńczyków, którzy widząc, że sprawa prowadzona jest bez ładu, znowu między sobą spierać się zaczęli, wzajemnie się oskarżając, zrazu cicho, potem coraz głośniej. Fokion słuchał z niesmakiem, Agnonides zaś nie mogąc dokończyć wywodu krzyknął:

— Wsadźcie nas wszystkich razem do klatki i odeślijcie do Aten. Tam będziemy słuchać skarg i odpowiedzi.

Arridajos wybuchnął śmiechem i klaszcząc w dłonie zerwał się z tronu. Polisperchon jednak posadził go z powrotem, a zwracając się do rozwrzeszczanej gromady, rzekł groźnie:

— A teraz dość! Kto chce odpowiedzieć na skargę, niech prosi o głos.

Ucichło jak uciął, a Deinarchos wystąpiwszy zaczął:

— Agnonides aarzuca Fokionowi, że w zмовie

z Nikanorem podstępnie pozwolił mu umocnić się w Munichii i zająć port...

— Wiem, co mu zarzuca — przerwał Polisperehon. — Czy Fokion sam nie potrafi odpowiedzieć?

— Znasz mnie i wiesz, że jestem ci życzliwy. Przyjechałem wyjaśnić, jak doszło do tego, bo może nie uwierzyłbyś Fokionowi...

— Jeżeli sądzisz, że uwierzę tobie dlatego, iż udajesz mojego przyjaciela, to się mylisz — znowu przerwał Polisperehon. — Ja wolę otwartych wrogów niż fałszywych przyjaciół. Skoro wiesz, jak do tego doszło, mogłeś mnie przestrzec, a nie uczyniłeś tego. Brać go i wysmagać — rozkazał straży. — Rozprawię się z nim potem, a teraz kto jeszcze chce zabrać głos?

Fokion namyślał się. Jedyne, co może i chce osiągnąć, to nie dopuścić, by Ateny zhańbiły się znowu wyrokiem w służalczej uległości wobec człowieka, który nimi gardzi.

Wystąpił i zaczął:

— Jeżeli ktoś odpowiadać może za to, co zaszło w Atenach, to jestem nim ja, bo w moim ręku spoczywała władza...

— To również wiem. Znam także twoich współników.

Fokiona ogarnął gniew, ale pohamował się i podjął:

-- Możesz mi wierzyć albo nie, ale że nie lękam się ciebie, dowodzi, że sam przyjechałem, by ci rzecz wyjaśnić,...

— Gdybym cię chciał tu mieć, potrafiłbym cię sprowadzić także wbrew twej woli. Ale nie uważałem tego za potrzebne, bo wiem, że Ateńczycy rozprawią się z tobą i z twoimi przyjaciółmi — dodał zjadliwie.

Fokion z gniewem uderzył laską o ziemię i odwróciwszy się plecami cofnął się. Jasne było, że szkoda słów i z politowaniem patrzył na Hegemona, który przerażony obrotem sprawy wyrwał się:

— Ty sam, Polisperchonie, możesz być świadkiem, że ja zawsze starałem się przychylnie usposobić lud...

— Tfu! Jak ci nie wstyd kłamać, tu, wobec króla.

— Właśnie! Wobec mnie — krzyknął Arridajos. Wyrwawszy włócznie strażnikowi zamierzył się na Hegemona. Polisperchon jednak chwycił go za rękę i odebrawszy włócznie posadził go na tronie mówiąc:

— Pozwól, królu, by Ateńczycy sami wymierzili zdrajcom sprawiedliwość i zasłużyli na twoją łaską.

— Masz słuszność. Niech zasługują na moją łaskę. I niech już sobie idą, bo mnie to nudzi.

Gdy do Aten dotarła wiadomość, że wraca poselstwo prowadząc więźniów, tłumy wyległy przed bramę Świętą i towarzyszyły pochodowi, który przypominałby pogrzeb, gdyby nie radosne okrzyki na widok wczorajszych dostojników wieszonych na wozach pod macedońską strażą z więzami na rękach. Przy drodze przez Kerameikos gromady wyrostków obsiadły grobowce, wrzeszcząc i gwizdząc. Na więźniów padały grudy błota i ogryzki. Fokion patrzył na to z politowaniem, nikt nie starał się powściągnąć wybryków, przeciwnie, zachęcano do nich śmiechem. Gdy przejeżdżał obok grobowca swego ojca, Fokosa, pomyślał, że to naprawdę jest szczęście spocząć we własnym grobie. Miejsce obok niego, które przeznaczył na swój, zostanie puste.

Gdy pochód wkroczył do miasta, z trudem torował sobie drogę przez gęstniejącą ciżbę. W rynku głowa przy głowie zgromadzony był wrogi tłum, ze zbroczy Akropolu i Areopagu leciały na przejeżdżających wyzwiska i przekleństwa. Przygnębieni więźniowie czekali z utęsknieniem, by ich zamknięto w więzieniu, ale dowódca straży wiódł ich do teatru Dionizosa i tam dopiero umieszczono ich za orchesterą. Ale i tu nie było spokoju, z zewnątrz dochodził gwar gromadzącego się tłumu. Doprowadzeni do ostateczności towa-

rzysze Fokiona płakali, daremnie próbował ich ospokoić, wreszcie zniecierpliwiony rzekł:

— Nie róbcie tragedii, gdy za chwilę mamy być aktorami komedii sprawiedliwości.

— Dobrze ci mówić, gdy jesteś stary i tak musiałbyś wkrótce umrzeć — wybuchnął Hegemon.

Fokion odparł:

— Nie zazdrościłbyś mi długiego życia, gdybyś wiedział, jak bardzo mi obrzydło. A umarli są wszyscy w równym wieku.

Nie było już zresztą czasu ani na rozważania, ani na rozpacz, bo straż wprowadziła podsądnych na scenę. Kamienne stopnie amfiteatru zajęte były do ostatniego miejsca, pierwsze rzędy zajął sąd, a w jego składzie nie brakło wygnanych wyrokami przestępców, którzy powrócili korzystając z dekretu Arridajosa. Nikt nie sprawdzał obywatelstwa zebranych, w bezładnym tłumie przeważali metojkowie, obcy i niewolnicy. W powszechnej wrzawie trudno było słyszeć własne słowa. Gdy ukazali się podsądni zamieniła się w ryk.

Rozpasany tłum wrzeszczał, wygrażał im i długo trwało, nim heroldowie zdołali go uciszyć na tyle, że Klejtos mógł odczytać list Arridajosa:

Filip, król Makedonów, strategos, autokrator Helady, samowładca Azji Ateńczykom pozdrowienie.

W sprawiedliwości naszej uznaliśmy Fokiona i jego towarzyszy winnymi zdrady. Mogąc ich sami ukarać posyłamy jednak oskarżonych, by za swe przestępstwa odpowiadali przed waszym sądem, jako wolnego i niezależnego narodu.

Drwina była tak oczywista, że wielu obywateli ze wstydu zasłoniło twarze, ale motłoch powitał treść pisma radosną wrzawą. Gdy przycichła, wstąpił na podium Agnonides, by odczytać dekret oskarżający ale nim zaczął, zabrał głos jakiś poważny obywatel mówiąc:

— Jeżeli król wyrok w tak ważnej sprawie zlecił

Ateńczykom, byłoby słuszne i zgodne z naszymi prawami wydalic z zebrania niewolników i obcych.

Nie mógł mówic dalej, bo rozlegly się wrzaski:

— Śmierc arystokratom!

— Ukamienowac ich!

— Wrogowie ludu chcą zaslonic przed karą swych wspólników!

Agnonides jednak nie zważając ani na wniosek, ani na okrzyki rozpoczął czytanie oskarżenia i zakonczyl:

— Jeżeli większość zebranych uzna przedstawione tu zarzuty za stwierdzone, oskarżeni poniosą karą śmierci.

Znowu podniosła się wrzawa, wielu wołalo, by Fokiona przed śmiercią poddac torturom, krzyczeli, by sprowadzić oprawców i koło. Agnonides niepewnie patrzył na Klejtosa, ale Macedończyk splunął z obrzydzeniem; podniósł przeto rękę, by uciszyć gwar, i powiedział:

— Sprawiedliwość wymaga, by za różną winę była różna kara. Jeżelibyśmy torturowali Fokiona, to co uczynimy z łotrem, Kallimedonem, gdy dostaniemy go w ręce?

— Albo co zrobimy z tobą, jeśli Fokiona położymy na tortury? — krzyknął ktoś.

Agnonides jednak udał, że nie słyszy, I chciał przystąpić do głosowania. Fokion, który dotychczas stał w milczeniu, teraz korzystając, że ucichło, zabrał głos:

— Jak chcecie, Ateńczycy, pozbawic mnie życia? Wedle prawa czy bezprawnie?

— Wedle prawa! — rozlegly się krzyki.

Wielu sądziło, że Fokion będzie próbował bronie się lub prosic o łaskę, ale zawiódł ich, bo powiedział:

— Wedle prawa służy mi ostatnie słowo. Nie możecie wydać wyroku nie wysłuchawszy go. Przyznaję, że zblądziłem i za swe działanie zasłużyłem na śmierc. Ale za co chcecie uśmiercić tych ludzi — wskazał na towarzyszy — którzy nie popełnili żadnego przestępstwa?

— Bo są twoimi przyjaciółmi — przerwały mu wrzaski.

Szkoda było słów i Fokion zamilkł.

Głosowanie nie zajęło dużo czasu, nie było potrzeby liczyć głosów. Uczciwi ludzie wymykali się chylkiem obawiając się, że rozjuszony motłoch rzuci się na głosujących przeciw wyrokowi śmierci. Rzadka w Atenach jednodomyślność uznała oskarżonych za winnych zdrady. Agnonides zakończył zebranie mówiąc:

— Wydajemy skazanych urzędowi jedenastu, by spełnił swoją powinność.

Czterech obwinionych, którzy zbiegli, zasądzono zaocznie, pozostałych pięciu otoczyli urzędnicy, do których należało wykonanie wyroku, i wiedli ich do więzienia u stóp Areopagu, a motłoch towarzyszył pochodowi miotając na skazańców grudy błota i obelgi. Fokion szedł na pozór obojętnie, ale gdy jeden z tłumu opluł go, zwrócił się do urzędników mówiąc:

— Czy żaden z was nie poskromi tej nieprzyzwoitości?

Udali, że nie słyszą, niebezpiecznie było sprzeciwiać się rozbestwionemu tłumowi.

Nie obawiał się go tylko Diogenes. Jak zwykle w otoczeniu uliczników kroczył za pochodem, z trudem usiłując utrzymać wewnętrzną równowagę. Gdy usłyszał odezwanie się Fokiona, zwrócił się do wyrostków pytając:

— Co wam zawinił Fokion, że nie dacie mu nawet umrzeć spokojnie?

— Bo nie lubimy władców — odpowiedział któryś. — Sam nas przecie tego uczyłeś.

— Widzę, że niewiele zrozumieliście z mej nauki. To Arystoteles twierdzi, że jedni rodzą się do władzy, a inni do posłuchu, tak jakby to były dwa gatunki człowieka. Gdybyście właściwie rozumieli moją naukę, to wyzwiskami i błotem obrzucalibyście nie skazańców, nie mających już władzy nawet nad własnym życiem, ale tych, którzy ich na śmierć prowadzą, bo teraz oni mają władzę. Mnie nazywają Psem, ale jeśli

wy chcecie uchodzić choć za szczeniaków, to gryźcie żywych, bo trupy gryzie tylko robactwo.

— Łatwo ci mówić, ale spróbuj zadrzeć z urzędem jedenastu.

— Jak widzicie przeto, niewolnikiem jest ten, kto się boi. Prawdziwym waszym panem jest strach. Jeśli się go nie pozbędziecie, nigdy nie będziecie ludźmi wolnymi.

— Ty, Diogenesie, podżegasz głupich wyrostków do oporu władzy. Stary jesteś, czy nie wolałbyś umrzeć spokojnie, zamiast wtrącać się do spraw, które cię nie obchodzą? Ja nie jestem sykofantem, ale nie brak ich w Atenach i może się to dla ciebie źle skończyć.

— Ty, Kleandrze, jak widzę, nigdy nie byłeś zawodnikiem. W przeciwnym razie rozumiałbyś, że jait zawodnik pod koniec biegu wydobywa ostatek sił, by osiągnąć cel, tak samo winien czynić każdy człowiek, jeśli nie chce, by wysiłek całego życia poszedł na marne.

— Czy ty masz jeszcze nadzieję poprawić Ateny?

— Ja nie znam Aten, tylko Ateńczyków. Jeżeli toym poprawił choć jednego, to będzie w mieście jeden przyzwoity człowiek, gdy po straceniu Fokiona nie byłoby żadnego.

— Muszę przyznać, że uprzejmy nie jesteś.

— O tyle łatwiej będzie ci wybaczyć mi to, bo nie byłem uprzejmy nawet wobec Aleksandra. On chciał naprawić cały świat. Może nawet nie rozsądku mu brakło, jeno cierpliwości. Widzisz tę stertę kamieni? — wskazał na materiały przygotowane do budowy domu. — Co uczyniłbyś, chcąc je wynieść na Akropol, by tam postawić świątynię?

— Musiałbym nosić pojedyncze kamienie.

— Właśnie, Aleksander zaś uważał się za Heraklesa, który pono potrafił w zastępstwie Atlasa podtrzymać sklepienie niebieskie, i chciał wynieść wszystkie naraz. A skutek jest taki, że nie tylko nie wznosił budowli, ale rozsypała się sterta.

— Dziwne są twoje mecafory; ale polityk nie może się przecież zajmować pojedynczymi ludźmi.

— Z wyjątkiem siebie! Inni go nie obchodzą.

Gdy pochód dotarł do więzienia, tłum rozpląnął się, śpiesząc na pochód ku czci Dzeusa, którego święto przypadało tego dnia. Pozostała tylko gromadka krewnych i odważniejszych przyjaciół skazańców, wiedząc, że oprawca za niewielką opłatą wyda im ciała straconych, z wyjątkiem zwłok Fokiona, które wyrzucone być miały z granic Attyki. Tymczasem oprawca zajęty był ucieraniem trucizny, władze ateńskie bowiem, nie zważając na święto, kazały wyrok wykonać natychmiast, w obawie, że gdyby więźniowie zbiegli, jak zwykle bywało, na nie spadnie odpowiedzialność wobec Polisperofiona.

Zamknięci w swej celi skazańcy słuchali dochodzących z izby dozorczy odgłosów. Fokion siedział za myśleniu. Nikokles niecierpliwie chodził po celi, Hegemon i Filokles układli się zasłoniwszy twarze. Tylko Tudippos, szalał z rozpacz, płacząc i rwąc włosy. Nikokles zwrócił się do niego:

— Czy nie potrafisz zapanować nad sobą przez ten krótki czas? Jeśli chcesz, odstąpię ci pierwszeństwo.

— Za co ja mam tak haniebnie umierać razem z Fokionem? — krzyknął Tudippos chwytając się za głowę,

— Czy to takie haniebne umierać razem ze mną? — spytał Fokion ironicznie.

Niltokles zwrócił się do niego:

- On w ogóle nie chce umierać. Ja zaś nie chciałbym patrzeć na twoją śmierć. Czy zgodzisz się przeto, bym umarł przed tobą?

— Nigdy nie odmawiałem żadnej twojej prośbie, nie odmówię i tej, choć i mnie smutno będzie patrzeć na śmierć przyjaciela.

Oprawca wszedł z pucharem trucizny i zapytał:

— Kto pierwszy?

Nikokles wziął truciznę z jego ręki, wypił bez wahania i rzekł:

— Gorzkie to jest, ale mniej gorzkie niż upodlenie naszej ojczyzny. Żegnaj Fokionie, twoja przyjaźń osładzała mi życie, osładza i śmierć.

Położył się na pryczy i zasłonił twarz. Hegemon i Filokles z kolei również bez sprzeciwu wypili truciznę i ukladli się, by przyśpieszyć jej działanie, natomiast Tudippos trzęsąc się i płacząc cofał się przed oprawcą, który powiedział:

— Jeśli nie wypijesz sam, zawołam pachołków i wlejemy ci choćby przez nos. A nie połkniesz wszystkiego, będziesz się tylko dłużej męczyć; Ja nie będę robił drugiej porcji za te same pieniądze.

Fokion pozostał jako ostatni, czeka na na swoją kolej słuchał charczenia konających. I on chciałby mieć to już za sobą, ale oprawca nie nadchodził. Po długiej chwili wstał i wszedł do jego izby, a widząc, że ten siedzi bezczynnie, zapytał:

— Czy zapomniałeś o mnie?

— Nie. Jeno zapłacili mi za truciznę, której starczyło na cztery porcje, a teraz nie ma nikogo z urzędu jedenastu, bo wszyscy poszli na pochód ku czci Dzeusa. Nawet na trucizmie chcą teraz robić oszczędności.

— Czy nie mógłbyś jednak przygotować jej na kredyt?

— Tobie bym skredytował, gdyby nie to, że masz umrzeć. A gdy już umrzesz, to oni mi nie zapłacą, a mnie trucizna kosztuje.

— Tedy zawołaj któregoś z mych przyjaciół, którzy czekają przed więzieniem.

Oprawca wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie Polyektosa. Fokion zwrócił się do niego:

— Mam prośbę do ciebie: w Atenach nawet umrzeć nie można za darmo. Zapłać temu człowiekowi za truciznę dla mnie. Ile ci się należy?

— Dwanaście drachm — odparł oprawca.

— Czy nie za dużo? O ile wiem, ciebie porcja ziół kosztuje jedną drachmę.

—Ale mam żonę i dzieci, które żyją z tego, że inni umierają.

— Masz tu dwanaście drachm i kończ prędko — powiedział Polyeuktos, a zwracając się do Fokiona zapytał: — Czy masz może jakieś zlecenie dla swego syna?

— Jeśli go ujrzysz, powiedz mu, by się nie ważył mścić na Ateńczykach. Alkibiades, któremu również odplacili grubą niewdzięcznością, zhańbił się, dla zemsty sprzymierzając się z wrogiem. Nie chcę, by ktoś mógł mi zarzucić, że wychowałem syna na zdrajcę ojczyzny.

— Podziwiam cię, Fokionie, ale nie dziwiłbym się, gdyby Fokos nie posłuchał twego rozkazu. Czy to jest ojczyzna, która tak odwdzięcza się za wierną służbę?

— Ojczyzna to my sami. A któż mści się na sobie, nawet za postępek, który mu hańbę przynosi? Dziękuję ci i żegnaj. Od śmierci gorsze jest czekanie na nią.

Fokion umierał samotnie i zwłoki jego rzucone na wóz samotnie jechały za najbliższą megarejską granicę, na pośmiertne wygnanie. Za wozem nie kroczył nikt, albowiem zagrożono surową karą temu, kto chciałby mu oddać ostatnią posługę. Za bramą Świętą jednak do poganiającego parę osiołków woźnicy przystąpił Diogenes i zapytał:

— Czy mógłbym się przysiąść? Stary jestem, trudno mi chodzić, a chciałbym opuścić Ateny.

— Jeżeli osły się nie sprzeciwią, mnie jest obojętne, kto jedzie na wozie. Zapłacono mi za drogę do granic Attyki i tam cię mogę odstawić, choć zwykle wozę tylko takich, którzy nic nie mówią. Ale za to przy nich ja mogę mówić wszystko.

— Przy mnie też i, jak wnioskuję, ja przy tobie także. Nie będzie nam się w drodze przykrzyło.

- Mnie się nigdy nie przykrzy w takim towarzystwie — wskazał na zwłoki. — Śmierć zawsze daje do myślenia, zwłaszcza taka.

— Masz słuszość. To jest zresztą przyczyna, dla której porzucam Ateny. Przyzwoici ludzie nie mogą tam żyć.

- Dlatego właśnie stracono Fokiona. Jeżeli ma-

drzy i uczeni ludzie nie mogą współżyć z głupcami i łajdakami, to jednych należy usunąć. Ponieważ głupców i łajdaków jest bez porównania więcej, usunąć trzeba cnotliwych. To jest logiczne i praktyczne, bo czy wyobrażasz sobie, jak by wyglądały Ateny, gdyby usunąć wszystkich durniów i łotrów? Gorzej niż po zarazie.

— To paradoks, ale widzę, że masz skłonność do filozofowania. Ja też jestem filozofem.

— Przecie znam ciebie, a i ty mnie znasz, choć wtedy, gdy wałęsałem się za tobą, nie miałem jeszcze brody, z powodu której mnie nie poznałeś. Jestem Konopion.

— Teraz sobie przypominam. Nie sądziłem, że zostaniesz filozofem, ale na łajdaka nie brakło ci za datków.

— Zapewne masz słusność. Ale gdy zacząłem rozmyślać nad wyborem zawodu, stwierdziłem, że łajdaków jest za dużo i w końcu nie będzie kogo okradać, oszukiwać czy donosić. Postanowiłem przeto przejąć rzemiosło po ojcu, w którym nie mam współzawodników, bo ludzie nie lubią mieć do czynienia ze śmiercią. Wolą nie myśleć o tym, że każdy z nich musi mi dać zarobić. Jestem jakby Charonem po tej stronie Styksu, ale ponieważ odwożę umarłych tylko do bram Hadesu, nie robię mu konkurencji także ceną, bo znacznie wyższa: ja za posługę pobieram pół miny, gdy on tylko obola. Jest to uzasadnione o tyle, że moimi klientami są tylko Ateńczycy, a jego każdy człowiek. Zastanawiam się nawet, co on robi w Hadesie z taką masą oboli i jak się tam dusze dostawały, gdy jeszcze nie było pieniędzy.

— Jak widzę, kpisz sobie z tych wymysłów, które służą tylko do ogłupiania i wyzyskiwania ludzi. Jeżeli istnieje jakieś życie zagrobowe, to na pewno nikt nie wie jakie ani nie potrafi sobie wyobrazić, jak również bóstwa, które nim rządzą. Bogów z Hezjodowej czy Homerowej teogonii stworzyli sami ludzie na własny obraz, podobną do siebie bandę łobuzów.

— Zapewne masz słusność, ale rozsądnie robisz opuszczając Ateny, bo łatwo mógłbyś zostać moim klientem jak Sokrates mojego dziada. Wprawdzie w Atenach nikt w tych bogów nie wierzy, ale skarga o bezbożność jest też wygodnym pozorem pozbywania się niewygodnych ludzi.

— Jak widzę, twój zawód jest dziedziczny w rodzinie.

— Po części. Ja jednak swego syna do niego nie nakłaniam, bo żeby go wykonywać, trzeba być idiotą lub filozofem, a nie wiem, czym będzie. Młody, ma prawo być głupi.

— Może masz słusność, jakkolwiek nie przypuszczałem, że moje nauki mogą się przydać do wykonywania takiego jak twój zawodu. Gdybyś nie był cynikiem, nie mógłbyś obojętnie wieść na zhańbienie zwłok Fokiona. Wprawdzie hańba spadłaby raczej na Ateńczyków, bo zhańbić można tylko samego siebie, ale Fokion, choć był człowiekiem rozsądnym, przywiązywał wagę do tego, by spocząć w ojczyźnie koło swych przodków. Uczucia jednak nie mają wiele wspólnego z rozsądkiem i mówiąc otwarcie, ja po to przysiadłem się do ciebie, by mu oddać ostatnią posługę takim obyczajem, jaki panuje u Hellenów. Obyczaj to nie lepszy ani gorszy niż inne. Aleksander w swych wędrówkach napotkał lud, który zjada swych zmarłych uważając, że w ten sposób pozostają wśród swoich, a spalenie zwłok uważaliby za ich zhańbienie. Inny. znów lud umieszcza zmarłych na drzewach, na pożarcie ptactwu, bo zdaniem ich dusza w ten sposób łatwiej uniesie się w niebo. Ale jakiś obyczaj trzeba zachowywać, bo tylko zwierzęta nie mają żadnych i nie mszczą się o trupy swego gatunku. Zresztą nierozsądnie jest kierować się zawsze tylko rozsądkiem. Skoro Fokion tak chciał, zrobię, co mogę, by spełnić jego życzenie.

— I ja, choćby na przekór ateńskim władcom. Zapłacili mi za wywiezienie zwłok za granicę, to je wywiozę. Chętniej wywiózłbym ich, ale i na to przyjdzie

czas. Gdyby o tym pomyśleli, może byliby przyzwoitsi. Człowiek jest dłużej nieboszczykiem niż żywym, ale niewielu o tym pamięta i, jak Fokion, bardziej troszczy się o imię, jakie zostawi, niż o życie.

— Masz słuszość. Wprawdzie popiół z cedrowego drzewa i oślego łajna jest jednaki, ale niejednaki płomień i żar. Wolałbym jednak, byś czasem był odmiennego zdania niż ja, bo wkrótce nie będziemy mieli o czym gadać. Niemniej cieszę się, że mój pobyt w Atenach nie był całkiem zmarnowany. Ale trzeba by Heraklesa, by oczyścić tę stajnię Augiasza.

— Mogę cię uratować odmiennym zdaniem: Herakles potrafił pokonać nemejskiego lwa, ale nie potrafił wyzwolić nas od much, które są gorszą plagą; nie oszczędzają żywych ani umarłych.

Okrył starannie zwłoki Fokiona i dłuższy czas szedł w milczeniu. Gdy minęli Eleusis, powiedział:

- Już niedaleko. Przed tą skałą, gdzie kozy się pasą, kończy się ojczyzna. Żeby przynajmniej one miały po pięć wymion, widać byłoby jakąś różnicę. Ludzie ustanowili granice, aby się było o co bić, jak Ateny z Beotami o Oropos. Raz my mamy ten okręg, a raz oni i w końcu, nie wiadomo, czy to jest nasza ojczyzna, czy ich.

— Dylemat powstaje stąd, że popełniasz błąd stawiając znak równości między ojczyzną a państwem. Ojczyzna to jest miejsce, do którego ludzie są przyzwyczajeni i przywiązani jak kot do swojego i to jest ich naturalny biotop. Różnica leży w tym, że zwierzę musi mieć takie warunki, jakie mu są potrzebne do życia, inaczej musiałoby zginąć, a człowiek umie dostosować środowisko do swoich potrzeb tym łatwiej, im są skromniejsze, albo też dostosować swoje potrzeby do środowiska. Dlatego ja mogę żyć wszędzie i dobrze się czuję, bo starczy mi garść bobu i jeden płaszcz, a Demostenes nie umiał żyć poza Atenami, bo do szczęścia potrzebował poza wszystkim także odpowiednio głupich słuchaczy; a już poza Helladą nie miałby ani o czym mówić, ani do kogo, bo prócz helleńskiego

nie znał żadnego języka. Ludzie są przeważnie zbyt leniwi, by starać się poznać i zrozumieć innych, a jeżeli już chcą się trudzić, to z zachłanności i zawiści.

— Nie powiedzialesz jeszcze, co to jest państwo.

— Nie będę ci powtarzał tego, co o tym mniemają Platon i Arystoteles, bo albo wiesz, albo obędziesz się bez tej wiadomości, skoro każdy z nich rozumie przez to co innego. Ale już z tego wynika, że jest to pojęcie nieścisle i sztuczne, jak sam twór. Państwem jest i każde helleńskie miasteczko, i była nim monarchia Achemenidów, i zamierzona monarchia Aleksandra, ogarniająca cały świat. Jak widzisz, twory dosyć różne. Ta ostatnia miałaby między innymi tę zaletę, że gdyby chciano wyrzucić z niej zwłoki Fokiona, to nie byłoby dokąd. Jak zapewne wiesz, było też mnóstwo innych państw, których już nie ma, a ludzie żyją dalej, z czego dowód, że państwo wcale nie jest im do tego potrzebne. Czym państwo mogłoby czy powinno być, można jak Platon snuć na ten temat różne teorie, ale jeśli będziemy się trzymali tego, co jest, to mają jedną wspólną cechę: mały czy duży zespół, w którym jedni sprawują władzę i nadużywają jej, a drudzy jej nie mają, ale chcieliby ją mieć, by również nadużywać, wszyscy zaś razem są wrogami innych takich zespołów; jeśli zaś ktoś nie chce być, to go zmuszają, by zabijał ludzi, których nigdy na oczy przedtem nie widział, albo dał się zabić, w zamian za co przyznają mu wieniec. To ma być symbol zasługi wobec ojczyzny. Ja w rzeczywistości wobec tych, którzy go przyznają.

- . Fokion jednak był odmiennego zdania, wyżej cenił dobro ojczyzny niż własne życie i nie oczekiwał za to wdzięczności.

— To wolno każdemu. Najemnicy znowu wyżej cenią pieniądze niż swoje życie i także im wolno. Ale najczęściej spotykamy takich, którzy za dobro ojczyzny uważają własne, a dla niego skłonni są poświęcić życie, ale cudze. Gdyby wprowadzić takie prawo, że ci, którzy głoszą za wojnę, musieliby wziąć w niej

udział jako prości żołnierze, żadnych wojen by nie było.

— Czy jednak nie ma sprawiedliwych wojen ?

— W tym pytaniu tkwi błąd. Cel wojny może być sprawiedliwy, ale środki wiodące do niego nie są takie nigdy. Zresztą co może zabitego obchodzić, jaki ustrój będzie w jego państwie albo gdzie będzie leżała jego granica? Jeżeli zaś nieważny jest los czy dobro jednostki, to nieważny jest także los społeczności, która z jednostek się składa. Ponadto kto ma ocenić, czy sam cel jest sprawiedliwy? Jak wiadomo, nikt nie jest bezstronnym sędzią we własnej sprawie. I wcale nie zwycięża ten, którego sprawa jest słuszna, ale ten który jest silniejszy. Dlatego Fokion, choć był wojownikiem z zawodu, zawsze powstrzymywał Ateny od wojen. Wprawdzie Sokrates twierdził, że lepiej jest krzywdy znosić niżeli je zadawać, ale nie ulega wątpliwości, że najlepiej jest ani nie znosić, ani nie zadawać.

— Zapewne masz słuszność, ale właśnie jesteśmy na granicy — odparł Konopion schodząc z wozu. Lewą nogę mam w ojczyźnie, a prawą w Megarze, granica biegnie między moimi pośladkami. Zajmijmy się teraz pogrzebem.

— Fokionowi jest już zapewne obojętne, jak pochowamy jego zwłoki, ale za życia pragnął być pochowany obyczajem przodków. Spełnienie woli zmarłego jest jakby przedłużeniem jego życia. Zresztą żywi nic więcej dla niego uczynić nie mogą. Niedaleko stąd ma gospodarstwo jedna zacna niewiasta megarejska, wdowa po obywatelu ateńskim, która mieszkając w Atenach musiała znać Fokiona i zapewne zgodzi się, by przy jej domowym ognisku złożyć ofiary i wziąć z niego ogień na stos pogrzebowy. Dom jej nie z drogi jest i nie odmawia gościny nikomu. I ja z niej korzystałem.

Istotnie nie było daleko i słońce jeszcze nie zaszło, gdy wjechali do obejścia. Gdy Konopion u studni poił zdżożone osiołki, Diogenes odszukał zajęętą wraz z dziewczkami w ogrodzie za domem gospodynię.

— Witaj, Teofilo — powiedział. — Znowu przychodzę do ciebie z prośbą o gościnę.

— Witaj, Diogenesie — odpowiedziała Teofila. Gość przynosi błogosławieństwo Dzeusa Kseniosa. Dom otwarty, zechciej się rozgościć.

— Tym razem nie proszę o gościnę dla siebie, lecz dla Fokiona, i to na dłużej.

Teofila plasnęła w dłonie.,

— Nie spotkałam zaniejszego człowieka i dawno nie zaznałam takiej radości. Kończcie! — zwróciła się do dziewczek. — Trzeba ucztę przygotować dla tak dostojnego gościa.

Diagenes poskrobał się po głowie mówiąc:

— Zapewne dziewczki będą potrzebne, może stypę przygotować...

Teofila drgnęła i zapytała niespokojnie:

— Czyżby chory był? Nie będzie się skarżył na brak opieki.

— Nigdy się nie skarżył i już nie będzie. Przykro mi, Teofilo, że muszę cię zasmucić,, ale nie wiem, jak dobremu człowiekowi opowiedzieć, co zaszło w Atenach.

Opowiedział jednak.

Teofila słuchała z zamkniętymi oczyma, a gdy skończył, odezwała się:

— Ominęła mnie radość, ale spotkał mnie zaszczyt. Pójdźmy tedy spełnić nasz obowiązek.

Umyte i namaszczone zwłoki Fokiona spoczęły na stosie, który długo w noc świecił jasnym i spokojnym płomieniem. Gdy już i zar przestał świecić, Teofila sama ze zgliszcz zebrała do pięknie malowanej urny zetlałe kości i zanióswszy je do domu kazała dziewczkom zdjąć polepę przed ogniskiem i wykopać dół w którym je umieściła, po czym wyciągnąwszy dłonie powiedziała:

— Miłe ognisko! Tobie polecam pieczę nad szczątkami tego prawego człowieka. Oddasz je grobom ojców, gdy Ateńczycy kiedyś odzyskają rozsądek.

Rozsądku Ateńczycy nie odzyskali, ale wkrótce od-

czuli stratę człowieka, który tyle razy ratował ich w najgorszym położeniu. Zwyczajem swym znaleźli winowajcę, Agnonides życiem przypłacił oskarżenie, a szczątki Fokiona w uroczystym pochodzie wróciły do Aten, które hańbę swego czynu uwieczniły spiszowym posągiem.

Oblężenie Pydny zbliżało się ku końcowi. Z Akropolu Olimpias patrzyła na flotę Kassandra, zamykającą dostęp do zatoki, jedyne połączenia z ostatnim człowiekiem, który dochował jej wiary, ostatnią nadzieję na odwrócenie nieubłaganego biegu wypadków. Aristonous zdołał utrzymać się w Amfipolis i zimową porą odnieść nawet zwycięstwa w kilku potyczkach, z wojskami Kassandra, a drogą morską zaopatrywał oblężoną Pydnę w żywność i pieniądze na opłacanie najemnych wojsk, jedynych, jakimi Olimpias mogła jeszcze stawiać opór zaprzysiężonemu wrogowi. Najemnicy helleńscy dochowują wiary, dopóki się im za to płaci; Makedonowie nigdy, jak trawa pod byle powiewem chylą się raz na tę, raz na tamtą stronę. Jeszcze osiem lat nie minęło od śmierci Aleksandra, a już zdołali zniszczyć wszystko, co on zbudował. Czczą go jak boga, a znoszą, że jego syna i następcę, ostatniego z rodu królów Macedonii, wraz z jego matką trzymają pod strażą Kassandros.

Pogrobowiec podobny jest do ojca. Gdy Olimpias ujrzała go po raz pierwszy, zdało jej się, że czas się cofnął, że znowu tuli do piersi swego małego synka i jak ongiś, po jego urodzeniu, zapieczona w jej piersi rozpacz znalazła ulgę w płaczu, a w sercu obudziła się nadzieja, że potężny Perdikkas i wierny Euanenes pomogą zachować w całości spadek po wielkim ojcu dla prawowitego dziedzica.

Obydwo zgładzono zdradą, sama musiała podjąć walkę. Łudziła się, że jawiąc się w kraju ze spadkobiercą największego z królów skupi dokoła siebie wszystkie siły. Nadzieja zdała się spełniać, Makedono-

wie opuścili Filipowego bękart Arridajosa, na drwinę zwanego Filipem III, półgłówka, kukłę w ręku Kassandra, i żonę jego Eurydykę.

Olimpias nie знаła litości. Arridajos legł na jej rozkaz pod strzałami trackich łuczników, Eurydyka otrzymała do wyboru sztylet, sznur i truciznę. Wybrała sznur, a zostawiła wróżbę, że podobny los spotka Olimpiadę.

Wróżba się spełnia, pętla na szyi Olimpiady zaciska się. Gdy pobita w polu zamknęła się w Pydnie, żywiła nadzieję na odsiecz ze strony stryjecznego brata Aiakidesa, którego dopuściła do współzawodnictwa w ojczystym Epirze, by usunąć zarzewie niepokoju tlejącego od czasu, gdy brat jej Aleksander padł w Italii pod zdradzieckim ciosem sztyletu. Zawiodła się. Ostatni posłaniec, który zdołał przedostać się do oblężonej Pydny, przyniósł wieść, że Kassandros potrafił u chwiejnych i nierządnych Epirotów wywołać bunt, który zmiotł z tronu Aiakidesa. Na odsiecz liczyć nie można.

O własnym losie myślała obojętnie. Stara czarownica Eufemele zna trucizny, które zabijają jak piorun lub usypiają jak matka. Zbliża się starość, Olimpias wkrótce skończy sześćdziesiąt lat. Nie dla niej niedołęstwo starości. Żądza władzy, która nadała kierunek jej życiu, silniejsza nawet od macierzyńskiej miłości, przygasa. Zapragnęła jej dla małego Aleksandra, który wypełniał pustkę w jej sercu. Jeszcze kilka lat, a jak ojciec jego po śmierci Filipa, potrafiłby zmiażdżyć wrogów i dokończyć podboju świata.

Tego jeszcze chciałaby dożyć.

Teraz wie już, że nie dożyje, woiaiauy legiąć w walce, własnym przykładem pogardy śmierci podtrzymując ją w ciągu długiej zimy. Przykład już nie starczy, do zamkniętej twierdzy wdarł się wróg, którego nie odeprze: głód! Pierwsze umierają dzieci, skąpą żywność otrzymuje tylko załoga biorąca udział w walce, nawet dla rannych i chorych już nie starczy.

Olimpias nie odwróciła się na szelest znanych kro-

ków. Eufemele stanęła przy niej i obydwie trwały w milczeniu. Przerwała je stara powiernica:

— Czy chcesz, by ci powróżyć? Los jest zmienny, jak— Makedonowie.

— Nie! — odparła Olimpias. — Przygotuj mi napój na sen. Na mocny sen, z którego się nie obudzę.

— Co ty mówisz! Tego chciałby Kassandros. Dam ci na sen posilny, a przedtem zjedz coś. Głodna jesteś, dlatego skłonna poddać się.

— Czy nie masz dla mnie lepszej rady? Nie opłaceni najemnicy nie będą walczyć. W mieście lud się burzy, zjedli już wszystko. Czy mam czekać, by mnie wydali Kassandrowi?

— Czy to dawno tobie wydali Arridajosa i Eurydykę ci sami, którzy teraz ciebie oblegają? Fala wynosi i pogrąża, syn twój umiał na niej żeglować. Któż to jest Kassandros? Własny jego rodzic umierając nie jemu zostawił wielkorządztwo. Wrogów mu nie brak w Helladzie ni w kraju. Aristonous był somatofilikiem Aleksandra, a on umiał dobierać ludzi. Choć wielekroć mniej liczne ma wojska niż Kassandros, nie jedną zadał mu porażkę. Też na coś liczy.

— Zapewne, jak Kassandros, na berło Macedonii. I on jest Makedonem. Każdy ze spadku Aleksandra chciałby dla siebie wykroić królestwo. Nie wierzę już żadnemu.

— Może i liczy na to, ale jemu możesz wierzyć...

Na pytające spojrzenie Olimpiady dodała:

— On ciebie miłuje.

Olimpias parsknęła suchym śmiechem.

— Tylko tobie się zdaje, że można miłować starą niewiastę; mogłabym być jego matką.

Zamiast odpowiedzi, Eufemele ujęła zwierciadło i podsuwając je królowej, powiedziała:

— Spójrz!

Olimpias dawno nie patrzyła w zwierciadło. Mimo woli rzuciła okiem i przeszło ją drzenie. Zdało jej się, że spojrział na nią Aleksander, jakiego zachowała w pamięci, gdy żegnała syna przed dwudziestu laty

wiedząc, że go więcej nie ujrzy. Rysy jej straciły dziewczęcą miękkość, ale ni jednej zmarszczki, nawet złoty włos lekko jeno pojaśniał na skroniach. Poczula się tak z synem związana jak ongiś, gdy nosząc go w swym łonie stanowiła z nim jedność. Odetchnęła i rzekła:

— Masz słuszność. Dopóki żyje mały Aleksander, żyje nadzieja. Żle uczyniłam przywożąc go z sobą. Należało umocnić się w Epirze i wrócić z nim, gdy dojrzeje. Jeno jak wydostać się stąd i jego wyrwać z tych przeklętych rąk? Myśl o tym gnębi mnie nawet we Śnie.

— O niego bądź spokojna. Kassandros dawno by go zgładził, gdyby się nie lękał, że burzę rozpęta. I on naprzód chce się umocnić w Macedonii. Nie na rękę mu stać tu pod murami, gdy wie, że Aristonous zbiera siły, by przyjść z odsieczą. Wszak Kassandros kilkakroć próbował z tobą się układać; powściągnij swą dumę, nie odrzucaj układów, póki sił nie masz, by go ukarać.

— Jeno czy on zechce się jeszcze układać? Ja o to pierwsza nie wystąpię. Zdrajcy i buntownika o nic prosić nie będę.

— Nie zacinaj się. Czy choć raz w życiu nie potrafisz zmusić się do chytrności? Dla swego wnuka!

Olimpias milczała, widocznie zmagając się z sobą, gdy na kamiennych schodach rozległy się ciężkie, zmęczone kroki. Jak zwykle, nadchodził dowódca najemników, Agesilaos, ze sprawozdaniem i po rozkazy. Stał jednak przed królową milcząc, a pod jej pytającym spojrzeniem opuścił oczy. Nie spodziewała się niczego dobrego i zagadnęła:

— Co masz do powiedzenia? Mów śmiało, nie lękaj się, że będę płakać.

Odetchnął i odrzekł:

— Chciałem ci przypomnieć, że życie swoje sprzedajemy za pieniądze, bo nic innego nie mamy do sprzedania.

Wskazała na flotę widną w zatoce i odparła:

— Sam widzisz, dlaczego nie mogę wam zapłacić. Gdy Aristonous przyjdzie z odsieczą, otrzymacie z lichwą wszystko, co wam się należy.

— Możemy otrzymać wcześniej więcej i pewniej — mruknął, uciekając z oczyma przed kolącym spojrzeniem królowej.

Domyślała się od kogo i za co. Powiedziała z oschłą wyniosłością:

— W takim razie nie wiem, po co do mnie przychodzisz. Niemniej dziękuję ci za przestrozę.

Twarz starego wojownika zarumieniła się jak od policzka i odparł przerywanym głosem:

— Mylisz się i krzywdzisz mnie. Kassandros ofiarował nam zapłatę zaległego żołdu, jeśli wydamy mu Pydnę i... ciebie. Odmówiłem.

— Dziękuję ci — powtórzyła miękcej, ale rumienieć nie ustępował z oblicza Agesilaosa, gdy ciągnął:

— Nie dziękuj. Syn twój po śmierci Dariusza, któremu służyłem, okazał nam wspaniałomyślność. Nie zapomniałem. Ale nie zapominaj i ty, że w przyszłym miesiącu wygasa nasza umowa. My jej dotrzymamy, choć ty nie dotrzymałaś. Kassandros ofiarowuje nam służbę u siebie, a my ją przyjmujemy. Sama rozumiesz, co to oznacza. Choćby ja pozostał, inni pójdą. A wiesz także, że żywności dla nich nie ma nawet na miesiąc.

— Dziękuję ci — szepnęła, ale teraz ona spuściła oczy. — Możesz odejść.

Stał jednak i patrzył na nią ze współczuciem. Podjął.

— Chciałbym ci pomóc. Kassandros nie próbowałby nas przekupywać wiedząc, że wkrótce będzie miał darmo to, za co teraz grubo gotów jest zapłacić, gdyby nie było mu pilno. Skorzystaj z tego. Mogę rzec jego posłańcowi, że zwolnisz nas wcześniej od przysięgi, jeśli się z tobą ułoży.

— Nie będę mówiła z posłańcami, lecz z samym Kassandrem. Musi złożyć w świątyni przysięgę, że

układu dotrzyma. Jeśli chce; niech się tu zjawi jtitro o świcie.

Gdy Agesilaos skłonił się i wyszedł, dokończyła jak do siebie:

— Jeśli dotrzyma przysięgi.

Wieść, że Olimpias godzi się na układy, już się widocznie rozniosła, bo nie dniało jeszcze, gdy tłumy czekały u bram na przybycie Kassandra. Z murów zamku patrzyła na nie Olimpias ze zmarszczoną brwią. Wrzenie, jakie już poprzednio dało się odczuć w mieście, zamieni się w otwarty bunt, gdyby układy chybiły. Musi przyjąć każde warunki, byle sobie zapewnić swobodne wyjście.

Wrzawa u bram oznajmiła przybycie Kassandra. Objawy radości motłochu jeszcze go rozzuchwałą. Twarz Olimpiady stwardniała w gniewnym skupieniu. Zeszła do talamu i służebnym dziewczkom kazała przynieść hełm i zbroję. Przybrana w nie zeszła do megaronu i zarzuciwszy purpurowy płaszcz zasiadła na tronie, czekając w bezruchu.

Eufemele, która nadbiegła z wiadomością, że Kassandros nadchodzi, na widok królowej aż plasnęła w dłonie. Podobieństwo do Aleksandra było uderzające. Znała swą wychowankę i rozumiała, po co je chce podkreślić. Szepnęła:

— Czy dobrze czynisz? Wiesz, jak Kassandros nienawidził twego syna. Nie drażnij go. Przybierz niewieście szaty.

— Wiem, jak się go lękał. Niech nie sądzi, że ja się jego ulęknę.

Nie czas było zresztą, bo wrzawa dotarła już do bram zamku, liczne kroki na kamiennej posadzce zbliżały się, do megaronu wszedł Agesilaos i oznajmił:

— Kassandros!

— Niech wejdzie.

Nie czekał na wezwanie. Wszedł szybkim krokiem

i obejrzał się po pustym megaronie. Dostrzegłszy Olimpiadę drgnął wyraźnie, oczy mu zapląsały i zaczął coś bełkotać nieskładnie. Olimpias patrzyła na niego z drwiącym uśmiechem i powiedziała:

— Uspokój się. To nie Aleksander. Wraz z Jolaosem otruliście go przecie. Agesilaos mówił mi, że pilno ci zawrzeć ze mną rozejm, bo oboje wiemy, że pokoju między nami nie będzie. Widzę, że sam zresztą zatroszczyłeś się o swe bezpieczeństwo — dodała wskazując na orszak kilkunastu hegemonów, który wszedł w ślad za Kassandrem. — Nie lękaj się tedy i mów, jakie warunki ofiarujesz.

Gniew pozwolił Kassandrowi opanować paniczny strach, jaki utkwiał w nim od czasu, gdy w Babilonie Aleksander sponiewierał go jak niewolnika. Odparł podniesionym głosem:

— Zwolnisz najemników od przysięgi. Dla Aristonousa wygotujesz rozkaz, by wydał broń i klucze od bram Amfipolis.

— Tylko tyle? Chcesz więcej, niż gdybyś zdobył Pydnę i pokonał Aristonousa, w walce z którym brakło ci nie tyle sił co umiejętności. A ponadto podobno ci spieszo gdzie indziej, a jakiś czas przecie potrwa, zanim tego dokonasz. Słucham, co w zamian ofiarujesz.

— Ofiaruję ci życie, choć po stokroć zasłużyłaś na śmierć.

— Ofiarujesz mi to, o co nie dbam. Wydasz mi młodego króla wraz z jego matką.

Widząc, że Kassandros zachnął się, dodała uspokajająco:

— Nie lękaj się. Wraz z nimi opuszczę kraj. Będziesz mógł nadal odgrywać króla Macedonii. Godny następca mojego syna!

- Dobrze! — rzekł ze złością. — Ale gdybyś kiedykolwiek wróciła, każę cię zasmagać i wbić na krzyż. — Bądź spokojny. Wrócę dopiero wtedy, gdy ja będę mogła kazać cię zasmagać i wbić na krzyż, a ścierwo cisnąć psom, jak Jolaosa i Nikanora,

Wytrzymała spojrzenie pełne bezdennej nienawiści i ciągnęła drwiąco:

— Układ zaprzysiężesz na Hekate i wszystkie bóstwa podziemne, bo jak widzę, trudno ci będzie go dotrzymać.

Gdy widocznie się zawahał, dodała z śmiechem: — Lękasz się, to dobrze. Takim jak ty łotrom wierzyć można tylko, gdy się boją.

— Kończmy! — uciał. — Ale nie wypuszczę cię, zanim nie będę miał w ręku Amfipolis. Twój gach, którego bóstwo obrało z rozumu, gotów nie wykonać układu, gdy dowie się, że jesteś na wolności.

— A ja nie zwolnię najemników od przysięgi, zanim mi nie wydasz wnuka i synowej. Zaległy żołd zapłacisz zaraz, skoro przez układ osiągasz to, co chciałeś osiągnąć namawiając ich do zdrady, a dla mnie będzie to poręką, że układu dotrzymasz. I dla nich też.

— Jesteś głupcem, tchórzem i niedołągą!

Kassandros wiał się pod rozgorzałym spojrzeniem siostry Alkesty, która ciągnęła:

- Wypuszczasz z rąk wroga, który ci zapowiada, że wróci, gdy jeno sił nabierze. Jeszcze jeden wysiłek, a raz na zawsze pozbyłbyś się demona, który od czterdziestu lat zatruwa powietrze Macedonii, że nikt życia pewny być nie może. Co mówię: życia! Spokoju w grobie! Nie jesteś mężem, skoro zniósłeś, że w oczy chlubiła się przed tobą znieważeniem zwłok Jolaosa, że psom cisnąc kazała zamordowanego Nikanora i to samo przyrzekła tobie. Jeno ty na ten los zasługujesz. Ty chcesz rządzić w Macedonii? To, co czuję ja, czują bracia, rodzice, wdowy i sieroty po wymordowanych przez nią naszych stronnikach, gdy tylko wkroczyła do kraju. Będą gardzić tobą, jak ja gardzę...

Zachłysnęła się i umilkła. Kassandros podjął zmieszany:

— Zrozum! Nie mam sił ani czasu, by dobywać

Amfipolis. Tu mam rozkaz Olimpiady, by Aristonous wydał broń i klucze miasta. Mam prócz niej innych wrogów, z którymi rozprawić się trzeba zaraz. Zemsta nad nią musi poczekać. Miej cierpliwość.

— Cierpliwość! — rzekła drwiąco. — Ile lat mam jeszcze czekać na pomstę za śmierć mego małżonka? Pomsta na jego mordercy mi umknęła, bo znieważeni bogowie już go cisnęli na dno Erebu. Tyle jeno Los mi odpłacił, że i on nie zobaczył swego syna. Masz go w ręku, a zobowiązałeś się go wydać. Teraz mogę czekać, by on zamordował mojego syna, ostatniego ze zgładzonego przez Aleksandra rodu potężnych ongiś książąt Lynkestis, a teraz sieroty na opiece takiego jak ty...

Urwała, jakby nie mogła znaleźć dość silnego wyrazu. Zgnębiony, powiedział:

— Stało się! Zaprzysięgłem...

— Czy nie wcześniej wszyscy przyrzekliśmy ojcu — przerwała — że pomścimy śmierć Filipa i Parmeniona? Żmije się tępi, gdzie się je spotka. Nie mów mi o przysiędze, ty zakała rodu wielkiego Antypatia. Wyrzekamy się ciebie, a cienie ojca i braci wyrzekną się ciebie w królestwie Hadesa.

— Czego chcesz ode mnie? Zadusiłbym żmiję własnymi rękami, gdybym się nie lękał bogów.

— Dlatego z nią przegrasz, Ona się nie lęka ni bogów, ni ludzi. Czy pierwszy raz uchodzi z kraju? A ilekroć wróci, trupy zostawia na swej drodze, niemowląt, niewiast, własnego małżonka. Wróci i teraz by dokonać zguby naszego rodu i ojczyzny.

— Wówczas ja będę wolny od przysięgi..

— Możesz być wolny wcześniej.

Gdy patrzył na siostrę pytająco, dodała:

— Za wszystkie zbrodnie, jakie tu popełniła, postaw ją przed sądem wojska. Nie twoja wina, jeśli ją stracą.

Kassandros zamyślił się. Odparł z powątpiewaniem; - Myśl byłaby dobra, gdybym miał pewność, jaki zapadnie wyrok. Ale znasz naszych ludzi. Czy to daw-

no, jak wydali w jej ręce nieszczęsnego Arridajosa i jego młodą małżonkę? Jest matką Aleksandra, którego wielu z nich ubóstwia. I podobna do niego — głos mu zadrzał. — Gdym ją ujrzał, mnie samemu zdało się, że to on wrócił. Wielu prostaków wierzy w to, iż wróci jako heros, by pognębić wrogów. Czy wiesz, co może być, jeśli ją uniewinnią?

— Wiem, że ty lękasz się nawet cieni. On nie wróci, ale ona — jeśli jej zezwolimy wyjechać wraz z wnukiem. Aristonous też ma stronników w Macedonii, a jest lepszym od ciebie wodzem. Tego się istotnie możesz lękać.

— Jego każe stracić, gdy jeno wyda mi Amfipolis i broń — powiedział ze złością. — A zresztą czyń, co wydołasz. Oskarżycieli nie braknie, jeno sędziów, by ją skazali, może braknąć.

— Pella nie za morzem, Roksana z Aleksandrem winni już tu być. Kassandrowi pilno było, a teraz nie spieszy się. Coś knuje.

— Nie bądź niecierpliwa. Wszak zapowiedział, że ciebie nie wypuści, póki Aristonous nie wyda mu Amfipolis.

— Ale wnuka miał mi wydać zaraz. Nie uspokoję się, póki go nie ujrzę. Podejrzewam, że Kassandros teraz czeka, by sam termin zwolnił najemników od przysięgi. Miasto ma już w ręku; gdy bez przelewu krwi zajmie Akropol, nie dotrzyma niczego. Oto co układać się ze zdrajcą!

Eufemele milczała. Po chwili rzekła:

— Gdybyś się nie ułożyła, miasto i tak by zajął i również mógł doczekać końca okresu służby najemników. Wiesz, co mówił Agesilaos. Nie chcę myśleć, co by wówczas z tobą się stało. Teraz przynajmniej ciebie chroni jego przysięga.

— Wówczas nie miałby w ręku Amfipolis. Zostałby ktoś, kto by mnie pomścił. Ty nie chcesz myśleć, oo ze mną będzie, jeśli nie dotrzyma przysięgi. Ja o swoje

życie nie stoję, stara jestem. Ale lękam się pomyśleć, o co będzie z małym Aleksandrem, gdy mnie nie stanie. Roksana jest obca, bezradna, popleczników nie ma... Śniło mi się źle: motłoch rozbijał kamieniami posąg Aleksandra. Ciekła z niego krew...

— Nie myśl o tym. — przerwała Eufemele. — Posłańcy Kassandra winni każdej chwili wrócić z Amfipolis. Gdy Aristonous wykona twój rozkaz, Kassandros będzie musiał wykonać swoje zobowiązanie. Skończy się niepewność i czekanie.

— Skończy się. Przeczuję jak. Niechaj się już skończy.

Nie czekała długo. Weszła niewolnica ze sporym zawiniątkiem i wręczając je Olimpiadzie powiedziała:

— Kassandros kazał ci to oddać, królowo.

Olimpias szybko jęła rozwijać chusty. Poczowała wilgoć i spojrzała na swe dłonie. Wiedziała już, co zawiera przesyłka. Odrzuciła skrwawione chusty i patrząc na głowę Aristonousa, szepnęła:

— Wybacz mi, przyjacielu. Podpisałam wyrok śmierci na ciebie. I na siebie też.

— Zgromadzony sąd wolnych Makedonów wzywa cię, byś się stawiła przed nim i wysłuchała oskarżenia. Służy ci prawo bronić się, jeżeli masz co na swoją obronę.

— Powiedz temu zdrajcy i krzywoprzysięzcy, który cię wysłał, że nikomu nie służy prawo sądu nad królową. Bogów nie oszuka. Król może być tylko oskarżycielem, nigdy oskarżonym.

— Czy to wszystko, co mam donieść sądowi?

— Nie. Powiedz im, że kto króla chce sądzić, jest zdrajcą, a Kassandrowi, że plwam na niego. Możesz odejść.

Herold wzruszył ramionami i wyszedł, Eufemele załamała ręce.

— Co ty czynisz? Zgubi cię twoja duma. W wojsku nie ma już prawie weteranów Filipa, a niemal połowa

jest dawnych żołnierzy twego syna, którzy go uwielbiają. Młodzi poszliby za nimi. Gdyby wyrok ich zapadł na twoją korzyść, Kassandros nie śmiałby już podnieść na ciebie ręki. A ty miał się zawierzyć żołnierzom twego syna, znieważasz ich. Jeszcze nie za późno, stań przed nimi, oskarż Kassandra o zdradę i krzywoprzysięstwo. Chwiejni są, słuchają tego, kto mówi ostatni...

Eufemele trzęsła się ze strachu i podniecenia. Olimpias jednak ucięła twardo:

— Nikt mnie sądzić nie będzie, czy mnie mają uniewinnić, czy skazać. Mogą mnie tylko zamordować Ale i na to jest rada. Przygotuj mi truciznę.

— Nie! — krzyknęła Eufemele. — Nie po to wykarmiłam cię swoją piersią. Jeśli cię nawet skążą, nikt nie waży się wykonać wyroku na matce największego z królów.

— Czyń, co każe — Olimpias z gniewem uchwyciła rękę piastunki, ale ta wyrwała się i wybiegła krzyżąc:

— Nie! Nigdy, nigdy...

Olimpias została sama. Długo siedziała w głębokim zamyśleniu. Aktorzy dramatu, którego czuła się autorką, zeszedli przedwcześnie ze sceny, epilog grają drugorzędni komedianci. Jakże inaczej wyglądałby świat, gdyby Filip nie obrócił przeciw sobie straszliwej namiętności Olimpiady, którą potrafił w niej obudzić; lub gdyby bóstwo, które zesłało Aleksandra, nie odwołało go, zanim zdołał dokończyć swego dzieła. Bogowie są zawistni o władzę jak ludzie. I mściwi jak oni. To, co ją czeka, to ich pomsta za to, że syna chciała uczynić pierwszym pośród nich. Ale nie będzie błagała o litość nikogo, nawet bogów. Z zamyślenia wyrwał ją hałas u bram zamku i szybkie kroki w przed-sionku.

Wpadł Agesilaos i krzyknął:

— Idą po ciebie. Moi żołnierze odmówili posłuszeństwa.

Wyciągnął miecz i stanął u wejścia. Olimpias powiedziała spokojnie.

— Niechaj krzywoprzysięzcy idą służyć krzywoprzysięzcy. Schowaj miecz, ciebie zwalniam od przysięgi.

— Czy wiesz, co cię czeka? Skazali cię na śmierć.

— Śmierć jest jedna i zawsze samotna. Niczego nie zmieni, jeśli mi będziesz towarzyszył. Zabij mnie ty.

— Nigdy nie zabijałem niewiast...— szepnął. — Nie potrafię.

Olimpias włożyła na głowę królewski diadem, na barki zarzuciła purpurowy płaszcz i usiadła na tronie. Spotka śmierć jak królowa.

Pólnaga, w podartym chitonie, z rozwianym włosiem Olimpias stała pośrodku czworoboku, którego trzy boki tworzyły wyrównane i milczące szeregi wojsk, czwarty — szumiący tłum, w którym przeważały niewiasty i wyrostki. Koło podwyższenia, na którym stał Kassandros z Alkestą i jej synem, leżała sterta kamieni.

Kassandros podniósł rękę na znak, że chce przemówić, a gdy gwar przycichł, zaczął:

— Za zabójstwo największego z naszych królów, a swego byłego małżonka, za zabójstwo wdowy i sieroty po nim, za zabójstwo prawowitego króla Filipa Arridajosa i jego małżonki, za dziesiątki i setki kaźni, na które skazała członków najznakomitszych rodów Macedonii, po których wdowy i sieroty...

Przerwał mu rozjuszony jazgot tłumy leciały przekleństwa i wyzwiska, tłum zakotłosał się, chwila jeszcze, a rzucą się na Olimpiadę i rozedrą, ją rękami. Kassandros jednak krzyknął:

— Stać! Wyrok będzie wykonany według naszych praw przez sąd wojskowy, który go wydał. Jak żąda nasz stary obyczaj, zdrajców i królobójców traci się przez ukamienowanie.

Zwrócił się do wojsk i wskazując na stertę kamieni rozkazał:

— Wyrok wykonać!

Nastąpiła chwila ciszy, w szeregach nastąpiło poruszenie. Tręcili jeden drugiego, gdzie indziej towarzysze zatrzymywali tych, którzy chcieli wystąpić. Kassandros patrzył na to zmieszany, a niemal przeraził się, gdy rozległ się głos Olimpiady:

— Jam urodziła, a nie zabiła największego z waszych królów, którego zdradziliście. Dopełnijcie waszej hańby królobójstwem, bo wasz wyrok jest bezprawiem. Gdyby prawu miało się stać zadość, na moim miejscu winien stać ten — wskazała na Kassandra.

Szmer w szeregach zmienił się w pomruk, od niewykonania rozkazu do buntu był tylko jeden krok. Ale zapobiegła mu Alkesta, która zeskoczywszy z podwyższenia stanęła naprzeciw Olimpiady i krzyknęła:

— Tchórze! Lękacie się czarów tego demona, który więcej klęsk sprowadził na nasz kraj niż zaraza i trzęsienie ziemi. Czy to nie wy sami uznaliście jej za winną wszystkich zarzucanych jej zbrodni? Teraz gdy kąsać już nie może czarownica, pluje jadem, który poraził wasze mózgi! Ale ja, niewiasta, nie boję się.

Skoczyła do sterty i porwawszy z niej kamień z całej siły puściła go mierząc w głowę Olimpiady. Przeleciał tak blisko, że otarł się o włosy, królowa jednak nie zmrużyła oka. Ale teraz tłum niewiast i wyrostków dopadł sterty kamieni i grad ich posypał się na Olimpiadę. Stała chwiejąc się, póki ogromny głaz nie ugodził jej w goleń. Kość pękła i Climpias przyklekła, podpierając się rękoma. Silnie puszczony kamień trafił ją w tył głowy, mięśnie jej rozluźniły się i legła. Głazy leciały dalej, póki nie zakryły jej ciała przed nienawiścią rozjuszonego tłumu. Teraz już tylko plwali na świeżą mogiłę.

Wojsko patrzyło w milczeniu na tę ohydną scenę. Ni jeden żołnierz nie przyłączył się do motłochu. W milczeniu również odeszli i tłum rozplynął się, a potem noc rzuciła zasłonę na scenę, na której zakończył się ostatni akt dramatu pychy i namiętności.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW OBCYCH

- A e h e r o n** — w mitologii greckiej rzeka smutku przepływająca przez świat podziemny
- a g e m a** (z gr.) — doborowy oddział jazdy stanowiący gwardię królewską
- a g o r a** (z gr.) — centralny plac-rynek, na którym skupiało się życie polityczne i handlowe
- A k e s i n e s** — dziś Chenab; ważny dopływ Indu, do którego wpadają z prawej strony Hydaspes, z lewej Hydroates
- a k ó l i t y s t a** (z gr.) — żołnierz uzbrojony w oszczep
- A l l i s** — Święty Gaj
- A o r n o s** — Tasskurgen
- a r c h i g r a m m a t e u s** (z gr.) — kanclerz
- a r c h i t e o r e t a** (z gr.) — przywódca sakralnego poselstwa
- a r e o p a g** (z gr.) -- urząd o władzy sądowniczej obrządkowy w sprawach prywatnych; nazwa pochodzi od Wzgórza Aresa (Areopag), na którym obradował
- a u t o k r a t o r** (z gr.) — samowładca
- b a r b a r z y Ń c a** - człowiek nie należący do wspólnoty tiellefeMej każdy cudzoziemiec
- b e m a t y s t a** & S^r-) — mierniczy
- b i o t o p** (z gr.) y: obszar życiowy
- b u l e u t e r i u m** fo8^r-) — budynek Rady f&ciuset
- C e r b e r** — w mitologii greckiej trójgłowy pił strzegący wejścia do Hadesu; przenośnie- ' czujny i srogi stróż
- c h i l i a r c h a** «— ^< 'la

- tysiąca ludzi, naczelnik straży przybocznej
- chiton** (z gr.) — luźna szata lniana wkładana na ciało. Mężczyźni nosili krótkie, przepasane pasem, kobiety i kapłani długie układane w fałdy.
- Chosroes** — dziś Atok; rzeka w Indii, dopływ Indu
- ehoe** (gr.) — miara płynów, ok 3V« litra
- darejka** (z gr.) — złoty pieniądz perski
- dekadarcha** (z gr.) — dziesiętnik
- demiurg** (z gr.) — rzemieślnik ateński
- demos** — (z gr.) — lud; gmina
- didoch** (z gr.) — następcza ..;'
- Dike** — Łrogini prawa
- dlomoryta** (z gr.) — żołnierz o podwójnym żol-dzie, podoficer
- Dioskuriowie** — „synowie Zeusa", Kastor i Polluks
- Droga Święta** — prowadziła od Dipylonu (Podwójnej bramy} na zachód; przy niej znajdował się świątynia
- efeb** (z gr.) — młodzieńcy; i'igr«cłfi (MMM); lat
- przygotowujący się do życia społecznego
- Ereb** — państwo podziemne, gdzie po śmierci udawały się dusze zmarłych
- falanga** (z gr.) — szyk bojowy (8 zwartych szeregów) ciężkozbrojnej piechoty. Przed falangą stali lekkozbrojni, konnica zaś znajdowała się na obu skrzydłach.
- Fygadoteras** (z gr.) — łowca zbiegów
- Gorgias** — mówca, sofista; uczył, że nie ma stałych prawd, wszystko jest względne
- Gorgony** — mitologia grecka; trzy siostry: Stheno, Euryale, Meduza, zamiast włosów miały na głowie węże; ich widok zamieniał ludzi w kamień
- Hades** — bóg świata podziemnego, również państwo umarłych
- hegemon** (z gr.) — tu: dowódca, oficer
- hellanodika** (z gr.) — komisja złożona z 10 obywateli Elidy, wybierana na czas trwania igrzysk. Badała ona po-

- chodzenie zgłaszających się zawodników, odbierała od nich przysięgę, rozdawała nagrody.
- H e r m o d o n** — później zwany Hajmon od krwi (*hajma*)
- H e r o d o t** (ok. 484 — ok. 425 p.n.e.) — historyk grecki, zwany „ojcem historii,” autor *Dziejów* w IX księgach
- h e r o s** (z gr.) — bohater; zwykle potomek boga i śmiertelnej matki
- h e t a j r o w i e** (z gr.) — towarzysze; tytuł członków jazdy szlacheckiej
- h e t e r a** (z gr.) — nierządnicą
- h i e r o f a n t** (z gr.) — najwyższy kapłan, przełożony misteriiw eleuzyńskich
- h i p p a r c h** (z gr.) — dowódca jazdy
- h o p l i t a** (z gr.) — ciężkozbrojny piechur w piechocie greckiej. i macedońskiej
- H y d a k p e s** — Ihelum, rzeka w połn.-zach. Indiach, jeden z największych dopływów Chenabu, który wpada do Indu.
- H y d r o a t e s** — dziś Ravi; rzeka w Indiach, lewy dopływ Akesines
- H y f a s i s** — najdalej położony na wschód dopływ Indu — Beas
- h y p a s p i s t a** (z gr.) — pierwotnie gwardzista, potem żołnierz służący w ciężkiej piechocie
- U a** (z gr.) τ-oddział jazdy
- i l a r c h a** (z gr.) — dowódca ili
- i s t m o s** (gr.) — przesmyk, Istmos — Przesmyk Koryncki
- J a k s a r t e s** — Syr-dafia
- k a u s i a** (gr.) — płaski macedoński kapelus
- k l e r u c h** (z gr.) — osadnik rolny, kolonista
- k l i n e** (z gr.) — legowisko do uczt
- kr a U s t o** (gr.) - najpočetnějszemu
- l e t e j s k i s t r u m i e ń** — w mitologii greckiej Lethe —rzeka zapomnienia w krainie cieni
- l o c h i t a** (z gr.) — szeregowiec
- M a r d u k** — mitologia babilońska: bóg nieba i ziemi, losu, świata i ludzi, dobroczyńca ludzkości
- M a r g i t e s** — postać z komedii greckiej, tzw.

imię mówiące; przema-
drzały prostak"

me garon (z gr.) — głów-
tia sala domu, pomiesz-
czenie prostokątne, w któ-
rym płonęło ognisko;
dach z dymnikiem wspie-
rały 4 kolumny. Mega-
ron był pomieszczeniem
dla mężczyzn.

mploforowie (z gr.) —
gwardia perska, mająca
'na dzidach złote gałki

metaleuta (z gr.) —
.Inżynier górniczy

metojkowie (z gr.) —
napływowa wolna lud-
ność w miastach greckich
;Sie posiadająca pełnych
praw obywatelskich

Muzy — 9 córek Dzeusa
i Mnemozyny; opiekunki
ięttik pięknych i nauk:

Brato — poezji miło-
snej, Euterpe — poe-
a# lirycznej, Klio — hi-
storii, Kaliope — poe-
zji. epicznej, Melpome-
mene — tragedii, Ta-
lią — komedii, Ter-
psychora — tańca,
Prania — astronomii
i geometrii, Polihym-
nia - sakralnej poezji
chóralnej

Nikokleon — król Cy-
pru

nom archa (z gr.) — na-
miestnik

nomofil (z gr.) — stróż
prawa

obol (z gr.) — drobna mo-
neta obiegowa ze srebra,
1/6 drachmy; również je-
dnostka wagowa

Ok sos — rzeka Amu-da-
ria

orchestra (gr.) — część
sceny dla chóru

Parapamissos — Hin-
dukusz, łańcuch górski
na pograniczu Afganista-
nu, Pakistanu Zachod-
niego i Indii

pedzetajrowie (z gr.)
— piesi towarzysze; cięż-
ka piechota wolnych Ma-
cedończyków

Persefona — w mito-
logii greckiej córka Dze-
usa i Demetry; porwana
przez zakochanego Hade-
sa do podziemi, część ro-
ku — jesień i zimę —
spędzała z nim i wtedy
przyroda zamierała, gdy
wracała na wiosnę dc
matki — przyroda bujnie
rozkwitała

perystyl (z gr.) — we-
wnętrzny kwadratowy
dziedziniec, często z fon-
tanną pośrodku, otoczony
kryta kolumnada'

P i z y d z i — Pizydia, górny kraj w Azji Mniejszej graniczący na południowym wschodzie z Cylicją
P n y k s — wzgórze w Atenach, na którym odbywały się zgromadzenia ludu
p o l e m a r c h a (z gr.) — dowódca oddziału wojskowego
P r a k s e s i s A l e k s a n d r o u (gr.) — *Czyny Aleksandra*
p r o s k i n e s i s (gr.) ' — padanie na twarz
p r y t a n e i o n — budynek urzędu prytańców
r e t o r (z gr.) — mówca
s a r y s a (z gr.) — długa, dzida
s a t r a p i a (z persk.) — prowincja w Persji zarządzana przez satrapę
S e r a p i s=Sar apis — W mitologii egipskiej bóg zbawca i uzdrowiciel, bóstwo. ' ' płodności, świata zmarłych, opiekun żeglarzy
S ł o n e c z n y P l a c — po grecku: Helia ja, stąd nazwa sądu helia ja, najwyższego organu sądowniczego w Atenach
S ł u p y H e r a k l e s a skały w przesmyku gibraltańskim, Cieśnina Gibraltańska
s o f i s t a (z gr.) — nauczyciel wędrowny przygotowujący młodzież wszechstronnie do życia publicznego. Sofiści przywiązywali ogromną wagę do wymowy oraz biegłości i zręczności w uzasadnianiu własnych tez — choćby fałszywych — i zbijaniu tez przeciwnika.. Z czasem doprowadziło to do wypaczeń pierwotnego celu i nalało sofistyczne cechy ujejrnie.
s o m a t o f i l a k (z gr.) — stróż ciała (gwardzista); tytuł 7 wysokich dostojników macedońskich
s t r a t e g (z gr.) — dowódca w armii lub flocie; w Atenach zgromadzenie ludowe co roku wybierało kolegium 10 strategów, którzy sprawowali dowództwo armii
s y k o f a n t (z gr.) — donosiciel
t a k s a (z gr.) — oddział hoplitów
t a l a m (z gr.) — sypialnia
t a l e n t (z gr.) — jednostka wagi i jednostka monetarna o największej wartości: 1 talent =

= 60 min=6000 drachm=
 36 000 oboli
 T e m i d a — bogini spra-
 wiedliwości
 t e o g o n i a (z gr.) — mity
 o rodowodzie bogów
 t e s m o t e t a (z gr.) — ar-
 chont zajmujący się usta-
 wodawstwem i sądowni-
 ctwem w sprawach pry-
 watnych
 T h a n a t o s (gr.) — śmierć,
 bóstwo śmierci przedsta-
 wiane w postaci skrzy-
 datego młodzieńca
 t h e o r i a (gr.) — uroczy-
 ste; poselstwo, pochód do
 świątyni, procesja
 t r i e r a (z gr.) — okręt
 wojenny z trzema rzęda-
 mi wiosel, trójrzędowiec
 Tu kidydes = Tuce-
 d y d e s (ok. 460 — 493
 p.n.e.) — historyk grecki,
 autor *Wojny pelopone-
 skiej*
 t y m p a n o n (z gr.) —
 trójkątne pole frontonu
 bogato zdobione płasko-
 rzeźbami; płaszczyzna
 utworzona przez dach
 dwuspadowy
 t y r a n — władca uzurpu-
 jący sobie nieograniczoną
 władzę
 t y t a n — właściwie tytani;
 w mitologii greckiej na-
 zwa gigantów, dzieci Ura-
 nosa i Gai, którzy stoczy-
 li z Dzcusem walkę o
 władzę; pokonani, zostali
 strąceni do Tartaru; prze-
 nośnie człowiek wielkie-
 go ducha, siły, talentu